

Czy konie z Morskiego Oka są szczęśliwe • Naukowo zbadane: w szkole, w pracy lepiej się nie wychylać • O co kłócą się Francuzi z Polką przy winobraniu • Już po Morawieckim?

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

WYSOKIE OBCASY

Seksualność, miłość, uczucia

Starzy domagają się równych praw



MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

MANUELA GRETKOWSKA

W Polsce wszyscy są ofiarami czyjejś chciwości

▶ 22

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dziadek walczył z Hitlerem
W co wierzą Niemcy
▶ 44

Fizjoterapeuta za pół roku
Chore zdrowie na Podlasiu
▶ 12

11 września 2001
Trump tylko doszlifował pomysły demokratycznej Ameryki ▶ 15

Polscy mężczyźni mają zniewalającą powierzchowność
Marka Polska przed wiekami ▶ 43

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 37

Sobota – czwartek, 12-17 września 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 213.11312, 1 | Nakład 70 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl cce6ce74a6



Agnieszka Kublik

Kipi kasza, kipi sejm

Sprawa dotycząca szkolnych obiadów czyli zdrowia dzieci, zamieniła się w polityczną bijatykę, co jest chore.

Swoją opinią w tej sprawie postanowił podzielić się z wyborcami Mateusz Morawiecki, były premier i człowiek wydaje się nieźle wykształcony – historyk z dyplomem MBA i studiami podyplomowymi z prawa europejskiego.

Zagrał pod publiczkę na X: „Najpierw straszą, że dieta mięsna zabija planetę, a potem każą dzieciom jeść fasolę z kaszą. Dość tych szaleństw ideologicznych (...) ręce precz od naszych dzieci".

Chciałoby się zakrzyknąć „ręce Morawieckiego precz od talerzy naszych dzieci!". Na szczęście były premier już w tej sprawie nic nie może, poza pisaniem głupot, rzecz jasna.

Bo fasola jest szalenie zdrowa, jest roślinnym źródłem białka czyli dobrym zamiennikiem mięsa. Zawiera węglowodany przyswajalne, jest źródłem błonnika pokarmowego, czyli wspiera trawienie, dba o mikrobiotę jelitową, pomaga obniżyć poziom złego cholesterolu.

Ma witaminy, zwłaszcza z grupy B – wspomagają działanie układu nerwowego, zmniejszają uczucie zmęczenia. Ma kwas foliowy, związki o działaniu antyoksydacyjnym oraz składniki mineralne: potas, wapń, magnez, żelazo, cynk, mangan, siarka. Jest niskokaloryczna.

Każą dzieciom jeść fasolę z kaszą. Ręce precz od naszych dzieci!

Kasza też zawiera błonnik, minerały (magnez, wapń, miedź, żelazo, cynk), dba o serce, bo poprawia stan naczyń krwionośnych, wzmacnia kości, zęby, układ nerwowy.

Więc fasola z kaszą to wspaniałe jedzenie. I tak, może być pyszne.

W Sejmie głos w sprawie zdrowych posiłków zabrała posłanka Maria Kurowska z PiS. Perorowała całkiem na serio, że „dzieci będą chodzić głodne, ponieważ mają inne przyzwyczajenia żywieniowe w domu", że „zagrożona jest egzystencja naszych dzieci", bo „obłąkańcza ideologia lewacka, wymyślone ideologie ratowania planety mają za nic dobro ludzi".

Skoro dzieci „mają inne przyzwyczajenia żywieniowe w domu", to znaczy, że tam nie jedzą fasoli i kaszy, a opychają się tłustymi i słodkimi „frykasami".

Od jednego z rodziców usłyszałam, że dzieciaki zżymają się, bo ze szkolnych automatów wycofano rogaliki, które mają w nazwie siódemkę.

Co zatem dzieciaki chciałyby jeść siedem dni w tygodniu? W takim rogaliku mamy m.in. olej palmowy, który podnosi poziom złego cholesterolu i syrop glukozowo-fruktozowy sprzyjający otyłości czy stłuszczeniu wątroby. To jest niezdrowe jedzenie.

MEN musi najpierw wyedukować dziadków i rodziców, a dopiero potem wymagać od dzieci, by rozumiały związek między dietą a jakością życia. I jadły smakowicie przyrządzoną fasolkę nucąc szlagier Tomka Lipińskiego: „Nie wierzcie politykom".

Bóg,

I ludzie prezydenta, i Jaro

Wielowieyska



Po raz pierwszy w historii III RP zdarzyło się coś tak bulwersującego: oto były prokurator generalny, aspirujący do ponownego pełnienia tej funkcji, wziął pieniądze od człowieka, za którym stoją zwykli gangsterzy.

Pośredniczy w tym procederze człowiek służb specjalnych związany z PiS.

Pieniądze od środowiska przestępczego popłynęły też do fundacji wpływowego posła Konfederacji.

Sprzężenie z piramidą finansową zbudowaną na pieniądzach mafii paliwowej dotyczy głównego medium PiS.

To miara kompromitacji skrajnej prawicy.

W atmosferze rozliczeniowych emocji, lawinie codziennych depesz o „nowych faktach w sprawie" oraz dezinformacji i propagandy płynących z PiS, Konfederacji oraz z otoczenia prezydenta, umyka nam fundamentalna kwestia: został zbudowany groźny układ gangsterów z politykami, prokuratorami i ludźmi służb związanymi ze skrajną prawicą. Czegoś takiego w historii wolnej Polski nie było.

Były minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro żył z pieniędzy tego gangsterskiego środowiska, co ostatecznie pogrąża go politycznie. Już nawet Jarosław Kaczyński się od niego odciął, choć nie wyrzuca go z partii ani nie pozbawia stanowiska wiceprezesa PiS.

Teraz Ziobro tłumaczy, że on – jako prokurator generalny – biedaczek nic nie wiedział, co to za środowisko.

Nie zauważył, że w 2020 roku TVN wyemitował reportaż, w którym Michał Fuja i Patryk Szczepaniak pokazali związki BiTBay, poprzedniczki Zondacrypto, z gangsterami.

Nie zauważył, że była sprawa dotycząca próby przekupienia i zastraszenia dziennikarza demaskującego powiązania giełdy kryptowalut z gangsterami, w której na ławie oskarżonych zasiadł między innymi szef Zondacrypto Przemysław Kral. Ten sam, który wiosną zbiegł z kraju, a teraz ratuje skórę, zeznając o relacjach z politykami prawicy, w tym z Ziobrą.

Nie zauważył, że w 2022 roku zaginął szef BiTBay Sylwester Suszek, zastąpiony na tym stanowisku przez swojego prawnika Przemysława Krala.

Umknęło mu, że Marian W. pseudonim Maniek, zamieszany w mafię paliwową, był potem podejrzany o uprowadzenie Suszka i cały czas za kadencji PiS miał list żelazny.

Prokuratura nie wystąpiła o areszt, nie doprowadziła do uchylenia listu żelaznego, „Maniek" się ulotnił dawno temu. Dopiero teraz, po rewolucji kadrowej w ziobrowej prokuraturze na Śląsku i deklaracji Krala o współpracy ze śledczymi, coś zaczęło się dziać.

Jedyne wyjaśnienie, jak to się stało, że prokurator generalny nic o tym wszystkim nie wiedział, brzmi: był na Księżycu i spadł z niego całkiem niedawno.

Wszystkie pytania dotyczące Zondacrypto powinny zostać zadane również prezesowi Trybunału Konstytucyjnego Bogdanowi Święczkowskiemu, czyli byłemu prokuratorowi krajowemu i zaufanemu człowiekowi Ziobry.

Oraz innym ludziom potężnego ministra – prokuratora generalnego: prokuratorom Tomaszowi Janeczkowi i Markowi Ostrowskiemu, którzy – dzięki zabetonowaniu prokuratury przez PiS i prezydenta Karola Nawrockiego – nadal pełnią wysokie funkcje zastępców prokuratora generalnego i zajmują się torpedowaniem pracy władz prokuratury.

Politycy prawej strony próbują zaciemniać obraz, karmiąc opinię publiczną kłamstwami takimi jak to, że zgłoszony przez rząd projekt ustawy o kryptoaktywach nie dotyczył Zondacrypto i jej szefa, bo ta giełda miała licencję estońską. Ludzie prezydenta, PiS i Konfederacji powtarzali to kłamstwo bez kontry dziennikarzy w niemal każdej audycji telewizyjnej i radiowej, a przodował w tym Janusz Kowalski, wówczas poseł PiS. Promowali brednie, że rządowa ustawa jest na rękę Kralowi, bo wykańcza krajową konkurencję na polskim rynku kryptoaktywów.

Tymczasem Komisja Nadzoru Finansowego – gdyby przepisy weszły w życie – zyskiwała prawo blokowania stron także zagranicznych

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

Ostatnio wciąż traciłam role, bo są agencje, które mówią ludziom, żeby mnie nie zatrudniali



FOT. REUTERS/YVES HERMAN

SUSAN SARANDON
o hollywoodzkiej czarnej liście, na którą można trafić za wspieranie Palestyny

Więcej ▶ Wyborcza.pl/kultura

Liczba tygodnia

JUŻ

6

PROC.



FOT. SHUTTERSTOCK

brytyjskich młodych – szeroko rozumianych, od 11 do 24 lat – nie ma ani jednego przyjaciela. Niby niewiele, ale to skok aż 5-krotny od raptem 2014 roku. Powody? Zdaniem badaczy nie tak oczywiste. Owszem, TikTok i inne „socjale", ale przede wszystkim – znikające kluby młodzieżowe i świetlice oraz coraz wyższe czynsze, uniemożliwiające młodzieży budowę samodzielnego życia. W polskich badaniach samotność deklaruje około 38 proc. nastolatków i 42 proc. młodych dorosłych.

Więcej ▶ Wysokieobcasy.pl

eprasa.pl cce6ce74a6

Jeszcze nigdy prawica tak się nie skompromitowała

honor, Zondacrypto

sław Kaczyński poważnie wystraszyli się, że grają w orkiestrze gangsterów

piramid finansowych na terenie Polski, z przekierowaniem na strony KNF z informacją o zagrożeniach.

To dla Krala i jego mocodawców ze świata przestępczego stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo, bo klienci z Polski, napędzani propagandą TV Republika, karmili tego potwora bez ograniczeń. W przypadku blokady strony piramida zawaliłaby się błyskawicznie.

To dlatego Kral próbował wpłynąć na kształt prawa, forsował potrzebę weta, zgłaszał poprawki, próbując użyć do tego Związek Banków Polskich, posłów PiS i Konfederacji, sypał kasą na lewo i prawo, uruchamiając wszystkie znaczące siły po prawej stronie. I cała skrajna prawica niczym zdyscyplinowane wojsko posłusznie tłukła przekaz medialny Zondacrypto.

●

Przyjrzyjmy się ewolucji stanowiska Pałacu Prezydenckiego w sprawie kryptoaktywów.

W 2025 roku, po pierwszym wecie do ustawy rządowej, prezydent Nawrocki prezentował stanowisko Konfederacji: żadnych ograniczeń i kontroli, tylko proste wprowadzenie unijnego rozporządzenia MiCA. Zbigniew Bogucki machał czeską ustawą, pokazując, jak to można w prosty sposób uregulować polski rynek. Szef Kancelarii Prezydenta powtarzał słowo w słowo argumenty Krala, który używał też telewizji Republika, a potem Artura Chodzińskiego, byłego agenta CBA z kręgu PiS, do promocji swoich interesów. To Chodziński chadzał do Pałacu Prezydenckiego.

Jednak na przełomie 2025 i 2026 roku i ludzie prezydenta, i Jarosław Kaczyński poważnie wystraszyli się, że grają w orkiestrze gangsterów i zapłacą za to wysoką cenę polityczną, więc zaczęli się wycofywać rakiem z wcześniejszych deklaracji.

Kaczyński wypchnął z partii Kowalskiego, który przecież w imieniu PiS zgłaszał zgodne z interesami Krala poprawki. Bo wtedy, na wstępnym etapie, „Naczelnikowi", wydawało się, że by zatrzymać wyborców, zwłaszcza młodszych i aspirujących, musi ścigać się z Konfederacją, kto jest większym obrońcą tych spekulacyjnych, niejasnych i nieregulowanych instrumentów. Ale gdy zorientował się, ku czemu to zmierza, nagle ogłosił, że jest za całkowitym zakazem handlu kryptowalutami.

Pod koniec 2025 roku ludzie prezydenta nie pojawili się na konferencji Republiki towarzyszącej wizycie Karola Nawrockiego w Białym Domu. Sakiewicz zdążył ogłosić publicznie, że ówczesny szef BBN Sławomir Cenckiewicz, minister do spraw zagranicy Marcin Przydacz i europoseł Adam Bielan będą tam prelegentami obok Przemysława Krala. Ale Pałac Prezydencki przypomniał sobie, że wyprawę najważniejszej prawicowej telewizji do Waszyngtonu sponsoruje Zondacrypto.

Cenckiewicz na platformie X napisał, że prawica myślała, iż Kral to książę, który będzie finansował wszystko, od klubów sportowych po media i że jego pieniądze przysłużą się pokonaniu systemu postkomunistycznego

Natomiast chciwi na pieniądze Krala politycy Konfederacji oraz właściciele Republiki nadal tkwili w kręgu zależności Krala. A potem dołączył do nich Ziobro.

Ale nawet gdy PiS i ludzie Nawrockiego zorientowali się, co się dzieje, nie chcieli przyznać się do błędu. Bo uważali, że propagandowo będzie to wyglądać fatalnie: wyjdzie na to, że Tusk miał rację i będą musieli poprzeć jego rozwiązania. Więc wetowali i podtrzymywali weto dalej, a Republika w tym czasie napędzała klientów piramidzie finansowej.

Jednocześnie Konfederaci pomstowali, że Tusk niesłusznie oskarża branżę kryptoaktywów o pranie brudnych pieniędzy – lecz dziś nie pamiętają, co mówili kilka miesięcy temu i skarżą się, że Tusk ich nie ostrzegał.

Pałac Prezydencki, wystraszony sytuacją, w którą się władował, zmienił front po pierwszym wecie i zamiast czeskiej wersji zgłosił projekt ustawy, która już nie była prostą realizacją rozporządzenia MiCA, lecz w dużej mierze pokrywała się z rozwiązaniami rządowymi.

Czym naraził się na krytykę Konfederacji – ta partia wciąż tkwiła mentalnie i finansowo we wpływach Krala, a jej frontman i współlider Sławomir Mentzen nagrywał na YouTube filmiki nawołujące jego zwolenników, by nie słuchali propagandysty Tuska w sprawie kryptoaktywów.

●

Cios rdzawym nożem w plecy prawicy zadał Cenckiewicz, skądinąd przyjaciel gwiazdy Republiki Michała Rachonia. Na platformie X napisał, że prawica myślała, iż Kral to książę, który ich zbawi i będzie finansował wszystko, od klubów sportowych po media i że jego pieniądze przysłużą się pokonaniu systemu postkomunistycznego (tak, część z nich wciąż serio jest mentalnie na tym etapie).

„Otóż drodzy naiwniacy – nie ma takich książąt, nawet jeśli są z Monako [tam uciekł Kral]! Mówiłem Wam to od zawsze, przestrzegałem i »straszyłem« Zondą, która Was – a przez Was – i prawicę, ciągnąć będzie w dół a Tusk to wykorzysta. Tak się dzieje! Z tego g... rzekomo »normalnych« relacji, podróży, lobbingu i pisania prawa w porozumieniu, niech powstanie nowa – inna – prawica! Która przyjmie rzeczywistość polityczną realnie – bez iluzji drogi na skróty, bez nie pytania o przeszłość, z wyobraźnią...! Niech to będzie lekcja – ozdrowieńcza!".

Przekaz jest jasny: Cenckiewicz ostrzegał Sakiewicza i Rachonia, a oni nie chcieli słuchać.

Jednocześnie i w mediach PiS-owskich, i w tych sympatyzujących z PiS i Konfederacją widać niesamowitą tolerancję na fakt przyjmowania pieniędzy od gangsterów przez polityków prawicy. Są przynajmniej konsekwentne – przecież wcześniej przez lata przymykały oko na wyprowadzanie publicznych miliardów do prywatnej i partyjnej kieszeni. Owa postawa prawicowych redakcji, dziennikarzy i publicystów przyczyniła się do moralnej degradacji tego środowiska: działacze i politycy czuli się bezkarni, licząc na wieczne poparcie swojej bańki medialnej.

Zresztą w kontakty między Kralem a politykami są zamieszani sami pracownicy medialni, którzy zamienili się w lobbystów.

Motywem przewodnim wywodów tych mediów jest to, że obrońcą Krala jest Roman Giertych, jednocześnie jest adwokat i polityk obozu władzy, dzięki czemu prowadzi swoją krucjatę polityczną z pomocą prokuratury.

Giertych – niegdyś narodowo-katolicki koalicjant pierwszego rządu PiS, który po słynnym „pożarciu przystawek" został wrogiem Kaczyńskiego i przez lata rządów Zjednoczonej Prawicy psuł jej krew, wyciągając poważne afery – jest czarnym ludem, którym prawicowcy straszą swoje dzieci.

Jest też krytykowany przez media niezależne za rozmaite rzeczy, jak choćby udział w operacji przekazywania wierzytelności ze spółki jednego z Ryszarda Krauzego, do giełdowego Polnordu, co – jak podejrzewała prokuratura – było dla tej spółki niekorzystne.

Ale to nieważne. Istota sprawy polega na tym, że wymiar sprawiedliwości wreszcie ma człowieka ze świata gangsterów, który opowiada o patologiach. Jak świat światem, śledczy bez takich chętnych do współpracy przestępców daleko by nie zajechali. A Giertych wykonuje zawód adwokata podobnie jak wielu posłów, w tym także posłów PiS. Jeśli się komuś to nie podoba, niech uchwali prawo, które tego zakazuje.

●

Dzisiaj obie strony politycznego sporu przerzucają się odpowiedzialnością za umarzanie śledztw w sprawie BiTBay i Zondacrypto mimo zawiadomień KNF. Większość tych śledztw umarzano za czasów Ziobry, a jeden wątek za Adama Bodnara, co było konsekwencją poprzednich umorzeń.

Ten ping-pong nie ma jednak znaczenia, ponieważ umorzenia nie miały fundamentalnego wpływu na sprawę Zondy. Co miało?

Niezwykle łagodne potraktowanie Mariana W. ps. Maniek przez prokuraturę. Dziś prokuratorzy uważają, że to on stał za upadłą giełdą kryptowalut, a Kral był pionkiem. „Maniek" za Ziobry żył jak paczek w maśle, mimo zarzutów w aferze paliwowej dostał list żelazny. A potem, choć jest podejrzany o uprowadzenie Sylwestra Suszka, nikt nie wystąpił o areszt dla niego.

Zaskakująco ślamazarne śledztwo w sprawie zaginięcia Suszka, a wcześniej w sprawie mafii paliwowej.

Wycofanie się organów ścigania – na sygnał z Prokuratury Krajowej – z prowokacji, która miała złapać na gorącym uczynku nie tylko pośrednika, ale też zleceniodawcę skorumpowania dziennikarza TVN.

Współpraca Krala z prokuraturą pozwoli na wyjaśnienie wielu z tych kwestii i może dać szansę na rozliczenie przestępstw oraz ujawnienie związków polityków i gangsterów. ●





FOT. FRANCISCO CASTRO ESCOBAR/AUDUBON PHOTOGRAPHY AWARDS

Chile, Kolumbia, USA
Escobar znów uzależnia

Puchacz magellański, tak rzadko spotykany, że nazywany „duchem pustyni", uchwycony w chilijskim rezerwacie Paposo przyniósł Francisco Castro Escobarowi główną nagrodę konkursu fotograficznego organizowanego przez National Audubon Society. Właściwie wszystko o jednej z najstarszych organizacji ekologicznych na świecie mówi imię, jakie nosi – XIX-wiecznego amerykańskiego pioniera ochrony przyrody i ornitologa, współtwórcy tej gałęzi nauki, autora monumentalnego, do dziś zachwycającego atlasu ptaków. Zdobywcy nagrody głównej otrzymali 5000 dolarów i udział w eksploratorsko-badawczym rejsie na Antarktydę.

eprasa.pl cce6ce74a6

TEMAT WAŻNY



Cepr z wozu, koniom niekoniecznie lżej

Dominika Soszyńska

„Mam nadzieję, że się Nawrocki za was weźmie”. Konie do Morskiego Oka jeżdżą coraz rzadziej i coraz krócej, a spór góralі z aktywistami narasta

Od koniec sierpnia droga do Morskiego Oka stała się najgorętszym miejscem sporu o prawa zwierząt w Polsce. Aktywiści Dolnośląskiego Inspektoratu Ochrony Zwierząt (DIOZ) blokowali szlak, domagając się całkowitego zakończenia przewozów tradycyjnymi fasiągami. Naprzeciw stanęli mieszkańcy Podhala, dla których konny przewóz turystów to element tradycji i źródło utrzymania miejscowych rodzin.

Protest odbył się już po tym, jak innym organizacjom prozwierzęcym udało się wypracować kompromis. Wspólnie z podhalańskimi fiakrami ustalono, że konie będą ciągnąć mniejsze i lżejsze wozy. Od 2024 roku fasiągi wyjeżdżają na trasę do góry tylko dwa razy dziennie, z długą przerwą na odpoczynek. W górę jedzie 10 osób, w dół 13. Od ubiegłego sezonu na trasie funkcjonuje również monitoring obciążenia termicznego koni. W przypadku osiągnięcia wartości granicznych przewozy są wstrzymywane. A we wrześniu zaprzęgi zaczęły kursować krótszą trasą, tylko do Wodogrzmotów Mickiewicza, pierwszym, najbardziej płaskim odcinkiem szlaku, niecałe trzy kilometry zamiast dotychczasowych siedmiu.

Wszystkie te zmiany są efektem wieloletniej pracy organizacji pozarządowych, które konsekwentnie walczyły o poprawę warunków, w jakich pracują tatrzańskie konie.

Dla DIOZ-u są one jednak niewystarczające. Aktywiści – od lat znani z radykalnych działań, na przykład samodzielnego odbierania zwierząt w przypadkach podejrzenia znęcania się nad nimi – deklarują, że protestu nie odpuszczą, dopóki całkowicie nie wyeliminują fasiągów.

Wygląda na to, że z góralami idą już na noże. Czy raczej na ciupagi.

●

W narracji DIOZ-u nad Morskim Okiem odbywa się prawdziwa „gehenna koni”, które co rusz „padają” na trasie. Górale to „bandyci przebrani za tatrzańskich fiakrów”. Aktywiści ujmują swój protest w kategoriach walki z „patologicznym mafijno-korupcyjnym układem tatrzańskim”. Zachęcają też do bojkotu turystyki w regionie, promując hasło „Nie jedź na Podhale”. Na manifestacjach krzyczą „Tatry nie są górali” i oskarżają fiakrów o znęcanie się nad końmi czy zmuszanie do pracy ponad ich siły. Podkreślają też, że w turystyce fasiągowej liczą się tylko i wyłącznie pieniądze, a nie zwierzęta. Niektóre hasła wyśpiewywane są na słynną melodię „Góralu, czy ci nie żal?”.

Równie bezkompromisowo wyrażają swoje opinie na platformach społecznościowych.

„Spasiąg z wozu, koniom lżej. Taka już natura spasiąga, że walczy tylko o tę tradycję, w której się nie narobi, a zarobi dudków. Krupówki MADE IN CHINA i podrabiane serki górskie tradycjonalistom nie przeszkadzają”.

„Wy myślicie, że uda się wam zatrzymać DIOZ? To się głupie ch*** zdziwicie jeszcze. Nie z nami te numery gurole”.

„Turystyka spasiągowa z rozlaną dupą, męczącą konie. Większość elyty fasiągowej to zwykłe chamstwo i »guczi« z bazaru w Turcji. Elyta musi się pokazać, że mają kesz na odrobinę luksusu”.

Tak ostry sposób prowadzenia protestu nie przypadł do gustu władzom powiatu. Starosta tatrzański Andrzej Skupień złożył nawet zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Chodzi między innymi o znieważanie funkcjonariuszy publicznych, wywieranie presji na organy administracji czy mowę nienawiści.

Skupień twierdzi, że krytyka działalności władz samorządowych nie może prowadzić do publicznego oskarżania konkretnych osób bez przedstawienia dowodów. Krytykuje też język, jakim część protestujących i osób komentujących wydarzenia posługuje się wobec mieszkańców Podhala. Uważa, że wypowiedzi mają charakter mowy nienawiści.

1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6

– To nie jest protest przeciwko góralom. To protest przeciwko wykorzystywaniu koni do komercyjnego transportu turystycznego. Żyjemy w XXI wieku i dziś naprawdę możemy z tego rozwiązania zrezygnować – podkreśla Anna Prokop, członkini DIOZ-u. – Jednocześnie nie odżegnujemy się od słów, które rzeczywiście padły w chwilach dużych emocji. Nie zamierzam bronić każdego zdania wypowiedzianego przez przedstawicieli DIOZ. Nie twierdzę też, że radykalny język jest zawsze najlepszą formą komunikacji. Warto jednak podkreślić, że nie równa się on przemocy wobec protestujących czy niszczenia mienia. Można krytykować słowa DIOZ-u, natomiast nie można tworzyć fałszywej symetrii: jedni ostro mówili, drudzy odpowiadali agresją, więc obie strony zrobiły właściwie to samo.

Prokop odnosi się do pożaru ich samochodu, który spłonął w nocy z 22 na 23 sierpnia w Tatrach. Już tej samej nocy działacze uruchomili zbiórkę pieniędzy wprost wskazującym winnych hasłem „Odwet górali na DIOZ".

Wśród przeciwników DIOZ-u szybko pojawiła się inna teoria – że to aktywiści podpalili własnego busa, żeby wywołać większą sensację, współczucie i zebrać więcej pieniędzy ze zbiórek. Oliwy do ognia dolewał fakt, że zbiórkę na spalone auto ustawiono na kwotę miliona złotych, podczas gdy sami aktywiści wycenili szkody na około 500 tysięcy. Samochód jest zresztą w leasingu.

Teorię spiskową o samopodpaleniu szybko jednak obalono. Dzięki nagraniom z monitoringu policja ustaliła osoby podejrzewane o dokonanie podpalenia, a zatrzymani przyznali się do winy. Prokuratura nie ujawnia, czy są oni mieszkańcami regionu.

Niektórzy górale rzeczywiście reagowali na aktywistów wyzwiskami. Na udostępnionym przez DIOZ filmiku z protestu słyszymy „Mam nadzieję, że się Nawrocki za was weźmie", a nawet groźbę ataku widłami. Organizacja twierdzi, że dowodów agresji słownej jest znacznie więcej, jednak nie może nam ich pokazać, gdyż „zostały zabezpieczone jako materiał dowodowy i będą przekazane właściwym organom".

Aktywiści mają też pretensje do podhalańskiej policji, która podczas protestu 22 sierpnia siłą usuwała ich z jezdni. Lider organizacji Konrad Kuźmiński został nawet na krótko zatrzymany. Potem funkcjonariusze rozpoczęli postępowania. Jak informuje Roman Wieczorek, rzecznik zakopiańskiej policji, obecnie trwa 71 spraw dotyczących łącznie 118 wykroczeń. Wśród zarzucanych uczestnikom zachowań znalazły się: utrudnianie ruchu, niestosowanie się do poleceń funkcjonariuszy, niepodporządkowanie się poleceniom organizatora protestu oraz wprowadzanie policjantów w błąd.

Tuż po manifestacji DIOZ opublikował oświadczenie: „Zakopiańska policja knebluje każdy legalny protest organizowany w sprawie gehenny koni na trasie do Morskiego Oka! Ich metody nie różnią się niczym od brutalności Milicji Obywatelskiej za czasów PRL! Protestujący skierują przeciwko brutalnej bandyterce pozwy zbiorowe opiewające łącznie na kilka milionów zł zadośćuczynienia!". – To był legalny protest, zgłoszony miesiąc wcześniej. Natomiast kontrmanifestacja po drugiej stronie nie była zgłoszona. Policja usuwała uczestników naszego legalnego protestu z jezdni, podczas gdy niezgłoszone kontrzgromadzenie pozostawało na miejscu – twierdzi Anna Prokop.

I tak spór o dobrostan koni i o fasiągi, czyli o granice tradycji, przerodził się w sieci znacznie szerszy konflikt. Odwołujący się do brzydkich stereotypów, nieco klasowy, wręcz kulturowy. Wróćmy więc do tego, co leży u podstaw samego protestu.

Według aktywistów konie pracujące na trasie do Morskiego Oka wciąż są eksploatowane ponad swoje siły. W efekcie mają być szybko wycofywane z pracy, a wiele z nich trafia później do rzeźni. Działacze powołują się na raport Fundacji Viva! „Cierpienie, którego nie widać". Wynika z niego, że spośród 673 koni wycofanych z trasy w latach 2012–22 w momencie sporządzania raportu – czyli w 2023 roku – 64 procent już nie żyło. 433 zwierzęta trafiły do rzeźni. Z dokumentu dowiadujemy się również, że konie wycofywane z pracy spędzały na trasie średnio 36 miesięcy. Aktywiści wiążą tak krótki okres pracy z przeciążeniem. Przy maksymalnej liczbie pasażerów – ustalonej wówczas przez Tatrzański Park Narodowy na 12 osób – oraz dodatkowym bagażu wozy mogą ważyć około tonę więcej, niż wynikałoby to z możliwości koni.

Skutki przeciążenia nie zawsze widać gołym okiem, jednak – jak wskazuje organizacja – może prowadzić do problemów ortopedycznych i szybkiego pogorszenia kondycji zwierząt. Działacze Vivy zwracają też uwagę na język, jakim fiakrzy posługują się w odniesieniu do koni – określenia takie jak „zużywanie się" sprowadzają zwierzęta wyłącznie do roli maszyn czy narzędzi pracy.

◀ **Tatry. Morskie Oko. Protest Dolnośląskiego Inspektoratu Ochrony Zwierząt (DIOZ) przeciw używaniu koni do transportu ludzi, 18 lipca 2026 r.**
FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zootechnik:
Od strony anatomiczno-fizjologicznej ciągnięcie wozu jest dla konia mniej obciążające niż jazda wierzchem. A nikt nie kwestionuje przecież zawodów jeździeckich czy rekreacyjnego jeżdżenia konno. Mówimy też o koniach pociągowych, które w wyniku trwającej setki lat selekcji wykształciły budowę ciała ułatwiającą pracę zaprzęgową.

Aktywistka DIOZ:
Często słyszymy, że koń został stworzony do ciężkiej pracy. Ale to nie jest fakt biologiczny, tylko ludzka interpretacja

Z kolei Tatrzański Park Narodowy od kilkunastu lat powołuje komisję, która sprawdza stan koni pracujących na tej trasie. Coroczne badania obejmują ocenę kliniczną, ortopedyczną i kardiologiczną zwierząt przed rozpoczęciem letniego sezonu turystycznego, a także parametry wysiłkowe. Wynika z nich, że podhalańskie konie są w bardzo dobrej kondycji. Zazwyczaj każdego roku spośród około 300 zwierząt jedynie 2–3 nie otrzymują zgody na pracę ze względu na różnego rodzaju problemy zdrowotne, na przykład kulawizny. Tak było również w tym roku. Zwrócono jednak uwagę na nadwagę u części zwierząt, co może być związane z ich nadmiernym karmieniem w okresie zimowym. W skład komisji wchodzą: lekarz weterynarii wyznaczony przez TPN – w tym roku Piotr Szpotański z lecznicy dla koni w Łasiecznikach – oraz hipolog wyznaczony przez TPN, doktor inżynier Maciej Dobrowolski z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Trzecim członkiem jest doktor nauk weterynaryjnych Marek Tischner, zaproszony do badań przez Stowarzyszenie Przewoźników do Morskiego Oka z Gminy Bukowina Tatrzańska.

Przez lata w badaniach uczestniczył również weterynarz wyznaczony przez Fundację Viva. Od dwóch lat organizacja nie zgłasza jednak swojego przedstawiciela.

Decyzję o wycofaniu się z badań tłumaczy Anna Zielińska, wiceprezeska fundacji. – Zostały zmienione warunki pracy komisji. Wcześniej musiała jednogłośnie orzec decyzję o wycofaniu konia bądź skierowaniu go na dalsze badania. W tej chwili jest to podejmowane większością głosów. W związku z tym nasz głos nigdy nie był uwzględniany. Stwierdziliśmy, że nie ma sensu dalej wspierać tej farsy – legitymizować badań, na które nie mamy żadnego wpływu. Na tej podstawie można dość łatwo odpowiedzieć sobie na pytanie, czy na pewno te badania są wiarygodne i czy faktycznie wyłapują wszystkie konie, które na tej drodze nie powinny pracować.

Dodatkowo według Vivy badania powinny odbywać się nie tylko przed sezonem, ale również po.

Wokół tych badań już wcześniej pojawiały się różne kontrowersje, na przykład sprawa sprzed dekady. Lekarka weterynarii uczestnicząca w nich z ramienia Vivy publicznie poinformowała wówczas, że konie wożące turystów do Morskiego Oka nie są w tak złym stanie, jak przedstawiają to organizacje broniące praw zwierząt. Jej zdaniem działacze nadinterpretowali wyniki badań. Po tej wypowiedzi – jak twierdziła lekarka – władze organizacji zakazały jej rozmów z mediami.

Jednym z najmocniejszych argumentów przeciwników fasiągów są informacje dotyczące koni, które straciły życie na drodze do Morskiego Oka. Z kolei Dane TPN wskazują, że na tej trasie nie odnotowano przypadków śmierci konia z powodu przeciążenia. W ciągu kilkunastu lat rzeczywiście padły trzy zwierzęta, ale nie wskutek wysiłku, tylko nagłego zachorowania – pęknięcia aorty i kolki – oraz wypadku związanego ze spłoszeniem konia przez nisko przelatujący śmigłowiec ratowniczy.

Według doktora Marka Tischnera afera wokół transportu konnego na Podhalu jest sztucznie napędzana przez aktywistów. Zdaniem specjalisty chorób koni – który w ostatnim badaniu reprezentował stowarzyszenie fiakrów, ale nie jest z nim na stałe związany, działa jako niezależny ekspert, wcześniej sporządzał raporty choćby dla TPN – ta narracja bazuje przede wszystkim na grze na emocjach, ludzkiej dobroci, zmianie nastawienia do zwierząt, ale też braku wiedzy. Uważa, że dużą rolę odgrywa również coraz szersze zjawisko antropomorfizowania zwierząt, czyli nadawania im cech ludzkich. – Samo określenie „konie padają" jest celowo nadużywane ze względu na dwuznaczność. To sformułowanie kojarzy się ludziom ze śmiercią konia. Tymczasem jeśli koń z jakiegokolwiek powodu się potknie, aktywiści nazywają to „padnięciem".

Dr Tischner zwraca uwagę, że mówimy o koniach pociągowych, które zostały wyhodowane właśnie do pracy z człowiekiem. – To nie jest żadne zagrożenie dla tego konia, że on przez dwie godziny w ciągu dnia popracuje. Wręcz przeciwnie, jeżeli chcemy, żeby te konie czuły się dobrze, muszą mieć zajęcie. Inaczej nabierają narowów – brak bodźców powoduje, że koń psychicznie źle się czuje.

Podobnie argumentują inni obrońcy podhalańskiej tradycji, którzy podnoszą, że lekka praca jest dla tego gatunku wręcz wskazana – tak jak umiarkowany trening wysiłkowy dla prowadzącego siedzący tryb życia człowieka.

W ocenie podhalańskiego weterynarza obecna sytuacja – ograniczona masa fasiągów oraz konie pozostające pod stałą opieką weterynaryjną i ścisłym nadzorem TPN-u oraz kontrolą społeczną, czyli pod czujnym okiem turystów – jest zupełnie wystarczająca. Lekarz weterynarii podkreśla też, że fiakrzy muszą dostosowywać się do bardzo ścisłych regulaminów. – Za wzięcie do pracy konia, który wykazuje jakiekolwiek objawy chorobowe, tracą licencję na trzy miesiące, a nawet może być im całkowicie odebrana. Oczywiście możemy mówić, że „jest XXI wiek, że kto to widział, żeby końmi pracować". Tylko jeśli nie będziemy nimi pracować, one staną się niepotrzebne.

Jego zdaniem aktywiści DIOZ-u noszą na sztandarach hasła o ochronie zwierząt, ale brakuje im empatii wobec ludzi, którzy w parku narodowym pracują. – Jest narracja, jakby celowo sprzedawali te konie na rzeź. Po pierwsze, jeżeli prowadzę hodowlę psów, to mogę spróbować kontrolować kupującego, ale nie mam pełnej kontroli nad tym, co on dalej robi z zakupionymi zwierzętami. Po drugie, nie bierze się pod uwagę tego, że fiakrzy próbują sprzedawać te konie, jak najlepiej potrafią. Część z nich trafia do pracy na krakowskim Rynku. Konie pociągowe nie nadają się do tego, żeby później na nich jeździć czy po prostu dla przyjemności trzymać je w stajni.

W momencie podobnych dyskusji medialnych obrońcy fiakrów podnoszą hipokryzję – nie tyle aktywistów, co przejętych cierpieniem zwierząt turystów i łatwo wzmagających się internetowych komentatorów: perspektywa wysłania konia do rzeźni budzi w nas silne emocje, tymczasem zabijanie zwierząt na potrzeby produkcji mięsa jest społecznie akceptowane, a reportaże o horrorze dziejącym się w giga-kurnikach czy fermach świń nie budzą większego społecznego odzewu niż zdawkowe „to okropne".

O dobrostanie tatrzańskich koni rozmawiam również z profesorem Wojciechem Kruszyńskim, zootechnikiem z Wydziału Biologii i Hodowli Zwierząt Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, który przygląda się temu konfliktowi jako bezstronny obserwator.

– Jeżeli konie są odpowiednio kontrolowane – a kwestia ich dobrostanu, wielkości obciążenia czy liczby wykonywanych kursów jest dziś na tyle nagłośniona, że przykłada się do tego bardzo dużą uwagę – nie widzę tutaj problemu – mówi. – Od strony anatomiczno-fizjologicznej ciągnięcie wozu jest dla konia mniej obciążające niż jazda wierzchem na nim. A nikt nie kwestionuje przecież zawodów jeździeckich czy rekreacyjnego jeżdżenia konno, mimo że z punktu widzenia obciążenia konia jest to bardziej szkodliwe. Mówimy też o koniach pociągowych, które w wyniku trwającej setki lat selekcji wykształciły budowę ciała ułatwiającą pracę zaprzęgową, czyli właśnie ciągnięcie.

Naukowiec dodaje, że koń jest zwierzęciem uznawanym za bardzo inteligentne, dlatego duże znaczenie ma to, czym się zajmuje i jakie zadania wykonuje. – Jeżeli zwierzę ma zbyt mało bodźców i interakcji ze środowiskiem, mówimy o deprywacji sensorycznej. Mogą się wtedy pojawić różnego rodzaju zaburzenia wynikające z nudy i braku odpowiedniej stymulacji. Dlatego praca w zaprzęgu – jeżeli odbywa się pod odpowiednią kontrolą – nie jest czymś, co samo w sobie musi być dla konia szkodliwe. Jest po prostu jednym z rodzajów aktywności.

Górale podkreślają nieustannie, że fasiągi stały się nieodzowną częścią podhalańskiego dziedzictwa kulturo-

eprasa.pl cce6ce74a6

wego. Przypominają, że przewozy konne mają na Morskim Oku około 150-letnią tradycję. Pierwsze fasiągi pojawiły się tam w formie bryczek już w XIX wieku.

– Tak naprawdę ta „tradycja" istnieje dopiero od 1989 roku, wcześniej wcale nie jeździły tam fasiągi, tylko malutkie bryczki z paroma osobami – odpowiada na to Anna Prokop.

Rzeczywiście, konie zniknęły ze szlaku w Polsce Ludowej, wraz z budową asfaltowej drogi w latach 50. i 60., kiedy niemal pod samo schronisko dowożono autokarami całe wycieczki zakładowe czy szkolne. Wróciły dopiero w latach 80., gdy osuwiska uszkodziły szosę.

Dla przedstawicielki DIOZ-u pojęcie tradycji jest w tym wypadku wygodnym „okrągłym słowem". – Tradycja nie jest czymś, czego nie wolno poddawać ocenie. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu bicie dzieci pasem było społecznie akceptowaną metodą wychowawczą, a trzymanie psów całe życie na łańcuchu nikogo szczególnie nie dziwiło. Dziś nasze standardy są inne. Nie porównuję tych praktyk z transportem konnym – pokazuję jedynie, że argument „to tradycja" nie może kończyć dyskusji o tym, czy coś jest właściwe.

Prokop przekonuje, że samo dopuszczenie zwierzęcia do pracy nie rozstrzyga wszystkich pytań o jego dobrostan. – Często słyszymy, że koń został stworzony do ciężkiej pracy. Ale to nie jest fakt biologiczny, tylko ludzka interpretacja. Oczywiście koń ma określoną siłę i wydolność i może wykonywać wysiłek. Z tego nie wynika jednak, że został stworzony po to, by człowiek wykorzystywał tę wydolność do ciężkiej pracy. Pytanie o dopuszczalne obciążenie powinny rozstrzygać wiedza o fizjologii i dobrostanie zwierzęcia, a nie nasze przekonanie o jego przeznaczeniu.

Aktywiści zaznaczają, że wcale nie chodzi im o całkowite odebranie góralom tradycji, ale o zaadaptowanie jej do współczesnych trendów. – W większości europejskich krajów zwierzęta dostają coraz więcej praw, nie są traktowane jak rzecz, tylko jak istoty żyjące, które mają układ nerwowy i które nie zostały stworzone do ciężkiej pracy. Bo kto tak właściwie powiedział, że one muszą pracować? Czy opieramy to na jakichś dowodach naukowych, a może na Biblii czy hipotezach, które wypowiadają przedstawiciele fasiągowego interesu? – pyta Prokop.

I przypomina, że współczesne społeczeństwo zmierza w kierunku większej empatii wobec zwierząt. – Coraz rzadziej patrzymy na zwierzę wyłącznie przez pryzmat jego użyteczności dla człowieka. Literatura opisywała taki wrażliwszy sposób myślenia już dawno temu – choćby w „Łysku z pokładu Idy". A dziś mamy wiedzę i możliwości, żeby pytać nie tylko czy zwierzę jest zdolne wykonywać określoną pracę, ale czy nadal powinniśmy od niego tej pracy wymagać.

O ile w fasiągach rzeczywiście możemy odnaleźć element góralskiego folkloru, to nie ma się co łudzić – górale bronią nie tylko tradycji, ale przede wszystkim swojego biznesu.

Dziś kurs w górę kosztuje 50 zł od osoby, w dół 30. Przy pełnym obłożeniu jeden przejazd w obie strony daje 890 zł przychodu. Jedna para koni może wykonać maksymalnie dwa takie pełne kursy dziennie, co daje 1780 zł.

Zakładając, że właściciel ma własną stajnię, utrzymanie jednego konia to koszt około 1–1,5 tysiąca złotych miesięcznie. Do tego dochodzi zakup samego zwierzęcia – sprawny, dorosły koń pociągowy może kosztować około 10–20 tysięcy. Jeszcze przed wrześniem, zanim trasę skrócono, ceny przejazdów były około dwukrotnie wyższe. Dwa lata temu dziennikarze wyliczali, że roczne obroty jednego fiakra mogły sięgać nawet 150–190 tysięcy. A przez dekady, kiedy wozy kursowały na okrągło i mogły zabierać – co ukrócono w pierwszej połowie tego stulecia – nawet 30 osób, przewozy konne do Morskiego Oka naprawdę lukratywny biznes.

Dziś, mimo skrócenia trasy i obniżenia cen, wciąż trudno mówić o nieopłacalnym interesie.



• „Nie jeżdżę fasiągiem" – protest w obronie koni na trasie z Polany Włosienica do Morskiego Oka, 22 sierpnia 2026 r.

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Końska sprawa pod Morskim Okiem, czyli góralu, czego ci żal

890 zł
• zarabia właściciel fasiągu na jednym przejeździe w obie strony przy pełnym obłożeniu wozu

1-1,5 tys. zł
• kosztuje utrzymanie konia, jeśli właściciel ma własną stajnię i nie płaci za miejsce, tylko za siano, paszę, weterynarza i kowala

10-20 tys. zł
• tyle trzeba zapłacić kupując dorosłego konia pociągowego

60 woźniców
• ma licencję na przewozy końskie w Tatrzańskim Parku Narodowym (TPN) na drodze do Morskiego Oka. Chętnych na licencję jest drugie tyle

433 konie
• z 673 zwierząt wycofanych z trasy do Morskiego Oka w latach 2012–22 trafiło do rzeźni. Takie dane podaje raport Fundacji Viva!

tylko 2 razy
• dziennie może wyjechać fasiągiem do Morskiego Oka jedna para koni

10 osób
• zabiera dziś fasiąg w górę do Morskiego Oka, w dół 13. Do pierwszej dekady lat 2000 na wóz mogło wsiadać 30 osób

2-3 konie
• spośród 300 nie otrzymują zgody na pracę po corocznym badaniu prowadzonym przez TPN

•

W opinii prof. Kruszyńskiego organizacje prozwierzęce wykonały dotychczas dobrą robotę, jeśli chodzi o kontrolę społeczną nad stanem tatrzańskich koni.

– Szczerze mówiąc, jestem zdziwiony tym, co się obecnie dzieje. Być może w grę wchodzą tutaj inne interesy, niekoniecznie związane z dobrostanem zwierząt. Obserwując rozmowy w powiecie tatrzańskim, widzimy, że w tej dyskusji zwyciężają różne „izmy" – ekstremizmy, na zasadzie „moja racja jest mojsza niż twojsza". Żadna strona nie chce dojść do porozumienia.

Profesor opowiada, że w swojej praktyce zawodowej spotykał się z dużą odpornością na racjonalne argumenty i próby rzeczowej dyskusji ze strony niektórych środowisk prozwierzęcych. – Żeby chronić zwierzęta, nie wystarczy je kochać. Trzeba mieć też wiedzę: wiedzieć, jak to zwierzę funkcjonuje, czego mu w rzeczywistości potrzeba. Niestety część aktywistów funkcjonuje bardziej w świecie wyobrażeń – na przykład, że koń musi mieć domek, najlepiej ogrzewany. Zapominając przy tym, że wywodzi się ze stepów i spokojnie wytrzymuje zarówno bardzo duże upały, jak i mrozy. Takie pomysły raczej szkodzą niż pomagają.

Także kilkoro innych specjalistów – lekarzy weterynarii czy hipologów – z którymi udało mi się porozmawiać, lecz z obawy przed internetową reakcją obu stron konfliktu nie chcieli się wypowiadać do gazety pod nazwiskiem, również twierdzi, że nie ma podstaw, aby podważać ekspertyzy Tatrzańskiego Parku Narodowego. Jeżeli z fasiągów wyłączone są zwierzęta chore, nienadające się do pracy, koniom nie dzieje się żadna krzywda.

W ich opinii zwierzęta są dobrze odkarmione – i dobrze traktowane. Zwierzę źle traktowane jest płochliwe, agresywne, broni się, na przykład poprzez kopanie i gryzienie. Zaprzęg może być wypielęgnowany, chomąto przystrojone, ale zwierzęciu nie da się powiedzieć: „Teraz masz być grzeczny". Jeśli koń jest bity, nie da się tego ukryć, bo reaguje na krzywdziciela całym sobą: cofa, drobi bokiem, jest spięty, kładzie uszy, patrzy z ukosa.

Lekarz weterynarii:
Konie, które pracują przy wozach fiakierskich, to niszowe rasy. Jeżeli one znikną, zacznie znikać również polska hodowla tych ras

Ich zdaniem temat „męczonych koni" jest wykorzystywany do wywoływania sensacji i podgrzewania emocji opinii publicznej, na których można zbić spory kapitał. Przede wszystkim wizerunkowy – można zwiększyć medialną widoczność tej czy innej organizacji, za czym idą większe wpływy z internetowych zbiórek.

•

W całej sprawie wyłania się jeszcze jedno ważne pytanie – jeżeli w wyniku protestu fasiągi znikną, co stanie się z podhalańskimi końmi – oraz co pojawi się w zamian? Nie tylko dla turystów, bo ci sobie poradzą – jeśli nie pojadą elektrycznym busem, bo za drogo albo „to nie to samo", to, jak zauważają komentatorzy, spacer asfaltową drogą nad Morskie Oko nie jest prawem człowieka – ale dla górali.

Ci w internetowych imbach przedstawiani są jako „pazerny, nastawiony na dudki Goralenvolk", ponosząc konsekwencje deweloperskich i gastronomicznych patologii w Zakopanem czy właśnie kontrowersji wokół fasiągów. Lecz trudno nie zauważyć, że praca końmi wciąż jest dla części mieszkańców gminy Bukowina Tatrzańska źródłem utrzymania całych rodzin. Obecnie licencję na przewozy ma 60 woźniców. Chętnych do pracy jest niemal drugie tyle, jednak ich liczbę limituje TPN. By zapewnić wszystkim możliwość zarobku, fiakrzy jeżdżą naprzemiennie – co drugi dzień.

Górale uważają fiakrowanie również za formę rekompensaty za przymusowe wywłaszczenia z czasów PRL. Ich rodziny posiadały wówczas połacie hal, które zostały im odebrane. Część tych rodów zaczęła później utrzymywać się z pracy z końmi.

19 sierpnia w Starostwie Powiatowym w Zakopanem odbyło się spotkanie przedstawicieli powiatu, Tatrzańskiego Parku Narodowego i DIOZ. Konrad Kuźmiński zapowiedział wówczas: „Nasza organizacja otwiera działalność przewozową, z której dochód skieruje na ochronę środowiska i ochronę zwierząt w Tatrach". Na spotkaniu obecny był także Rafał Szlachta, prezes Polskiej Organizacji Rozwoju Sportu i Turystyki – prywatnego stowarzyszenia, którego oficjalnie brzmiąca nazwa może sugerować związek z administracją państwową – który jako reprezentant firmy Innovation AG przedstawił projekt elektrycznego pojazdu stylizowanego na tradycyjny wóz góralski, tak zwanego e-fasiągu. Jak się okazało, producent nie chce sprzedawać pojazdów, lecz je dzierżawić chętnym podmiotom i liczy na procent od ich przychodów.

Fakt, że DIOZ deklaruje samodzielne wejście w działalność przewozową, a jednocześnie obok pojawia się producent gotowego pojazdu elektrycznego, który chce czerpać procent z przychodów z tych przewozów, stał się podstawą zarzutów o interes ekonomiczny stojący za całą sprawą. Bowiem według przeciwników DIOZ-u wcale nie chodzi tu o dobro tatrzańskich koni, a właśnie o e-fasiągowy biznes. Niewykluczone, że całkiem dochodowy, bo przyciągający tych turystów, którym zależy na kontakcie z przyrodą. Dostępny dziś przejazd elektrycznym busem TPN-u przypomina bardziej podróż zwykłym miejskim autobusem – za szybą, w zamkniętej kabinie – niż doświadczenie górskiej wyprawy.

– Nie przedstawiono mi żadnego dokumentu ani wiarygodnego dowodu wskazującego, że DIOZ miałby osiągać korzyść finansową z transportu elektrycznego. Jeżeli ktoś formułuje tak poważny zarzut, powinien przedstawić dowody. Taka insynuacja odsuwa na dalszy plan sedno sprawy, czyli dobrostan koni. Nie oczekuję, że ktokolwiek uwierzy DIOZ na słowo. Chciałabym, żeby argumenty DIOZ, fiakrów, TPN i władz lokalnych były sprawdzane według dokładnie tego samego standardu – komentuje Anna Prokop. Nie zaprzecza jednak, że organizacja w przyszłości będzie zarabiała na e-fasiągach.

Przeciwko nowoczesnemu transportowi argumentuje dr Tischner. – Jakiś czas temu spalił się jeden z tych e-fasiągów, wraz z całym garażem. Wyobraźmy sobie, że taki pojazd, ważący kilka ton, psuje się na drodze do Morskiego Oka, między drzewami, i zaczyna się palić. Jesteśmy w centrum parku narodowego, gdzie

eprasa.pl cce6ce74a6

w praktyce straż dojeżdża, dopiero gdy pożar już trwa. Jak wtedy ratować przyrodę, którą te e-fasiągi miały teoretycznie chronić? To wcale nie jest ekologiczny pomysł także dlatego, że do produkcji baterii trzeba wydobywać minerały ziem rzadkich, a później je utylizować.

Lekarz weterynarii zwraca również uwagę na inne, mniej oczywiste konsekwencje likwidacji zaprzęgów: – Konie pociągowe, które pracują przy tych wozach fiakierskich, to niszowe rasy. Pod Morskim Okiem jest około 300 takich koni. Jeżeli one znikną, zacznie znikać również polska hodowla tych ras. – Jeden taki koń generuje wiele miejsc pracy, bo ich hodowla łączy się między innymi z rolnictwem – dodaje, ale zaznacza, że nie chodzi wyłącznie o argument ekonomiczny. Zachowanie rodzimych i rzadkich ras zwierząt gospodarskich jest elementem ochrony bioróżnorodności genetycznej i rolniczego dziedzictwa.

Aktywiści DIOZ-u mają i na to odpowiedź. Postulują, aby konie wykorzystywane obecnie do przewozu turystów zostały odkupione przez TPN, a następnie dożywotnio utrzymywane przez park i wykorzystywane między innymi do wypasu na góskich halach. Ich zdaniem park ma wystarczające możliwości finansowe, organizacyjne i przestrzenne, aby zapewnić zwierzętom godną emeryturę. Aktywiści nie przedstawili jednak żadnego gotowego planu. Nie wiemy więc na jakich konkretnie terenach miałby odbywać się taki wypas ani w jaki sposób park miałby zapewnić opiekę nad końmi poza sezonem wypasowym.

Przeciwnicy tego pomysłu podkreślają, że konie są bardzo drogie w utrzymaniu – w ujęciu rocznym przy trzystu osobnikach mówimy o wielomilionowych kwotach. A dr Tischner twierdzi, że przede wszystkim nie bazuje on na rzeczywistej wiedzy na temat koni i Podhala.

– Koń potrzebuje przestrzeni. Jeżeli nie pracuje, potrzebuje tej przestrzeni bardzo dużo. Konie na stepach wędrowały w poszukiwaniu jedzenia czy uciekały przed drapieżnikami, robiły więc po 20–30 kilometrów dziennie. Jeżeli my teraz postawimy te konie w stajni, będzie to jeden z najgorszych pomysłów, jakie możemy sobie tylko wymyślić, bo koń jest zwierzęciem ruchu. Cieplarniane warunki – stajnia i mały kawałek ziemi – które proponują organizacje prozwierzęce, to dla tych koni właściwie więzienie. Po drugie, na Podhalu dostęp do dobrej jakości pastwisk, a więc dużych terenów zielonych, jest mocno ograniczony. Musielibyśmy więc te konie wywieźć, tylko gdzie?

Z kolei prof. Kruszyński uważa, że owszem, taka idea końskiej emerytury mogłaby funkcjonować, ale w przypadku koni, które już pracują w fasiągach. – Jest to na pewno kwestia skali: ile tych koni jest w stanie park – nazwijmy to – wchłonąć bez zbytniego obciążenia. Bo te łąki, pastwiska mają swoją wydolność. Mówimy tu raczej o etyczno-filozoficznej stronie spojrzenia na zwierzę, tak jak z Łyskiem z pokładu Idy: dobra, pracowałeś, ciągnąłeś te wagoniki, to na emeryturze wywieziemy cię na górę i tam sobie dożyj. Myślę, że takie podejście do zwierząt czyni nas bardziej ludzkimi.

●

Osobną kwestią jest sama forma protestu i całej awantury. Dr Karolina Królikowska, przyrodniczka badająca konflikty społeczne w polskich parkach narodowych, podkreśla, że o ile różne formy obywatelskiego nieposłuszeństwa były obecne w ruchach aktywistycznych dotyczących ochrony przyrody od dawna, o tyle w tym przypadku uderzająca jest wulgarna forma przekazu. W wydaniu internetowym w oczywisty sposób wynikająca z natury medium, gdzie łatwiej puszczają hamulce, gdy adwersarz jest abstrakcyjną postacią, nie człowiekiem z krwi i kości, a algorytmy platform premiują skrajne emocje. Lecz wulgaryzmy padały również podczas protestów w realu, gdy eskalowały namiętności. Trudno, aby taki sposób komunikacji przekonał osoby niezaangażowane w konflikt, niezorientowane czy niepewne po czyjej stronie leży racja. Zamiast tego jedynie podsyca emocje po obu stronach i pogłębia społeczną polaryzację. Widać to również w reakcjach Podhalan, którzy „bronią swoich" – X, TikTok czy Facebook pełne są dziś filmików opatrzonych hasłami w rodzaju „Murem za fiakrami".

Zdaniem dr Królikowskiej tak radykalny, wulgarny przekaz może zaszkodzić całemu ruchowi prozwierzęcemu. – Przeciętny Kowalski, oglądając tego typu treści. może sobie pomyśleć, że wszyscy aktywiści są agresywni czy „szurnięci".

Kolejnym problemem jest bezpodstawne podważanie autorytetu Tatrzańskiego Parku Narodowego i pracujących w nim osób, których zadaniem jest ochrona przyrody.
– Szanująca się organizacja nie może rzucać oszczerstw na wiatr. Twierdzić, że park narodowy coś ukrywa, że tam są jakieś układy mafijne, bez dowodów. Takie nieudokumentowane oskarżenia podważają zarówno zaufanie do TPN, jak i wiarygodność organizacji, która je formułuje. Widzimy też, że w tym histerycznym przekazie gubi się racjonalność, na przykład ktoś nagle oskarża kogoś o podpalenie. Tymczasem od dochodzenia prawdy mamy policję, a wydawania wyroków – sądy, a nie ludzi w internecie. Organizacje powinny być tego świadome.

Dla badaczki również proponowany bojkot całego regionu jest pomysłem, który dalece odbiega od idei odpowiedzialności społecznej, jaką powinien kierować się aktywizm. – Podhale na pewno się z takiego „bojkotu" wybroni, ale załóżmy, że wszystko działoby się w jakiejś małej miejscowości, na przykład w Beskidzie Niskim, gdzie nie ma tylu turystów. Taki czarny PR mógłby doprowadzić do bankructwa wielu przedsiębiorców w regionie – zaznacza.

W pewnym sensie – podsumowuje dr Królikowska – mówimy o działaniach antyobywatelskich. – Tak zwany trzeci sektor jest w demokracji bardzo potrzebny. Ma stanowić element „społeczeństwa obywatelskiego", co oznacza, że są tam ludzie, do których mamy zaufanie, że działają w duchu interesu publicznego lub w imieniu różnych grup społecznych rzetelnie patrzą na ręce instytucjom czy władzy. Ja tu tego nie widzę, raczej widzę psucie społeczeństwa obywatelskiego, gdyż przez takie zachowania ludzie tracą zaufanie do ekologów, organizacji pozarządowych i jeszcze do instytucji, które egzekwują prawo, w tym prawa zwierząt i ochrony przyrody. Przeciętna osoba, oglądając wyjęte z kontekstu filmiki, pomyśli sobie: „Co tam się w tych parkach narodowych dzieje?".

O formułę działań DIOZ-u pytam też przedstawicielkę Vivy – jednej z najbardziej znanych prozwierzęcych organizacji w Polsce, która od 14 lat walczy właśnie o dobrostan podhalańskich koni. Anna Zielińska jest przede wszystkim zaskoczona, że DIOZ nagle zainteresował się tą sprawą, bo nigdy wcześniej jako strona społeczna nie uczestniczył w żadnych badaniach czy interwencjach skupionych wokół fasiągów. – Ponieważ przez wiele lat działania na Podhalu poznaliśmy tamtejszą kulturę, nie zdecydowaliśmy się na tego typu agresywne rozwiązania. Wybraliśmy dłuższą drogę – taką, która ma przede wszystkim budować świadomość społeczną. Chociaż cel jest taki sam, czyli doprowadzenie do całkowitej likwidacji transportu koni na Morskim Oku.

Zielińska opowiada, że w 2014 roku, kiedy zorganizowali podobny protest, doszło do zamieszek i różnego rodzaju przemocy wobec aktywistów. Konie wjechały w tłum, co skończyło się obrażeniami wielu osób. – Taka sytuacja jest niebezpieczna zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt, które są wtedy zestresowane i potrafią zachowywać się w sposób nieobliczalny. A po drugie, przez lata budowaliśmy jednak poparcie opinii społecznej dla rozwiązania tego problemu i boimy się, że tak agresywne wejście w konflikt może ludzi od tego problemu odwrócić. To po prostu nie byłoby dobre dla zwierząt, a my walczymy o zwierzęta.

Kiedy w sporze pojawiają się silne emocje, a obie strony odwołują się niemal wyłącznie do własnych wartości, trudno mówić już o konflikcie merytorycznym. To konflikt wartości, który w praktyce jest raczej nierozwiązywalny. – On jest oczywiście najbardziej atrakcyjny dla obu stron, bo wzbudza największe emocje, na których można coś ugrać. Natomiast gdy wchodzimy w proces rozwiązywania takiego konfliktu, chcemy trochę spuścić z tonu. Chodzi o to, żeby obie strony przeszły od wartości do rozmowy o swoich interesach albo o danych naukowych. Tutaj z jednej strony stawiamy dobro zwierząt, z drugiej tradycję góralszczyzny –analizuje „sine ira et studio" dr Królikowska.

– Obiektywnie żadnej z tych wartości nie można zakwestionować. Natomiast jeżeli chcemy coś tym ludziom zabrać, musimy zaoferować im coś w zamian. To nie może być gra o sumie zerowej – my chronimy zwierzęta, a wy w ogóle nie jesteście ważni.

●

Trudno przewidzieć, jak zakończy się ten spór. Czy działania aktywistów doprowadzą do całkowitej likwidacji transportu konnego do Morskiego Oka, a tym samym zwycięży idea poszerzania społecznej empatii wobec zwierząt w jej najbardziej radykalnym – czy, jak kto woli, maksymalistycznym – ujęciu?

Bardzo możliwe, zwłaszcza że szefowa resortu klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska zasugerowała, że ugięła się pod naporem aktywistów DIOZ, którzy domagali się także jej dymisji. Ministra zapowiedziała ostatnio, że jej aktualnym celem jest, aby „w duchu pojednania wycofać konie z Morskiego Oka".

A może uda się jednak znaleźć kolejny kompromis, uwzględniający tradycję i interesy górali, którzy czują się dziś zdradzeni, gdyż to właśnie Paulina Hennig-Kloska przypieczętowała dotychczasowe porozumienie. Tu kłania się, jakby sprawa była nie dość skomplikowana, wymiar polityczny – takie rozgoryczenie z całą pewnością nie pomoże stronie liberalnej w regionie, który i tak od zawsze nie ufa „warszawskiej elicie", „lewakom", a Donalda Tuska ma za diabła wcielonego.

Ale możliwy jest również trzeci scenariusz: zbyt daleko idące działania aktywistów mogą spotkać się z rosnącym sprzeciwem demokratycznego społeczeństwa. Bo w badaniach opinii publicznej – między innymi CBOS-u – widać coraz wyraźnie zmęczenie Polaków społeczną polaryzacją i dominacją negatywnych emocji w debacie publicznej. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

DO 23 WRZEŚNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

na październik 2026 u swojego sprzedawcy prasy

– Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
– Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
– Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
– Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
– Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

CENA 199,99 zł***
OSZCZĘDZISZ CO NAJMNIEJ 69 ZŁ



*Jedna z dwóch książek w prezencie

*Książka do odbioru od 16 października w punkcie sprzedaży. Wydawca nie gwarantuje możliwości wyboru tytułu. **Aby otrzymać dostęp do Klubowego pakietu prenumeraty Wyborcza.pl oraz do archiwum tekstów „Wyborczej": 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.
***Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6

KRAJ

Bunt 40-latków

Za Morawieckim poszli ludzie socjalizowani w realiach darwinistycznego kapitalizmu. Dojrzewający w korporacjach, gdzie wszystko dzieje się szybko, nic nie jest na zawsze, a do celu dąży się bezwzględnie

Agnieszka Kublik



Przewodniczący KP Rozwoj Plus Mateusz Morawiecki w czasie konferencji prasowej na Placu Europejskim w Warszawie, 28 sierpnia br.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl cce6ce74a6

W kierunku PiS, Mentzena z Bosakiem i Brauna. Trzy ukłony naraz

Z **PROF. RAFAŁEM CHWEDORUKIEM**
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Być może to jest dla Morawieckiego najlepszy czas. Coś zaczął tworzyć, a jeszcze nie zaczął tracić. Wiosną miał na głowie bitkę z Jarosławem Kaczyńskim, sen z powiek spędzała mu niepewna polityczna przyszłość – a teraz ma własny klub parlamentarny, stowarzyszenie, wkrótce partię i właśnie wydał książkę: „Wielka strategia państwa polskiego".

Za chwilę, już 15 października, rusza w Polskę. Data nieprzypadkowa – to dzień wyborów z 2023 roku, które pozbawiły go premierostwa, oraz potoczna nazwa rządzącej koalicji. Ciekawe, że Morawiecki nie czeka do 13 grudnia, bo tak – nawiązując do dnia wprowadzenia w 1981 roku przez generała Jaruzelskiego stanu wojennego, który zdławił wolnościowy karnawał Solidarności – nazywa PiS koalicję pod wodzą Tuska.

No i ma niesłychaną uwagę mediów, bo pierwszy raz Jarosław Kaczyński został tak potraktowany przez swojego wice. Jeszcze nigdy nikt nie podebrał mu tylu posłów. Fronda Ziobry w 2011 roku to była amatorszczyzna, Morawiecki zagrał z niedawnym mentorem jak równy z równym. Teraz o byłym pupilu i jego 40 posłach Kaczyński powtarza z emfazą: „To jest zdrada po prostu, najnormalniejsza na świecie zdrada". I na tym kończy się jego sprawczość.

Nie dość, że po jego prawej obie Konfederacje podbierają wyborców, to Morawiecki zagraża jeszcze bardziej – bo może dotrzeć do centroprawicowców, klasycznych konserwatystów, chadeków... Jego potencjalny elektorat w tej chwili to w ponad połowie wyborcy Kaczyńskiego. Mogą pójść za Morawieckim, bo był u Kaczyńskiego premierem przez aż 6 lat, więc oferuje wszystko to, co oferował – łącząc bogoojczyźnianość z retoryką technokratyczną i modernizacyjną – PiS, tylko w młodszej, energiczniejszej i, co tu kryć, mniej żenującej formie?

Z drugiej strony, dziś Morawiecki, wypierając się błędów, które popełnił jako premier – udział w obaleniu praworządności, pozbawienie Polski pieniędzy z KPO, nieudolne zarządzanie w pandemii, zwasalizowanie mediów publicznych, upartyjnienie prokuratury, „tłuste koty", wyrok aborcyjny Trybunału Konstytucyjnego – wychodzi na hipokrytę. Zwłaszcza że w oczach wielu wyborców prawicy to nie błędy, a zasługi. A więc po co komu chwiejny ersatz, skoro można pozostać przy sprawdzonym liderze?

Kłamstwo już zrosło się politycznie z Morawieckim – skazywały go za nie sądy, a w internetowych dyskusjach ma ksywkę „Pinokio". Jego licealny nauczyciel już dawno zauważył tę cechę osobowości: „Chciałbym odbyć z premierem dwie rozmowy. Jedną na temat oświaty, a drugą na temat polityki i tych wszystkich jego kłamstw. Trochę już jest tego za dużo. Określenie »Pinokio« nie wzięło się z powietrza. Jest ono pewnym kodem kulturowym. To był notoryczny kłamca".

Inna rzecz, że trzeba mieć tupet, by zakładać partię, gdy jest się postrzeganym jako kłamczuch. Ale jaki trzeba mieć tupet, by coś budować na scenie politycznej, gdy jest się pierwszym premierem RP z karnymi zarzutami. Bo przecież za Morawieckim – co Kaczyński zaraz skrzętnie wykorzysta w duchu „pobłądziliśmy, bo mu zaufaliśmy banksterowi, omotał nas, tak jak omota was" – ciągną się afery covidowe.

Ekspremier dostał zarzuty za popełnienie przestępstwa urzędniczego, czyli organizowanie zdalnych prezydenckich wyborów kopertowych w maju 2020 roku. Nie doszło do nich, lecz państwo wydało 70 mln zł. Morawiecki je zarządził bez podstawy prawnej, po jego decyzji nie Państwowa Komisja Wyborcza, a Poczta Polska i Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych rozpoczęły przygotowania do wyłonienia głowy państwa. I nie ma znaczenia, że zrobił to na rozkaz partii.

To afera polityczna, a jeszcze jest – znacznie bardziej działająca na wyobraźnię zwykłego człowieka – afera finansowa. Prokuratura może przedstawić ekspremierowi zarzuty za brak nadzoru nad Rządową Agencją Rezerw Strategicznych, z której wyciekły grube miliony. To Morawiecki mianował szefem RARS Michała Kuczmierowskiego, który jest podejrzewany o udział w zorganizowanej grupie przestępczej i zbiegł do Anglii. Część tych, którzy chcieliby go poprzeć, nie uwierzy w akt oskarżenia. Ale spora część wyborców prawicowych mieniących się państwowcami nie zainwestuje w swojej przyszłości w kogoś takiego.

Morawiecki szalenie ryzykuje – jego poparcie jest dziś malutkie, a akty oskarżenia mu je mogą poważnie ściąć. Ale nawet wtedy będzie szkodził Kaczyńskiemu. Bo to by znaczyło, że Rozwój Plus może wylądować pod wyborczym progiem, co wzmocni zwycięzcę – czyli najpewniej KO. Czyli Tuska. Czyli Kaczyński będzie miał rację, że Morawiecki pomaga Tuskowi, co jednak nie poprawi jego sytuacji.

Ale przynajmniej będzie miał satysfakcję moralną. Bo już teraz część wyborców kalkuluje, czy głosować, jak każe serce, czyli na Rozwój Plus, czy jak każe rozum – z zaciśniętymi zębami na PiS, bo Morawiecki to zbyt duże ryzyko, że prawicy nie doda głosów, a odejmie.

Tylko że w sukurs Morawieckiemu właśnie przyszedł sam PiS. A konkretnie afera Zondacrypto, która wizerunkowo – mafiosi, związki półświatka z inwestorami celebrytami, politykami, zaginięcie biznesmena, sport olimpijski, blichtr, ostentacja i arogancja zamieszanego w aferę nominata PiS – przykrywa nawet największe urzędnicze i księgowe machlojki.

Czy Morawiecki uwzględnia to wszystko w kalkulacjach? Ambicja mu podpowiada, że nadaje się do pełnienia najwyższych urzędów w III RP. Premierem już był... Czy przeszłość schrzani mu przyszłość?

Karolowi Nawrockiemu udało się, przeszłość mu przyszłości nie zniszczyła. Nie zaszkodziły ustawki z kibolami, przyjaźnie w środowisku pełnym przestępców (narkotyki, handel ludźmi, pobicia), załatwianie gościom panienek w sopockim hotelu czy szemrana transakcja z kawalerką pana Jerzego. Ale Nawrocki miał za sobą prawicowe media, które każdy prawdziwy zarzut wobec niego cudownie przemieniały w atakowanie ofiary nieprawdziwymi faktami. A pod kościołami wierni mogli zaopatrzyć się w broszury opisujące te ataki na chrześcijanina i patriotę, który chce Polski polskiej i chrześcijańskiej. Morawiecki na taką pomoc liczyć nie może. Za to ma pieniądze na kampanię i grono ogarniętych, rzutkich współpracowników. Szanse na wybawiciela Polski wciąż są.

Wybawicielem Polski chciał być Kaczyński, to marzenie wyjawił słynnej reporterce Teresie Torańskiej jeszcze w 1994 roku, chwilę po upadku PRL. Nie udało się. Do dwóch razy sztuka?



FOT. WNPISM UW

Rafał Chwedoruk

• Ur. w 1969 r., politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się myślą polityczną, ruchami społecznymi (także kibcowskim), komercjalizacją sportu, historią socjalizmu. Autor książek **„Nasza scena polityczna"**, „**Socjaliści z Solidarności w latach 1989-1993"**, **„Ruchy i myśl polityczna syndykalizmu w Polsce"**, **„Syndykalizm rewolucyjny – antyliberalna rewolta XX w"**.

Chwilo trwaj – może powiedzieć Karol Nawrocki. Z perspektywy prezydenta obecny stan w polskiej polityce jest optymalny

A jednak ma znaleźć się w deklaracji ideowej Rozwoju Plus.
– To propagandowa próba pogodzenia ognia z wodą. Trudno sobie wyobrazić sukces takiej zbitki, ale sprytni piarowcy chcieli wykonać ukłon w stronę środowisk endeckich, które są w PiS, ale również w Konfederacji, a przede wszystkim u Grzegorza Brauna.

Ale też olbrzymia część wyborców w Polsce może nie wiedzieć, co znaczy „Czołem Wielkiej Polsce". Może im się skojarzyć z Centralnym Portem Komunikacyjnym i tego typu wielkimi inwestycjami. Lecz przecież polityka inwestycyjna sanacji w latach 30. była krytykowana przez endeków, którzy kpili z gigantomanii. Czyli to jest pomieszanie z poplątaniem.

To jaka jest tożsamość ideowa Morawieckiego i jego Rozwoju Plus? W ogóle istnieje?
– Bardzo dobre pytanie.

Po pierwsze, każdy, kto chce być konserwatywnym reformatorem Platformy Obywatelskiej albo liberalnym reformatorem PiS, bardzo szybko trafia w społeczny trójkąt bermudzki, czyli zaraz znika. Tego doświadczyły wszystkie środowiska liberalno-konserwatywne. Prawica godząca rynek z nacjonalizmem kulturowym jest logiczna na gruncie anglosaskim, protestanckim czy anglikańskim, ale niemożliwa w naszej kulturze, naszej historii. Wcześniej czy później okazywało się, że wyborca liberalny jest liberalny integralnie, za to wyborca konserwatywny jest dość wrażliwy społecznie i jeśli przypomina torysów, to tych z XIX wieku. Aleksander Hall, Bronisław Komorowski, Jan Maria Rokita, Jarosław Gowin – oni wszyscy byli liczącymi się politykami, ale próbowali liberalnego konserwatyzmu i znikali w trójkącie bermudzkim. Ci nieliczni, którzy są jeszcze w polityce, bardzo szybko musieli przejść na jedną albo na drugą stronę.

Po drugie, Morawiecki jest paradoksem. Jako polityk zrobił karierę deus ex machina. Owszem, pod koniec lat 90. miał epizod związany z Akcją Wyborczą Solidarność, ale później jego droga życiowa raczej oddalała się od polityki. Kiedy trafił do PiS, w niespodziewany sposób zastąpił arcypopularną wtedy Beatę Szydło. Było jasne, że jego zadaniem jest uczynienie PiS trochę mniej radykalnym, ograniczenie mobilizacji części liberalnej opinii publicznej i wzmocnienie rządu w przestrzeni międzynarodowej. Ale musiał żyrować agendę Zjednoczonej Prawicy, która była sprzeczna z jego misją. Firmował radykalną politykę w sprawie systemu sprawiedliwości czy aborcji. Stał się twarzą porażki PiS – i teraz miałby być liberalnym reformatorem?

Chce uchodzić za centroprawicę, a w istocie jest technokratą hołdującym bardzo konserwatywnym wartościom.
– Jakie poglądy ma Mateusz Morawiecki? Można się głęboko zastanawiać, ponieważ odkąd rozpoczął próbę usamodzielnienia się – a nawet wcześniej, po utracie władzy przez PiS – okazał się politykiem bardzo elastycznym.

To nie jest komplement.
– To jest opis. Jak nazwać jego postawę w sprawie Ukrainy? Na fali sprzeciwu wobec asertywnej polityki Kijowa wykonano wiele różnych godnościowych czy wrogich Ukraińcom gestów, a Morawiecki w tym uczestniczył, zaprzeczając własnej polityce jako premiera. W Polsce z wielu powodów nie ma miejsca na prawicę, która jest postrzegana jako umiarkowana.

Z czego to wynika?
– Może z przedwojennej tradycji endeckiej? A może winna jest antykomunistyczna opozycja lat 80., która im była słabsza społecznie, tym bardziej radykalna ideologicznie i później to rzutowało na demokratyczny system partyjny. A może stosunek do świata grup społecznych, które wymuszają na politykach prawicowych agendę zero-jedynkową.

Morawiecki chce stworzyć prawicę naznaczoną kompromisami i to czyni jego misję trochę desperacką. A poza tym niezbyt wiadomo, czym miałby się odróżniać od PiS, z wyjątkiem tego, że nie jest Jarosławem Kaczyńskim.

Czy zatem jego partia dotrwa do wyborów parlamentarnych w przyszłym roku?
– Trójkąt bermudzki nie połyka aż tak szybko. Z tego powodu, że w polskich elitach politycznych i społecznych poglądy liberalno-konserwatywne są bardzo mocno za-

eprasa.pl cce6ce74a6

korzenione. Sierot po pomyśle na PO-PiS z początku lat dwutysięcznych, gdy te formacje były młode i wywracały stolik w polityce, jest bardzo dużo. Dlatego ugrupowanie Morawieckiego czeka dogorywanie, ale powolne.

Powolne również dlatego, że spowolni je czynnik, który jest też elementem odpowiedzi na pytanie o tożsamość Rozwoju Plus. Jeśli przyjrzymy się parlamentarzystom, którzy przyłączyli się do Morawieckiego, to zwracają uwagę dwie rzeczy. Po pierwsze, czynnik generacyjny. To jest bunt 40- latków...

...Morawiecki ma 58 lat.

– ...tak, ale poszli za nim głównie 40-latkowie. To bardzo szczególna generacja nie tylko w polskiej polityce: ludzie, którzy byli socjalizowani w realiach darwinistycznego kapitalizmu, gdzie wszystko działo się szybko i trwało krótko. Dojrzewający, wychowujący się w prywatnych korporacjach, gdzie pracuje się od projektu do projektu, od wydarzenia do wydarzenia, nic nie jest na zawsze. Ambicje, aspiracje są tam ogromne, do celu dąży się bezwzględnie.

Tych ludzi zbliża i to, że większość ma bardzo małe szanse na reelekcję z list PiS. Nawet najbardziej optymistyczne sondaże dają PiS w przyszłym Sejmie dużo mniej miejsc niż w obecnym, więc mniej więcej 7 do 10 osób ze środowiska „harcerzy" może być pewne mandatu. To ci, którzy już wcześniej mieli wysokie wyniki, bo ich popularność wykroczyła poza zakres lokalny. A wszyscy inni są z drugiego, trzeciego i czwartego szeregu PiS, więc to politycy zdesperowani, którzy mogli sobie pozwolić na wywrócenie stolika, bo i tak nie mieli już nic do stracenia, wiedzieli, że przy tym stoliku nie będzie dla nich miejsca.

Motywacje olbrzymiej części zaplecza Morawieckiego są pragmatyczne również dlatego, że taka jest natura tych ludzi. Sama pani zauważyła, że to są technokraci, nie ideowcy. A PiS wciąż umie pokazać się jako partia ideowa, z przekonaniami. I może również dlatego kolejna próba stworzenia „PiS minus Kaczyński" start ma mało obiecujący.

Średnio w sondażach mają około 5 proc. Ale przecież to dopiero rozgrzewka, Morawiecki jeszcze nie założył partii, nie ruszył z kampanią w teren.

– Tak, ale przecież to ma być partia byłego premiera, człowieka, który przez 6 lat nie schodził z ekranów i zjeździł cały kraj. Samo to powinno dawać jej premię. Morawiecki był szefem rządu – i to frontmanem, a nie schowanym w cieniu premierem technicznym – przez prawie dwie kadencje, 6 lat, z rekomendacji partii, która miała 40 proc. poparcia.

5 proc. to malutko. Naprawdę malutko, zważywszy, że Rozwój Plus wspomagają środowiska sprzyjające koalicji rządzącej, w których interesie jest, żeby inicjatywa Morawieckiego wyglądała na bardzo poważną. Więc jeśli nie nastąpi gwałtowny wzrost notowań, można się spodziewać odpadania słabszych ogniw. Właśnie dlatego, że są pragmatyczne.

A kogo Morawiecki chce przyciągać do tego niby swojego centrum?

– Ma niezbyt duże możliwości. Nie może wybierać, gdzie będzie polował.

Rzeczywistość staje się trywialnie prosta. Trudno sobie wyobrazić, żeby wyborcy KO byli chętni do głosowania na ugrupowanie premiera z ramienia PiS, jego technokratyczność też ich nie przekona, bo mają swoich własnych technokratów bez brudnej karty. Wyborcy lewicy to już w ogóle. A wyborcy Polski 2050 nie istnieją, są już dawno z powrotem wyborcami KO, czasami Konfederacji. O elektoracie PSL też już dawno nikt nie słyszał, on się ujawnia jeszcze tylko na poziomie wyborów samorządowych.

Wyborcy Konfederacji Mentzena i Bosaka, czyli wolnościowcy i narodowcy, to często ludzie w młodym i średnim wieku, a więc byli socjalizowani w kontrze do rządów Morawieckiego. Właśnie dlatego trzymają z partią, która postawiła na odróżnienie się od PiS.

Wyborcy Brauna to są w olbrzymim stopniu wyborcy PiS, którzy się zbuntowali, bo dla nich Kaczyński był zbyt umiarkowany, więc trudno, żeby Morawiecki z pomysłem na PiS light był dla nich atrakcyjny.

Z całej tej wyliczanki zostaje nam już tylko jedno: wyborcy PiS. A wyborców PiS jest coraz mniej. Po pierwsze, ze względów demograficznych, bo był to elektorat o najwyższej średniej wieku ze wszystkich elektoratów głównych partii. Po drugie, znaczna część obrzeży tego elektoratu już odeszła do Konfederacji i do Brauna czy też w niebyt polityczny. Więc gra toczy się na bardzo małej części boiska.

I ciągle malejącej. PiS ma teraz około 18 procent.

– A więc szczytem tego, co może zrobić Morawiecki, to wyrwać trochę głosów PiS, które ma topniejące poparcie.

Polski system partyjny jest utrwalony, trwałą pozycję mają KO, PiS, Lewica i Konfederacje, ale jeśli ktoś chce do niego wejść, może to łatwo zrobić. Problemem jest utrzymanie się dłużej niż kilka tygodni. To może się udać tylko kosztem któregoś z wielkich graczy. W przypadku Morawieckiego na placu

Prawicowiec Morawiecki będzie musiał udowadniać, że jest bardziej PiS-em niż PiS. A wtedy nie będzie wiadomo, gdzie się podział i dokąd zmierza technokrata Morawiecki

boju zostają wyłącznie wyborcy PiS, co oznacza, że walka z Kaczyńskim będzie bardzo zacięta, jak każda wojna domowa. Prawicowiec Morawiecki będzie musiał udowadniać, że jest bardziej PiS-em niż PiS. A wtedy nie będzie wiadomo, gdzie się podział i dokąd zmierza technokrata Morawiecki.

Gdzie w tej układance widzi pan Karola Nawrockiego? Jemu bliżej do „Czołem wielkiej Polsce".

– Ideowo na pewno.

Z perspektywy prezydenta stan optymalny to „ trwaj". Trwale podzielona prawica siłą rzeczy będzie musiała orientować się na ośrodek prezydencki. Trochę tak jak po wyborach w 1993 roku, kiedy dogorywający politycznie Lech Wałęsa nagle dostał tlen, ponieważ okazało się, że prawicy w Sejmie nie ma, to znaczy jest, ale rozdrobniona. Główną bronią prawicy są teraz weta prezydenckie, więc Pałac Prezydencki będzie mógł przedstawiać się jako rozsądny, zakulisowy mediator.

Oczywiście Nawrocki będzie musiał być bardzo ostrożny, ponieważ całą karierę zawdzięcza PiS, a jednocześnie łatka prezydenta pisowskiego uniemożliwi mu reelekcję. W pierwszej turze dostał głosy wyborców PiS, ale wygraną w drugiej zawdzięcza zwolennikom Brauna i Mentzena. A więc ze strony Karola Nawrockiego można oczekiwać wielu gestów pod adresem różnych środowisk prawicowych.

Ale najważniejsze będą sondaże, a te dla Morawieckiego są mało korzystne. Więc prezydent będzie dyplomatycznie milczał, czekając na rozwój wypadków, ani nie antagonizując się z PiS, ani nie utrudniając relacji z Konfederacją.

To Morawieckiemu nie pomoże.

– Nie.

Manager Morawiecki za kobietami

Z **PROF. EWĄ MARCINIAK**
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Jaki światopogląd ma Morawiecki? Pani pierwsze skojarzenie to konserwatysta, skrajna prawica czy centrysta, jak obecnie próbuje się sprzedać?

– Moje pierwsze skojarzenie to: menadżer projektów politycznych.

Czyli bez ideowego kośćca?

– Czyli kościec ideowy jest na drugim planie, jak widać po lekturze 10 punktów programowych Rozwoju Plus, bo mają głównie charakter ekonomiczny, socjalny, pragmatyczny. Chociaż Morawiecki chce być teraz definiowany jako szerokie prawicowe centrum.

Ale i sfera światopoglądowa jest dla niego istotna. Latem pozował do zdjęcia w koszulce „Wspieram kobiety". Nie wspierał, ale liczy, że wyborcy nie pamiętają, że Trybunał Julii Przyłębskiej jesienią 2020 r. praktycznie zakazał aborcji na zamówienie PiS, kiedy był premierem. Teraz twierdzi, że zawsze był za aborcyjnym kompromisem.

– Mało tego, twierdzi, że to był błąd PiS, bo stracili na tym poparcie społeczne. Czyli Morawiecki za swoich rządów kobiet nie wspierał – ale sprytnie punkt ciężkości społecznej uwagi przenosi na polityczną racjonalność i bycie alternatywą dla obskuranckiego obyczajowo PiS.

Technokrata polityczny?

– Tak. Z usposobienia, ale również dlatego, że chce się maksymalnie odróżnić od dominującej dzisiaj w PiS narracji, której twarzą jest – choć nie wiadomo, na jak długo – Przemysław Czarnek, polityk wybitnie ideologiczny i radykalizujący.

Oraz ważny minister w gabinecie Morawieckiego.

– Jak widać, polityka rządzi się nieznanymi do końca prawami, a kontekst społeczno-polityczny jest na tyle dynamiczny, że można pokazywać siebie jako odnowiciela polityki, świeżą krew, wręcz debiutanta, nawet gdy było się szefem rządu przez sześć lat.

Wyniki wyborów w październiku 2023 roku, które pokazały PiS czerwoną kartkę, wskazują, że społeczeństwo oczekiwało zmiany. Więc Morawiecki, który chce być postrzegany jako polityk dokonujący wręcz sanacji partyjnej polityki, musi się zmierzyć z jednej strony z zarzutem niewiarygodności, z drugiej – z nadzieją części środowiska PiS na uzyskanie nowej podmiotowości politycznej.

Czyli ze zbudowaniem partii. Do czego akurat niemała liczebność nowego klubu parlamentarnego jest niezłym wstępem – tylko że do tej partii jeszcze będzie trzeba przekonać wyborców.

Kłamstwo ma krótkie nogi. Kłamstwo w polityce nie?

– Ma krótkie nogi, ale wyborcy uświadamiają to sobie post factum. Na ogół dają wiarę obietnicom, hasłom, by potem uświadomić sobie, że zostali okłamani.

Pytanie, ile trwa ten czas weryfikacji, jaka część wyborców ma krótką pamięć i jak krótką, a jaka część pamięta dobrze i długo? Wszystko zależy od tego, ile wiemy o politycznych faktach, a nie o narracjach, które te fakty pomijają lub przeinaczają. Nasze kwietniowe badania pokazało, że partia byłego premiera PiS mogłaby liczyć na elektorat PiS właśnie. Bo 60 procent poparcia Rozwój Plus uzyskiwało pośród wyborców PiS. Czyli te 60 procent akceptuje jego rządową przeszłość.

Albo to, że postawił się Kaczyńskiemu. Ale teraz średnie poparcie Rozwoju Plus waha się między 3 a 7 procent.

– Morawiecki, polityk frakcyjny, staje się oddzielnym podmiotem. To już jest sukces, bo może samodzielnie podejmować decyzje i walczyć o potencjał koalicyjny.

Gdyż przyszłe wybory to będzie nie tyle walka o zwycięstwo, ile właśnie o pozycję dającą status kogoś, kto się przyda, języczka u tej czy innej koalicyjnej wagi.

Więc Kaczyński będzie musiał dogadać się i z Morawieckim, o którym mówi „zdrajca", i z Braunem, o którym mówił, że nigdy nie będzie z kimś takim współpracował.

– Przypominam, że Jarosław Kaczyński tak samo zażarcie odżegnywał się od współpracy z Andrzejem Lepperem i jego rebeliancką Samoobroną, a Lepper został jego koalicjantem. Język jest giętki i można swoim wyborcom poopowiadać wszystko.

Kłamstwo i kłamanie to immanentne cechy uprawiania polityki. Czy raczej udawanie – bo to nie tyle kłamanie, tylko kreowanie się na kogoś, kim się nie jest, a kim chciałoby się być w oczach wyborców. Niektórym politykom to się udaje, bo potrafią nadać owej wyobrażonej figurze cechy autentyczności, ale później to się na nich mści.

A zatem Morawiecki to nieszczery technokrata, który udaje konserwatystę?

– Chyba nie udaje konserwatysty, choć pewnie poglądy ma bardziej prawicowe niż jest skłonny przyznać, natomiast na pewno jest technokratą, który dzięki temu do swojej tożsamości politycznej może dodawać cechy kojarzone z polityczną racjonalnością. I mówić o „szerokim prawicowym centrum", w czym niemało osób dostrzeże fascynującą opowieść o nowej szansie dla polskiej prawicy.

Przypomnę, że wśród tych, którzy popierają teraz Morawieckiego, aż 60 procent to wyborcy PiS. Może jeszcze liczyć na wyborców Konfederacji WiN – 27 procent, niezdecydowanych – 9 procent, a Konfederacji Brauna – zaledwie 2 procent. To są pierwsze reakcje na powstanie stowarzyszenia Morawieckiego, a te są zwykle autentyczne, odzwierciedlają to, co ludzie myślą naprawdę.

Jak afera Zondakrypto może przemeblować prawą stronę? Bo jeśli PiS zacznie tracić, to czy Morawiecki może na tym zyskać?

– Taki scenariusz jest prawdopodobny. Niemal każdy dzień przynosi nowe informacje. Ostatnio na ustach opinii publicznej jest ponownie Zbigniew Ziobro, co w kontekście konfliktu polityków Suwerennej Polski, bardzo kojarzonej z najtwardszym PiS, ze zwolennikami Morawieckiego. Który może teraz zyskiwać.

To może Morawiecki mógłby zastąpić Kaczyńskiego?

– Nie sądzę. Powrotu do PiS nie będzie. Odejście ekspremiera nie oznacza końca problemów tej formacji, więc lepiej budować coś nowego według własnego scenariusza niż wracać na stare śmieci i grać, jak partyjni koledzy pozwolą.

Prof. Ewa Marciniak



FOT. FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Ur. w 1959 r., szefowa CBOS, wykładowczyni na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się m.in. zachowaniami wyborczymi, komunikacją i przywództwem politycznym.

eprasa.pl cce6ce74a6

Ludzie na prawo, psy na lewo

Zbyt wąsko byłoby rozumieć „hau, hau” posłanki PiS jako chęć zezwierzęcenia przeciwników



Marcin Matczak

Już się wydawało, że w swej akustycznej historii parlamentaryzmu Polska zapisze głównie Sejm Niemy, a tu dzięki byłej minister kultury (!) w rządzie PiS ma Sejm Szczekający. Ten odgłos, który Dominika Chorosińska wydała z siebie w czasie posiedzenia parlamentu, domaga się egzegezy, bo trzeba wyjaśnić, jak ostatnie 300 lat doprowadziło nas od milczenia narzuconego do szczekania dobrowolnego.

Zbyt wąsko byłoby rozumieć to „hau, hau” jako chęć zezwierzęcenia swoich politycznych przeciwników. O nie! To gest i dźwięk o wiele bardziej obfitujący w znaczenia, niż mogłoby się z pozoru wydawać.

Być może ta sytuacja jest spełnieniem czyichś marzeń – wszak ludzie zawsze chcieli, by ci, którzy ich reprezentują, byli wyszczekani. W końcu więc ktoś potraktował te wymagania zawodowe dosłownie. Okazuje się ponadto, że język polski od dawna w idei „wyszczekania” przeczuwał, że zdolność mówienia może zostać zastąpiona zdolnością zagłuszania.

Ale może jest tak, że posłanka mówi do nas jedynym językiem, który – jak sądzi – zrozumiemy. Bo wprawdzie niby szczekała na Władysława Kosiniaka-Kamysza, faktycznie jednak występowała przed kamerami wobec nas wszystkich. I może to gromkie „hau, hau” zawiera teorię polskiego wyborcy, którą ma w głowie posłanka. Bo jeżeli polityk wybiera szczekanie jako skuteczny komunikat, to zakłada, że obywatel lepiej reaguje na dźwięk dominacji niż na argument.

Ale są i dobre strony. Szczekanie to komunikat politycznie idealny. Niczego nie twierdzi, więc nie można mu niczego zarzucić. Niczego nie obiecuje, więc nie trzeba go później realizować. Nie uzasadnia stanowiska, ale wskazuje wroga. Szczekanie to wypowiedź całkowicie wolna od ryzyka odpowiedzialności za słowa.

Jeśli natomiast chodzi o pozytywy społeczne, to po pierwsze, proszę zwrócić uwagę, że szczekanie nie kłamie. Bez względu na to, jak gromkie jest „hau, hau” posła czy posłanki, nie może być ono ani prawdziwe, ani fałszywe. Nie ma wartości logicznej, choć ma wysoką wartość diagnostyczną: pokazuje stosunek do przeciwnika i wyobrażenie o publiczności.

Po drugie, polityków oskarża się nieraz o stosowanie tak zwanego „psiego gwizdka”, *dog whistle* – zaszyfrowanego sygnału, którego nadawca może się później wyprzeć. Na przykład mówi się, że Ukraińcy zajmują Polakom miejsca w kolejce do lekarza. Niby nie wzywa się do agresji, ale tak naprawdę na innym poziomie wywołuje się reakcję nienawistną – bo przecież zabranie miejsca w kolejce u lekarza to zamach na naszą egzystencję. Tutaj gwizdek został zastąpiony jawnym odgłosem psa. Można w tym dostrzec pewien postęp w kierunku transparentności: pogardzający przestali wreszcie używać kodu.

Można też powiedzieć, że posłanka Chorosińska postawiła siebie w roli tłumacza z ludzkiego na psi, jednocześnie decydując, kto wymaga komunikacji szczekaniem, bo inaczej nie zrozumie. Tym samym stała się także administratorem człowieczeństwa, który przypisuje adresata do odpowiedniego gatunku komunikacyjnego, czyli ludzie na prawo, psy na lewo.

Literatura niestety nie tylko nie wyjaśnia, jak to szczekanie rozumieć, ale jeszcze utrudnia sprawę. Przykładowo wielcy pisarze zwykli pisać o ludziach i psach w sposób, który mieszał te dwie grupy. W „Psim sercu” Bułhakowa profesor Preobrażeński przeszczepia psu Szarikowi ludzką przysadkę i jądra, a ten staje się urzędnikiem Szarikowem, odpowiedzialnym za ściganie kotów. To dopiero metafora – kto tu jest kim, kto symbolizuje obywateli, a kto polityka?

U Kafki w „Dociekaniach psa” z kolei pies jest naukowcem, który między innymi analizuje istnienie dziwnych „napowietrznych psów” (*Lufthunde*). Trudno mu ten fenomen wyjaśnić, ponieważ psi docent nie ma w swojej teorii świata pojęcia człowieka – dlatego nie widzi właścicieli piesków kanapowych, noszących swoje pociechy na ramionach, i te zdają mu się latać. Tu już chyba bliżej jesteśmy uzyskania pomocy, bo w wizji świata niektórych polityków także brakuje pojęcia człowieka. Dlatego, zamiast mówić, szczekają.

Psów zresztą w wystąpieniach publicznych mamy ostatnio nadmiar. Elon Musk mówi, że jak sztuczna inteligencja będzie się tak rozwijać, jak się rozwija, niedługo zostaniemy jako ludzie jej labradorami. Znaczy, że będziemy jak te uległe domowe zwierzaki, które się łaszą i od czasu do czasu aportują.

Sztuczna inteligencja obala hipotezy Erdosa z zakresu geometrii dyskretnej, a białkowa inteligencja w parlamencie wydaje psie odgłosy

Z drugiej strony „The Economist” pisze, że to my powinniśmy sztuczną inteligencję traktować jak psa. W sensie, że dawno temu psy udomowiliśmy, choć było dużo wątpliwości, czy pomysł, aby wilka wpuścić do jaskini, był rzeczywiście taki świetny. Psy były więc naszą wczesną ryzykowną technologią, bo nie było jasne, czy na przykład nie zaczną jeść dzieci. Ostatecznie udomowienie się udało i pozwoliło nam wygrać ewolucyjnie z neandertalczykami.

Czy jednak tak samo dobrze pójdzie nam udomowienie sztucznej inteligencji? A może wymknie się spod kontroli i nas zaatakuje? Na razie sztuczna inteligencja obala hipotezy Erdosa z zakresu geometrii dyskretnej, a białkowa inteligencja w parlamencie wydaje psie odgłosy. I jak tu się w tym wszystkim zorientować?

W sensie proceduralnym poselskie „hau, hau” niewiele zmieniło. Jak to mówią, psy szczekają, karawana jedzie dalej: głosowania miały miejsce, Polska przetrwała. Można też znaleźć jakieś pocieszenie w fakcie, że posłanka jednak szczekała, a nie gryzła. Parlament w swej pierwotnej funkcji miał zastępować agresję dyskusją, aby przeciwnicy nie musieli używać przemocy. I to na razie się dzieje.

Groteska wystąpienia posłanki Chorosińskiej polega jednak na tym, że po szczekaniu już niewiele zostaje w instrumentarium wpływu publicznego. Co będzie następne?

Pozostaje też kwestia filozoficzna: czy można odszczekać szczekanie? Teoria aktów mowy zna pojęcie „cofnięcia znaczenia”, kiedy ktoś wyjaśnia, że nie o to mu chodziło. Ale czy szczekanie to mowa?

Ciekawe, jakie jeszcze odzwierzęce zachowania pozostają politykom do dyspozycji? Stawiam na mruczenie i gruchanie (przed wyborami), na pohukiwanie (zaraz po), i na byczenie się w tak zwanym międzyczasie. A nam pozostanie na to patrzeć i rżeć, niekoniecznie ze śmiechu.

Onomatopeja

Szczekać to przecież każdy potrafi. A jak robią tygrysy?



Michał Rusinek

Nie rozumiem oburzenia na posłankę Dominikę Chorosińską, byłą ministrę kultury w dwutygodniowym rządzie Mateusza Morawieckiego, która ostatnio postanowiła zaszczekać na sali sejmowej.

Niektórzy mówią o zezwierzęceniu obyczajów, a nawet zbydlęceniu (niesłusznie, bo bydlęta jednak raczej muczą), inni są zdania, że dyskurs parlamentarny zszedł na psy, jeszcze inni sugerują, że Chorosińska wzięła niegdyś udział w programie „Jak oni szczekają”.

Komentatorzy i złośliwcy mają olbrzymie pole do popisu, bo odzwierzęcych określeń na ludzkie zachowania jest całe mnóstwo. Zdaje się, że posłankę Chorosińską – z zawodu aktorkę – zainspirowało do szczekania określenie rzucone przez jednego z posłów pod adresem wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza: „Piesek!”.

Szkoda, że nie przypomniano określenia „Tygrysek”, bo wówczas rzeczona posłanka mogłaby wzbić się na wyższy stopień aktorskiego kunsztu.

Szczekać to przecież każdy potrafi. A jak robią tygrysy?

Posłanka Chorosińska nie tylko nie pozwala nam zapomnieć, że jest z zawodu aktorką, ale i próbuje nas wszystkich skłonić do choreograficznych ćwiczeń. W czerwcu 2025 roku wzywała z mównicy sejmowej: „Cała Polska – na kolana i do przodu!”. Oczywiście mogło chodzić o kontaminację rozpropagowanego przez o. Rydzyka zwrotu „Alleluja i do przodu” oraz wezwania do pokutnego gestu, znanego choćby z pieśni religijnej „Upadnij na kolana ludu czcią przejęty” lub utworu Kasi Cerekwickiej „Na kolana”, mówiącego o tym, że choćby on padł na kolana, to ona i tak mu nie wybaczy.

Z metaforami posłanka Chorosińska w ogóle miewa kłopoty, bo w 2010 roku udzieliła wywiadu, w którym tłumaczyła się z obyczajowych zawirowań w swoim życiorysie, stojących w niejakiej sprzeczności z hasłem akcji „Wierność jest sexy”, której była ambasadorką: „Nie jestem wolna od błędów, od grzechów, ale wydaje mi się, że mając wytyczoną drogę, nawet gdy zboczę, łatwiej i szybciej trafię na dobry tor”.

Tak czy owak, chodzenie na kolanach – w dowolnych kierunkach – jest dla przedstawicieli i przedstawicielek naszego gatunku mocno utrudnione. Postęp, czyli marsz do przodu, wykonywany w ten sposób jest z konieczności o wiele wolniejszy niż marsz w pozycji wyprostowanej.

Jest to dość niebezpieczna, acz sugestywna metafora tego, jak wygląda postęp w państwach religijnych. Chyba że jesteśmy na tyle konserwatywni, że postęp uważamy za ruch, który należy wyhamować. „Idź wyprostowany wśród tych co na kolanach” – pisał Zbigniew Herbert, bo bycie na kolanach oznacza też przecież postawę służalczą i bierność.

Warto przypomnieć tę zeszłoroczną wypowiedź posłanki Chorosińskiej, bo łączy się ona z jej niedawnym szczekaniem. Będąc bowiem na kolanach, jesteśmy zarazem bliżej naszych – jak mawiał św. Franciszek z Asyżu – „braci mniejszych”.

Nawet jeśli posłanka miała zamiar wyrazić pogardę wobec wicepremiera Kosiniaka-Kamysza i go zdehumanizować, to podświadomie wyraziła przecież solidarność z całym światem zwierzęcym, którego ledwie cząstką jesteśmy. To podświadomy franciszkanizm teraz kazał jej przemówić językiem psów, a kiedyś – zachęcać nas, byśmy się zniżyli do tych, którzy żyją bliżej ziemi, a są przecież naszymi braćmi.

To podświadomy franciszkanizm kazał posłance przemówić językiem psów

Żarty na bok. Nie lubię posługiwania się określeniami odzwierzęcymi wobec źle zachowujących się ludzi, bo zwierzęta nie zachowują się źle i nie są winne temu, jak zachowują się ludzie. To, z czym mieliśmy do czynienia w Sejmie, to nie zezwierzęcenie czy zbydlęcenie obyczajów, ale ich infantylizacja.

Jak robi piesek? – pyta pani przedszkolanka. A Dominiczka odpowiada: „hau, hau”. Może w przedszkolu inne dzieci szybciej odpowiadały, więc teraz chce być pierwsza? Brawo, Dominiczko. Byłaś pierwsza – i jako pierwsza zapisałaś się na wieki wieków w annałach polskiego parlamentaryzmu – bo zdaje się, że przed tobą w polskim sejmie nikt jeszcze nie szczekał.

Z pewnością jednak to nie jest ostatnie słowo, a właściwie ostatnia onomatopeja, jaką wydała z siebie prawa strona naszej politycznej sceny.

eprasa.pl cce6ce74a6

CHORE ZDROWIE NA PODLASIU

Lekarz mówi po warszawsku, pacjent po naszemu, ePacjent nie działa w białoruskiej sieci komórkowej, a do psychiatry trzeba jechać 60 km.



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Liczby mówią, że 461 osób kadry medycznej przypada na 100 tysięcy mieszkańców – to tuż za Mazowszem i łódzkiem – przy średniej krajowej 395. A tutejszy Uniwersytet Medyczny uznano w rankingu „Perspektyw" 2025 za najlepszy w Polsce ex aequo z Gdańskiem i Łodzią. Na Podlasiu przynajmniej pod względem służby zdrowia stereotyp niedoinwestowanej, zostawionej samej sobie Polski B sprawia wrażenie nieaktualnego.

Właśnie – sprawia. Bo podlaski pacjent często doświadcza czegoś dokładnie odwrotnego. Zwłaszcza ten z okolic przygranicznych.

•

Wystarczy wyjechać z Białegostoku 40 km na wschód lub południowy wschód, w stronę granicy z Białorusią, by średnie straciły znaczenie.

W województwie, które w 2024 r. liczyło 1 132 641 mieszkańców, obecnie 1 126 679, a według prognoz GUS do 2060 r. straci 247 tysięcy, ważniejsze od przeliczników staje się to, czy chory ma samochód albo sąsiada, który zawiezie go do lekarza.

A będzie tylko połowa sukcesu – bo młody medyk będzie musiał zrozumieć starszą osobę mówiącą od urodzenia „po naszomu".

Te kłopoty koncentrują się w pięciu powiatach: białostockim, bielskim, hajnowskim, sokólskim i siemiatyckim – rozległym obszarze, gdzie gęstość zaludnienia – poza bezpośrednimi okolicami Białegostoku – spada do dwudziestu-dwudziestu kilku osób na kilometr kwadratowy.

Sam powiat hajnowski zajmuje 1624 km kw. – dużo jak na powiat, a przy niespełna 40 tys. mieszkańców usługi są skrajnie rozproszone. Dysproporcja między przestrzenią a zaludnieniem sprawia, że dane wojewódzkie zakłamują rzeczywistość: region działa jak dwa różne światy – białostockie centrum i peryferyjna prowincja – a statystyka łączy je w jeden uspokajający obrazek.

Potrzeba więc danych innego rodzaju. Amerykański badacz Avedis Donabedian w 1966 r. opublikował pracę „Evaluating the Quality of Medical Care", która dała fundament pod ocenę jakości opieki medycznej. Model ten do dziś pozostaje w użyciu. Wyróżnił trzy wymiary: strukturę (zasoby i ich rozmieszczenie: szpitale, kadry, sprzęt, finansowanie), proces (jak opieka działa: diagnostyka, komunikacja, koordynacja, czas oczekiwania) oraz wynik (efekty zdrowotne i społeczne: długość i jakość życia, sprawność, satysfakcja pacjenta).

Ten szkielet wypełniamy danymi – przede wszystkim z Mapy Potrzeb Zdrowotnych Ministerstwa Zdrowia, najbardziej szczegółowego narzędzia analitycznego, jakim my wszyscy dysponujemy. Uzupełniamy je o raporty NFZ, dane GUS i analizy epidemiologiczne.

W takim ujęciu wschodnie Podlasie przypomina chorego, któremu na podstawie wyników diagnostycznych lekarz mówi „wszystko w normie", a on tymczasem od lat ledwo łapie oddech.

I tutaj szukamy odpowiedzi na dwa pytania. Pierwsze: czy na przygranicznych peryferiach publiczna ochrona zdrowia działa szczątkowo – opiera się na nieformalnych sieciach, improwizacji personelu i determinacji pacjentów, które szybko się wyczerpują? Drugie: czy istnieje lepszy model opieki i co stoi na przeszkodzie, by go skalować?

•

Większość specjalistów pracuje w Białymstoku. W mniejszych miastach – Bielsku Podlaskim, Hajnówce – poradnie istnieją, ale czas oczekiwania bywa znacząco dłuższy, a lista dostępnych świadczeń węższa. Często konieczna jest podróż do stolicy województwa: z Hajnówki 65 km, z Siemiatycz około 90 km. W całym regionie zarejestrowano 69 lekarzy ze specjalizacją z rehabilitacji medycznej, 25 geriatrów, 20 psychiatrów dzieci i młodzieży oraz około 35 onkologów klinicznych – a zdecydowana większość przyjmuje w Białymstoku.

W powiatach przygranicznych oznacza to po dwóch-trzech specjalistów na cały powiat albo żadnego. Gdy co czwarty mieszkaniec ma ponad 65 lat, a część nie dysponuje samochodem ani bliskimi, odległość staje się barierą egzystencjalną.

Odpływ pacjentów do miasta dokumentują dane podstawowej opieki zdrowotnej. W powiecie białostockim odsetek zapisanych do POZ w miejscu zamieszkania wynosi zaledwie 64 proc. (średnia krajowa 91).

W województwie jest jeden oddział psychiatrii dziecięcej, w Białymstoku – z 28 łóżkami. Dla młodych ludzi z Hajnówki czy Siemiatycz pierwszy kontakt z psychiatrą oznacza zatem wielogodzinną podróż i tygodnie oczekiwania

W siemiatyckim to 78 proc., w hajnowskim 85, w sokólskim 84.

Nie znaczy to, że pozostali nie korzystają z opieki albo leczą się prywatnie. Są zapisani w Białymstoku – statystyka uznaje ich za obsłużonych, ale nie rejestruje, że dojazd zabiera im pół dnia i kosztuje czas oraz pieniądze. Wewnątrzwojewódzka migracja chorych maskuje rzeczywisty deficyt infrastruktury na peryferiach.

Ten sam mechanizm dotyczy nie tylko pacjentów, ale i lekarzy. Opieka na tym terenie opiera się dziś na sieci indywidualnych kompetencji, kontaktów i improwizacji – zarówno po stronie chorych, jak i personelu.

Kłopot w tym, że sam personel szybko się starzeje. W 2025 roku na 100 tys. mieszkańców wschodniego Podlasia przypadało 10,73 lekarza w wieku emerytalnym. Średnia krajowa to 7,86. W liczbach bezwzględnych: 498 lekarzy miało co najmniej 65 lat.

Jednocześnie w latach 2022-23 odnotowano rekordowy napływ młodych kadr – stosunek wchodzących do zawodu do odchodzących na emeryturę wyniósł 1,86, najwięcej w Polsce, przy średniej krajowej 0,89.
To efekt działania Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Problem w tym, że 70 proc. młodych medyków zostaje w mieście. Do powiatów przygranicznych ta fala nie dociera. Świeżo upieczony specjalista nie wybiera Hajnówki, jeśli może znaleźć etat w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym. Centralizacja szkolnictwa medycznego i brak zachęt do pracy na peryferiach sprawiają, że demograficzny zastrzyk rozbija się o mur miejskich preferencji.

Co więcej, w opisie do Mapy Potrzeb Zdrowotnych na lata 2027-31 wprost założono dalsze „wzmacnianie miejskich systemów opieki zdrowotnej w ośrodkach regionalnych i subregionalnych (Białystok, Łomża, Suwałki)". Autorzy dokumentu przyznają jednocześnie, że niska gęstość zaludnienia „mogła utrudniać kształtowanie sieci placówek ochrony zdrowia zapewniającej wysoki poziom dostępności do świadczeń". Innymi słowy: decydenci widzą problem, ale wciąż proponują choremu, żeby dojechał tam, gdzie sieć jest. A jeśli nie ma czym ani z kim?

•

Wystarczy prześledzić drogę pacjenta. Doroteusz Fionik – etnograf, historyk, założyciel Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, dzielnicy Bielska Podlaskiego, animator kultury białoruskiej, aktywista walczący z wykluczeniami podlaskich Białorusinów – opisał nam swoje doświadczenia z publiczną ochroną zdrowia.

• Większość lekarzy-specjalistów pracuje w Białymstoku i to tutaj trzeba przyjechać po skuteczną poradę. Na zdj. Wojewódzki Szpital im. Śniadeckich w Białymstokuw

Historia zaczęła się w pierwszych dniach stycznia od pozornie banalnego upadku na śliskim chodniku. Przez dwa tygodnie Fionik liczył, że ból karku i ramienia minie, ale w końcu zgłosił się do lekarza rodzinnego w Bielsku Podlaskim. Prześwietlenie wykonano od ręki, a do ortopedy odesłano go do Hajnówki, oddalonej o 30 km. Specjalista przyjął go po dwóch tygodniach i skierował na rezonans. W Hajnówce trzeba było czekać ponad miesiąc, więc badanie zrobił w Bielsku – po 10 dniach. Ćwiczenia i leki przyniosły poprawę; po kilku tygodniach ból ustąpił.

Równocześnie otrzymał skierowanie do fizjoterapeuty – termin wyznaczono dopiero na czerwiec oraz – jako że rezonans ujawnił zmiany wymagające dalszej konsultacji – do neurochirurga. W bielskim szpitalu zapisano go na początek sierpnia. Jak mówi, przy obecnym stanie zdrowia taki termin jest jeszcze do zaakceptowania.

Podobnie z protetyką stomatologiczną: do jednego specjalisty dostał się po kilku miesiącach, do innego musiałby czekać do lata.

A przecież Fionik jest w pozycji uprzywilejowanej. To człowiek wykształcony, komunikatywny, świadomy zasad działania publicznej ochrony zdrowia. Ma rodzinę, która może pomóc, potrafi porównywać terminy i szukać szybszych ścieżek diagnostycznych. Korzysta też z faktu, że między Bielskiem Podlaskim a Hajnówką poprawiła się komunikacja – od niedawna miasta łączy pociąg pokonujący trasę w pół godziny. Znaczenie mają też nieformalne relacje między personelem medycznym obu ośrodków: lekarze, laboranci i rejestratorki często się znają, co bywa pomocne przy organizacji badań czy konsultacji.

•

Ale wystarczy zamienić jeden, dwa klocki, by konstrukcja zaczęła się rozsypywać. Starszy chory ze wsi poza trasą Bielsk-Hajnówka, bez auta i wsparcia bliskich, musi podporządkować leczenie rozkładowi autobusów kursujących raz-dwa razy dziennie. Spóźnienie na poranny kurs to utrata wizyty.

Barierą jest już sama rejestracja: słaby słuch, trudności z obsługą automatycznych infolinii, brak internetu albo brak umiejętności korzystania z Internetowego Konta Pacjenta uniemożliwiają śledzenie wolnych terminów czy zapisanie się na badanie.

Wtedy pozostaje wizyta prywatna. Czyli dodatkowe koszty przy tej samej konieczności or-

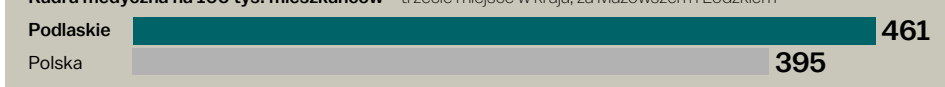
eprasa.pl cce6ce74a6

Podlasie: więcej lekarzy niż średnia, ale nie tam, gdzie mieszkają chorzy

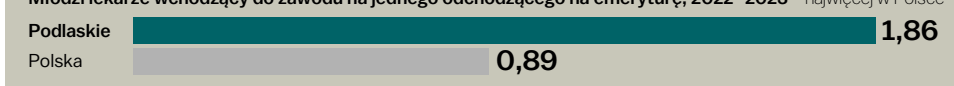
Województwo podlaskie ma kadrę medyczną powyżej średniej krajowej i najlepszy uniwersytet medyczny w rankingu „Perspektyw". Wystarczy jednak wyjechać z Białegostoku 40 km na wschód, w stronę granicy z Białorusią, żeby średnie straciły znaczenie. Liczby z Mapy Potrzeb Zdrowotnych, NFZ i GUS

Na papierze: powyżej średniej

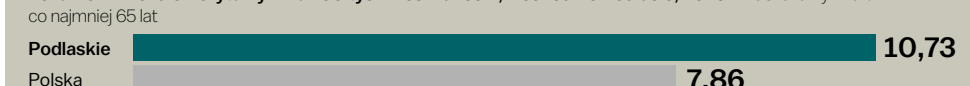
Kadra medyczna na 100 tys. mieszkańców – trzecie miejsce w kraju, za Mazowszem i Łódzkiem



Młodzi lekarze wchodzący do zawodu na jednego odchodzącego na emeryturę, 2022–2023 – najwięcej w Polsce

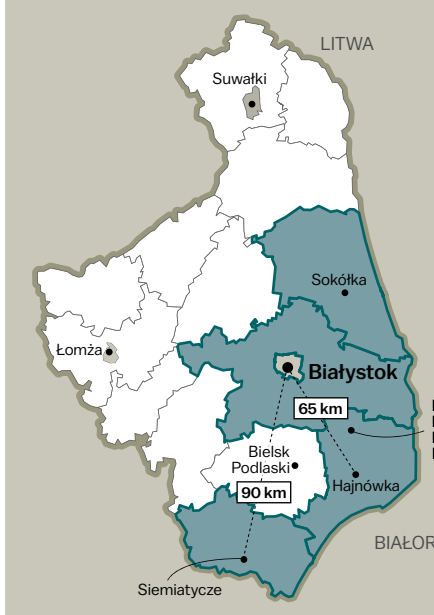


Lekarze w wieku emerytalnym na 100 tys. mieszkańców, wschodnie Podlasie, 2025 – 498 lekarzy miało co najmniej 65 lat



70 PROC.
• młodych medyków z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku zostaje w mieście. Dla powiatów przygranicznych rekordowy napływ absolwentów pozostaje niewidoczny

Dwa światy: Białystok i cztery powiaty przy granicy



Zapisani do lekarza rodzinnego w powiecie, w którym mieszkają
Dane w proc.



Pozostali są zapisani głównie w Białymstoku. Statystyka uznaje ich za obsłużonych, ale nie rejestruje, że dojazd zabiera pół dnia: z Hajnówki 65 km, z Siemiatycz około 90 km

powiaty przygraniczne: białostocki, sokólski, hajnowski, siemiatycki

dojazd do Białegostoku

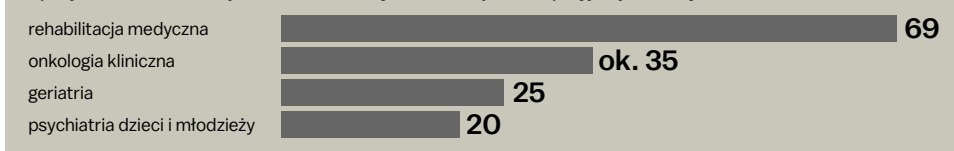
Poza okolicami Białegostoku gęstość zaludnienia spada do dwudziestu kilku osób na km². Sam powiat hajnowski ma 1624 km² i niespełna 40 tysięcy mieszkańców. Co czwarty mieszkaniec ma ponad 65 lat

Gdzie jest sprzęt i oddziały

	Białystok	Bielsk Podlaski	Hajnówka	Siemiatycze	Sokółka
Rezonans magnetyczny	● jest	● jest	○ od 2023	○ od końca 2021	–
Angiograf (udary, zabiegi kardiologiczne)	● jest	● jest	–	–	–
Radioterapia, PET, gammakamera	● jest	–	–	–	–
Oddział geriatryczny	● 1 (17 łóżek)	–	–	–	–
Oddział psychiatrii dziecięcej	● 1 (28 łóżek)	–	–	–	–

Tomografy są m.in. w Hajnówce i Bielsku Podlaskim. Radioterapię dla południa regionu prowadzą też Siedlce w woj. mazowieckim, 60 km od Siemiatycz – to codzienny dojazd przez miesiąc albo czasowa wyprowadzka.

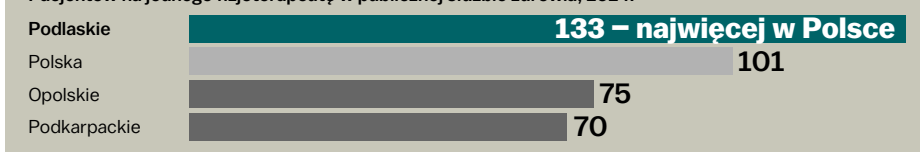
Specjalistów na całe województwo – zdecydowana większość przyjmuje w Białymstoku:



W powiatach przygranicznych to po dwóch, trzech specjalistów na powiat albo żaden. Geriatrów nie ma tam wcale.

Rehabilitacja i telemedycyna ledwo działają

Pacjentów na jednego fizjoterapeutę w publicznej służbie zdrowia, 2024:



160 **• teleporad ambulatoryjnych w całym 2024 roku na wschodnim Podlasiu**

0 **• teleporad domowych, dla seniorów i dla dzieci**

Ośrodków rehabilitacji domowej jest dziewięciokrotnie mniej niż średnio w kraju; w powiecie hajnowskim poza Hajnówką nie działa żaden. Wszystkie teleporady z 2024 roku odbyły się w sierpniu i wrześniu i dotyczyły wyłącznie dorosłych w wieku 18–64 lat.

Liczby za tekstem Marty Panas-Goworskiej i Andrzeja Goworskiego; źródła według autorów: Mapa Potrzeb Zdrowotnych Ministerstwa Zdrowia, raporty NFZ, dane i prognozy GUS, ranking „Perspektyw" 2025. „Wschodnie Podlasie" to pięć powiatów: białostocki, bielski, hajnowski, siemiatycki i sokólski. Odległości drogowe. Podkład mapy: granice powiatów (TERYT)

• INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA / WYBORCZA.PL/BIQDATA, 3.09.2026 • ŹRÓDŁO: MAPA POTRZEB ZDROWOTNYCH MZ, NFZ, GUS
• PRZYGOTOWANIE WERSJI DRUKOWANEJ: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

1 RP

ganizowania kilku przejazdów między miastami i zwykłym fizycznym wysiłku związanym z podróżą z bólem czy z ograniczeniami wynikającymi z choroby lub kontuzji.

W efekcie nawet sprawna punktowo opieka medyczna, wykorzystująca niemały potencjał dwóch miast powiatowych, staje się dla części pacjentów absolutnie niedostępna.

•

W latach 90. Andrzej, współautor tego tekstu, mieszkał w Bielsku Podlaskim i jako 17-latek poszedł „z ulicy" do psychiatry dziecięcego. Dziś placówka, która realizuje kontrakt NFZ na świadczenia z zakresu psychiatrii dziecięcej, nie podaje na stronie żadnego lekarza tej specjalności, a w kalendarzu brak terminów umożliwiających rejestrację.

Nie działa także możliwość wyboru psychiatry dziecięcego przez popularne aplikacje – system po prostu nie pokazuje żadnego dostępnego specjalisty w powiecie. Wszystko wskazuje więc, że psychiatra dziecięcy do Bielska Podlaskiego faktycznie nie dojeżdża: kontrakt istnieje, ale pozostaje martwy.

Co gorsza, w całym województwie jest jeden oddział psychiatrii dziecięcej, w Białymstoku – z 28 łóżkami – i 20 lekarzy tej specjalności, z czego ponad połowa pracuje w stolicy regionu. Dla młodych ludzi np. z Hajnówki pierwszy kontakt z psychiatrą oznacza więc wielogodzinną podróż i tygodnie oczekiwania.

•

Podobnie deprymujące liczby dotyczą boreliozy. Przywołujemy akurat ją, bo ta choroba na Podlasiu jest niemal lokalną specjalnością. W 2024 r. odnotowano 4484 świadczenia z tym rozpoznaniem – 3,9 na 1000 mieszkańców, wobec 2,96 w całej Polsce.

To skutek położenia wśród lasów i podmokłych terenów, ale też deficytu diagnostyki: samo rozpoznanie nie kończy ścieżki pacjenta, tylko ją otwiera. Chory z objawami neurologicznymi po ugryzieniu kleszcza nie znajdzie w powiecie sokólskim rezonansu, by wykluczyć zapalenie mózgu. Znów musi jechać do Białegostoku – kilometry, godziny, kolejki.

Wysoka liczba świadczeń nie oznacza tu dobrej diagnostyki. Przy wciąż niedoskonałym dostępie do badań wskazuje raczej znacznie wyższą od liczby świadczeń skalę ekspozycji, czyli narażenia.

W pasie przygranicznym brakuje nowoczesnego sprzętu diagnostycznego. Tomografy są dostępne m.in. w Hajnówce i Bielsku Podlaskim. Ale gdy potrzebny jest rezonans magnetyczny czy angiograf, zaczyna się kłopot. W powiecie sokólskim nie ma rezonansu wcale, w siemiatyckim pod koniec roku 2021, w hajnowskim w 2023. Angiograf jest w Białymstoku i Bielsku Podlaskim – poza tymi dwoma ośrodkami dostępu do urządzenia niezbędnego przy udarach i zabiegach kardiologicznych na tym terenie faktycznie nie ma. Akceleratory do radioterapii, PET i gammakamera są w Białymstoku, a dla chorych z południa regionu również w mazowieckich już Siedlcach.

Dla kogoś z Siemiatycz to konieczność codziennego pokonywania około 60 km w jedną stronę (do Siedlec) lub 90 km (do Białegostoku) przez miesiąc. Zatem: albo czasowa wyprowadzka do miasta, albo rezygnacja z leczenia.

•

Dwa wskaźniki pokazują dystans między deklaracjami władz i oficjalnymi statystykami a podlaską rzeczywistością szczególnie dobitnie – rehabilitacja i telemedycyna. Mają skracać drogę chorego do zdrowia. W praktyce – wydłużają ją, bo ledwo funkcjonują.

W 2024 r. na jednego fizjoterapeutę w publicznej służbie zdrowia przypadało w regionie 133 pacjentów – najwięcej w Polsce; średnia krajowa wynosiła 101, w podkarpackim 70, w opolskim 75.

Ośrodków rehabilitacji domowej jest 9 razy mniej niż średnio w kraju; w powiecie hajnowskim poza jego stolicą nie działa żaden. Nawet sama Hajnówka ma ograniczone możliwości i przeciążoną rehabilitację. Chory po udarze, który powinien ćwiczyć w domu, często zostaje bez regularnej terapii albo musi organizować transport do Bielska Podlaskiego lub Białegostoku. Część pacjentów decyduje się też na prywatne zabiegi.

Tymczasem publiczni fizjoterapeuci w 2024 r. wykonali 6,7 mln zabiegów – przy 115 tys. osób ze skierowaniem daje to średnio 58 zabiegów na pacjenta. W większości przypadków wystarczająco, ale wskazuje, że zamiast spójnej sieci opieki mamy kilka przeciążonych wysp, do których ściągają najbardziej zdeterminowani lub uprzywilejowani chorzy z peryferii. Choć wszyscy mogliby otrzymywać rehabilitację blisko domu.

Telemedycyna, często przywoływana jako remedium na trudną geografię, na wschodnim Podlasiu praktycznie nie istnieje.

W 2024 r. wykonano 160 teleporad ambulatoryjnych i zero domowych. Wszystkie odbyły się w sierpniu i wrześniu, wszystkie dotyczyły wyłącznie dorosłych w wieku 18-64 lat. Ani jednej dla seniora, ani jednej dla dziecka.

Bariera ma dwa wymiary.

Technologiczny: słaby internet na wsiach. Światłowodu nikomu nie opłaca się ciągnąć, komórkowe LTE łapie, jak wiatr zawieje – brak tzw. kompetencji cyfrowych u starszych pacjentów, a przy samej granicy telefon czy laptop logują się do białoruskiej sieci komórkowej, co uniemożliwia bezpieczne wystawienie e-recepty.

I organizacyjny: brak procedur czy chociaż doraźnych szkoleń dla medyków „ze świata", jak działać w takich warunkach. Plus brak ciągłości dokumentacji – bo transformacja ustrojowa, lata 90. i dwutysięczne, czyli kolejne ogólnopolskie reformy i restrukturyzacje służby zdrowia oraz zwyczajne zmiany siedzib instytucji i placówek, na takim zapomnianym interiorze odcisnęły się podwójnie.

Jeden z lekarzy jeżdżących w teren relacjonuje: „Jestem czasami w takiej wsi, gdzie nie mam zasięgu, nie wypiszę recepty w tym samym czasie. Albo włącza mi się sieć białoruska i nie zamierzam za to płacić". Gdy telefon przełącza się na obcego operatora, nie da się też zweryfikować tożsamości pacjenta przez profil zaufany ani udokumentować wizyty w gabinetowym interfejsie. Porada domowa kończy się bez pełnej dokumentacji medycznej.

•

Obrazu dopełniają prognozy demograficzne. Właśnie tutaj, w przygranicznych powiatach hajnowskim i bielskim, znajdują się gminy z najniższym przyrostem naturalnym w Polsce: Dubicze Cerkiewne i Kleszczele.

Do 2060 r. spadek liczby ludności wyniesie: w hajnowskim 35 proc., w siemiatyckim 38, w sokólskim 35, w bielskim 33 proc.

Tylko powiat białostocki odnotuje niewielki wzrost, ponieważ – inaczej niż pozostałe – przyciąga młode rodziny wyprowadzające się z Białegostoku pod miasto.

W 2024 r. w województwie zanotowano 7557 urodzeń żywych przy 12 007 zgonach – przyrost naturalny wyniósł minus 4450. Współczynnik dzietności spadł do 1,12 dziecka na kobietę; w 2020 r. było to jeszcze 1,38.

To nie jest zwykłe wyludnianie – to rozpad struktury społecznej, na której opiera się przyszły potencjał opiekuńczy regionu. Coraz mniej podatników, coraz mniej młodych ludzi do opieki nad starzejącą się populacją.

Odsetek osób powyżej 65. roku życia wśród pacjentów wymagających rehabilitacji w powiecie siemiatyckim sięga 41,6 proc. (średnia krajowa 32).

W całym województwie funkcjonuje jeden oddział geriatryczny – w Białymstoku, 17 łóżek – i pracuje 25 geriatrów, z których większość jest już w wieku okołoemerytalnym.

Na jednego geriatrę przypada ponad 8 tys. starszych mieszkańców regionu. W powiatach przygranicznych geriatrów nie ma wcale; cała opieka nad wielochorobowymi seniorami spoczywa na barkach przeciążonych lekarzy rodzinnych.

eprasa.pl cce6ce74a6

Wschodnie Podlasie ma też wyższe niż średnia krajowa obciążenie DALY – Disability-Adjusted Life Year – wskaźnikiem mierzącym sumę lat życia utraconych wskutek przedwczesnej śmierci oraz lat przeżytych z niepełnosprawnością.

Składają się na to m.in.: zła jakość wody i nieodpowiednie warunki sanitarne – różnica 4-6 punktów na 100 tys. mieszkańców wobec średniej krajowej – oraz wskaźnik przemocy wobec dzieci i powiązanych z nią zaburzeń związanych z używaniem substancji psychoaktywnych – o ponad 30 proc. wyższy niż przeciętnie w kraju.

Nie wiadomo, czy to efekt wyższej wykrywalności, czy realnie gorszej sytuacji społecznej. Ale nawet gdyby skala problemu była nie większa, a jedynie ta sama, co w innych rejonach kraju, to przy kurczącej się populacji i niedoinwestowaniu ciężar społeczny i dalsze konsekwencje tych zjawisk są dużo większe niż w takim województwie mazowieckim.

A że, jako się rzekło wcześniej, opieka psychiatryczna nad dziećmi ogranicza się właściwie do Białegostoku, ewentualnie Suwałk i Augustowa, dzieciaki z Bielska Podlaskiego czy Hajnówki mogą liczyć na rodziców lub same na siebie.

•

Mapa Potrzeb Zdrowotnych jest dokumentem technokratycznym i nie ma w tym nic złego. Do planowania potrzebne są liczby. Pomija jednak kilka wymiarów kluczowych dla wschodniego Podlasia.

Po pierwsze, transport i realny czas dojazdu. Izochrony, czyli linie łączące punkty o takim samym czasie dojazdu, przedstawiane w dokumencie, nie oddają realiów życia w terenie. W niektórych wsiach autobus kursuje dwa razy w tygodniu, a jeśli jest codziennie, to wyjeżdża o siódmej rano, wraca późnym wieczorem. Zimą droga bywa nieprzejezdna.

Dla osoby starszej bez samochodu dojazd do przychodni jest wyprawą na cały dzień – o ile w ogóle możliwą.

Po drugie, nieformalna sieć opieki. W powiatach takich jak hajnowski czy siemiatycki opieka nad przewlekle chorymi od pokoleń opierała się na rodzinie: dzieciach, sąsiadach, rodzeństwie, parafii. Jeśli dzieci wyjechały, sąsiedzi sami wymagają pomocy, a parafia przestała pełnić funkcję wspólnotowego wsparcia – to nie ma instytucji formalnych, które mogłyby ich zastępować.

Dokument stwierdza, że „w 67 proc. przypadków opieka nieformalna trwa powyżej 2 lat", ale nie pyta, co się dzieje potem. Kto zostaje przy chorym po godzinie 22, gdy nie przyjdzie pielęgniarka środowiskowa, a jedyną obecność gwarantuje włączony telewizor.

Po trzecie, bariera językowa i kulturowa. W powiatach hajnowskim i bielskim starsi mieszkańcy często posługują się gwarą tutejszą lub językiem białoruskim. Opieka nie oferuje tłumaczy. Młody lekarz z Białegostoku może nie zrozumieć pacjenta – nie tylko słów, ale tempa, stylu rozmowy, kontekstu rodzinnego, wstydu przed mówieniem o objawach. To wpływa na jakość wywiadu, zgodę na leczenie i zaufanie – a w konsekwencji na trafność diagnozy.

Do tego dochodzi bliskość granicy. Jej skutki dla zdrowia są mierzalne, choć rzadko mierzone: okresowe zamknięcia przejść, problemy z białoruską siecią komórkową, większa nieufność mieszkańców, trudniejsze wezwanie pomocy.

To także utrudniona mobilność: dawna siatka lokalnych dróg pomniejszej kategorii i gruntówek dopiero się odtwarza po latach zamknięć lub zniszczeń związanych z operacjami służb podczas rozkręconego przez Moskwę i Mińsk kryzysu migracyjnego.

I jeszcze mentalne skutki tej wojny hybrydowej. Lekarz pracujący przy granicy: „Kobiety opowiadają, że wracały do domu, a na podwórku przy ognisku grupa ludzi coś gotowała i próbowała coś zjeść. Ludzie zaczęli zamykać drzwi, które dawniej były otwarte".

Jeszcze do niedawna na rogatkach Dubicz Cerkiewnych czy Hajnówki stały patrole policji i Straży Granicznej, kontrolujące wjeżdżające samochody. Nieważne, czy ktoś jechał do lekarza, do pracy czy na pogrzeb ciotki – bagażnik trzeba było otworzyć.

Mapa nie pyta wreszcie o tradycję umierania i rytuały religijne.

Dla prawosławnego Podlasia domowe odchodzenie – z modlitwą, ikoną i bliskimi u wezgłowia – zawsze było wartością. Dziś, gdy rodzina często przebywa setki czy tysiące kilometrów dalej, a hospicjum stacjonarne jest odległe lub niedostępne, ta wielowiekowa norma się załamuje. Zamiast spokojnego umierania w otoczeniu swoich są samotność, ból i lęk. I właśnie tę wartość – umieranie we własnym łóżku, wśród swoich – przywraca model, o którym przyjdzie nam jeszcze wspomnieć.

Na końcu, nie chodzi o to, ilu lekarzy widnieje w rejestrze. Chodzi o to, czy człowiek po udarze wstanie z łóżka, czy senior z Narewki dostaje rehabilitację w domu, czy dziecko z objawami depresji ma gdzie pójść po pomoc, czy osoba z rakiem z Siemiatycz będzie miała radioterapię w rozsądnej odległości.

Struktura, proces, wynik – ten donabedianowski trójpodział nabiera na Podlasiu konkretnego znaczenia. I właśnie w tym krajobrazie od 13 lat działa model, który udowadnia, że może jednak być inaczej.



Dr Paweł Grabowski z Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza : „Próbuję tym zainteresować polityków. Nie ma chętnych. A ja mówię: myślcie! dzięki dobrej opiece ten człowiek dożyje do kolejnych wyborów

•

W Makówce w gminie Narew, kilkanaście kilometrów od granicy z Białorusią, mieści się Fundacja Hospicjum Proroka Eliasza, która opieką domową obejmuje pięć gmin: Narew, Narewka, Michałowo, Zabłudów i Gródek. Prowadzi je dr Paweł Grabowski, lekarz medycyny paliatywnej.

Kiedy w 2011 r. zaczynał opiekę domową, NFZ odmówił kontraktu, argumentując, że opieka paliatywna na tym terenie jest zabezpieczona. Na papierze – oczywiście. Do takich usług zobowiązały sie trzy podmioty w Białymstoku. Kolejka sięgała dwóch tygodni.

– Dla człowieka, który żyje dwa tygodnie to.. całe życie i niedoczekanie opieki – mówi nam Grabowski. – Wiadomo było, że jeżeli ktoś zgłaszał się do hospicjum, to lepiej było wziąć trzy osoby z najbliższej okolicy, zamiast jechać godzinę do jednego, być tam i godzinę wracać. Od razu zobaczyłem, że są obszary defaworyzowane.

Zespół Grabowskiego zaczął jeździć bez kontraktu. Do wszystkich potrzebujących, także tych z chorobami spoza tabeli refundacyjnej – nie tylko nowotworowej, ale każdej, która prowadziła do śmierci w cierpieniu. – Szyliśmy opiekę na miarę – nie tak jak mówi rozporządzenie: dwie wizyty pielęgniarki w tygodniu, dwie lekarza w miesiącu, tylko tyle, ile potrzeba. Nagle okazało się, że wizyt lekarskich potrzeba mniej, pielęgniarskich więcej, a najczęściej trzeba po prostu opiekunki – wyjaśnia.

Z czasem jego model opisano i zbadano. Wynik: jest tańszy od standardowego o ok. 1/3 i bardziej skuteczny, bo nie marnuje zasobów na dojazdy i niepotrzebne procedury.

•

Kluczowa okazała się sieć. Grabowski, zamiast działać w pojedynkę, zaczął wciągać do współpracy wszystkich, którzy na danym terenie już pomagali. Gminne Ośrodki Pomocy Społecznej, z którymi hospicjum – jako pierwsza instytucja medyczna w Polsce – stworzyło wspólne, uzupełniające się procedury.

– Myśmy sobie napisali, co robić z pacjentem bezdomnym, który trafia do nas, co robić z pacjentem, który nie ma nic i umiera – mówi.

Dołączyli lekarze rodzinni – nie wszyscy, ale ci, którzy sami się zgłosili. – W jednej gminie lekarz nie chce współpracować. A w drugiej dzwoni do mnie i mówi: słuchaj, jest kłopot, kobieta leży, trzeba ją będzie wysłać do DPS-u albo szpitala, ale może spróbujemy zrobić to razem. Ja wezmę dwa razy w tygodniu swoją pielęgniarkę, ty weźmiesz dwa razy swoją, przyjedzie dziewczyna z opieki i spróbujemy zapewnić jej opiekę w domu. I robiliśmy to razem. Człowiek dożywał swoich dni u siebie – opowiada Grabowski .

Do sieci weszły też koła gospodyń wiejskich, świetlice i Straż Graniczna. – Chłopaki z patrolu mówią: czasami jesteśmy jedynymi, którzy tam zajeżdżają. Widzą, że śniegu nawalone po płot – wysiadają z łopatą, odśnieżają dojście. Widzą dym z komina – jest w porządku, nie ma dymu – pukają. Zdarzyło się, że zajechali za późno. To był najstraszniejszy widok, jak koty objadły pani twarz, bo byliśmy parę dni za późno – wspomina Grabowski.

Centralną postacią tego ekosystemu został koordynator opieki osób zależnych – nowa funkcja. – U nas to jest pani Irenka, która wie np., że w gminie Gródek właśnie powstał klub seniora, i włącza go do działań. Koordynator ma znać potrzeby podopiecznych, znać zasoby sieci i wiedzieć, co kto może dać temu człowiekowi – wyjaśnia lekarz.

Dzięki temu jeden chory nie jest zdany na jedną instytucję: raz cewnik wymieni pielęgniarka z hospicjum, raz z ośrodka zdrowia, raz lekarz rodzinny, raz sam Grabowski. Rozwiązanie elastyczne wykorzystuje to, co jest dostępne lokalnie, zamiast powielać schemat.

•

Model przyciągnął uwagę Brukseli. W konkursie na testowanie opieki na obszarach defaworyzowanych Europy fundacja Grabowskiego dostała grant bezpośrednio z Komisji Europejskiej – jako jedna z siedmiu organizacji w całej Unii i jedyna w Polsce. – Moi współpracownicy mówili: to grant dla dużych jednostek, na miliony euro. A ja przeczytałem małym druczkiem, że jeśli nieduża organizacja zaproponuje pomysł wart uwagi, proporcjonalnie mniejszy grant też przyznają. Napisałem wniosek językiem absolutnie nieurzędniczym – taka narracja literacka – i dostaliśmy – wspomina.

Partnerami były m.in. Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej w Białymstoku, Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN oraz Ośrodek Sprawiedliwości Organizacji Pozarządowych.

Grant się skończył, sieć działa nadal. Rekomendacje są gotowe. Opowieść o sukcesie… no właśnie nie do końca.

Dr Grabowski: – Próbuję tym kogokolwiek zainteresować. Nie ma chętnych, bo każdy myśli w kategoriach »do kolejnych wyborów«. A ja mówię do polityków małych i dużych: pamiętajcie, choroba nieuleczalna staje się chorobą przewlekłą. Dzięki dobrej opiece ten człowiek dożyje do kolejnych wyborów. Choćby z tego względu myślcie dalekosiężniej.

Ale bolączka wszystkich – od urbanistyki przez edukację po zdrowie – cywilizacyjnych działań w Polsce, czyli polityczna dojutrkowość, to niejedyny powód, dla którego „model Eliasza" nie funkcjonuje w głównym nurcie.

Doktor Grabowski wskazuje na fundamentalne pęknięcie: – Kiedyś było Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej. Potem to rozdzielono. A zdrowie tylko w 10 proc. zależy od służby zdrowia, w 16 proc. od genów, a w 3/4 od warunków życia, środowiska i relacji. Jeżeli mam to w głowie, to rozumiem, że rozmawiając tylko z lekarzami, nie pomogę. Muszę rozmawiać też z Ośrodkiem Pomocy Społecznej.

Rzecz w tym, że decydenci patrzą silosowo: od tego jest ta instytucja, od tego tamta.

– Jadę do Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, próbujemy zaprosić kogoś z Ministerstwa Zdrowia. Nie przychodzą. Co ich obchodzą rzeczy, które nie należą do zdrowia? Do tych 10 procent? Nie damy człowiekowi zdrowia, jak będziemy myśleć tylko o tym.

Wątek opieki wytchnieniowej – czasowego przejęcia opiekuna domowego przez instytucję – znakomicie odsłania absurd urzędniczego podziału kompetencji. – To jest rzecz, która musi być rozwiązana systemowo, a nie grantami. Opiekun takiej osoby, 24 godziny na dobę – nasz rekordzista zajmował się żoną 15 lat – potrzebuje wsparcia – mówi doktor.

I przekonuje, że finansowanie grantowe, choć bezcenne, jest tylko na określony czas i jest realizowane według konkretnych, niemodyfikowalnych założeń, które zostały opisane we wniosku o grant.

•

Grabowski ukuł też termin „kryptoeutanazja" na opisanie zjawiska, które dotyka pacjentów na wsiach – sytuacji, w której człowiek umiera nie dlatego, że nie dało się go uratować, ale dlatego, że zabrakło dostępu do podstawowej rehabilitacji i opieki.

– Człowiek po udarze mózgu, który w dużym ośrodku trafiłby na rehabilitację, na wsi nie ma żadnego wsparcia poza lekarzem rodzinnym. Leży z tą niesprawną połową ciała. Na pierwsze zapalenie płuca antybiotyk jakoś zadziała, na trzecie już nie i umiera. Chociaż mógłby dalej funkcjonować i całkiem dobrze się wyrehabilitować. To jest zgoda na śmierć, która nie musiała nastąpić – mówi.

Dodaje, że jego hospicjum wcale nie prowadzi uporczywej terapii: – Te dobre rzeczy, które się dzieją, dzieją się tylko przez troskę, pielęgnację, ludzkie traktowanie. U nas sporo osób wypisujemy np. panią z rozsianym nowotworem, z przerzutami, jako chodzącą. Po to mamy rehabilitację, po to mamy fizjoterapię.

Na pytanie, czy wierzy, że ktoś wyciągnie wnioski z tego oddolnego eksperymentu, przywołuje Hegla: – Historia uczy nas jednego – że jeszcze nigdy nikogo niczego nie nauczyła. Ale dodaje: – Pewne procesy muszą się wydarzyć, coś musi zapłonąć i się wypalić. Potraktujcie nas jak laboratorium. Bo szukamy rozwiązań problemów, które resztę Polski dotkną za kilkanaście lat. Myślcie dalej niż kolejne wybory.

Statystyki wojewódzkie zrównują dwa różne światy – białostockie centrum i peryferyjną prowincję – i dają decydentom wygodne alibi, by nie widzieć realnej nierówności. Na peryferiach opieka opiera się także na nieformalnych sieciach, które się wyczerpują. Personel się starzeje, młodzi nie przyjeżdżają, rodziny się rozjechały, sąsiedzi sami bywają bezradni. Kluczowe filary dostępności – rehabilitacja domowa i telemedycyna – są na granicy wydolności albo w praktyce nie istnieją.

Hospicjum Eliasza udowodniło, że da się inaczej i taniej – ale żeby to skalować, państwo musi przestać myśleć resortowo i zacząć myśleć całościowo: łączyć zdrowie, pomoc społeczną i lokalne społeczności w jeden ekosystem.

I chyba na to wskazywał Donabedian, gdy przeszło pół wieku temu w Michigan pisał, że „ostatecznie sekretem jakości jest miłość".

To nie pasuje do żadnej tabeli, bo nie zmieści się w niej sąsiad odśnieżający furtkę, patrol sprawdzający dym z komina, koordynatorka, która wie o klubie seniora w sąsiedniej gminie. Ale na Podlasiu ta właśnie tkanka, złożona z konkretnych ludzi i relacji, okazuje się skuteczną polisą zdrowotną.

Halo Polsko, czy to widzisz? ●

• Artykuł powstał dzięki wsparciu Pulitzer Center, międzynarodowej organizacji dziennikarskiej.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl cce6ce74a6

ŚWIAT

Co żywi zrobili ze śmiercią niewinnych

Świat po 11 września nadal trwa. Trump dostał jego reguły w spadku



• **11.09.2001. Widok na płonące wieże WTC z 37. piętra jednego z budynków kompleksu Waterside Plaza nad rzeką East River**
FOT. LONNIE SCHLEIN/ GETTY IMAGES

Radosław Korzycki

Lato 2001 na świecie nie było spokojne. W Nepalu następca tronu zamordował rodzinę królewską, postrzelił się i na kilka dni został królem, leżąc w śpiączce. Historia jak z Mayerlingu, z mezaliansem w tle, kiedy arcyksiążę Rudolf zastrzelił najpierw kochankę niższego stanu, potem siebie.

W Izraelu trwała druga intifada, zamachowcy wysadzali się w dyskotece w Tel Awiwie i pizzerii Sbarro w Jerozolimie.

W Czeczenii dopiero co inaugurujący swoją epokę Władimir Putin prowadził kolejne „oczyszczania" (ros. zaczistka), czyli pod płaszczem troski o bezpieczeństwo terroryzował ludność cywilną.

W lipcu podczas protestów przeciwko szczytowi G8 w Genui policjant zastrzelił Carla Giulianiego. To był punkt zwrotny i najważniejszy moment w historii ruchu alterglobalistycznego.

A jednak Zachód nadal potrafił układać te wydarzenia w opowieść, którą dało się czytać po Francisie Fukuyamie głoszącym "koniec historii". Nie dlatego, że wojny zniknęły. Fukuyama nigdy zresztą tego nie twierdził. Chodziło o przekonanie, że znamy kierunek ruchu.

Tony Blair po raz drugi wygrywał wybory w landslidzie, Indie i Pakistan siadały do rozmów, Macedonia podpisywała porozumienie z Albańczykami pod patronatem Zachodu, NATO zajmowało się rozbrojeniem Bałkanów, Mołdawia wstępowała do WTO, a obalony w dzieciństwie car Bułgarii wracał do władzy jako demokratycznie wybrany premier.

Konflikty były okropne, ale wyglądały na możliwe do opanowania. Globalizacja zdawała się procesem nieodwracalnym, demokracja liberalna najbardziej oczywistym ustrojem nowoczesnego świata, wojna zaś problemem, którym wspólnota międzynarodowa nauczyła się zarządzać.

O ile historia się nie skończyła, to Zachód miał jednak poczucie, że zna jej logikę, arytmetykę i gramatykę.

Wtorek, 11 września, miałem wolny

Tamto lato spędzałem w Nowym Jorku, który był dla mnie jednocześnie miejscem pracy i przyspieszonego uczenia się świata. Pracowałem w restauracji w Jersey City, jeździłem PATH-em, który przejeżdżał pod World Trade Center, pisałem pierwsze teksty, głównie o sprawach Greenpointu, do polonijnego „Nowego Dziennika". Resztę czasu zabierało mi miasto.

East Village, Alphabet City jeszcze przed całkowitym wypolerowaniem, Hell's Kitchen, teatry z fringe'u, łódki na Long Island, wchłanianie wszystkiego od zmierzchu do świtu, czasem à rebours. Miasto miało też tę właściwość, że człowiek dość szybko przestawał sprawdzać, czy ktoś się przygląda albo ocenia.

11 sierpnia pojechałem do World Trade Center. Na 91. i 92. piętrze Wieży Północnej Lower Manhattan Cultural Council urządziła pracownie dla artystów; miałem opisać jakąś malutką wystawę. W Wieży Południowej działało Top of the World, publiczne obserwatorium: przeszklony taras na 107. piętrze i, jeszcze wyżej, otwarta platforma na dachu. Manhattan oglądało się stamtąd jak trójwymiarową makietę przyszłości. Winda wypluwała człowieka na 107. piętrze po niespełna minucie, uszy zatykało od ciśnienia.

Mam do dziś bilet i zdjęcia z tamtego dnia. Wtedy były pamiątką z udanego lata, do zapomnienia. Miesiąc później stały się śladem i świadectwem do pielęgnacji na resztę życia.

Wtorek, 11 września, miałem wolny. Siedziałem w Bay Ridge, na południowym krańcu Brooklynu, w tej osobnej nowojorskiej krainie szeregowców, dinerów, włoskich piekarni, arabskich sklepów, salonów manicure i medycyny naturalnej, skąd Manhattan jest jednocześnie blisko i bardzo daleko. Tego dnia był przede wszystkim daleko. Dostać się tam nie było jak i właściwie nie było po co próbować.

Zostały telefony. To była jeszcze epoka telefonów: dzwoniło się po kolei do znajomych, sprawdzało, kto poszedł do pracy, kto zdążył dojechać, kto się odezwał.

Sam zamach oglądałem jak ogromna większość świata, z telewizora, dlatego nie mam tytułu, by snuć tu opowieści z pogranicza filmu katastroficznego i melodramatu. Co dokładnie było na ekranie, nie ma sensu po raz kolejny opisywać. Od ćwierćwiecza wylano dość atramentu na sprawę samolotów uderzających w wieżę, ludzi patrzących w górę i moment, kiedy wieże zaczęły się rozsypywać. Nawet Szymborska napisała „Fotografię z 11 września".

Na Brooklyn tymczasem docierał wtedy ostry, gryzący zapach spalonego plastiku, stopionego metalu, elektroniki i betonowego pyłu, zmieszany z duszącym dymem.

Ameryka odpowiedziała bardzo szybko

Później przyszła żałoba. Zdjęcia zaginionych, kwiaty, świece, nazwiska czytane jedno po drugim. Doraźny ludzki odruch, którego nie ma sensu podejrzewać politykę.

Polityczna staje się jednak żałoba publiczna, kiedy wspólnota musi zdecydować, co śmierć jej członków ma znaczyć dla żywych.

Grecy wiedzieli to dobrze. Ateński pogrzeb poległych był instytucją polis. Tukidydes opisuje kości wystawiane przez trzy dni, dziesięć cyprysowych trumien, po jednej dla każdego plemienia, i pusty katafalk dla tych, których ciał nie odnaleziono. Potem pochód, wspólny grób i mowa wybranego przez miasto obywatela. Prywatna śmierć przechodziła na własność wspólnoty.

Perykles w słynnej mowie pogrzebowej nie próbuje tego procesu powstrzymać. Robi coś właściwie odwrotnego. Z poległych buduje argument na rzecz Aten. Mówi o ich ustroju, obyczajach, odwadze i potędze, o mieście, dla którego warto było umrzeć i którego żywi po-

eprasa.pl cce6ce74a6

winni nadal bronić. Publiczna żałoba ma scalić wspólnotę przed następnym etapem wojny.

Tukidydes jest tu zresztą bardziej przewrotny od samego Peryklesa. Chwilę później opisze zarazę i kolejne lata wojny, które wystawią ten idealny obraz Aten na brutalną próbę.

Lincoln w Gettysburgu wykonywał podobny ruch. Śmierć poległych miała zobowiązać żywych do „niedokończonego dzieła". Dlatego nie było przypadkiem, że rok po 11 września przy Ground Zero odczytano właśnie przemowę gettysburską. Część Amerykanów protestowała: Lincoln mówił o żołnierzach, tutaj zamordowano niewinnych cywilów.

Ale samo pytanie było właściwe. Co żywi mają zrobić ze śmiercią niewinnych?

Ameryka odpowiedziała bardzo szybko.

Zamach, który wcześniej zapewne opisano by przede wszystkim językiem przestępczości zorganizowanej, wywiadu, policji i prawa karnego, przesunął się do innej kategorii: wojny.

Różnica nie była semantyczna. Wojna dawała państwu inne narzędzia, inny rodzaj legitymacji i znacznie szerszą tolerancję dla działań, na które w zwyczajnym czasie zgody by nie było.

Kongres dał prezydentowi niezwykle szerokie upoważnienie do użycia siły przeciw sprawcom zamachów i tym, którzy im pomagali. Bush ogłosił „wojnę z terroryzmem" i postawił świat przed wyborem: albo jesteście z nami, albo z terrorystami. Z tego języka wyrosła później doktryna uderzeń wyprzedzających i przekonanie, że bezpieczeństwo Ameryki można zapewnić, przebudowując odległe części świata.

Ameryka zwarła szeregi z intensywnością, która dzisiaj wydaje się niemal egzotyczna. Poparcie dla George'a W. Busha skoczyło do 90 procent. Europa reagowała podobnie. NATO po raz pierwszy w swojej historii uruchomiło artykuł 5.

Procedury lotniskowe

Zachód był przestraszony i, przez krótką chwilę, zadziwiająco jednomyślny.

Strach był zawsze i wszędzie. 12 listopada Airbus American Airlines runął na Belle Harbor w Queens. Pierwsza myśl była oczywista: znowu. Zginęło 265 osób. Ale to nie terroryści, okazało się. Błąd pilota i oderwanie się całego statecznika pionowego.

To, że katastrofę natychmiast odczytano jako kolejny atak, mówi może więcej o tamtej jesieni niż niejedno przemówienie Busha. Od razu eksplodowały spiskowe teorie, bo maszyna runęła na domy strażaków gaszących epokowy pożar 11 września.

Wcześniej, w październiku, uchwalono USA PATRIOT Act. Państwo dostało nowe instrumenty nadzoru, śledzenia przepływów finansowych i zdobywania informacji. Potem przyszły kolejne procedury lotniskowe.

Richard Reid z bombą w bucie doprowadził do obowiązku zdejmowania obuwia. Po udaremnieniu planu wysadzenia samolotów lecących z Wielkiej Brytanii w sierpniu 2006 r. pojawiły się restrykcje dotyczące płynów.

Buty i butelka wody były drobiazgami. Ważniejsza była reguła, którą miliony ludzi ćwiczyły przy każdej podróży: bezpieczeństwo kosztuje część wygody, prywatności, czasem godności. Pozostaje tylko ustalić cenę.

W grudniu pojechałem na studencką konferencję do Belgradu. NATO bombardowało jugosłowiańską wówczas stolicę zaledwie dwa lata wcześniej i Serbowie nie mieli wielkiej ochoty uczestniczyć w zachodniej żałobie. Na ulicach sprzedawano pocztówki z fotomontażami: samoloty i bomby niszczyły Wieżę Eiffla, Big Bena, World Trade Center.

Przekaz był prymitywny, ale czytelny: teraz może zrozumiecie, jak wygląda świat oglądany z dołu.

W mieście dawało się wyczuć Schadenfreude, którego wtedy nie umiałem wpisać w szeroki kontekst. Zachód odkrywał, że dla sporej części świata nie jest niewinnym zwycięzcą zimnej wojny ani bezstronnym administratorem końca historii. Miał własną historię przemocy.

I właśnie zaczynał pisać następny rozdział.

Afganistan miał z 11 września związek bezpośredni

Al-Kaida korzystała z bezpiecznego zaplecza talibów, Osama bin Laden przebywał w Afganistanie albo na pograniczu afgańsko-pakistańskim. 7 października ruszyła operacja „Enduring Freedom", czyli dyplomatyczna nazwa globalnej wojny z terroryzmem, której główny – jak to mówią wojskowi – teatr mieścił się pod Hindukuszem.

Pierwotny cel był zrozumiały: rozbić Al-Kaidę i odebrać jej schronienie. Trudność pojawiła się później, kiedy wojna przeciw organizacji terrorystycznej zaczęła zmieniać się w dwudziestoletnią próbę zbudowania Afganistanu od nowa.

Wróciła stara wiara Zachodu, że instytucje można przywieźć samolotem, państwo zbudować od konstytucji i wyborów, a społeczeństwo po odpowiednim szkoleniu zacznie działać zgodnie z instrukcją. Kabul miał być centrum nowoczesnego państwa, chociaż realna władza rozchodziła się po rodzinach, prowincjach, klanach i lokalnych układach.

Zachód kupował lojalność watażków, tolerował korupcję, budował armię i policję, których liczebność częściowo istniała tylko w dokumentach.

Później sam tam byłem, jako reporter, nad Amu-darią, w Kunduzie i Dżalalabadzie, gdzie przyglądałem się szkoleniu afgańskiej policji. Prowadził je między innymi DynCorp, prywatny amerykański kontraktor.

Kolonialna pewność siebie bywała tam bardziej obnażona. Afgański kadet miał słuchać człowieka z Zachodu, który niewiele wiedział o jego kraju, ale miał pewność, jak powinien wyglądać afgański policjant.

Potem Amerykanie dziwili się, że człowiek upokarzany podczas szkolenia, marnie opłacany i uwikłany w całkowicie inne sieci lojalności potrafił przejść na stronę talibów.

Było w tym spotkanie dwóch prowincjonalizmów: zachodniego przekonania, że własny porządek jest uniwersalny, i świata, którego reguł Zachód długo nie uważał za warte poznania.

Dwadzieścia lat później wszystko skończyło się ucieczką z lotniska w Kabulu i talibami wchodzącymi do stolicy szybciej, niż przewidywały najbardziej pesymistyczne scenariusze. Biden doprowadził do końca wycofanie rozpoczęte porozumieniem negocjowanym przez rząd Trumpa.

Państwo, na którego demokratyzację i okcydentalizację wydano niewyobrażalne pieniądze, rozpadło się w ciągu chwili wraz z odejściem tych, którzy je zbudowali.

Irak był czymś innym

Saddam Husajn nie stał za zamachami z 11 września, przekonujących dowodów na operacyjny związek jego reżimu z Al-Kaidą nie było. Rząd Busha juniora zrobił jednak wiele, żeby oba zagadnienia zrosły się w amerykańskiej wyobraźni w jedno.

Zmieniło się kryterium ryzyka.

Czy po 11 września Ameryka mogła czekać, aż potencjalne zagrożenie stanie się realne?

Stąd broń masowego rażenia, aluminiowe rury, irackie próby kupowania w Afryce koncentratu uranu. Dokumenty dotyczące Nigru okazały się fałszywe, słynne „szesnaście słów" z orędzia Busha nie powinno było się tam znaleźć.

Najbardziej tragiczną figurą tej historii pozostaje dla mnie Colin Powell. Trochę jak Brutus u Szekspira: człowiek, którego reputacja rozsądnego i honorowego była potrzebna, żeby przedsięwzięcie radykałów wyglądało rozsądnie i honorowo.

W lutym 2003 r. stanął przed Radą Bezpieczeństwa ONZ i własnym autorytetem podżyrował informacje wywiadowcze, z których znaczna część później się rozsypała. Nie został po prostu zmuszony do kłamstwa. To zdejmowałoby z niego odpowiedzialność. Miał wątpliwości, sprawdzał część materiału,



FOT. PORTER GIFFORD/CORBIS VIA GETTY IMAGES

• **Ground Zero. Strażak odpoczywa w ruinach WTC. Usuwanie gruzów trwało ponad 8 miesięcy. W 10. rocznicę zamachów, 11 września 2011 r., otwarto tu pomnik upamiętniający ich ofiary – dwie fontanny w obrysach dawnych Twin Towers**

Ruszyła petycja domagająca się, żeby Zohran Mamdani, pierwszy muzułmański burmistrz Nowego Jorku, nie uczestniczył w obchodach rocznicowych przy Ground Zero

był naciskany, a jednak zgodził się być twarzą argumentacji, którą później uważał za plamę na swoim dorobku i honorze.

Inwazja obaliła brutalną dyktaturę i przy okazji rozmontowała irackie państwo. Rozwiązano armię, administrację objęto czystką, próżnię zaczęły wypełniać milicje i przemoc wynikająca z napięć między Sunnitami a Szyitami.

Terroryści dostali w Iraku przestrzeń, której za Saddama nie mieli. Z organizacji Abu Musaba az-Zarkawiego wyrosła najpierw Al-Kaida w Iraku, a później Państwo Islamskie. I to cała ironia dziejów.

Wojna rozpoczęta w politycznym cieniu odpowiedzi na terroryzm stworzyła jedno z najważniejszych środowisk jego dalszego rozwoju.

Jeszcze głębsza zmiana dokonywała się w prawie i wyobrażeniu o państwie.

Guantánamo, Abu Ghraib – koniec rzeczy zakazanych

Jednym z najmocniejszych powojennych przekonań liberalnego świata drugiej połowy XX wieku było przecież to, że istnieją rzeczy zakazane także w dobrej sprawie. Nie wolno torturować. Nie wolno bezterminowo więzić człowieka bez sądu. Nie wolno tworzyć miejsc, w których prawo przestaje sięgać.

Po 11 września zaczęto negocjować granice także tych zakazów.

Guantánamo było najczystszym produktem tej rewizji. Rząd USA stworzył kategorię człowieka wystarczająco niebezpiecznego, żeby zamknąć go na czas nieokreślony, ale nie dość podobnego do zwykłego jeńca, aby przyznać mu pełnię ochrony wynikającej z tradycyjnych reguł wojny.

Irackie więzienie Abu Ghraib odebrało całej konstrukcji prawniczy kamuflaż. Świat zobaczył nagiego więźnia prowadzonego na smyczy, piramidy z ludzkich ciał, psy szczute na zatrzymanych, człowieka stojącego na pudle z kapturem na głowie.

CIA miała równolegle tajne więzienia, extraordinary rendition (nadzwyczajne uprowadzenie w celach śledczych) deprywację snu, wymuszone pozycje i waterboarding.

Mniej więcej wtedy kupiłem na Heathrow niewielką książkę Johna Graya „Al Qaeda and What It Means to Be Modern", czyli „Al-Kaida, czyli co to znaczy być nowoczesnym".

Już sam tytuł wystarczał, żeby podróż transatlantycka zrobiła się trochę bardziej nerwowa. Przy kontroli służby chciały wiedzieć, co właściwie wiozę. Wolumin brano do ręki, zaglądano do środka. „Al Qaeda" wydrukowana dużymi literami na okładce nie była w tamtym czasie neutralnym zestawieniem dwóch słów.

Był w tej scenie cały paradoks epoki. Czytałem książkę o tym, jak nowoczesny jest przeciwnik Zachodu, w świecie, w którym samo czytanie książki z jego nazwą na okładce mogło wyglądać podejrzanie.

Gray uderzał w sam środek optymizmu końca historii. Al-Kaida nie była według niego średniowiecznym reliktem atakującym nowoczesność, lecz jej produktem. Korzystała z globalnych przepływów pieniędzy, ludzi i informacji, z nowoczesnej technologii, z mediów, z otwartych granic. Nawet jej utopizm był nowoczesny: przekonanie, że można zniszczyć zastany świat i ustanowić na jego miejscu porządek zgodny z jedną ideą.

Katrina i Lehman Brothers

Dziś czytam Graya ostrożniej niż wtedy. Między demokratycznym państwem prowadzącym błędną wojnę a organizacją mordującą cywilów nie ma moralnej symetrii.

Jest jednak podobieństwo innego rodzaju, którego nie warto lekceważyć: pokusa wielkiego projektu.

Al-Kaida chciała przebudować świat według zasad własnej utopii. Zachód odpowiedział chwilami przekonaniem, że może przemocą otworzyć drogę do własnej: liberalnej demokracji, rynku, konstytucji, wyborów, społeczeństwa obywatelskiego. W obu przypadkach lokalna historia i opór rzeczywistości miały ustąpić przed projektem całkowicie sztucznym.

Afgański policjant, którego widziałem na szkoleniu, był maleńką figurą tego konfliktu. Ktoś z zewnątrz wiedział lepiej, kim powinien się stać.

Przeciągający się bardziej lub mniej formalny stan wyjątkowy powoli stawał się punktem wyjścia, a kryzys – administracyjną normą. Powstał Department of Homeland Security, czyli dosłownie Ministerstwo Bezpieczeństwa Wewnętrznego (jakie ta nazwa budzi w Polsce

eprasa.pl cce6ce74a6



skojarzenia?), rozrosła się TSA, czyli Agencja Bezpieczeństwa Transportu, a nowe przepisy rozszerzały możliwości inwigilacji. Mężczyzna o arabskiej lub muzułmańskiej tożsamości albo po prostu nieco bardziej z urody orientalny częściej trafiał do osobnej kolejki. Nowojorska policja obserwowała muzułmańskie dzielnice, katalogowała meczety, sklepy i restauracje, przenikała do organizacji studenckich.

Rozwiązania przedstawiane jako nadzwyczajne nie zniknęły wraz z pierwszym szokiem. Edward Snowden pokazał w 2013 r., jak bardzo zdążyły stać się normalnością.

W 2005 r. huragan Katrina i będąca konsekwencją jego uderzenia powódź w Nowym Orleanie pokazały państwo bezradne nawet wobec katastrofy na własnym terytorium. Na własne oczy widziałem gehennę powodzian, przeważnie Afroamerykanów, którzy potem zainicjowali największą od Wielkiego Kryzysu migrację po kraju. W 2008 r. Ameryka była już zmęczona epoką, która zaczęła się siedem lat wcześniej. Bush, wyniesiony po 11 września do nieprawdopodobnego poziomu poparcia, kończył prezydenturę jako jeden z najbardziej niepopularnych prezydentów współczesnej Ameryki. Wojny się ciągnęły, Irak pozostawił traumę, noblista Joseph Stiglitz liczył strukturalne koszty dla następnych pokoleń, katastrofa Katriny domykała obrazu.

I wtedy zawalił się bank Lehman Brothers.

Drugi wielki wstrząs tego stulecia nie miał twarzy brodatego terrorysty w górach Afganistanu. Tym razem zagrożenie siedziało na Wall Street, nosiło bajecznie kosztowny garnitur i najwyraźniej samo nie rozumiało maszynerii, którą zbudowało.

Po 11 września Amerykanie nauczyli się bać obcych. Po Lehmanie zaczęli bać się także własnych elit finansowych.

Barack Obama i dron

Wieczorem 4 listopada 2008 r. byłem w Grant Park w Chicago. W tłumie natknąłem się na Oprah Winfrey, tak podekscytowaną zwycięstwem pierwszego afroamerykańskiego prezydenta, że przez chwilę nie potrafiła znaleźć kilku słów komentarza do newsowego tekstu.

Scenografia historii tym razem wyglądała perfekcyjnie. Po wojnach, torturach i krachu finansowym kraj wybierał młodego – Barack Obama miał wtedy 47 lat – wielorasowego, kosmopolitycznego prezydenta mówiącego o rozumie, pojednaniu i odbudowie instytucji.

Przez chwilę można było pomyśleć, że Ameryka właśnie dokonała korekty kursu.

Obama rzeczywiście próbował część kursu zmienić. Zakazał CIA najbardziej kontrowersyjnych metod przesłuchań, zapowiedział zamknięcie Guantánamo, próbował odbudować relacje z sojusznikami, których zaufanie po Iraku zaczęło erodować.

Ale objął urząd, w którym przez osiem poprzednich lat nagromadziły się nowe narzędzia władzy. I sam odkrył coś, co w historii państw zdarza się regularnie: kompetencje nadzwyczajne znacznie łatwiej stworzyć niż oddać.

Guantánamo nie zamknął. Do Afganistanu wysłał dodatkowe dziesiątki tysięcy żołnierzy. Rozszerzył użycie dronów i zabójstw celowanych. W 2011 r., za jego prezydentury i na jego rozkaz, amerykańscy komandosi zabili Osamę bin Ladena w Abbottabadzie.

Kilka miesięcy po jego śmierci amerykański dron zabił w Jemenie Anwara al-Awlakiego, obywatela Stanów Zjednoczonych, bez należytego procesu, gwarantowanego przez 5. Poprawkę do konstytucji USA.

Nie trzeba z tego robić aktu oskarżenia przeciw Obamie. Ciekawsze jest pytanie, dlaczego prezydent, który przychodził jako konstytucjonalista i krytyk poprzedniej administracji, zachował tak dużą część odziedziczonej architektury.

Odpowiedź częściowo brzmi: ponieważ działała. Dron był politycznie łatwiejszy niż wysłanie oddziału, nadzór łatwiejszy do obrony niż ryzyko kolejnego zamachu, Guantánamo łatwiej było obiecać zamknąć niż znaleźć politycznie akceptowalne rozwiązanie dla wszystkich znajdujących się tam więźniów. A kolejne wybory trzeba było wygrać.

Facebook i Twitter, wrota polaryzacji

Ale epoka Obamy odsłoniła także drugi problem. Amerykańska demokracja coraz gorzej przekładała umiarkowane polityczne zamiary na trwały kompromis.

Najlepszym przykładem jest Obamacare. Nie była rewolucją ani próbą zbudowania europejskiej publicznej ochrony zdrowia, lecz skomplikowanym kompromisem skrojonym pod amerykańskie warunki: zachować prywatnych ubezpieczycieli, rozszerzyć dostęp do polis, chronić ludzi z istniejącymi wcześniej chorobami, dofinansować tych, których nie stać na składki, rozszerzyć Medicaid.

Był to mniej więcej najbardziej umiarkowany wariant poważnej reformy, jaki w tych warunkach dało się sobie wyobrazić.

A jednak stał się przedmiotem wojny ustrojowej i plemiennej. Kongres, stany, sądy, prezydent, kolejne wybory: każda część amerykańskiej konstrukcji państwowej dawała przeciwnikom reformy kolejne miejsce, w którym można było ją zatrzymać, okroić albo zakwestionować. Problem, który w innych demokracjach byłby przedmiotem sporu o koszt i technikę, w Ameryce stał się kolejnym pytaniem o tożsamość.

Obama mierzył się przy tym z przemianą, na którą prezydent właściwie nie miał narzędzi.

Dawna przestrzeń medialna, przy wszystkich jej wadach, miała wspólne bramy wejściowe. Kilka telewizji, gazety, lokalne media, wspólny zestaw faktów, o które potem można się było spierać. W epoce Obamy coraz większa część debaty przenosiła się na prywatne platformy, których model biznesowy premiował wzmożoną uwagę, pobudzenie i konflikt.

Facebook i Twitter nie stworzyły amerykańskiej polaryzacji. Dały jej jednak nową infrastrukturę.

Obama, który sam okazał się fenomenalnie nowoczesnym kandydatem internetowym, był zarazem prezydentem epoki, w której wspólna przestrzeń rozmowy zaczęła się rozpadać szybciej, niż instytucje potrafiły to zrozumieć.

Człowiek odpowiedzialny za 11 września już nie żył. Polityczny świat zbudowany po jego zamachach działał dalej.

Tymczasem kryzys, który miał ten świat ponownie przestawić, rozwijał się z dala od Pentagonu.

Wieczór wyborczy w sztabie Hillary Clinton

Niedługo po drugich wyborach Obamy jeździłem z reportażem przez Atlantic City, Filadelfię, peryferia Ohio i Indiany oraz Chicago. Zaczynała się trzecia fala epidemii opioidowej. Do heroiny i leków przeciwbólowych dołączał nielegalnie produkowany fentanyl.

Na miejscu nie wyglądało to jak statystyka zdrowia publicznego. Bardziej jak rozpad świata.

Ludzie mieli za sobą zamykane fabryki, kryzys hipoteczny, bezrobocie i ratowanie banków. Coraz łatwiej było uwierzyć, że państwo potrafi znaleźć terrorystę na drugim końcu świata, a gorzej radzi sobie z tym, co dzieje się kilka ulic od domu.

Trump nie wyrósł z 11 września. Taka genealogia byłaby za prosta.

Bez kryzysu 2008 r., deindustrializacji, epidemii opioidowej, przemian demograficznych, rasowej reakcji na prezydenturę Obamy, internetu i wieloletniego spadku zaufania do elit nie da się wytłumaczyć roku 2016.

11 września zostawił jednak gotowy język. Wróg jest niebezpieczny, sytuacja wyjątkowa, zwyczajne reguły mogą nie wystarczyć. W imię bezpieczeństwa trzeba czasem zrobić coś, czego normalnie robić nie wolno. Kolejne katastrofy dołożyły do niego drugie przekonanie: ludziom zarządzającym kryzysem nie można ufać.

Trump połączył te dwa doświadczenia.

Przed wyborami 2016 r. zobaczyłem coś z tego w małym akademickim Lewisburgu w Pensylwanii. Trumpa nie tylko tolerowano. Jego się lubiło. O Hillary Clinton mówiono: „zamknąć ją w więzieniu".

Nie zrobiłem z tego wielkiej prognozy. Powinienem był przynajmniej zapamiętać dysonans.

Wieczór wyborczy spędzałem w centrum kongresowym Javitsa w Nowym Jorku. Sztab Clinton przygotował się na zwycięstwo pod szklanym sufitem, nazbyt czytelną metaforą pierwszej kobiety-prezydenta. Wraz z napływem wyników metafora się rozpadła. Nie pamiętam drugiego wydarzenia politycznego, podczas którego oczekiwanie triumfu tak szybko zamieniło się w atmosferę pogrzebu.

Runął „niebieski mur", czyli stany, które miały już zawsze głosować na demokratów: Pensylwania, Michigan i Wisconsin. Zaczynało się przegrupowanie wyborcze.

Trump wnosił do niego także coś starszego. Język nadzwyczajnego zagrożenia zachował prawie w całości. Zmienił adres wroga.

Wróg nie siedział już przede wszystkim w jaskini pod Hindukuszem. Był w Waszyngtonie, mediach, na uniwersytetach, wśród imigrantów, czasem przy urnie wyborczej.

Język wojny z wrogiem zewnętrznym został przeniesiony do polityki wewnętrznej.

To właśnie wydaje mi się jednym z najważniejszych, choć niezamierzonych dziedzictw 11 września. Ameryka przez lata ćwiczyła myślenie w kategoriach zagrożenia nadzwyczajnego: istnieje przeciwnik, który nie uznaje naszych reguł, zatem nasze reguły mogą się okazać niewystarczające.

Bush stosował tę logikę przede wszystkim wobec terroryzmu i w polityce zagranicznej. Trump zastosował ją wobec Amerykanów.

Najłatwiej zobaczyć to na islamofobii.

Zohran Mamdani wyproszony z Ground Zero

Obecny prezydent jej nie stworzył. Dostał ją w spadku po 11 września. Podejrzliwość wobec muzułmanów stała się wtedy zarówno społecznym odruchem, jak i praktyką państwa. NYPD, czyli nowojorska policja, przez lata prowadziła program obserwacji muzułmańskich społeczności. Funkcjonariusze katalogowali meczety i restauracje, pojawiali się w organizacjach studenckich, obserwowali ludzi, wobec których nie istniało podejrzenie popełnienia przestępstwa.

Po 11 września Amerykanie nauczyli się bać obcych. Po Lehmanie zaczęli bać się także własnych elit finansowych.

Trump zrozumiał, że ten sam lęk można wyjąć z gabinetów służb i zrobić z niego politykę masową.

W kampanii 2016 r. opowiadał, że 11 września widział w telewizji „tysiące" muzułmanów wiwatujących w Jersey City, gdy waliły się wieże. Była to ewidentna nieprawda.

Dla mnie jest w tej historii dodatkowa ironia. Jersey City było przecież miejscem, do którego latem 2001 r. jeździłem do pracy. Zwyczajny kawałek metropolii został piętnaście lat później przepisany na dekorację legendy o wewnętrznym wrogu.

W grudniu 2015 r. Trump kandydat zażądał „całkowitego i kompletnego" wstrzymania wjazdu muzułmanów do Stanów Zjednoczonych. Jako prezydent przełożył tę obietnicę na zakaz wjazdu obejmujący obywateli szeregu państw, przede wszystkim muzułmańskich. Po kolejnych przeróbkach Sąd Najwyższy utrzymał go w 2018 r.

Zmiana była większa niż sam zakaz. Podejrzany nie musiał już niczego zrobić. Wystarczało należeć do kategorii ludzi, spośród których może wyłonić się wróg.

Ćwierć wieku później ta figura pozostaje zadziwiająco żywa.

Zohran Mamdani został w zeszłym roku pierwszym muzułmańskim burmistrzem Nowego Jorku. Przed 25. rocznicą zamachów ruszyła petycja domagająca się, żeby nie uczestniczył w uroczystościach przy Ground Zero. Nie ma żadnego oficjalnego zakazu, a urzędujący burmistrzowie tradycyjnie biorą udział w obchodach.

Mamdani zapowiedział, że przyjdzie. Część rodzin ofiar chce, żeby został w domu, wskazując na jego poglądy na Izrael i wcześniejsze wypowiedzi. Inni krewni ofiar nazwali próbę wykluczenia go islamofobiczną.

Spór jest pozornie mały. Jedna petycja, jedna uroczystość i spór, czy wierzący w Allaha burmistrz powinien na niej być. Ale wraca w nim pytanie, które pojawiło się natychmiast po zamachach: co śmierć tych ludzi mówi o wspólnocie żywych.

Perykles z poległych budował opowieść o Atenach, Lincoln w Gettysburgu o Stanach jednoczących się na nowo po wojnie domowej. Po 11 września Amerykanie także musieli sobie odpowiedzieć, co właściwie się wydarzyło i czego od tej chwili wymaga od nich wspólnota.

Tamta odpowiedź weszła głęboko w porządek polityczny. Zagrożenie uzasadniało odtąd rzeczy, na które wcześniej trudniej było się zgodzić. Wspólnota miała też uważniej pilnować własnych granic i ludzi, którzy się przy nich pojawiają.

Wojna może się skończyć, a ustanowione podczas niej przepisy z czasem zniknąć. Trudniej pozbyć się reguł, które wojna zostawia w głowach.

Trump wszedł w świat już według tych reguł urządzony. Przesunął tylko podejrzenie do wewnątrz. Wróg nie musiał już przychodzić z daleka. Mógł mieszkać obok, być obywatelem, a nawet wygrać wybory na burmistrza Nowego Jorku.

11 września nie wymyślono stanu wyjątkowego ani polityki strachu. Sprawił jednak, że ich logika zadomowiła się w samym centrum liberalnego Zachodu.

Świat, który zaczął się tamtego ranka, nadal trwa. Jego pierwsze wojny należą już do historii, ale reguły okazały się trwalsze. Jedna z nich jest szczególnie nieprzyjemna: kiedy pojawia się strach, wspólnota zaczyna na nowo rozstrzygać, kto naprawdę do niej należy.

eprasa.pl cce6ce74a6

Biały Dom potyka się o własną teorię spiskową

Im bardziej Puchatek zaglądał do środka...

Po cichu część administracji Trumpa dochodzi do wniosku, że przesadzili z demontażem Departamentu Stanu

Anne Applebaum



Administracja Trumpa przygotowywała się do tego przez niemal półtora roku.

Polityczni nominaci w Departamencie Stanu przeszukiwali stare akta i bazy danych. Urzędników informowano, że ich prywatne e-maile zostaną przeanalizowane. Darren Beattie, ówczesny podsekretarz stanu do spraw dyplomacji publicznej – a przy okazji założyciel serwisu szerzącego teorie spiskowe – wysłał prośbę o dostarczenie akt wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek z Global Engagement Center, rozwiązaną agencją, która tropiła dezinformację, w tym pracowała nad ujawnianiem kampanii propagandowych Rosji, Chin, Iranu i innych krajów na świecie.

Ale na tym dociekliwość Beattiego się nie kończyła. Poszukiwał informacji o Billu Gatesie, o Billu Kristolu, nestorze republikańskiej publicystyki, który został krytykiem MAGA; o Chrisie Krebsie, byłym dyrektorze Agencji do spraw Cyberbezpieczeństwa i Bezpieczeństwa Infrastruktury; o jednym z niemieckich ministrów; o zajmującej się dezinformacją analitycznce Renee DiResta; o ludziach związanych z Election Integrity Partnership, projektem badającym manipulacje wyborcze, od fake newsów po brudne chwyty administracyjne czy regulacyjne. Oraz o mnie.

Śledztwo miało ujawnić „kompleks przemysłu cenzury" przy administracji Bidena, sieć wpływowych ludzi nauki, biznesu i polityki, którzy skrzyknęli się, by tłumić wolność słowa w Ameryce.

Od wyborów prezydenckich 2020 roku internetowe trolle oskarżają urzędników Bidena, platformy społecznościowe oraz naukowców o spisek mający odebrać głos i zdyskredytować ludzi o poglądach konserwatywnych czy prawicowych. Zaś od początku 2025 roku, gdy Trump ponownie objął władzę, ideolodzy MAGA wykorzystują ów rzekomy spisek jako pretekst do rozmontowania programów rządowych, do tłumienia badań, zastraszania obywateli, a nawet do przebudowy amerykańskiej polityki zagranicznej.

A jednak przez półtora roku nikt nie zdołał udowodnić, że spisek istniał. Jak bańka mydlana, która pryska po muśnięciu dłonią: „kompleks przemysłu cenzury" należy do tej kategorii spraw, które znikają, gdy przyjrzymy się im dokładnie.

To krępujące tym bardziej, że politycy i sojusznicy MAGA naprawdę starali się znaleźć dowody. Za Bidena z przekonaniem wnosili liczne pozwy mające ujawnić cenzurę. Żadnemu to się nie udało.

Sprawa wniesiona przez prokuratora generalnego Missouri, trafiła aż do Sądu Najwyższego – a tam sędziowie poprosili o dowody, że rząd kogoś cenzurował. Pozywający nie zdołali ich dostarczyć.

Inna, wniesiona przeciwko projektowi badawczemu Uniwersytetu Stanforda przez America First Legal – zespół neokonserwatywnych i alt-rightowych prawników, prowadzony przez doradcę Trumpa Stephena Millera, tego samego, który nadzoruje „szeryfów migracyjnych" z ICE – została oddalona, gdy proces dowodowy przeprowadzony przez sąd na żądanie powodów nie dostarczył żadnych dowodów, żeby uczelnia kogoś ocenzurowała.

Ba – niektóre sprawy przeciwko administracji Bidena rozstrzygnął negatywnie sam obecny Departament Sprawiedliwości, obsadzony ludźmi Trumpa.

•

Po miesiącach poszukiwań następczyni Beattiego, Sarah Rogers, zdecydowała się ujawnić wyniki dochodzenia sprawie GEC. Ale zamiast napisać raport, pozwoliła, by dokumenty wybiórczo wyciekły do internetowego trolla DataRepublican. W serwisie X pod tym pseudonimem występuje Jennica Pounds, influencerka przedstawiająca się jako analityczka, która ma za sobą historię błędnego odczytywania danych i łączenia oderwanych faktów w teorie spiskowe.

Plan się nie powiódł: po otrzymaniu od Rogers surowych dokumentów, w tym zrzutów ekranu bez kontekstu, Pounds uznała, że podsekretarz stanu również jest agentką „Deep State", „głębokiego państwa", i odmówiła ich ujawnienia.

Więc Rogers opublikowała dokumenty sama na X. Z postu wysokiej funkcjonariuszki dowiedzieliśmy się, że fakty są wstrząsające. Oto znaleziono urzędnika GEC, który kilkanaście razy wymieniał maile z Uniwersytetem Stanforda, w większości w sprawie rosyjskich kont.

Sekretarz stanu opublikowała też krótki fragment zeznań Daniela Kimmage, zastępcy koordynatora GEC, który wyjaśniał w Kongresie, że centrum stworzono do zwalczania zagranicznej dezinformacji, a nie amerykańskich mediów. Rogers skomentowała, że „to było kłamstwo".

W kilku wpisach odniosła się do projektu badawczego Stanforda, biorąc pierwszą lepszą liczbę i sugerując, że badacze w jakimś niecnym celu wybrali ponad 400 000 tweetów. W rzeczywistości jedynie odnotowali ich istnienie, nie przed rzekomo sfałszowanymi wyborami prezydenckimi, a po nich, i nie w jakimś zasnutym dymem z cygar pomieszczeniu, lecz w raporcie akademickim, który wciąż jest publicznie dostępny i który wielokrotnie publicznie cytowano.

Rogers skrytykowała także inny publiczny raport, napisany wspólnie przez USA, Wielką Brytanię, Kanadę, Niemcy, Słowację i UE, a badający „dezinformację o podłożu płciowym". Co brzmi bardzo „woke", dopóki nie uświadomimy sobie, że deepfake porno i zorganizowana mizoginia to taktyki stosowane wobec kobiet polityczek niezależnie od ich przynależności partyjnej czy światopoglądu – od postępowej Annaleny Baerbock, byłej niemieckiej ministry spraw zagranicznych z ramienia Zielonych, po konserwatywną i wywodzącą się z alt-rightu Giorgię Meloni, premierkę Włoch. A reżim w Teheranie, z którym administracja Trumpa walczy „w imieniu wolnego świata", wykorzystuje to narzędzie do nękania irańskich dysydentek na całym świecie.

Rządy demokratyczne byłyby niekompetentne, gdyby nie próbowały nadążać za metodami rodzimych szkodników i obcej agentury próbującej zdestabilizować państwo. Ale nawet jeśli nie przeszkadza ci nękanie kobiet polityczek, nadal trudno uznać, że publikacja raportu w dziewięciu językach dowodzi istnienia tajnego kompleksu przemysłu cenzury tłumiącego poglądy Amerykanów.

„Watergate to raczej nie było", jak kwaśno komentuje Orna Blum, była urzędniczka Departamentu Stanu. A jeśli skandal nie był Watergate, Rogers nie jest Bobem Woodwardem – odważnym reporterem ujawniającym machinacje prezydenta i służb. Jest urzędniczką, która wrzuciła surowe dane do internetu, interpretując je wedle uznania, a co gorsza – bez zastanowienia, czy ktoś nie ucierpi i jakim amerykańskim interesom to zaszkodzi.

•

W normalnym świecie saga z „GEC papers" zostałaby zbyta machnięciem ręką jako absurd, w najlepszym razie burza w szklance wody. Ale żyjemy w świecie, w którym raz przyjęte ideologiczne założenie musi zostać dowiedzione – i to ma konsekwencje dla prawdziwych ludzi.

Rok po zamknięciu agencji, która tropiła dezinformację i kampanie propagandowe Rosji, Chin i Iranu na świecie, Departament Stanu poszukuje specjalistów, którzy „ocenią, jak rządy zagraniczne i organizacje sponsorowane przez państwa wykorzystują komunikację cyfrową, by wpływać na opinię publiczną"

W kwietniu 2025 – czyli nawet nie czekając na wyniki śledztwa w sprawie „kompleksu przemysłu cenzury" – Marco Rubio ogłosił, że zamyka GEC, ponieważ „wydało miliony dolarów na aktywne uciszanie i cenzurowanie głosów Amerykanów, którym miało służyć". Tak jakby nowy sekretarz stanu nie wiedział, że GEC było jedyną instytucją w rządzie USA, która śledziła wrogie międzynarodowe operacje w publicznej przestrzeni informacyjnej i miała sukcesy, choćby ujawniając siejące dezinformację strony w Afryce lub Ameryce Łacińskiej, które wydawały się lokalne, a były prowadzone przez Moskwę lub Pekin.

Oświadczenie Rubio oczerniło osoby pracujące nad tymi ważnymi raportami. Czy sekretarz stanu teraz przeprosi tych ludzi? Zrekompensuje im straty moralne i materialne? Zatrudni ich ponownie?

Zamknięcie GEC wyrządziło też szkody systemowe: już nie wykonuje tej pracy. USA udają, że nie dostrzegają, kto i po co prowadzi zwodnicze kampanie, które – jak te wiralowe animacje z wykorzystaniem Lego - docierają do milionów ludzi na całym świecie. Amerykanie nie robią już nic, by aktywność Rosji, Chin i Iranu powstrzymać albo chociaż na nią odpowiedzieć.

Ale nie tylko amerykańska polityka zagraniczna została zniszczona. Po serii kosztownych pozwów oraz publicznym nękaniu Stanford też zakończył projekty monitorowania internetu. DiResta, jedna z najbardziej znanych badaczek w tej dziedzinie, opuściła uniwersytet. Ucierpiały też inne projekty badawcze w całym kraju, gdyż donatorów uniwersytetów, a w ślad za nimi rektorów, odstraszyły groźby trumpistów. Którzy w imię powstrzymania „cenzury" i obrony wolności słowa tę wolność ograniczyli.

Jakby ta nieszczęsna teoria spiskowa nie wyrządziła dość szkód w kraju, mandaryni z Departamentu Stanu stawiają „kompleks przemysłu cenzury" w centrum amerykańskiej polityki zagranicznej wobec Europy. Na konferencji w Hudson Institute wiosną zeszłego roku Rogers powiedziała, że „klasa cenzury" już „wyjechała do Europy", by zza oceanu realizować wendetę wobec porządnych.

Na tym samym wydarzeniu senator Eric Schmitt z Missouri – który w poprzedniej roli prokuratora generalnego stanu wniósł pozew przeciwko Stanfordowi i wspierał prawne inicjatywy podważające uczciwość wyborów 2020 r. – oświadczył, że „jesteśmy świadkami głęboko niepokojącego ataku na wolność słowa" w Europie.

Te poglądy kształtują amerykańską politykę w Europie. Pod koniec zeszłego miesiąca Departament Stanu przedstawił plan wydania 4 milionów dolarów na wsparcie prawicowych mediów w Europie, w tym konsorcjum „niezależnych dziennikarzy", którzy mieliby lansować poglądy administracji Trumpa na świat.

Równocześnie USA nałożyły ograniczenia wizowe na Thierry'ego Bretona, byłego unijnego komisarza, który obecnie jest osobą prywatną, za jego rolę w tworzeniu Digital Services Act, europejskiego prawa mającego chronić nieletnich w sieci, zapewniać przejrzystość algorytmów i reklamy celowanej oraz zapewniać, że zachowania w internecie są zgodne z obowiązującym prawem. Nałożyły także sankcje na czterech europejskich badaczy, którzy prowadzili kampanię na rzecz ustawy o usługach cyfrowych lub przeciwko mowie nienawiści – co sprowadza się do tego, że ukaraliśmy ich za wolność słowa w imię promowania wolności słowa.

•

Z opóźnieniem i po cichu, niemniej nawet część administracji Trumpa dochodzi do wniosku, że to wszystko poszło za daleko i że być może faktycznie byłoby pomocne, gdyby rząd USA zrozumiał, jak wrogie stolice próbują manipulować internetem.

W maju Departament Stanu ogłosił przetarg na programistów, którzy mogliby pomóc analizować „zagraniczną propagandę przeciwnika", podejmując misję Global Engagement Center. A w sierpniu Departament Stanu opublikował ogłoszenie o pracy dla analityków badawczych, którzy potrafią „ocenić, jak rządy zagraniczne, organizacje sponsorowane przez państwo, grupy terrorystyczne i inni złośliwi aktorzy wykorzystują media społecznościowe i komunikację cyfrową, by wpływać na opinię publiczną i docelowe grupy odbiorców".

Jak w tym tygodniu napisała DiResta: „zatrudniają ludzi do wykonywania tej samej pracy, którą przez 16 miesięcy nazywali spiskiem". Zmarnowano tyle czasu, energii i pieniędzy na realizację fikcji. A teraz będzie trzeba poświęcić jeszcze więcej czasu, energii i pieniędzy na sprzątanie szkód. ● **Anne Applebaum**

1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6



– Kiedyś winobranie zaczynaliśmy najwcześniej w połowie września, a zdarzało się, że w październiku. W tym roku zaczynamy pod koniec sierpnia. Deszcz nie padał od 15 maja – mówi właściciel winnicy w południowo-wschodniej Francji

Pierwszego dnia wandażu trzeba zdecydować: kolana czy kręgosłup. Cokolwiek się wybierze, i tak będzie bolało.

ROZMOWY

PRZY ZBIERANIU WINOGRON

Krystyna Romanowska

Francuzi mówią *les vendanges* – winobranie, ale nie tylko w znaczeniu samego zbierania winogron. To jedna z ostatnich prac w nowoczesnej Europie, podczas których bardzo nowoczesny człowiek dobrowolnie wchodzi na kilka dni w organizację życia właściwie przedindustrialną.

Wstaje razem ze słońcem, jest zależny od pogody. Pracuje fizycznie obok innych. Je wtedy, kiedy grupa kończy pracę. Wieczorem jest potwornie zmęczony. Następnego dnia robi dokładnie to samo. Efektem nie jest abstrakcyjny, korporacyjny produkt, tylko coś konkretnego, co Francuzi (i inni) później postawią na stole.

Praca w winnicy, zwożenie gron, tłoczenie soku, wspólne posiłki i życie ekipy podporządkowane jednemu celowi – zebrać wszystko w odpowiednim momencie. Po kilku dniach człowiek sam zaczyna mówić po prostu „wandaż".

Pierwszego dnia wandażu trzeba zdecydować: kolana czy kręgosłup. Zresztą cokolwiek się wybierze, i tak będzie bolało.

Po pięciu dniach okazuje się, że najlepsza pozycja do ścinania winogron to ta ćwiczona tu od wieków – winorośl uprawia się tu od czasów rzymskich – czyli szeroki przyklęk na jedno kolano, jeżeli idziesz rzędem w górę, i ślizganie się na pupie, jeżeli idziesz w dół.

Płacisz za to bolącym kolanem, ale to jeszcze da się znieść. Wszystkie inne konfiguracje – pochylanie się nad krzakiem na ugiętych nogach, kucanie, zginanie się – kończą się tak samo: *mal au dos* (ból pleców).

Najlepszy krzak to taki, na którym jest mało liści, a winogrona wiszą w kilku porządnych kiściach, nie w malutkich na samym dole, po które trzeba się mocniej schylać – wydatek energii i ból kręgosłupa są wtedy niewspółmierne do efektu.

Najgorsze są kiście zaplątane w druty: obracasz je, zaglądasz z jednej strony, z drugiej i nie możesz znaleźć miejsca, z którego właściwie wyrastają.

Poziom cukru w winogronach

Mała winnica w regionie Rhône-Alpes słynącym z *cerdon* – lekkiego, różowego, naturalnie musującego wina mającego około 8 procent alkoholu. W niedzielę od dziesięcioleci pije się je tutaj do *galette*, prostego drożdżowego ciasta z masłem i cukrem na wierzchu. *Cerdon* chętnie piją też Amerykanie i Japończycy.

– Na szczęście Trump zmniejszył cła, bo rok temu strach padł na producentów wina – mówi 65-letni Gilles, z wykształcenia informatyk, który porzucił pracę w IBM, żeby zostać *vigneron*, winiarzem.

– Moje 35. winobranie – wylicza. – Kiedyś zaczynaliśmy najwcześniej w połowie września, zdarzało się, że dopiero w październiku. W tym roku zaczynamy pod koniec sierpnia. Deszcz nie padał od 15 maja.

Jego największym zmartwieniem jest teraz poziom cukru w winogronach – kiedyś nie do pomyślenia. Przy takiej pogodzie grona dojrzewają inaczej niż jeszcze 20 lat temu, a od proporcji cukru i kwasowości zależy przecież to, czym *cerdon* jest: lekkim, świeżym winem o niewielkiej zawartości alkoholu.

Termin zbiorów przestaje więc być wyznaczany przez kalendarz. Dawniej służyła temu instytucja *ban des vendanges* – oficjalnie ustalany termin rozpoczęcia zbiorów. Nie był to wyłącznie folklor. Chodziło o gospodarkę i kontrolę społeczną. Zbyt wczesny zbiór mógł obniżać jakość wina, a właściciele konkurowali między sobą o robotników. Jednoczesne rozpoczęcie zbiorów pozwalało regulować cały lokalny system.

Kiedy Gilles zaczynał, winorośl budziła się w maju

Najmłodsze pokolenie, czyli 40-latkowie, nie słyszało o czymś takim. Dzisiaj termin zależy po prostu od pogody, która coraz częściej zmusza winiarzy do podejmowania decyzji wcześniej, niż robili to ich ojcowie i dziadkowie.

Kiedy Gilles zaczynał jako właściciel winnicy, winorośl po porządnej, chłodnej zimie budziła się dopiero w maju, później przychodziło kilka dni słońca, trochę deszczu, znowu słońce, a na winogrona czekało się czasem do końca września, żeby zdążyły nabrać cukru.

Dzisiaj problem bywa odwrotny: ciepły luty albo marzec uruchamiają wegetację za wcześnie, potem przychodzi przymrozek i w jedną noc zabiera młode pędy, a latem zamiast dawnego rytmu pogody są tygodnie deszczu albo 40-stopniowy upał.

Winogrona dojrzewają szybciej, mają więcej cukru, więc trzeba zbierać je wcześniej, żeby zachować charakter tutejszego wina.

Pierwszą zmianę Gilles poczuł około 2000 roku, a po wielkiej suszy w 2003 zrozumiał, że nie chodzi o jeden dziwny sezon.

Od 2017 roku nie miał ani jednego pełnego plonu: czasem 40 proc., czasem połowę. W 2024 roku stracił wszystko. W tym roku właściwie się cieszy: zebrał – przeliczając na sok – 25 tys. litrów, czyli połowę tego, co zbierał w latach 90.

Jego zdaniem za 10 lat znaczna część Francji może już nie produkować wina; zostaną ci, którzy mają wodę, płaski teren i możliwość nawadniania.

Tutaj, na stromych wapiennych zboczach Cerdon, takiej możliwości właściwie nie ma, bo nie da się podlewać gór.

Młodzi już odchodzą, bo po kilku sezonach, w których inwestujesz pieniądze, pracę i całe życie, a potem jedna noc mrozu albo kilkanaście minut gradu zabiera wszystko, rodzina zaczyna pytać: po co właściwie to robisz?

Kiedyś Gilles biegał po winnicy, próbował ratować rośliny, palił ogniska przeciw przymrozkom, walczył. Teraz patrzy. Chociaż nie – w tym roku po raz pierwszy zdecydował się na „rolnicze SPF": oprysk krzewów zawiesiną węglanu wapnia. Po wyschnięciu zostaje na liściach i gronach jasny, mineralny film, który odbija część promieniowania słonecznego i sprawia, że owoce mniej się nagrzewają.

Chodzi przede wszystkim o ochronę przed poparzeniem słonecznym – owoce wystawione przez wiele godzin na ostre słońce mogą się przegrzać, pomarszczyć, zaschnąć na krzaku albo zwyczajnie się ugotować.

eprasa.pl cce6ce74a6

Jeszcze niedawno jednym z zadań winiarza było odsłanianie gron i usuwanie części liści, żeby winogrona dostały więcej słońca i lepiej dojrzewały. Dzisiaj podczas fal upałów jest dokładnie odwrotnie: trzeba kombinować, jak dać im trochę cienia.

Dyskusje w rzędzie

Ścinam winogrona w rzędzie obok bliźniaków: Brice'a i Tomasa, rocznik 2005. Pierwszy jest anarchistą.

– Nazwijmy rzecz po imieniu: terrorystą – precyzuje jego brat.

Tomas nazywa siebie demokratą i obrońcą wolności.

– Problem jest prosty – mówi Brice, nie podnosząc głowy znad krzaka. – Bogaci są coraz bogatsi, biedni coraz biedniejsi. Słyszałeś Manon Aubry [europosłankę La France insoumise, współprzewodniczącą grupy Lewicy w Parlamencie Europejskim]? „Nie wystarczy opodatkować bogatych. Trzeba zakazać miliarderów". Wreszcie ktoś powiedział to wprost.

– Tak. A miliarderów nazwała „szkodnikami". Świetnie. Następnym razem ustalimy, od jakiej kwoty człowiek staje się szkodnikiem.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. Panot [Mathilde Panot, przewodnicząca klubu parlamentarnego La France insoumise w Zgromadzeniu Narodowym] powiedziała to lepiej: bogaci dokonali secesji. Korzystają z państwa, infrastruktury, szkół, ludzi, których to państwo wykształciło, a kiedy przychodzi do podatków, nagle ich nie ma.

– To podnieś im podatki. Ale „zakazać miliarderów"? Co to w ogóle znaczy? Państwo ma ci zabrać firmę, kiedy jej wartość przekroczy miliard?

– Jeżeli jedna osoba ma więcej niż tysiące ludzi razem, to może problemem jest nie podatek, tylko system.

– A może problemem jest twoja obsesja, żeby wszyscy mieli podobnie mało?

– Nie. Problemem jest to, że ty nazywasz wolnością sytuację, w której ktoś może mieć taki majątek, że zaczyna kupować sobie wpływ na politykę, media i prawo.

– A ty nazywasz sprawiedliwością sytuację, w której państwo decyduje, ile wolno ci mieć. I właśnie dlatego zawsze kończycie w tym samym miejscu.

– Gdzie?

– W państwie, które najpierw zabiera miliarderom, potem milionerom, a na końcu przychodzi po człowieka, który ma dwa mieszkania.

– Podaj źródło.

– Do czego?

– Że jak zabierzemy miliarderom, wszyscy będziemy biedniejsi.

– Ty pierwszy podałeś tezę.

– Nie. Ty pierwszy chciałeś zakazać miliarderów.

– Aubry chciała.

– A ty już się zakochałeś.

Nigdy nie zgub sekatora

To reguła pierwsza wandażu. Kiedyś jeden przez nieroztropność zbierającego wpadł do prasy winiarskiej i został pocięty na mikrokawałki metalu i gumy; sok z trzech ton winogron trzeba było potem przelać litr po litrze przez sito.

Reguła druga: jeżeli wpadniesz na pomysł – zetnę winogrona tak, żeby spadły na ziemię, a potem je pozbieram – zostaniesz srogo pouczony albo po prostu wywalony z roboty.

Reguła trzecia: po skończeniu swojego rzędu pomagasz innym i – najważniejsze – nigdy, ale to nigdy nie zostawiasz własnego rzędu tym, którzy przyszli ci pomóc.

Reguła czwarta: żartujesz i się uśmiechasz, nawet jeżeli kręgosłup pęka ci z bólu. Oraz pytasz innych: *„Ça va? En forme?"*.

Francuskie prawo traktuje wandaż na tyle szczególnie, że istnieje osobny *contrat vendanges* i można go podpisać nawet podczas urlopu w swojej normalnej pracy. Informatyk może więc na tydzień zamknąć laptop, nauczyciel zostawić szkołę, student dorobić przed początkiem roku akademickiego i wszyscy spotkają się rano w tym samym rzędzie.

Ścinam w rzędzie obok bliźniaków: Brice'a i Tomasa, rocznik 2005. Pierwszy jest anarchistą. – Nazwijmy rzecz po imieniu: terrorystą – precyzuje jego brat

Są emeryci: były pracownik kuratorium (małomówny), elektryk (amator pieszych wycieczek z klubem seniorów i kolarz z zamiłowania), pani z bankowości (nawet po całym dniu ciężkiej pracy wygląda, jakby wyszła spod prysznica i założyła świeże jasne ubrania).

Jest kilku bezrobotnych, jest mama trójki dzieci z Martyniki, chwilowo bez pracy, klarnecista, który przez jeden dzień nie pracuje, bo koncertuje w pobliskim pubie.

Jest trzyosobowa grupa LGBTQ z sąsiedniego miasta: androgyniczne fryzury i stroje, tatuaże, kolczyki w uszach, nosach, brwiach. Przyjeżdżają terenówką, trzymają się z boku: podczas przerwy, zamiast usiąść z resztą przy wspólnym stole, piją kawę przy swoim aucie. Po półtora dnia rezygnują z pracy.

– I dobrze – mówi Gilles. – I tak bym ich wyrzucił.

Jest też żołnierz – fan ultramaratonów. Pracuje w słuchawkach, żeby nie przegapić chwili, kiedy Blandine L'Hirondel z czasem 21:54.49 wygra UTMB, najbardziej prestiżowy ultramaraton górski na świecie.

Są wreszcie sezonowcy, którzy ścinają winogrona mniej więcej dwa razy szybciej niż cała reszta ekipy; jeden z nich właściwie nie przestaje przy tym palić trawy.

Jest rodzina należąca do *gens du voyage* – tak we Francji określa się administracyjnie część społeczności prowadzących tradycyjnie wędrowny tryb życia. Rodzice po 70-tce, syn ma około 50 lat. Pracują rok w rok – znani z tego, że zamiast sekatorów używają po prostu własnych mocnych paznokci.

Na pole podjeżdża Mustangiem Maxime, mieszkający na co dzień w Australii. I Marcus z Paryża, trzymający w garażu Teslę z zainstalowanym programem „dźwięki puszczania bąków" (z upodobaniem i na prośbę prezentuje).

Gilles śmieje się ze mnie, kiedy – zachwycona – mówię o *égalité:* menedżer korporacyjny z Paryża, właściciel kilkunastu nieruchomości, spotyka się w winnicy z bezrobotnym żyjącym właściwie wyłącznie z prac sezonowych i przez cztery dni pracują obok siebie, obaj ubrudzeni po pachy sokiem z winogron.

– Przede wszystkim temu menedżerowi z Paryża ani francuskiemu Australijczykowi nie płacę ani centa, bo to moi przyjaciele. Oni po prostu przyjechali pomóc. A po drugie, my też mamy pełno bogoli zadzierających nosa, którzy komuś takiemu jak ja nawet ręki nie podadzą – tłumaczy.

Bo, oczywiście, żaden to prawdziwy egalitaryzm – po ostatnim dniu jeden wróci do dużego domu i Tesli, drugi pojedzie szukać następnej pracy, ale na kilka czy kilkanaście dni status zostaje przesunięty na dalszy plan przez wspólny wysiłek i jedzenie.

Dyskusja w rzędzie 2.

– Ty naprawdę myślisz, że jeżeli znajdziesz tabelkę, to wygrałeś dyskusję?

– Nie. Ale przynajmniej wiem, czy rozmawiamy o rzeczywistości czy o tym, co sobie wymyśliłeś.

– Rzeczywistość jest taka, że państwo używa przemocy.

– Każde państwo ma monopol na legalną przemoc.

– I to ci nie przeszkadza?

– Nie, jeżeli ta przemoc podlega prawu.

– A jeżeli prawo jest niesprawiedliwe?

– To je zmieniasz.

– Jak?

– Głosujesz.

– I czekam pięć lat?

– Tak. To się nazywa demokracja.

– To się nazywa bezsilność.

– Nie. Bezsilność jest wtedy, kiedy ktoś taki jak ty mówi: skoro demokratyczna decyzja mi się nie podoba, mam prawo jej nie uznać.

– Mam prawo się buntować.

– Masz. Ale nie mów wtedy, że jesteś większym demokratą ode mnie.

– Nigdy nie mówiłem, że jestem demokratą.

– Wiem. Dlatego mówię, że jesteś za dyktaturą.

– Za czyją?

– Własną. Tylko nazywasz ją wolnością.

Dla pieniędzy?

Raczej nikt nie wraca z wandażu bogaty.

– Pójdę do Casino i za wszystkie pieniądze kupię sobie czerwonego wina – śmieje się muzyk klarnecista. – A na poważnie: nająłem się, bo chciałem się trochę fizycznie zmęczyć. Już mi wystarczy.

Ale niektórzy mają określone cele.

– Moja żona miała pracować przy wandażu, ale zachorowała. Postanowiłem, że ją zastąpię. Trochę żałuję, ale doprowadzam sprawy do końca – mówi emerytowany elektryk. – Dołożę pieniądze na prawo jazdy wnuczce.

17-latka jeździ w ramach francuskiej *conduite accompagnée* – prowadzi samochód z dorosłym na fotelu pasażera i w ten sposób nabiera doświadczenia przed egzaminem. Prawo jazdy kosztuje we Francji średnio 1200 euro, choć przy większej liczbie godzin jazdy i kolejnych podejściach do egzaminu rachunek może być znacznie wyższy, więc dziadek uznał, że kilka dni przy winogronach pokryje jakąś część wydatku.

Pochodząca z Martyniki 28-letnia mama trójki dzieci chce kupić najstarszej córce wyprawkę szkolną.

W tym roku francuski SMIC (ustawowa płaca minimalna) to 12,31 euro brutto za godzinę, czyli ok. 86 euro za 7 godzin pracy, 430 euro za 5 dni i 860 za 10.

Wandaż zaczyna się o godz 7.30 od sprawdzenia obecności i rozdania sekatorów. O godz. 10 jest przerwa na ciastko i kawę, pracę kończy się ok. południa. Potem jest przerwa na obiad – przywozi się go ze sobą lub je u gospodarza, choć COVID raczej skończył czas długich stołów z jedzeniem dla całej ekipy. I dalej pracuje się od godz. 13.30 do 17.

Z ludźmi jest coraz trudniej. Francuskie winnice i sady zamierzają w tym roku zatrudnić prawie 84 tys. osób, z czego ponad 95 proc. do pracy sezonowej, a mniej więcej co trzecie takie miejsce pracodawcy już z góry uznają za trudne do obsadzenia.

Nic dziwnego, że ogłoszenia wiszą na France Travail, Indeedzie, Vitijob i rolniczych portalach, a doświadczenie często nie jest wymagane. Potrzebne są przede wszystkim ręce do pracy, samochód, żeby dostać się rano do winnicy, i gotowość, że telefon może zadzwonić właściwie z dnia na dzień: zaczynamy.

Francuzi mają zresztą coraz większy wybór prac sezonowych, po których mniej bolą plecy. Wandaż konkuruje więc nie tylko z innymi winnicami, ale też z restauracjami, hotelami, magazynami.

Można też szukać pracy po staremu: wejść do winnicy i zapytać, czy potrzebują jeszcze jednej pary rąk.

– Robię tak, odkąd skończyłem 19 lat, a mam już 47 – mówi ten, który pali trawę. – Zbieram zresztą wszystkie owoce i warzywa: od oliwek po melony. Nawet czereśnie ci się znudzą, jak je zrywasz przez dwa tygodnie.

Spora część z tych, którzy są na wandażu pierwszy raz, już na niego nie wróci.

– W przyszłym roku? Nie wiem – mówi była pracownica banku. – To jednak ciężka praca.

Dyskusja w rzędzie 3.

– Knafo [Sarah Knafo, europosłanka prawicowej partii Reconquête!] jest córką imigrantów i właśnie dlatego mówi, że Francja nie może przyjmować wszystkich.

– Knafo mówi przede wszystkim to, co chce usłyszeć francuska prawica.

– Nie. Mówi: moi dziadkowie przyjechali z Maroka, stali się Francuzami, więc można. Tylko trzeba chcieć się asymilować.

– Czyli jak?

– Mówić po francusku. Przestrzegać prawa. Przyjąć, że religia jest twoją prywatną sprawą. I nie tłumaczyć wszystkiego kolonializmem sprzed 100 lat.

– Świetnie. A jak nazywa się Francuz, który nie przestrzega prawa, nie pracuje i nienawidzi republiki?

– Francuz.

– A imigrant?

– Problem polega na tym, że Francuza nie możemy deportować.

– No właśnie. Czyli chodzi nie o zachowanie, tylko o pochodzenie.

– Nie. Chodzi o to, że państwo ma prawo decydować, kogo wpuszcza. To naprawdę nie jest faszyzm.

– A Mélenchon [Jean-Luc Mélenchon, lider radykalnie lewicowej La France insoumise, trzykrotny kandydat na prezydenta Francji] mówi, że od 30 lat słyszymy, że największym problemem Francji jest imigracja, podczas gdy problemem są mieszkania, szkoły, płace i nierówności.

– Oczywiście. A jak brakuje lekarzy, mieszkań i miejsc w szkołach, rozwiązaniem LFI jest przyjąć jeszcze więcej ludzi.

– Imigranci pracują również jako lekarze, budowlańcy i opiekunowie.

– Podaj źródło.

– Do czego? Że imigranci pracują?

– Że bez imigracji Francja sobie nie poradzi.

– A ty podaj źródło, że bez imigrantów sobie poradzi.

– Wiedziałem, że tak odpowiesz.

– Bo zadajesz to samo pytanie od 10 lat.

– Są prawa, których większość nie może nikomu odebrać.

– Aha! – Tomas się śmieje. – Czyli jednak potrzebujesz państwa, konstytucji i sądów.

– Potrzebuję praw. Nie potrzebuję Macrona.

– To kto będzie tych praw pilnował?

– Ludzie.

– Jacy ludzie?

– My.

– Czyli ty.

– Nie ja. Wspólnota.

– Każdy dyktator w historii uwielbiał słowo „lud".

– A każdy liberał uwielbia słowo „demokracja", dopóki policja nie zaczyna pałować ludzi na demonstracji.

– Policja nie unieważnia demokracji.

– A 49.3? [artykuł 49.3 francuskiej konstytucji pozwala rządowi przyjąć projekt ustawy bez głosowania w Zgromadzeniu Narodowym, chyba że deputowani obalą rząd w głosowaniu nad wotum nieufności].

– Jest w konstytucji.

– No właśnie. Dla ciebie, jeśli coś jest legalne, to jest demokratyczne.

– Nie. Ale jeśli przegrasz głosowanie, nie możesz podpalić merostwa i powiedzieć, że przemówił lud.

– A jeśli parlament przegłosuje niesprawiedliwe prawo?

– To je zmieniasz w następnych wyborach.

– I właśnie dlatego ten system jest martwy.

– Nie, bracie. Jest nudny.

– Z niesprawiedliwością się nie negocjuje.

– I właśnie dlatego mówię, że jesteś za dyktaturą.

– Nie jestem.

– Jesteś. Tylko chciałbyś, żeby dyktatura miała dreadlocki i podejmowała decyzje na *assemblée générale*.

– Spierdalaj.

– O, argument polityczny.

– Jesteś idealnym BECA [określenie używane przez Brice'a na zamożnego, wykształco-

eprasa.pl cce6ce74a6

nego liberała, który ufa instytucjom i istniejącemu porządkowi; w jego języku przeciwieństwo antysystemowego MAGA].

– A ty jesteś anarchistą mieszkającym w domu po rodzicach.

– Nienawidzę cię.

– Wysypiesz wiadro?

Jean-Marie Le Pen wiecznie żywy

Polityczne opowieści toczą się w mniejszych grupach, właściwie w rodzinach. Widać dokładnie różnice między pokoleniem dzisiejszych zbliżających się do emerytury 60-latków plus a ich dziećmi, zwłaszcza tymi, które zostały na wsi.

Baptiste mówi o sobie, że lubi rzeczy realne i że człowiek powinien robić w życiu coś konkretnego. Gardzi informatykami i korporacjami, nigdy nie ruszył się ze swojej miejscowości na dłużej niż na dwa tygodnie, ostatnio podróżował trochę po Bałkanach – źle się czuł, robiąc tam za „bogola".

Uważa się za patriotę i czyta dzieła Jean-Marie Le Pena [założyciela Frontu Narodowego, ojca Marine Le Pen i jednej z najważniejszych postaci francuskiej skrajnej prawicy drugiej połowy XX wieku], ale nie lubi jego córki i na nią nie zagłosuje, bo uważa, że absolutnie brak jej charyzmy ojca.

Za to podoba mu się jej siostrzenica Marion Maréchal [wnuczka Jeana-Marie Le Pena, europosłanka i jedna z młodych twarzy francuskiej radykalnej prawicy]. Jeszcze bardziej Sarah Knafo [europosłanka Reconquête! pochodząca z rodziny sefardyjskich Żydów z Maroka i Algierii].

Baptiste widzi w obu coś, czego jego zdaniem brakuje Marine Le Pen: młodość, wyrazistość i brak kompleksów związanych z byciem po prawej stronie.

Zupełnie nie może się za to dogadać z rodzicami. Oni oglądają telewizję publiczną i wierzą w to, co tam słyszą. On wiadomości bierze głównie z internetu, sprawdza je w kilku miejscach i jest przekonany, że rodzice żyją w świecie opowiadanym im przez oficjalne media. Rodzice z kolei uważają, że to on żyje w internetowej bańce.

Polityka wraca więc właściwie przy każdym rodzinnym spotkaniu i kończy się tak samo: każdy próbuje przekonać drugą stronę, że to właśnie ona daje sobą manipulować.

Baptiste wierzy trochę w spisek żydowski, nie znosi Unii Europejskiej, szanuje angielską monarchię, sympatyzuje z królem Karolem III, Williamem i Kate.

– Jak ja bym chciał, żeby we Francji był ktoś taki, do kogo można się odwołać, kto ustala jakieś zasady i reguły. Przecież nie jest to prezydent Macron czy Mélenchon – uważa Baptiste. – To, co przez ostatnie 20 lat stało się z tym krajem, jest niewyobrażalne.

Wylicza skrupulatnie:

– 3,536 biliona euro długu. Coraz słabsze szkoły, opieka zdrowotna. Coraz więcej imigracji. W klasie mojego kuzyna tylko on jest Francuzem, reszta dzieci pochodzi z rodzin imigranckich.

Przepraszam bardzo, ale dlaczego w szkole mojego dziecka nie świętuje się od dwóch lat Bożego Narodzenia? Nie ma też ani Dnia Matki, ani Dnia Ojca, jest za to Dzień Tych, Których Kochamy. A jeżeli mówię, że mi się to nie podoba, jestem nazywany faszystą.

Ja naprawdę uważam, że we Francji starczy miejsca dla wszystkich, ale niech imigranci szanują nasze prawa, bo za chwilę niewiele z tej Francji zostanie.

Dlatego Baptiste szanuje Putina. Oczywiście że nie jest zwolennikiem wojny w Ukrainie („ale przyznaj, że zrobili was w konia z tą celebracją oddziałów UPA"), ale dla niego Putin jest symbolem kogoś, kto broni konserwatywnych wartości i zasługuje na uznanie.

– Facet ma jaja, których brakuje europejskim politykom, dlatego nikt z nas już nie będzie walczył o swoje ojczyzny – mówi Baptiste. – A mój dziadek walczył w *Résistance*.

Dyskusja w rzędzie 4.

– Ja nie jestem przeciwko armii. Jestem przeciwko wysyłaniu ludzi na wojnę dlatego, że ktoś w Waszyngtonie uznał, że tak trzeba.

– Znowu Amerykanie.

– A Irak? De Villepin [Dominique de Villepin, minister spraw zagranicznych Francji podczas kryzysu irackiego w 2003 roku, późniejszy premier] był prawicowcem i powiedział „nie". I miał rację.

– Nie powiedział „nie" wojnie. Powiedział: wojna jest ostatecznością. To różnica.

– Ogromna. Tylko że wy zawsze jesteście już przy tej ostateczności. Jeszcze nie skończyła się dyplomacja, a wy już liczycie czołgi.

– Bo czasem dyplomacja działa tylko wtedy, kiedy za nią stoją czołgi.

– Mélenchon mówi dokładnie odwrotnie: Europa miała być projektem pokoju, a nie kolejnym ramieniem NATO.

– Mélenchon najchętniej negocjowałby do momentu, aż przeciwnik zaparkuje mu czołg przed domem.

– A ty wysłałbyś żołnierzy, zanim sprawdzisz, czy w ogóle trzeba.

– De Villepin też nie był pacyfistą. Francuzi byli wtedy w Afganistanie, wcześniej w Bośni i Kosowie. On mówił tylko: najpierw odpowiedz, czy wojna jest konieczna i czy wyczerpaliśmy inne możliwości.

– No właśnie. I 20 lat później wiemy, kto miał rację w sprawie Iraku.

– W sprawie Iraku. Nie każdej wojny przez następne 100 lat. Poza tym, jeżeli mówisz, że francuska policja jest systemowo rasistowska, musisz to udowodnić.

– Jeżeli człowiek jest częściej kontrolowany dlatego, że jest czarny albo Arabem, to jak to nazwiesz?

– Dyskryminacją.

– Bo boisz się powiedzieć „rasizm".

– Nie boję się słowa. Chcę tylko, żeby słowa coś znaczyły.

– System może dawać rasistowskie rezultaty bez tego, żeby każdy policjant był rasistą.

Brice przestaje ciąć.

– Dobrze.

– Co dobrze?

– To jest argument.

– Dziękuję, profesorze.

– Proszę bardzo, Che Guevara.

Z dalszego rzędu ktoś krzyczy:

– Pracujecie czy politykujecie?!

Obaj odpowiadają jednocześnie:

– Pracujemy!

Kombajn

Gilles w przyszłym roku już nie zatrudni nikogo do zbierania winogron. Wypożyczy kombajn.

Kombajn jedzie nad rzędem i trzęsie krzewem tak długo, aż dojrzałe owoce odrywają się od szypułek. Spadają do wnętrza maszyny, liście wywiewa wentylator, owoce jadą taśmą do zbiornika.

To, co kilkunastu ludzi robi w ciągu pięciu dni, ta maszyna potrafi zrobić w kilka godzin.

Przy okazji Gilles zaoszczędzi połowę pieniędzy. Zapłaci 5 tys. euro zamiast 10 tys..

– To koniec pewnej epoki – przyznaje Gilles. – Ludzie po prostu przestali umieć pracować. ●

OGŁOSZENIE
Kraj/34449999



REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI
MECENASI: ORLEN, KRUK
PARTNER GŁÓWNY FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT
WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

eprasa.pl cce6ce74a6

KULTURA OBYCZAJE



Najbardziej została mi w pamięci sterylnie czysta sypialnia będąca laboratorium okrucieństwa

Z **MANUELĄ GRETKOWSKĄ**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**
ZDJĘCIE: **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Perliczki

w skarpetkach ze srebra

eprasa.pl cce6ce74a6

Po przeczytaniu twojej najnowszej powieści czułam się, jakbym była oblepiona szlamem.
– Zbulwersowana książką? W czasach, gdy obrazki stały się wszystkim i wszystko już widzieliśmy, a słowa są tylko podpisami?

Nie chciałam czytać w wersji przejaskrawionej o brudzie świata, o przemocy, hipokryzji, chciwości.
– Wlewający się nam wszędzie przez media świat jest ulepiony z perwersji, kabotyństwa i patologii. Ugrzęźliśmy w tym szlamie. Najwidoczniej najedliśmy się tyle gówna, że zaczęło nam smakować.

Kiedy czytałam o podłościach i obscenie influencera „Szmaty", byłam zła na ciebie, że przeginasz z brutalnością i ohydą. Ja nie znam takich ludzi.
– Po tym, co Smarzowski pokazał w „Domu dobrym", oskarżenia pod adresem przemocowców mogą być już tylko mantrą. Paradoksalnie to, co miało nas uwrażliwić, znieczula. Jeśli wstrząsnęła tobą postać Szmaty, nie masz sumienia na pielgrzymce.

Nie wymyśliłabym tych perwersji, brania koki z wieka trumny młodziutkiej ofiary ekscesów sławnych panów. Niszczenie psychiczne i fizyczne młodych kobiet jest w kontekście opresyjnego prawa, odbierającego już dziewczynkom poczucie pewności. Ile procesów wygrały w Polsce kobiety oskarżające sławnych o molestowanie?

Nie wiem, ale spodziewam się, że są takie.
– Gdybyśmy były przekonane, że należy się nam szacunek i wolność, zmiotłybyśmy problem nie protestacyjnym Czarnym Marszem, który skręcił do domu, a skutecznym Czarnym Dniem dla patriarchatu.

Hitler następnego dnia po przejęciu rządów kazał zlikwidować wszystkie ośrodki planowania rodziny. Samice mają rodzić dla narodu panów, albo Pana Boga. Nie ma różnicy, mężczyźni są ubóstwieni przez samych siebie. A niech któryś próbuje stanąć przeciw nim w obronie kobiet, wyrywając się z drużyny.

Konkrety?
– Afera z „Odyseją" Nolana. Bojkotowanie lewackiego filmu niszczącego stereotyp piękna. Znam wykształconych facetów, jeden z nich jest europejską sławą medycyny, którzy za żadne skarby nie chcieli słuchać tłumaczenia, dlaczego Nolan tak obsadził Helenę, ani obejrzeć filmu.

Zepsuł im stereotyp, podważył kanon kultury. Baby mają być takie jak były i żadne MeToo tego nie ruszy. Nieważne, że Nolan, geniusz kina, przemycając współczesne wątki mówi skrótowo wizualnymi symbolami. W starożytnej Grecji kobiety były niewiele więcej warte od niewolnic.

Z Heleny zrobiono trofeum przechodzące z rąk do rąk. Według scenariusza – uciekła być może z miłości. Dlatego Helena jest oszpecona na twarzy bliznami po wypaleniu piętna, jakimi właściciele znaczyli w Ameryce uciekających z plantacji niewolników.

Sądzę, że dobrze odczytuję zamiar Nolana, tym bardziej że Klitajmestra, przyrodnia siostra Heleny, też jest w filmie czarnoskóra, co umknęło zbiorowej uwadze.

Dobrze ją znasz, pisałaś o niej w „Posagu dla Polki".
– Klitajmestra dokonała niespotykanej wcześniej, najgorszej zbrodni, naruszając fundamenty greckiej cywilizacji. Zabiła męża, Agamemnona, który zabił jej pierwszego męża, dzieci i wracając spod Troi chciał zabrać jej królestwo i życie.

Helena i Klitajmestra są napiętnowanymi za bunt czarnoskórymi niewolnicami. Trzecia z najważniejszych kobiet w Odysei – Penelopa – jest konwencjonalnie biała, nie wychodzi z roli potulnej, zdradzanej żony. Cierpiętniczy wzór dla kobiet patriarchatu na tysiąclecia.

Zabawne, że Nolan został zaatakowany, jakby sam naruszał fundamenty Zachodu, a on tylko uzmysłowił nam, kim były i są kobiety w naszej kulturze.

Dyskusję podgrzał w mediach główny orędownik czystości rasowej Musk wychowany w apartheidzie. Potem ponieśli ją technofaszyści i prawica. Gdyby żył Epstein, też dorzuciłby swoje. Przecież był wielbicielem błękitnookich blondynek i męskich cnót.

Zastanawiałam się, czytając „Milionerkę", czy to jest fiction czy non fiction. Pojawia się nie tylko małżeństwo zubożałego arystokraty z tytułową milionerką, przemoc w konstancińskich willach, ale też znane powszechnie osoby. Jest Lech Kaczyński, którego śmierć wpędza w rozpacz nie tylko jego brata. I jest Joanna Kołaczkowska. Wiem, że pisarce wolno wszystko, ale czy używając prawdziwych nazwisk, naprawdę wolno wszystko?
– Kto będzie to rozstrzygał, Piłat?

Czytelnik, który zacznie się doszukiwać prawdy w opowieści o zmarłym prezydencie, który kochał inną niż żona kobietę.
– Zawsze jest ryzyko, że ktoś poda cię do sądu. Albo się utożsami, chociaż postać ma szwy wyobraźni i nie istnieje. Pisanie o realnym mieście, zdarzeniach tu i teraz bez prawdziwych ludzi w tle zawiesza w literackiej próżni. Dlaczego mój powieściowy bohater – najmodniejszy pisarz, gwiazda polskiej literatury – ma udawać, że nie znał Kołaczkowskiej, najdowcipniejszej Polki ever.

Jej obserwacje socjologiczne, talent literacki, aktorski to fenomen. Dla mnie była komiczką tysiąclecia. W buddyzmie człowiek potrafiący rozśmieszyć zbiera zasługę na lepsze wcielenie, bo ulżył innym w egzystencjalnym cierpieniu. Mam nadzieję, że Kołaczkowska prosto z kabaretu poszła do nirwany.

A inni bohaterowie „Milionerki"?
– Narcystyczni psychopaci wymyśleni przez Ellisa w „American Psycho" po latach stali się naśladowanymi wzorami. Teraz wszystko dzieje się szybciej, opisywani przeze mnie ludzie może staną się bogami naszej wyobraźni.

Psie ogony dyrygują obrotami ciał niebieskich i ludzkim szczęściem

Zresztą w Polsce elitą może być gangus przyjmujący w pałacu patologię. Pokrzykuje przy tym na Polaków, że respekt mu się należy, jak w mafii. Ciekawa byłaby analiza wpływu postaci gangusa-alfonsa na wyobraźnię wyborców Europy Wschodniej, mających pociąg do takich figur.

Psychologowie społeczni już to przebadali. Wyborcy prawicy potrzebują silnego wodza. Ta potrzeba jest szczególnie silna u osób wyznających narodowy narcyzm.
– W rezultacie zamiast głowy państwa wybierają dziąsło państwa zastępujące pracę intelektualną bokserską pracą nóg. Platon uważał, że ludzie od anarchii wolą tyranię. To było się zgadzało u nas, połowa Polaków nie rozumie demokracji, jest dla nich anarchią. Stąd pragnienie wodza biorącego wszystkich za pysk.

Wracając do fikcyjnych postaci, ojciec bohaterki mojej książki, dorabiający się po upadku PRL-u, mógłby być nowoczesnym, wybitnie inteligentnym – ale, okazuje się, perwersyjnym – Wokulskim.

Nie zakochał się w arystokratce, zakochał się w splendorze, jaki daje arystokratyczne pochodzenie, a dać go nie może byle Rolls-Royce Phantom. Dlatego chce wydać córkę za księcia bez względu na koszty. W ten sposób ozdobi herb swoimi genami. Zderzenie XIX wieku z XXI jest receptą na katastrofę i fabułę mojej powieści.

Mam wrażenie, że „Milionerka" jest sequelem twoich dekadenckich „Faworyt".
– W pewnym sensie tak. Trzy razy kupiono do niej prawa filmowe. Nie sądzę jednak, żeby powstał serial kostiumowy. Ta romansowa historia z czasów Stanisława Augusta jest o nas i można wpakować się na polityczne pole minowe, obyczajowe również.

Pisząc „Faworyty", korzystałam ze źródeł historycznych, więc to prawie w 100 procentach prawda. Chociaż przypomina zboczoną fikcję o polskiej arystokracji biorącej udział w upadku Polski, a przede wszystkim własnym.

Podobnie „Milionerka", jest też o dekadencji i degrengoladzie, ale innej arystokracji, intelektu i kasy. Skoro można się ubogacić, to czemu nie „uarystokracić", kupując prestiż.

Bawi mnie współczesna tandeta arystokratycznych fochów. Ulegamy im, przyglądając się dworom sprzedającym swoją historię. Czasem zastanawiam się, czy mamy jeszcze mózgi, czy psychobańki mózgowe zapchane kiczem.

Przewidział to kilkadziesiąt lat temu Guy Debord w „Społeczeństwie spektaklu". Według niego im silniejszy będzie kapitalizm, tym więcej będzie sprzedawać nam obrazków, aż staniemy się widzami własnego życia.

Gwiazdy porno mają zasięgi dworów królewskich, więc są traktowane z podobnym szacunkiem, podpisując kontrakty reklamowe. Nieważna klasa, wartości, ważne ile zarabiasz. Chciwość jest współczesnym odpustem całkowitym.

Dlaczego chciałaś napisać o bogaczach?
– Pieniądze wywołują większe demony niż polityka.

Polska nieumiejętność mówienia wprost o pieniądzach jest nie tylko efektem katolicyzmu miotającego się między stajenką a złotą fasadą hipokryzji – „Złote, a skromne". Jest też w nas mieszanka chłopskiej chciwości z arystokratyczną nonszalancją. Udajemy szlachetnego lwa, będąc hieną.

Jeśli chodzi o pieniądze, nie ma w Polsce ludzi niepokrzywdzonych. O krzywdzie zapomnimy, nie o kasie za nią. Pisarka Francoise Sagan widziała różnicę między prawicą i lewicą w podejściu do niesprawiedliwości: „Dla prawicy jest ona nie do uniknięcia, dla lewicy nie do zniesienia".

Jak widać, pieniądz, duży pieniądz, godzi u nas polityczne różnice. Przed niesprawiedliwością prawicowi patrioci uciekają pod skrzydła ruskich. W Polsce wszyscy są ofiarami czyjejś chciwości. Palikot wisi podobno ludziom pieniądze, ale on jest największą, wręcz luksusową ofiarą bankructwa mieszkającą w 5-gwiazdkowych hotelach, skąd udowadnia swoją niewinność. Doda, królowa tej krainy, nie wiadomo, czy jest ofiarą czy oszustką.

A więc i ty jesteś ofiarą?
– Oczywiście, że jestem, mam na to papiery – osób prześladowanych za wolność i demokrację. Dostałam legitymację działacza, nie działaczki, opozycji antykomunistycznej razem z przywilejami. Finansowo na pewno jestem ofiarą bibliotecznych tantiem i nic z tym się nie da jak widać zrobić.

Wbrew przepisom unijnym dostajemy jałmużnę, nie to co się naprawdę należy, tylko statystycznie, jakby biblioteki nie były skomputeryzowane. Wyobraź sobie pensje nie za to, co robisz, tylko statystycznie. Polskie państwo okrada w ten sposób kilka tysięcy piszących, żeby nie zabrakło 30 tysiącom kleru?

Sądzisz, że to chłopska chciwość wywołała sprzeciw wobec emerytur dla artystów?
– W przeciętnym Kowalskim wyzwoliła sępa wyżerającego w zemście Prometeuszowi wątrobę i zaskórniaki. Pazerność prawicy nie ustępuje obłudzie lewicy, kawiorowej lewicy troszczącej się o biednych, a tak naprawdę o siebie.

W rodzinie, nawet między żoną a mężem, w pracy, w polityce rozmowy o kasie to kłębowisko żmij bez reguł. Dyskusje pijawek z kleszczami, które jest bardziej szczodrym krwiodawcą.

Manuela, ja ci współczuję.
– Czego?

Że" rozmowy o kasie", nawet wśród bliskich, to „kłębowisko żmij". Ja tego nie odczuwam pośród swoich bliskich.
– Bo może nie ma was co podzielić. Albo nie zdajesz sobie z tego sprawy jak intelektualista z „Milionerki". Stąd scena, gdy miliarderka tłumaczy naiwnemu artyście, jak w świecie wielkich pieniędzy zarabia się na sztuce, odpisuje miliony z podatków ponosząc pozornie koszty i zyskując opinię filantropa czy mecenasa.

Pieniążki interesują przeciętniaków; naprawdę bogaci, czyli z majątkiem ponad 10 miliardów dolarów, zainteresowani są nieśmiertelnością, nie kasą. Z ruchu ust bajecznie bogatego Putina i Xi Jinpinga odczytano, że o tym rozmawiali na Placu Tiananmen, o przedłużeniu sobie życia. Stąd też obsesja Muska przeniesienia świadomości na nieśmiertelne nośniki.

Jeśli można sprzedać duszę, czemu nie kupić nieśmiertelności?

Miałaś okazję żyć wśród bogaczy czy korzystasz tylko z wyobraźni?
– Bywałam zapraszana, nie przez tych najbogatszych. Skromniejsze miliony, niemniejsze odpały. Jest taka figura zapożyczona z Kartezjusza, kiedy nie chcesz, by cię rozpoznano – Larvatus prodeo, wkraczanie zamaskowanym. Wchodziłam w ten świat tylnymi drzwiami, kładąc na przykład kafelki. Poprosiłam fachurę glazurnika o możliwość asystowania. Papiery mam, potrzebuję praktyki.

Stąd też scena w „Milionerce" o farbowanych marmurach. Widziałam coś podobnego, całą łazienkę z onyksu, używanego przez jubilerów. Właściciel zażyczył so-

eprasa.pl cce6ce74a6

bie nieistniejącego, purpurowego odcienia tego kamienia.

Zamówienia były na odległość, prawie nikt w tym domu nie bywał. Żył własnym zaprogramowanym życiem – piękne świerki dostarczone przed Bożym Narodzeniem, tyle że nikt ich nie ubierał, bo właściciel nie przyleciał z Karaibów. Potem te drzewka wynoszono.

W lodówce czekały, wymieniane co tydzień, perliczki z Francji w skarpetkach ze srebra na oskubanych kikutach. Nie wiem, czy miało być luksusowo, czy srebro powstrzymuje rozwój bakterii. To są fanaberie.

Najbardziej została mi w pamięci sterylnie czysta sypialnia będąca laboratorium okrucieństwa. W jednym z domów elity politycznej, do którego weszłam z prawniczką broniącą maltretowanej konstancińskiej żony, pokazano mi zakrwawione zdjęcia tego miejsca, zanim je sprzątnięto i poperfumowano modnym oudem.

Myślałam z ogromną sympatią o tej prawniczce, która wywalcza w sądzie dla maltretowanych kobiet majątki i odszkodowania. Bogini zemsty.
– Nazwałabym ją raczej Terminatorem. To autentyczna postać, dała mi zgodę na wykorzystanie jej historii. Okaleczona, zastraszana, idzie bezwzględnie po zwycięstwo. Nie dla kasy, wiele spraw prowadzi za symboliczną opłatą. Jest wszechstronnie utalentowana, niezwykła uroda o magnetycznej osobowości.

Została kiedyś zniszczona przez faceta, rozumie więc kobiety w podobnej sytuacji. Sprawa, o której piszę w książce, zajęła jej kilka lat i dopadła wreszcie drania na podstawie wyciągów bankowych. Tak jak obiecała jego bitej ekszonie, wsadziła mu jaja w d..., żeby zaciskając ją ze strachu, sam je sobie zmiażdżył.

To jedna z bardziej optymistycznych scen, tym bardziej że prawdziwa. Świat w dresach jest odrażający, w koronkach perwersyjny. Jeden ma Roleksa, drugi kij bejsbolowy, ale to ta sama agresja wobec kobiet.

Nie jest może przypadkiem, że najświętszym polskim obrazem została Czarna Madonna z twarzą pociętą przez żołdaka. Dla mnie patronka obdukcji w kraju bitych kobiet i kultury gwałtu.

Opisujesz zidiociały świat, którym rządzą pieniądze miliarderów z big techów. „Palantir to Sparta pokonująca demokrację ateńską”.
– To walka gigantów na poziomie stratosfery, w chmurze, gdzie przenosi się własność i „środki produkcji”. My, jak chłopi pańszczyźniani przypisani do domeny, pracujemy na tych miliarderów, używając platform społecznościowych, sieci, AI. I jak chłopi w feudalizmie nie mamy dokąd uciec.

Twój bohater próbuje. Wiele znanych mi osób rezygnuje z autopromocji na SM, chociaż jest to ryzykowne. Są pracodawcy, którzy analizują, ilu followersów ma pracownik, co decyduje o awansach, a pewnie niedługo o zwolnieniach.
– Bunt mojego bohatera jest straceńczy, nie cofniemy czasu. Napisałam o Sparcie, bo przypominają mi ją twórcy Palantira, produkując dla państwa np. sprzęt używany przez ICE do identyfikacji obywateli; uważają się za patriotów, nie technofaszystów.

Ich rozumowanie jest proste jak cep albo zero-jedynkowe oprogramowanie: my dajemy narzędzia do rządzenia, my będziemy rządzić USA.

Sparta to technofaszyści kontra rozmiękłe Ateny – programiści apek służących rozrywce. O prawdziwą, poczciwą demokrację nikt już chyba tam nie walczy poza Bernim Sandersem powtarzającym prawie w każdym przemówieniu, że majątek Muska ma wartość połowy własności ubogich Amerykanów.

Z Muskiem i technofaszystami do władzy doszła najczystsza chciwość ukrywająca swoje bezduszne cele pod maską spektrum. Osoby w spektrum nie są amoralne.

Dla Elona empatia jest błędem w oprogramowaniu mózgu, co pewnie poprawi w swojej firmie Neuralink. Wynajdzie na nią szczepionkę, skoro twierdzi, że empatia czy tolerancja są chorobą autoimmunologiczną naszej cywilizacji.

Co czujesz, skoro współczesność polega na tym, że „jeden przygłupi miliarder walczy z drugim, a nam spadają ochłapy”? Wściekłość? Bezsilność?
– Na średnim poziomie też jest przygłupio. 39 proc. rodaków to wtórni analfabeci, nierozumiejący tego, co czytają. Drugie tyle rozumie słowa, ale odpada przy łączącej je logice. Po co rozumować, gdy można wierzyć?

Dlatego tyle w Polsce symboli: te kotwice na samochodach, „Pamiętamy”, rybki, daty – to są współczesne totemy gromadzące wyznawców, nie obywateli. Porozumiewanie się bez słów, bez dyskusji i rozumu. Wystarczy rzucić hasło i się gromadzą wyznawcy populistów.

Nie wypada powiedzieć o głosujących na populizm – głupcy. W takim razie jak nazwać faszyzujących rodaków oddających nas Rosji? Kognitywnie atypowi? Jak Konfa, której poglądy na podatki, kobiety, dostęp do broni da się streścić w trzech słowach: Kasa – bez kontroli, Cycki – na własność, Broń – bez ograniczeń.

Żyjemy w w interregnum, między demokracją a czymś, czego nie znamy. Zastanawiasz się, co się stanie, jeśli zniknie cywilizacja Zachodu?
– W filmach straszymy się hordami zombi, a to my sami odcięci od dochodów przez AI, pozbawieni więzów społecznych możemy stać się jak oni półmartwi.

Cywilizacja Zachodu jest chciwością bez limitu. Największe pieniądze Zachodu i Wschodu są pompowane w AI. I to jest chyba odpowiedź o los naszej cywilizacji. Kto przejmie rolę zombie – pozbawieni uczuć technofaszyści czy pozbawieni wolności, demokracji, godnych środków do życia obywatele. Ale zawsze mamy apki dla rozrywki.

Dobrze wyczuwam pogardę do cywilizacji Zachodu? Jaką masz alternatywę? Wartości chrześcijańskie czy wyidealizowaną kolektywną kulturę Wschodu?
– Wierzę w świecką, tolerancyjną Europę, między Chinami a USA. Wierzę w papier, stare biblioteki, niepotrzebną erudycję prawdziwej inteligencji, zmysły i miłość.

Chyba, że jesteśmy już martwi. Wtedy trudno o kompromis łączący technofaszyzm z demokracją. Kiedy umarł mój tata, mama zdecydowała, że wbrew jego prośbie o kremację zostanie pochowany tradycyjnie w trumnie. Podzieliło to rodzinę.

Zaproponowałam kompromis: spalmy pół ciała, a pół pochowajmy. Nie wiedziałam, w jakiej płaszczyźnie mamy dzielić, ani jak to załatwić prawnie. Nie doszło do konkretów, rodzina zmartwiała z przerażenia. Czasem nie ma możliwości pójścia na kompromis, zwłaszcza w kwestii życia i śmierci. A o to toczy się walka, nie tylko w chmurze.

To co jest ratunkiem? Bo najwyraźniej nie literatura, skoro i ona jest skorumpowana, jeśli mam wziąć za prawdę to, co piszesz o polskim świecie literackim i recenzjach.
– Allen Ginsberg powiedział o poezji Leonarda Cohena: „Język gorzki, pozbawiony złudzeń, jak myślenia. Nie z wiedzy, gromadzenia przemyśleń, tylko pozbycia się słów i obrazów.

Dla mnie to prostota umysłu. Szczęścia nie z tego, co nam podsuwa komercyjny mental nadmiaru wyborów. Podobnie jest z życiem, w pewnym momencie mniej znaczy więcej. Mniej hałasu, mniej kontaktów, mniej rozproszenia przeglądaniem sieci.

W naszej cywilizacji został potworny lęk po pozbawieniu sensu. Gdy znika lęk, znika pazerna chciwość chwytania czegokolwiek. Ani alkohol, ani narkotyki nie zapchają dziury po sensie, ani AI, która jest liczydłem i kombinacją tego, co wrzucamy w sieć. Ludzka inteligencja to coś więcej – twórczość, wrażliwość, empatia z innymi cierpiącymi istotami.

Swoją drogą piękne to zdanie, że „psie ogony dyrygują obrotami ciał niebieskich i ludzkim szczęściem”.
– Ale mało kto o tym wie.

Co ty odkrywasz dzięki swoim psom?
– Siebie w plemieniu, gdy śpią z nami, w piecu huczy ogień i mam poczucie wspólnoty stada rodzinnego. Odkrywam niedostępną mi wirtuozerię zmysłów – psiaki słyszą, czują lepiej, czasem objawiają nadzmysły. Zaskakują pomysłowością, którą przypisujemy małpom, i to naczelnym.

Nie pożerają jak wilki, ale ich oczy wgryzają się nam w duszę. Są absolutnym pięknem, nie mogę się na nie napatrzeć. Ciągle je rysuję. Mówimy w domu do nich jak do wymyślonych postaci, ale nie uczłowieczam ich. Raczej w sobie szukam zwierzęcia odgrodzonego od przyrody klatką domu.

Psy uczą optymizmu, nie ma bardziej niezłomnej radości niż pies biegnący do suki w rui.

Trochę to infantylne pytanie, ale nie myślisz czasem, co byś zrobiła, gdybyś miała mnóstwo pieniędzy?
– Bardzo często! Wystarczyłby mi mały milion. Zabrałabym męża, potrzebującego do pracy tylko komputera, na roczny, dwuletni wyjazd po świecie. Marzę o napisaniu książki o sztuce. Obrazy w muzeum są jak zwierzęta w zoo albo wycięte w ramy kawałki „ciała”. Chciałabym przeżyć miejsca, gdzie powstawały.

Portrety Fridy Kahlo przeżywa się inaczej, znając jej meksykański dom, łóżko, z którego malowała. Kolory, smaki uchwycone farbą, meksykańskie niebo w odcieniu błękitu wymieszanego z krwią.

W weneckiej Akademii można zobaczyć, dotknąć ślad po siekierze wyrąbującej deski na średniowieczne obrazy. Żadna cyfrowa kopia nie odda faktury, prawdziwego oświetlenia malowideł naskalnych, zapachu jaskini.

Uda Sybilli z Kaplicy Sykstyńskiej na reprodukcji są źle namalowane, złamane. Michał Anioł popełnił błąd? Dopiero w kaplicy zobaczyłam, że to zabieg perspektywy.

Śledzę z córką Botticellego po europejskich galeriach. Jednym włoskiem pędzelka malował rzęsy, niewiarygodna precyzja. Dlaczego więc malował źle stopy i dłonie, podobne do bochnów, jak te na jego freskach w Luwrze, na obrazach we Florencji też brak nieraz proporcji.

Rozumiem, że modelka do jego słynnej Wenus umarła młodo i miała może chorobę nerek, stąd opuchnięte stopy, ale inni modele? Chciałabym to rozwikłać.

Może powinnaś zostać influencerką? Im wystarczy zdjęcie z reklamowanym produktem, a ty musisz się sporo wysilić, by napisać felieton, o książce nie wspominając.
– Nie muszę się wysilać, bo nie mam felietonu. Zamawiano je u mnie w sieci i czasopismach, kiedy potrzebowano czegoś pod prąd. Przychodził nowy właściciel i mnie wyrzucał, woląc ładne, grzeczne teksty. Śmieję się, że jestem częściej wyrzucana niż zatrudniana.

Nie zarabiam tyle, co influencerzy za nic, zarabiam w porównaniu z nimi prawie nic za książki. Pisząc je, jestem tak niezależna jak oni. Tego można zazdrościć. ●

Nie jest może przypadkiem, że najświętszym polskim obrazem została Czarna Madonna z twarzą pociętą przez żołdaka. Dla mnie patronka obdukcji w kraju bitych kobiet i kultury gwałtu

Co się stanie? Musk mówi o tym wprost: technologiczna suwerenność polegająca na czystkach w mediach, czystkach etnicznych za pomocą deportacji, kryptowalucie, ideologicznie podkręconej AI.

Społeczeństwo musi być odporną na liberalizm twierdzą. Podsumowuje to jego szczere „Heil” znane z inauguracji prezydentury Trumpa. Musk czy inny władca chmury, guru Vance'a i technofaszyzmu – Peter Thiel to wychowane w dobrobycie rasistowskich rodzin końcowe ogniwa kapitalizmu.

Jego początek to XII wiek, Włochy. Nie tylko dlatego, że z wykształcenia jestem antropolożką średniowiecza, fascynuje mnie żyjący wtedy Święty Franciszek z Asyżu.

Co cię tak w nim urzeka?
– Będąc synem kupca, sam handlował. Widział początek boomu ekonomicznego – zaczątki kapitalizmu. Pierwszy raz od upadku Rzymu ludzie zaczynali się bogacić. Przeraziło go rozjechanie się chciwości z wartościami chrześcijańskiej solidarności.

Stał się średniowiecznym hippisem, jak pokolenie Amerykanów odrzucające materializm powojennego wzrostu gospodarczego. Franciszkanie, dominikanie próbowali zahamować kapitalistyczną chciwość, zmienić ekonomię średniowiecza, ale papież był we Włoszech.

Lombardy, wymiana pieniądza, pożyczki wzbogacały także papiestwo kosztem wartości chrześcijańskich. Tworzono karkołomne argumenty, by usprawiedliwić lichwę, nie potępiając chrześcijańskiej duszy.

Biedaczyna z Asyżu kontra zaprzeczający chrześcijańskim wartościom kapitał. Bankierzy Medyceusze finansujący papieża i neopogański renesans byli kropką nad „i” tego antychrześcijańskiego procesu. Protestantyzm nadał kapitalizmowi wartość, wynalazło go papiestwo.

przystało na praktykującego buddystę”. Praktykując buddyzm i literaturę, nie mam złudzeń. Dlatego napisałam tę książkę.

Dla ciebie to szlam i ohyda. Nie dziw się więc, że polska literatura nie jest pośród tej dekadencji przegniłego świata wyspą szczęśliwą. Ją też przeżera korupcja – ideologiczna, finansowa. To mały światek znajomości i wpływów.

Sama byłam zszokowana, że reklamująca wszędzie swój feminizm pisarka nie wspomni o feministycznej dobrej książce, jeśli nie dostanie kasy. Na tym polega siostrzeństwo czy siostrytucja? Czasem wybuchają skandale, dlaczego, kto i z kim ustawia nagrody, ale szybko cichną. Po co się narażać? Nie biorę w tym udziału, dowiaduję się od znajomych. Chronię się samowystarczalnością i prostotą.

Co w praktyce oznacza twoja samowystarczalność?
– Osobność i niezależność. Nie należę do środowisk. Prowadzę proste życie z dala od układów.

A czym jest prostota?
– W katolicyzmie jest nią darowany przez Boga pokój ducha przynoszący wewnętrzną ciszę niezależnie od okoliczności. Latami na koniec mszy słyszałam: „Idźcie w pokoju Chrystusa”. Piękne przesłanie, gorzej z wykonaniem.

W buddyzmie, niebędącym religią, tylko obserwacją umysłu obudowaną obrzędami, ćwiczy się technikę osiągnięcia tej wewnętrznej ciszy. Polega to na specyficznej tybetańskiej medytacji Szine. Nie poruszając się, nie mrugając, nie przełykając i nie myśląc, wpatrujesz się godzinami w punkt.

Ta trudna praktyka prowadzi do wyblaknięcia myśli i pojawienia się absolutnego spokoju. Pojawia się inny wymiar, o którym powiedziano w Ewangelii: „Królestwo moje jest nie z tego świata”. Euforia, nie z bezmyślności, a braku

eprasa.pl cce6ce74a6

JAK NIE OPIEPRZAM, ZNACZY, ŻE JEST DOBRZE

Tej zmiany nie załatwia się owocową środą czy masażem w beneficie

Z **EMILIĄ BRZÓSKĄ,** PREZESKĄ FUNDACJI NOWE PRZESTRZENIE I **PROF. UW JACKIEM WASILEWSKIM,** AUTORAMI RAPORTU „ILE KOSZTUJE MILCZENIE” ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**



FOT. GETTY IMAGES

AGNIESZKA JUCEWICZ: To ile kosztuje milczenie w pracy?
PROF. JACEK WASILEWSKI: Tym kosztem mogą być dobrzy pracownicy, których się przez to traci. Ale też szanse na naprawienie błędów. Błędy się przez to nawarstwiają i czasem prowadzą do katastrofy. Tak było ze Szpitalem Południowym. Wszyscy wiedzieli, nikt nic nie mówił i skończyło się tak, jak się skończyło.

Tracimy też okazję do innowacji, czyli to, co mogłoby zostać ulepszone, ale nie jest, bo ktoś uważa, że nie będzie się wychylał z pomysłem.

EMILIA BRZÓSKA: Zanim odpowiem, chciałabym wyjaśnić, dlaczego w ogóle zajęliśmy się tym tematem.

W Polsce patrzy się głównie na twarde wskaźniki: przychody, koszty i tak dalej. Ale mało kto się zastanawia, jak wpływa na wyniki organizacji klimat, który w niej panuje. To, jak się w niej traktuje ludzi. Czy czują się na tyle bezpiecznie, żeby zgłaszać nie tylko swoje pomysły, ale też błędy i krytykę. A to jest gleba, na której wyniki albo rosną, albo pozostają przeciętne. Nazywamy ją bezpieczeństwem psychologicznym i z naszych badań wynika, że aż 71 proc. osób pracuje w miejscach, w których go nie ma.

A teraz konkrety: Paweł Stanio, członek zarządu firmy MPP z Rzeszowa, opowiedział nam o dwóch przypadkach, które pokazują te koszty.

Pierwszy dotyczy dyrektora sprzedaży, który, jak tylko pojawił się Groupon, uznał, że firma powinna wykorzystać ten kanał dystrybucji. Paweł się temu sprzeciwiał, lecz dyrektor był nieustępliwy i tak długo go przekonywał, aż ten się ugiął: „Dobrze, rób jak chcesz, najwyżej nie wyjdzie”. Po kilku miesiącach firma odnotowała dziesięciokrotny zysk.

Paweł doszedł do wniosku, że gdyby w tej relacji nie było takiej otwartości, gdyby ten dyrektor nie czuł, że może się z nim podzielić swoim pomysłem, to by go od razu zarzucił. A firma nie zarobiłaby tych pieniędzy.

Ale podał też inny przykład, jak ta sama firma przez to, że on w którymś momencie zamilkł, straciła 800 tys. zł.

Co się stało?
E.B.: Na jednym z posiedzeń zarządu uznał, że nie będzie torpedował jakiegoś projektu, bo postąpi wbrew temu, co uważa reszta. Sam się od razu ocenzurował: „Nie wychylaj się. Po co ci to?”. No a potem pożałował.

To mi przypomina głośną sprawę „Volkswagengate”. W 2015 roku ujawniono, że inżynierowie tego koncernu ze względu na presję na wyniki tak zmanipulowali oprogramowanie w silnikach samochodów, żeby te w testach wykazywały emisję spalin 40-krotnie niższą niż w rzeczywistości. Ukrywanie tego kosztowało firmę nie tylko miliardy i stanowiska, ale przede wszystkim zaufanie klientów.

E.B.: Podobnych przykładów ze świata jest mnóstwo. Weźmy Nokię i to, dlaczego wypadła z rynku, kiedy pojawiły się na nim smartfony.

J.W.: Z raportu badaczy fińskiego Uniwersytetu Aalto, którzy porozmawiali z pracownikami firmy, wynika, że ich szefowie chcieli słyszeć wyłącznie dobre wiadomości.

E.B.: Pracownicy czuli, że nie mogą do nich przyjść i powiedzieć im: „Słuchajcie, rozwijamy nowy system, ale nam to nie idzie. Musimy zmienić kierunek”. Dlatego wszelkie raporty o postępach były wygładzane, a przepaść pomiędzy nimi a konkurencją rosła.

J.W.: Szefostwo też cisnęło na wyniki, a jednocześnie nie chciało przyjąć do wiadomości, że z systemu, nad którym pracują ich ludzie, nic nie będzie. Bo to tak, jakby oczekiwać od konia, że będzie równie szybki jak samochody, które się właśnie pojawiły. I w pewnym momencie pracownicy w ogóle przestali się odzywać.

W waszym raporcie jest takie ładne zdanie, że w takich sytuacjach „zaczyna się zarządzać pozorami, a nie rzeczywistością”.
J.W.: Co charakterystyczne, zarówno w sprawie Volkswagena, jak i Nokii, ważniejsze było bliskie ryzyko, czyli na przykład „szef na mnie nakrzyczy”, „odbiorą mi premię”, „nie dostanę awansu”, niż ogólne cele firmy.

Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, jak oddziałują na innych zwykłym przewróceniem oczu. Jak uciszają różnymi tekstami

E.B.: Ludzie w takich warunkach zaczynają funkcjonować – jak ja to mówię – w formie przetrwalnikowej.

J.W.: Ochrona siebie staje się ważniejsza. A najgorsze konsekwencje zbiera to w branżach, w których w grę wchodzi zdrowie i życie ludzkie.

E.B.: Weźmy katastrofę promu kosmicznego Columbia z 2003 roku.

Rodney Roch, główny inżynier od struktury kadłuba, zauważył, że po starcie wahadłowca od głównego zbiornika oderwał się kawałek pianki i uderzył w jedno ze skrzydeł, robiąc w nim szczelinę. Dał o tym znać swojemu przełożonemu, ale ten go zignorował, bo „misja już jest w toku” i „co nam tu będziesz, człowieku, zawracał głowę”.

NASA była wówczas silnie zhierarchizowana i każda informacja, która szła z dołu, musiała być najpierw zaakceptowana przez kierownika wyższego szczebla. Nie można było zgłosić błędu bezpośrednio samej górze.

J.W.: Co więc zrobił Rodney, kiedy odbił się od swojego kierownika? Zamilkł. Jego bezpośredni przełożony mógł łatwo zignorować problem, bo się na nim zupełnie nie znał.

Na wysokich stanowiskach jest to zresztą częste. Ludziom się wydaje, że jak są tak wysoko, to rozumieją mechanizmy, wiedzą dobrze, jak jest, co jest bardzo złudne. Dlatego warto słuchać tych, którzy są blisko danego zagadnienia.

W drodze powrotnej promu szczelina się rozgrzała i kadłub pękł. Zginęło siedem osób.

Zauważcie, że przewijają się tu cały czas dwa elementy, które sprzyjają uciszaniu: olbrzymia presja oraz hierarchiczność.

E.B.: I takim mocno zhierarchizowanym środowiskiem jest na przykład środowisko medyczne, gdzie lekarz postrzegany jest jako świetnie wykształcony, wszystkowiedzący, natomiast pielęgniarkę często sprowadza się do funkcji wykonawczej.

Ma zrobić zastrzyk, założyć opatrunek...
E.B.: ...podać leki i tyle. Podczas gdy to ona jest bliżej pacjenta i często widzi więcej.

Moja mama, która jest emerytowaną pielęgniarką, nieraz opowiadała, jak koleżanki zgłaszały lekarzom różne nieprawidłowości, ale ich głos był lekceważony. Czasem ze szkodą dla pacjentów.

Ale dam pozytywny przykład. Katarzyna Kęcka, obecna wiceministra zdrowia, zawiadując kiedyś Szpitalem w Goleniowie, postanowiła zburzyć tę hierarchię i oddać głos pielęgniarkom. Tu jedna ważna rzecz: taką decyzję musi podjąć lider. To on musi wzmocnić tych, którzy stoją niżej, i pokazać innym, że warto ich słuchać.

Co zrobiła?
E.B.: Szpital zaczął mieć duży deficyt lekarzy, a pacjentów ciągle przybywało. Szczególnie takich z różnymi ranami. Do jakiegoś momentu mogły się tym zajmować pielęgniarki, ale później niezbędny był lekarz. Któregoś dnia Kęcka spytała je na forum przy wszystkich, jak ich zdaniem można to rozwiązać. I jedna z pielęgniarek podrzuciła nowatorski pomysł, że niektóre rany mogą oczyszczać z martwej tkanki specjalne larwy.

eprasa.pl cce6ce74a6

To uznana metoda?
J.W.: Tak. Jest stosowana na świecie, choć niezbyt chętnie w Polsce. Ale dzięki temu, że w tym szpitalu była taka otwartość na różne pomysły, to niezwykłe rozwiązanie mogło tam zaistnieć.

Powiedzieliście o hierarchiczności, presji na wyniki, szefach, którzy chcą słuchać wyłącznie dobrych wiadomości. Co jeszcze sprzyja milczeniu w pracy?
J.W.: Kultura obwiniania. Weźmy politykę, gdzie jest ona bardzo rozwinięta. Kiedy coś się wali, góra, zamiast wziąć odpowiedzialność, od razu szuka kozła ofiarnego.

Co ciekawe, nasze badanie pokazało, że 72 proc. osób pracujących w organizacjach o niskim poziomie bezpieczeństwa psychologicznego ma takie doświadczenia, że jak coś idzie nie tak, natychmiast szuka się winnego. W firmach o wysokim poziomie bezpieczeństwa procent osób, które to deklarują, jest na poziomie błędu statystycznego.

E.B.: W tych pierwszych organizacjach pierwsze pytanie brzmi nie: „Gdzie wystąpił błąd i jak go naprawić?", tylko: „Kto zawinił?".

J.W.: Kolejną sprawą sprzyjającą milczeniu są martwe procedury. Czyli na papierze wszystko się zgadza, ale pracownicy nie wierzą, że to zadziała. Albo boją się, że jak coś zgłoszą, to ich potem znajdą i rozliczą.

Mogą też myśleć: „Po co mamy coś zgłaszać, skoro, jak wcześniej to zrobiliśmy, nic z tego nie wyniknęło?".
J.W.: To jest tak zwany brak domknięcia pętli informacji zwrotnej. Może się tak dziać dlatego, że firma uznaje, iż nie opłaca się jej mówić o jakimś negatywnym przypadku, który może i został jakoś tam rozwiązany, ale lepiej nie tłumaczyć ludziom jak.

Nasze badania pokazały, że jedna trzecia pracowników w ogóle nie wierzy w procedury, więc jeśli mówimy, że jakaś firma ma, dajmy na to, politykę antymobbingową, to nic nie znaczy. Ważniejsze jest to, czy ludzie zgłaszają takie przypadki. Bo jeśli tego nie robią, to albo firma w ogóle nie ma takich problemów...

...albo?
J.W.: Są one tak duże, a system tak niesprawny, że się ich po prostu nie zgłasza.

E.B.: W bezpiecznych psychologicznie środowiskach ludzie wiedzą, gdzie zgłaszać nieprawidłowości, i robią to, bo mają poczucie zaufania oraz sprawstwa.

J.W.: Powiedzieliśmy sobie, że presja na wyniki sprzyja milczeniu, ale chciałbym tu dodać jedną ważną rzecz: presja bez miejsca na błąd. Bo można wywierać presję na wyniki, a jednocześnie zakładać, że istnieje ryzyko, że nam nie wyjdzie. I to jest okej. Z błędów, z tego, co nie wyszło, można się wiele nauczyć.

O ile się chce.
E.B.: No właśnie. To się też łączy z kwestią innowacji, która mocno u nas kuleje.

Jeśli mówimy wyłącznie o sukcesach, a porażki i lekcje pomijamy, to nie możemy się rozwijać. Bo innowacja to właściwie nieustanne pasmo porażek, które w efekcie prowadzą do różnych odkryć i przełomów.

My jesteśmy dość dobrzy w adaptowaniu cudzych innowacji, za to znacznie gorsi w ich wymyślaniu. I to nie jest o tym, że mamy słabych naukowców czy ekspertów. Przeciwnie.

Tylko o tym, że często się boimy, że za samo próbowanie zostaniemy jakoś ukarani albo wyśmiani.

J.W.: Zauważcie, że w szkole błędy podkreśla się na czerwono. I nie pyta się osób, które źle rozwiązały zadanie, dlaczego tak zrobiły, którędy biegło ich myślenie, co mogłoby być bardzo twórcze. Od razu się zakłada, że istnieje jedno prawidłowe rozwiązanie i już.

E.B.: Mamy wdrukowane, że błąd to wstyd. A pytanie to ryzyko.

Wymieniliście to, co sprzyja milczeniu po stronie organizacji, a czy jest coś takiego po stronie samego człowieka?
J.W.: Bagaż doświadczeń wyniesionych nie tylko z rodziny, szkoły, ale też z poprzednich miejsc pracy.

Niektóre osoby mają zewnętrznie umiejscowione poczucie kontroli – jeśli ktoś inny bez przerwy decyduje, a my nie bardzo mamy własne zdanie, to często milczymy. Wiąże się to też z poczuciem braku wpływu i później może się przejawiać tak: „Nie będę mówiła o swoim niepokoju, wątpliwościach czy sprzeciwie, bo nauczyłam się, że to i tak nic nie da". Albo: „bo lepiej się nie wychylać".

Dwie piąte naszych badanych hołduje tej zasadzie. Jeżeli do tego w pracy znamy kogoś, kto doświadczył odwetu, nawet subtelnego, czyli pominięcia w awansie, wykluczenia z projektu za to, że zabrał głos, to wzmacnia nasze poczucie, że lepiej jest milczeć.

I takie historie krążą potem po organizacjach. „Zobaczcie, Zbyszek się wychylił i już go z nami nie ma". Stają się podskórną kulturą danego miejsca.

E.B.: Podam przykład, jak duży wpływ mogą mieć na nas wcześniejsze miejsca pracy.

Kierowniczka sklepu, zamawiając towar, pomyliła się i zamiast dziesięciu palet śmietany zamówiła sto. Ponieważ we wcześniej-

Alfy i zetki potrafią mówić rodzicom różne rzeczy. Pytanie, co się dzieje, kiedy to już nie jest dom

szym miejscu pracy za każdy błąd musiała płacić z własnej pensji, ukryła je w chłodni. A kiedy menedżer regionu przyjechał z wizytacją, oprowadziła go wszędzie, tylko nie tam.

W pewnym momencie on się zorientował, że coś jest nie tak, i poprosił ją, żeby go tam wprowadziła. No i zobaczył te palety. Ona się zestresowała, a on wkurzył. Ale nie na to, że się pomyliła, tylko że nie zadzwoniła do niego od razu.

Ona była nastawiona na karę, on natomiast na szczerość i wspólne rozwiązywanie problemów. Ona mu nie ufała, a on przez tę sytuację stracił zaufanie do niej.

Ostatnie badania CBOS-u pokazują, że tu niewiele się zmienia. 75 proc. Polaków uważa, że do drugiego człowieka należy mieć mocno ograniczone zaufanie.
J.W.: Pamiętajmy, jaką mamy historię. Najpierw zabory, kiedy można było wylecieć ze szkoły za mówienie po polsku. Później pierwsza i druga wojna światowa, potem PRL, gdzie wszędzie było gumowe ucho.

To są takie doświadczenia, które sprawiają, że – po pierwsze – ludzie się uczą, żeby wszystko zjadać, bo nie wiadomo, co będzie jutro. A – po drugie – żeby nie ufać innym, bo nie wiadomo, kim są.

Zanim się przestawimy, że jesteśmy już w innej sytuacji, że ludzie mogą być pomocni, że możemy mieć wspólne cele, to jeszcze trochę potrwa.

Kulturowo wciąż pamiętamy czasy, co zapisało się w języku i w pewnych nawykach, że każdy musi radzić sobie sam, bo nie wiadomo, kto jest konfidentem.

Kiedy powiedziałam bliskiej starszej osobie, o czym będziemy rozmawiać, od razu zauważyła: „Przecież wiadomo, że ludzie nie będą mówić w pracy o tym, co im się nie podoba, bo to donosicielstwo".
E.B.: Tak samo uważa 32 proc. naszych respondentów! Według nich na przykład zgłaszanie pomysłów na to, jak inni mogliby pracować lepiej, to właśnie forma donosicielstwa.

J.W.: Bo to oznacza, że krytykuje się cudzą pracę. I kopie pod tą osobą dołki. A nie zwraca jej uwagę, jak mogłaby coś usprawnić po to, żeby wszystkim lepiej się pracowało.

To jest taka pokrętna logika, która mówi jedną rzecz: pracujemy głównie dlatego, że mamy w tym jakieś osobiste cele, natomiast bardzo mało widzimy w tym celów wspólnych.

Z tego też powodu dużo osób nie ujawnia swoich pomysłów. Boją się, że ktoś im je ukradnie. I nie mówią, kiedy widzą, że coś idzie nie tak. Z obawy, że to zostanie obrócone przeciwko nim.

E.B.: W bezpiecznych zespołach ludzie mówią o swoich pomysłach, nawet tych najbardziej szalonych, zgłaszają błędy, bo wiedzą, że nikt ich nie wyśmieje, nie przewróci oczami. A jeśli nie czują się bezpiecznie, zaczynają kalkulować, czy im się to opłaca.

J.W.: To się zaczyna już w szkole, kiedy dzieci dochodzą do wniosku, że nie ma sensu mówić nauczycielowi, że się czegoś nie wie, nie rozumie czy pytać o coś, bo i tak się usłyszy: „Znów się nie nauczyłeś!", „No to powinieneś już wiedzieć!" albo „Tak samo jak tatuś, orłem nie jesteś".

Potem widzę takich uczniów, jak przychodzą do mnie na zajęcia i siadają w ostatniej ławce. Bo tam jest bezpiecznie! Na studia przychodzą po wiedzę. Po to, by pytać, powiedzieć coś, co może jest i głupie, a może odkrywcze albo inspirujące, ale strach przed oceną i zawstydzeniem jest tak silny, że chcą się tylko schować.

Zauważcie zresztą, ile osób na drodze swojego wychowania słyszało: „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie", „Dzieci i ryby głosu mają", „Milczenie jest złotem" i tak dalej.

Mamy też chyba problem zarówno z udzielaniem krytyki, jak i z jej przyjmowaniem.
J.W.: Zacznijmy od tego, czy w polskiej szkole w ogóle jest miejsce na konstruktywną krytykę, na przykład nauczyciela? Czyli kogoś, kto stoi wyżej. Raczej jest to pojęcie abstrakcyjne.

Pamiętam, jak moja córka walczyła, żeby zmienić słowa szkolnego hymnu, bo uważała, że fraza „śladami naszych ojców" jest niepełna. Była zbywana, zwodzona, że może później. Nie doceniono tego, że w ogóle wyszła z jakąś inicjatywą. I w wielu szkołach dzieci się uczą, że nie należy wychodzić przed szereg. Albo że to i tak niczego nie zmieni.

E.B.: No i jak mamy później, w dorosłym życiu, być odważni w pracy?

J.W.: Inna sprawa jest taka, że często nie potrafimy rozmawiać o problemie. Zamiast tego rozmawiamy o człowieku. Mówimy na przykład: „Chyba głupi jesteś", a nie: „Twój pomysł ma pewne braki i nie bardzo wiem, jak je załatać. Ale może spróbujmy coś wymyślić?".

Z jednej strony nie jesteśmy uczeni dawania feedbacku tak, żeby nie uderzać w drugą osobę. A z drugiej nie umiemy też go przyjmować. Dlatego że uczymy się, że mój pomysł to właściwie ja.

I jak on zostanie skrytykowany...
J.W.: ...to tak, jakbym ja został skrytykowany!

Dlatego niektórym szefom czy liderom tak trudno jest przyjmować krytykę. Wydaje się im, że odbierze im to kompetencje albo autorytet.

Kiedy krytyka postrzegana jest jako atak na tożsamość, to zamiast wdzięczności („Super, że to mówisz, dzięki temu będziemy to robić lepiej") jest uraza („A ty to się znasz", „Lepiej zajmij się swoimi sprawami", „Od myślenia to ja jestem" i tak dalej).

E.B.: Przed krytyką, nawet konstruktywną, jest jeszcze coś – docenienie. I tego też często nie potrafimy: ani docenić kogoś, ani przyjąć, kiedy ktoś nas docenia. I zamiast powiedzieć: „Podoba mi się to", „Dzięki tobie jest fajna atmosfera w zespole" czy „Dobrze się z tobą pracuje", wybieramy milczenie. W myśl zasady „Jak nie opieprzam, znaczy, że jest dobrze".

J.W.: Albo moje ulubione: „No wstydu nie ma".

E.B.: Jeśli natomiast w zespole wyrobi się umiejętność doceniania siebie i innych, wtedy wejście na kolejny poziom, czyli konstruktywnej krytyki, przychodzi dużo łatwiej. Bo ludzie ufają, że to nie jest wymierzone w nich.

J.W.: Kiedy zaś sobie nie ufają, zaczynają różne, zwłaszcza te kontrowersyjne, sprawy omawiać po cichutku w najbliższym gronie. A głos zabierają dopiero wtedy, kiedy są już w dużej frustracji.

I wtedy zaczynają krzyczeć.
J.W.: Co sprawia, że dogadanie się robi się już bardzo trudne.

E.B.: Zobaczcie, dużo mówimy o tym, że to od liderów zależy, czy w zespołach będzie bezpieczeństwo psychologiczne. Ale znamy też przypadki, że lider stara się tworzyć takie warunki, natomiast pracownicy rozumieją to bezpieczeństwo jako komfort, sielankę. Ma być milutko, mamy klepać się po pleckach, opowiadać sobie, co jedliśmy na śniadanie, a to nie o to chodzi! I nie przekłada się wcale na dobre wyniki.

Ciekawe.
E.B.: Są też osoby, które mylą bezpieczeństwo psychologiczne z chamstwem, że „ja wam tu teraz powiem bez ogródek, co o tym wszystkim myślę!".

J.W.: To jest taki rodzaj agresji, który powoduje, że inni nie mają ochoty już z taką osobą rozmawiać ani niczego korygować.

Wrócę do tego, co powiedziała Emilia, że bezpieczeństwo w pracy może się pomylić z taką kołderką. Myślę, że w takiej organizacji czy grupie też się milczy o tym, co trudne i niewygodne.
J.W.: Bo zrobi się niemiło!

E.B.: A przecież tak się lubimy! Tylko że często to jest fasada, pod którą skrywa się dużo nagromadzonych, niewypowiedzianych konfliktów. I w kluczowych momentach ci fajni, uśmiechnięci ludzie nie zareagują. Będą mówić o tym, co trudne, po kątach i, tak jak zauważyłaś na początku, okaże się, że zarządzało się pozorem.

Staramy się więc wszędzie to tłumaczyć: bezpieczeństwo psychologiczne to nie ma być plusz. To jest otwarcie rozmowy tak, żeby ludzie nie pracowali na zaciągniętym hamulcu, tylko mogli rozwinąć skrzydła. A to oznacza, że rozmawia się również o tym, co nieprzyjemne.

Zresztą profesor Amy Edmondson z Harvardu, która zajmuje się tym zagadnieniem, sprawdziła, dlaczego jedne zespoły medyczne są efektywne, a inne nie.

Wydawałoby się, że efektywne będą te, które popełniają mniej błędów, a okazało się, że jest odwrotnie! Bardziej efektywne były te, gdzie błędów zgłaszano więcej i gdzie o nich rozmawiano. Tam, gdzie była otoczka „lubimy się, jest fajnie", błędów niby było mniej, a tak naprawdę były ukrywane.

W bezpiecznych psychologicznie miejscach o problemach rozmawia się na bieżąco, dzięki czemu nie prowadzą do eskalacji.

J.W.: Podobnie jest w związku. Jeżeli czujemy się w nim bezpiecznie, to możemy rozmawiać o trudnych sprawach, nie bojąc się, że ta druga osoba się obrazi. A jeśli mamy poczucie, że to może być przyjęte jako atak, robi się kłopot.

Wtedy, jak piszecie, „usterki schodzą do podziemia". Kiedy przeczytałam to zdanie, wyobraziłam sobie piwnicę, do której wrzuca się zepsute sprzęty, zamiast je naprawiać, po czym nie można już otworzyć drzwi, tyle ich tam jest.
J.W.: Oczywiście zawsze można zaprosić mediatora i spróbować sobie wszystko powyjaśniać, ale czasem jest już na to za późno.

Istnieje teoria trajektorii narracyjnej: w pewnym momencie wśród pracowników zaczyna się tworzyć historia, która dokleja do siebie różne fakty, a inne pomija.

E.B.: W takiej atmosferze kwitną też plotki i tworzą się podgrupy.

J.W.: Wyobraźmy sobie, że mamy oddział żołnierzy, którzy idą na zwiad. Jeden z nich ma

eprasa.pl cce6ce74a6

uczulenie i tak załzawione oczy, że kiedy musi strzelać, mimo że jest świetnym strzelcem, pudłuje. W oddziale jest silna hierarchia i brak otwartości, więc natychmiast pojawia się plotka, że ten żołnierz nie umie strzelać i że nas w kluczowym momencie nie ochroni.

Jeśli się nie porozmawia o tym, co się wydarzyło, i nie wyjaśni, że na przykład ten człowiek zapomniał dziś wziąć leku na silną alergię, dlatego należy wprowadzić niezbędne procedury, które to zabezpieczą na przyszłość, to w pewnym momencie zostanie on wykluczony. A ci, którzy już wcześnie byli do niego uprzedzeni, będą zauważać tylko to, co potwierdzi ich przekonania.

W ten sposób traci się potencjał całej grupy.

E.B.: W zespołach, gdzie jest wysokie bezpieczeństwo psychologiczne, 100 proc. osób twierdzi, że same są w stanie rozwiązać swoje problemy. Tam, gdzie tego bezpieczeństwa nie ma, tylko 2 proc. to deklaruje.

To oznacza, że znaczna większość problemów i niesnasek jest chowana pod dywan, a ludzie, zamiast zajmować się pracą, tracą energię na konflikty, projekcje na temat innych i niezałatwione sprawy.

Mówi się, że młodsze pokolenia – alfy, zetki – są bardziej asertywne, że potrafią mówić otwarcie o swoich potrzebach czy zgłaszać uwagi. Jakie jest wasze doświadczenie?

J.W.: Potrafią mówić rodzicom różne rzeczy. Pytanie, co się dzieje, kiedy to już nie jest dom, gdzie złość dziecka przyjmuje się z wyrozumiałością, „no bo może ma zły dzień".

E.B.: Psychologiczna świadomość wśród młodych jest na pewno większa, ich rodzice są bardziej świadomymi rodzicami, jednak trzeba pamiętać, że w środowisku pracy nad młodymi jest pokolenie starsze lub dużo starsze, które często wywiera na nich presję, ma nabożny stosunek do hierarchii i w ogóle inną perspektywę.

J.W.: Zauważyłem, że jeśli młodzi pracują w mniejszych zespołach i porozumiewają się na przykład na Slacku, to jeszcze jakoś tam mówią, że coś im się nie podoba czy że woleliby inaczej. Ale jak już mają to zrobić publicznie czy w większym gronie – z tym jest gorzej.

Co więc często robią, jeśli nie są uwiązani kredytami albo rodziną? Odchodzą. Czasem z dnia na dzień. Co u tych starszych wzbudza zdziwienie czy nawet oburzenie, że są niepoważni, nieodpowiedzialni i tak dalej.

Oczekują, że młodzi zagryzą zęby, będą dawać się łajać i tracić zdrowie, no bo przecież to jest praca!

E.B.: Jacek powiedział o najmłodszych pracownikach, ale nasze badania pokazują, że ci, którzy zbliżają się do trzydziestki, którzy myślą o rodzinie czy w ogóle samodzielności ekonomicznej, podchodzą już do tego inaczej. Często słyszę od nich: „Nie możemy się odzywać, bo żyjemy w bardzo niepewnych czasach, a nas nie stać na zakup mieszkania".

Na początku spytałaś o koszty milczenia. Nie powiedzieliśmy o jeszcze jednym, bardzo ważnym – koszcie związanym ze zdrowiem psychicznym. Nam wyszło, że młodzi pracownicy mają zdecydowanie mniejszą odporność psychiczną od starszych. A poziom lęku, jakiego doświadczają na co dzień, jest u nich prawie dwukrotnie wyższy.

Jak to rozumiecie?

E.B.: Młodzi ludzie wychowują się dziś w środowisku cyfrowym, które wcale nie jest bezpieczne. Gdzie od najmłodszych lat są narażeni na hejt, porównania, publiczne zawstydzanie.

Serwisy społecznościowe zrobiły jeszcze jedną rzecz, która może odbierać chęć zabierania głosu – utrwalają to, co zostało kiedyś powiedziane czy pokazane. W dowolnym momencie można to skądś wyciągnąć. Na wszystko jest dziś screen.

Jak się pracuje z firmą czy organizacją nad tym, żeby ludzie chętniej się odzywali?

J.W.: Najważniejszą rzeczą jest diagnoza: czy to jest kwestia kultury danego miejsca, liderów, wybranych zespołów czy bagażu jednostek?

Jeżeli wiemy, że tam nie ma jakiegoś toksycznego lidera czy kilku toksycznych, nastawionych głównie na cele osobiste pracowników, wtedy można popracować nad lepszym sposobem komunikowania się. I jest na przykład taka fajna zasada, że lider mówi ostatni.

E.B.: Wiedząc, jak dużą mamy hierarchiczność w Polsce, lepiej jest, jak lider rzuci temat i spyta: „Co o tym myślicie?", niż jak opowie, co sam wymyślił i zaplanował, bo wtedy ludzie się już raczej nie odezwą.

Inna ważna zasada wypracowana kiedyś przez amerykańską armię nazywa się pre-mortem. Chodzi w niej o to, żeby, kiedy przystępujemy do jakiegoś skomplikowanego projektu, w który zaangażowanych jest wiele osób, najpierw zrobić analizę tego, co może pójść nie tak. Prześledzić możliwe negatywne scenariusze.

J.W.: Wspierając się doświadczeniem każdej z tych osób.

E.B.: W ten sposób też oswajamy strach przed porażką. Nie mówiąc o tym, że jeśli do niej dojdzie, to już ją w jakimś sensie przećwiczyliśmy.

J.W.: I jest stupid question time.

Moje ulubione.

J.W.: To taki specjalnie wydzielony czas, bardzo zresztą uwalniający, w którym każdy może zadać nawet najgłupsze pytanie.

Kolejną rzeczą jest ćwiczenie większej otwartości na błędy i traktowanie ich jako okazji do nauki. Jeżeli dopuści się, że błąd nie zawsze jest winą człowieka, tylko może wynikać z warunków, w jakich on pracuje, to może skłonić lidera do zmiany optyki. Dlatego warto pytać pracowników: „Dlaczego tak zrobiłeś, wybrałeś taką opcję?".

E.B.: Bardzo ważne jest też docenianie na forum tego, że ktoś zgłosił jakąś wątpliwość, powiedzenie mu: „Dziękuję, że to zauważyłeś!". Bo takie osoby często są traktowane jako opóźniacze i słyszą: „Trzeba było mówić wcześniej", „Przecież mamy deadline" i tak dalej.

J.W.: Ważne jest też danie ludziom autonomii. Cel jest potrzebny, ale nie zawsze konieczne jest określenie ścisłej drogi do niego. Co innego, kiedy mamy na przykład triaż w szpitalu – wówczas niezbędne są procedury. Jeśli jednak warunki są zmienne, a chcemy robić coś lepiej, wtedy lepiej sprawdzają się różne ścieżki dojścia.

W Polpharmie na przykład funkcjonuje fajny program „Leonardo" wymyślony po to, by móc korzystać z doświadczeń pracowników.

Każdy – niezależnie od tego, czy to magazynier, menedżer czy prezes – ma w nim równy głos i może zgłaszać różne usprawnienia. Inni je komentują według swojej wiedzy, by wyeliminować błędy, i potem, jak taki pomysł zostanie już rozwinięty, kieruje się go do wdrożenia.

Zrealizowano już wiele nowych pomysłów, za które firma, gdyby chciała to zlecić na zewnątrz, zapłaciłaby olbrzymie pieniądze. A ludzie poczuli się uskrzydleni, że wymyślają coś razem.

A czy da się zwiększyć poziom bezpieczeństwa psychologicznego w firmie oddolnie?

E.B.: Warsztaty dla wybranych zespołów też organizujemy, bo nie zawsze jesteśmy w stanie wejść z pełną diagnozą. Choć oczywiście najlepiej jest, kiedy bierze w nich udział kadra menedżerska, bo to ona później nadaje ton. Jest też w stanie zobaczyć, jak milczenie pracowników przekłada się na konkretne wyniki.

Bo rozmowy o bezpieczeństwie psychologicznym to nie tylko rozmowy o miękkich kompetencjach czy o dobrostanie, ale też, a może przede wszystkim, o biznesie. Dlatego nowoczesny prezes czy prezeska firmy w kraju, który się mianuje 20. gospodarką świata, powinni chcieć wejść na ten poziom. I zaakceptować, że era folwarku i wyciskania ludzi jak cytryny już się skończyła.

No nie wiem. W niektórych miejscach ten folwark tylko się przebiera za nowoczesną firmę, która na sztandarach niesie troskę o pracowników, w benefitach ma konsultacje z psychologiem, a tak naprawdę dalej traktuje ludzi jak trybiki w maszynie.

J.W.: Ja to nazywam pudrowaniem chłopa.

E.B.: Warto też pamiętać, że bezpieczeństwo psychologiczne nie jest dane raz na zawsze. Przychodzi, dajmy na to, nowa osoba, która ma za sobą złe doświadczenia, z lęku robi jakieś dziwne ruchy i nagle inni zaczną się źle przy niej czuć, więc to jest bardzo delikatna materia.

Dlatego nam w fundacji zależy nie na tym, żeby wyłaniać najbezpieczniejsze psychologicznie organizacje czy te najmniej bezpieczne, tylko na tym, żeby wskazywać elementy, które to bezpieczeństwo zaburzają, pokazywać dobre praktyki, a przede wszystkim zwiększać świadomość, bo to jest trochę tak jak z mobbingiem.

Często się mówi, że mobber nie wie, że mobbuje. Tu podobnie: wiele osób nie zdaje sobie sprawy, jak oddziałują na innych zwykłym przewróceniem oczu czy machnięciem ręki. Jak uciszają innych różnymi tekstami.

Chcielibyśmy, żeby zasady bezpieczeństwa psychologicznego stały się tak powszechne jak zasady BHP. Żeby to nie był temat, o którym mówi się tylko na Dniach Zdrowia Psychicznego czy Dniach Wellbeingu.

Jeśli wchodzi temat transparentności wynagrodzeń, to musimy mieć bezpieczeństwo psychologiczne, bo jeśli nie będziemy ze sobą rozmawiać, to nie będziemy umieli otwarcie mówić o pieniądzach.

Jeśli wchodzi ustawa o sygnalistach, to musimy mieć bezpieczeństwo psychologiczne, bo bez tego nikt nie będzie tych spraw zgłaszał.

Nie osiągniemy tego owocową środą czy masażem w beneficie, tylko tworząc warunki, w których pracownicy będą mogli szczerze powiedzieć, co myślą. I dzięki którym w niedzielę wieczorem nie będzie ich bolał brzuch. ●





FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Emilia Brzóska

• Prezeska Fundacji Nowe Przestrzenie, ekspertka ds. kultury pracy przyszłości i doradczyni strategiczna w zakresie budowania organizacji opartych na bezpieczeństwie psychologicznym, odporności i dobrostanie. Autorka ogólnopolskiego programu SafeSpace, który stawia relacje, zaufanie i przynależność w centrum działań organizacyjnych.

Prof. Jacek Wasilewski

• Zajmuje się komunikacją i tym, jak język wpływa na myślenie i postępowanie. Współautor książek „Organizacja to opowieść", „Mała książeczka o „współpracy" i „Uwięzieni w słowach rodziców". Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim, prowadzi też badania nad komunikacją inkluzywną w Narrative Impact.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414015

W PIĄTEK 18 WRZEŚNIA W WYBORCZEJ

PRZEWODNIK KULTURALNY NA JESIEŃ

• Jesienny kalendarz wydarzeń
• Najważniejsze koncerty, premiery teatralne, wystawy, festiwale i spotkania
• Sprawdź, co warto zobaczyć



1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6

ZADEPTYWANIE MACHU PICCHU

Cytadela zbudowana jest z granitu, ale nawet tak twardą skałę można wypolerować przy odpowiedniej ilości wody i tarcia – a właśnie to robią tysiące par butów.

Z DYREKTOREM BADAŃ ARCHEOLOGICZNYCH MACHU PICCHU **DR NINO DEL SOLAR VELARDE** ROZMAWIA **FRANCISZEK BADZIAK**

Czy Machu Picchu wciąż kryje jakieś tajemnice?
– Oczywiście. Niemal na pewno wciąż istnieją tam ukryte struktury sprzed epoki kolumbijskiej. Dlatego współpracujemy też z Uniwersytetem Warszawskim, wykorzystując nowoczesne technologie, by je odnaleźć.

Prowadzimy badania w poszukiwaniu nowych szlaków, domów – miejsc, w których żyli Inkowie i gdzie działała ich administracja państwowa. Nie nazwałbym ich jednak tajemnicami w sensacyjnym znaczeniu. Jako archeolodzy staramy się przede wszystkim zrozumieć, jak Inkowie zagospodarowali cały ten trudny teren i las.

Czyli to, jak wyglądają prace archeologiczne na obszarze Machu Picchu, się zmieniło?
– Tak, bo przełomem jest wprowadzenie technik i metodologii, które pozwalają badać i eksplorować Machu Picchu nieinwazyjnie. Technologia LiDAR pozwala zajrzeć pod roślinność za pomocą laserów, a chemiczna charakterystyka artefaktów umożliwia badanie przedmiotów inkaskich wykopanych dawno temu.

W przyszłości kolejne wykopaliska archeologiczne będą prowadzone na terenie samej cytadeli, aby ustalić przeznaczenie i funkcję sektora południowo-zachodniego – wciąż nie jest on jasny.

I co spodziewa się pan odkryć?
– To, co robimy, nie jest klasyczną procedurą badawczą w stylu „szukamy czegoś nowego, żeby pokazać, że robimy postępy", chodzi raczej o to, by wiedzieć, co mamy. I aby chronić to dziedzictwo dla ludzkości. Wokół cytadeli rośnie gęsty las. Chcemy sprawdzić, co dokładnie kryje się pod roślinnością. Ale nie po to, by „znaleźć i pokazać nowe Machu Picchu", lecz by zrozumieć, jak rozmieszczone są szlaki i stanowiska satelitarne wokół niego.

Bo Machu Picchu to przecież nie tylko sama cytadela.
– Zgadza się. Cytadela jest sercem znacznie większego systemu osadniczego z czasów inkaskich – to ponad 300 km dróg i szlaków oraz ponad 60 powiązanych stanowisk w jej promieniu.

To złożony system osadniczy obejmujący wysokie góry, dżunglę, z różnymi typami architektury. Ale to właśnie Machu Picchu pozostaje centrum, wokół którego wszystko jest zorganizowane.

Jakie są największe mity dotyczące historii tego miejsca?
– Przede wszystkim ten, że miejsce to zostało „naukowo odkryte" przez Hirama Binghama w 1911 roku. A sam Bingham udokumentował graffiti pozostawione przez niejakiego Agustina Lizárragę – odkrywcę i farmera, który odwiedził to miejsce jeszcze przed nim.

Wbrew niektórym teoriom wszystkie badania archeologiczne wskazują wyłącznie na obecność materiałów inkaskich. Datowanie radiowęglowe przeprowadzone m.in. przez zespoły z UW wskazuje na lata 1420-1530. Nie ma więc dowodów na wcześniejsze, przedinkaskie osadnictwo w tym miejscu.

Kolejny mit dotyczy samej nazwy – trwają badania nad tym, czy miejsce to pierwotnie nazywało się Huayna Picchu.

Czy to oznacza, że za kilka lat turyści będą podróżować do Huayna Picchu?
– Nie sądzę, by nazwa Machu Picchu kiedykolwiek oficjalnie się zmieniła – zbyt wiele procedur administracyjnych, badawczych i konserwatorskich opiera się dziś na niej.

Co kryje się pod cytadelą? Słyszałem, że wewnątrz góry biegną kanały.
– Machu Picchu jest w dużej mierze miejscem sztucznym – stworzonym przez człowieka. Budując miasto, Inkowie tworzyli platformy, które stanowiły fundament całej struktury, układając warstwy kamieni i ziemi o różnej gęstości. Wewnątrz tych platform umieszczali kanały, którymi woda mogła swobodnie płynąć, nie niszcząc architektury.

A czy te starożytne kanały wciąż radzą sobie z ulewnymi deszczami przynoszonymi przez El Niño?
– To bardzo ważne pytanie. W ostatnim czasie intensywność opadów przekracza normę. W dniach z wyjątkowo silnym deszczem system może zostać przeciążony. Dlatego wprowadzamy dodatkowe, nowoczesne rozwiązania drenażowe, które wspierają starożytną infrastrukturę – to zadanie naszego działu konserwacji.

A więc sama cytadela nie jest w pełni przygotowana na El Niño?
– Uważam, że architektura cytadeli jest na to przygotowana. Miejsce to istnieje od ponad 500 lat i w tym czasie z pewnością nieraz stawało w obliczu podobnych zjawisk, a większość najważniejszych struktur wciąż stoi. To najlepszy dowód skuteczności inkaskiej inżynierii. Obecnie mierzymy się z kolejnym silnym El Niño i wykorzystujemy wszystkie dostępne techniki, by zapobiec szkodom.

Inkowie opanowali do perfekcji technikę murarstwa na sucho, nie potrzebna była zaprawa

Co jest w tej architekturze, że przetrwała tak długo i w takich warunkach?
– Charakteryzuje się solidnością, estetyczną powściągliwością i zaawansowaną inżynierią dostosowaną do geografii Andów. Połączenie tych cech pozwoliło zabytkom inkaskim przetrwać do naszych czasów.

W Polsce zachowało się wiele budowli w podobnym wieku, jednak nie tak dobrze jak budynki cytadeli. Co dokładnie rozumie pan przez dostosowanie do warunków andyjskich?
– Znakomity stan Machu Picchu wynika przede wszystkim z wykorzystania trwałego, lokalnego białego granitu i odosobnionego położenia na grzbiecie górskim – to uchroniło obiekt przed hiszpańskimi kolonizatorami.

Inkowie zastosowali rozwiązania inżynieryjne opracowane specjalnie z myślą o przetrwaniu w trudnych warunkach Andów. Modyfikowali techniki budowlane, by stawić czoła ekstremalnym opadom i stromemu ukształtowaniu terenu.

Aby przeciwdziałać erozji gleby i osuwiskom wywoływanym przez ulewne deszcze, ponad połowę konstrukcji ukryto pod ziemią. W tarasowych zboczach zainstalowano warstwy kamienia i żwiru, które umożliwiały bezpieczne odprowadzanie wody.

Ponadto w swoich najdoskonalszych budowlach Inkowie opanowali do perfekcji technikę murarstwa na sucho, osiągając niezwykłą precyzję dopasowania elementów. Wielkie bloki granitu obrabiano tak starannie, że nie potrzebna była zaprawa.

Dzięki temu woda nie przenikała w szczeliny, konstrukcja była odporna na działanie czynników atmosferycznych, a mury zachowywały trwałość przez stulecia, na stałe zakotwiczając osadę w górskim krajobrazie.

Skąd Inkowie czerpali tak rozległą wiedzę architektoniczną?
– Po pierwsze, przejęli wcześniejsze tradycje ogólnoandyjskie w zakresie wybitnej obróbki kamienia, widoczne w kulturach Chavín, Tiwanaku i Wari.

Po drugie, zaważyły świadome decyzje niektórych władców – takich jak Pachacuti – o wykorzystaniu określonych rodzajów skał i materiałów, zarówno lokalnych, jak i sprowadzanych z zewnątrz, np. andezytu czy wapienia, oraz o standaryzacji elementów architektonicznych – otwory w kształcie trapezoidalnym czy układ kancha.

Była to równocześnie demonstracja władzy i organizacji politycznej, służyła legitymizacji panowania nad podbitymi terytoriami.

Ale erozja spowodowana deszczami i silniejszymi wiatrami z pewnością przyspiesza?
– Cytadela zbudowana jest z granitu, a każda skała przechodzi naturalny proces geologiczny – to część jej życia. Nie da się tego zatrzymać, w najlepszym razie można to spowolnić. I właśnie tym zajmuje się nasz dział konserwacji.

Tuż przed naszą rozmową w okolicy doszło do dużej powodzi. Jak wygląda sytuacja poza samą cytadelą?
– Ministerstwo kultury odpowiada za sam obiekt dziedzictwa, natomiast inne instytucje rządowe monitorują sytuację poza jego granicami – w miasteczkach i na pozostałym obszarze parku.

Ostatnie powodzie dotknęły cały kraj – jest to typowe dla zjawisk El Niño i cut-off low (niżu odciętego), znanych zresztą już od czasów prekolumbijskich.

W 2010 roku podobna powódź zniszczyła tory kolejowe.
– Tak, to część natury tego zjawiska klimatycznego. Monitorujemy sytuację codziennie i reagujemy na bieżąco – wczoraj padał ulewny deszcz, dziś mamy słoneczny dzień.

Z terenu parku ewakuowano turystów.
– Podjęliśmy tę decyzję wspólnie z sektorem turystycznym – uznaliśmy, że lepiej zapobiec zagrożeniu i przewieźć ludzi w bezpieczne miejsce, niż podejmować ryzyko.

A propos turystów – co to znaczy zadeptać cytadelę?
– Machu Picchu jest jednym z niewielu miejsc na świecie, które można zwiedzać prawie bez ograniczeń – turyści mają dostęp niemal do każdego zakątka.

Cytadela zbudowana jest z granitu, bardzo twardej skały, ale nawet ją można wypolerować przy odpowiedniej ilości wody i tarcia – a właśnie to robią tysiące par butów. To zjawisko nieuniknione, znane zresztą z Rzymu czy Wielkiego Muru Chińskiego.

Staramy się temu przeciwdziałać, zamykając najbardziej zniszczone odcinki, wyznaczając nowe trasy i budując drewniane kładki, które chronią oryginalną nawierzchnię przed bezpośrednim kontaktem z turystami.

Liczba odwiedzających może jednak wzrosnąć wraz z otwarciem w Chinchero nowego lotniska i rozwojem miasteczka?
– W praktyce nie, ponieważ obowiązuje dzienny limit wejść do cytadeli – wynosi on 4,5 tysiąca osób w sezonie niskim i 5,6 tysiąca w sezonie wysokim.

Kilka lat temu wprowadzono możliwość wstępu dla określonych grup – np. uczniów z uboższych dzielnic czy mieszkańców Cusco – w ramach dostępu do własnej kultury. Ale nawet oni muszą dziś wejść z biletem, choćby bezpłatnym, i wliczają się do ogólnego limitu. Po jego przekroczeniu wejście jest po prostu niemożliwe.

A jednak audyty z lat 2024-25 wykazały, że limit przekroczono o ponad 90 tys. osób. Co się stało?
– Prawo jest jasne: wejście wymaga biletu, nawet za 0 soli. Tymczasem od blisko dwóch dekad istniała instytucjonalna praktyka wpuszczania miejscowej ludności wyłącznie na podstawie dowodu osobistego. Instytucje kontrolne państwa zidentyfikowały ten problem i zgłosiły go ministerstwu kultury – obecnie toczy się w tej sprawie postępowanie wyjaśniające.

W zeszłym roku organizacja New7Wonders ostrzegła, że przekroczenie limitów może kosztować Machu Picchu tytuł jednego z Nowych Siedmiu Cudów Świata.
– To prywatna organizacja, bez oficjalnego mandatu – dla nas liczy się stanowisko UNESCO i Komitetu Światowego Dziedzictwa. A UNESCO w 2022 i 2025 roku wyraziło uznanie dla działań podejmowanych w Machu Picchu. Powinniśmy odpowiadać przed rządem Peru i UNESCO, a nie przed prywatną organizacją.

Słyszałem, że UNESCO rozważa wpisanie Machu Picchu na Listę Światowego Dziedzictwa w Niebezpieczeństwie.
– To nieprawda. W rekomendacjach UNESCO z 2025 roku nie ma żadnej wzmianki, nawet pośredniej, sugerującej taki krok.

Co więcej, Peru zasiada obecnie jako jeden z 21 krajów w Komitecie Światowego Dziedzictwa, decydując o losie ponad 1200 zabytków na całym świecie. Byłoby niedorzecznością, gdyby ta sama organizacja powierza-

eprasa.pl cce6ce74a6



Machu Picchu. Miasto Inków w Andach, w południowym Peru. Leży na wysokości 2430 m n.p.m. Zbudowano je w XV w. W 2007 r. wpisano je na listę Nowych Siedmiu Cudów Świata

FOT. JAMES STRACHA/GETTY IMAGES

ła nam taką odpowiedzialność, jednocześnie uznając nasz najważniejszy zabytek za zagrożony.

A czy taki wpis nie zadziałałby paradoksalnie jak reklama – „przyjedź, zanim będzie za późno"?
– Kraje trafiają na taką listę zazwyczaj dlatego, że nie wdrażają odpowiednich strategii ochrony. Uderza to nie tylko w wizerunek – sugeruje, że dany kraj działa przeciwko światowemu dziedzictwu, a nie tylko lokalnie czy regionalnie.

Zdecydowanie nie jest to przypadek Machu Picchu, mimo problemów, z którymi się mierzymy. UNESCO regularnie sugeruje nam kolejne kroki w celu ochrony zabytku. Widzą, że zbyt wielu ludzi porusza się tą samą trasą w tym samym czasie, i sugerują tworzenie nowych dróg oraz zróżnicowanie godzin wejść. Wtedy właśnie strona techniczna i rząd wdrażają odpowiednie rozwiązania – na przykład od 2024 roku zaproponowano wprowadzenie wielu oddzielnych tras, aby rozproszyć ruch turystyczny.

Przy 10 trasach system biletowy musi być dziś bardzo skomplikowany. Jak zmieniał się na przestrzeni lat?
– System wirtualny istnieje już od kilku lat i zapewnia coś bardzo ważnego – przejrzystość. Rząd monitoruje liczbę wejść w czasie rzeczywistym, a dostęp do tych danych mają zarówno instytucje prywatne i publiczne, jak i sama ludność.

W latach 90. bilet można było chyba kupić tylko w Cusco lub Aguas Calientes?
– Tak, wtedy właśnie powstał pierwszy system internetowy, ponieważ peruwiańskie i zagraniczne firmy chciały kupować bilety spoza Peru. Dziś platforma zarządzana jest z Limy i Cusco.

A przez sprzedaż online wiele biletów trafia do biur podróży, które odsprzedają je turystom po wyższej cenie.
– Mechanizmy sprzedaży są ujęte w procedurach określonych prawem, podobnie zresztą jak w przypadku Wieży Eiffla czy Koloseum w Rzymie – jeśli firma płaci podatki i działa legalnie w branży turystycznej, ma prawo kupować bilety. Może to rodzić komplikacje, ale jesteśmy krajem o otwartej, przejrzystej gospodarce.

Dwa lata temu doprowadziło to jednak do tego, że mieszkańcy Aguas Calientes zablokowali tory kolejowe w proteście przeciwko prywatyzacji sprzedaży biletów.
– Sprawa jest bardziej złożona. Historycznie bilet można było kupić bezpośrednio na miejscu podobnie jak w innych miejscach i zabytkach na świecie.

Niedawno rząd zdecydował, że konieczna jest sprzedaż 1000 biletów na miejscu, podczas gdy reszta sprzedawana była online. Osoby, które nie mogły kupić biletu online, bo były wyprzedane, jechały na miejsce, by kupić jeden z tych 1000 biletów. Powstawały kolejki i problemy, co wywołało protesty.

Czy nie chodziło raczej o umowę z firmą Joinnus, która pobierała 4 proc. prowizji od każdej transakcji?
– To był jeden z powodów, ale nie jedyny. W regionie Ameryki Południowej protesty rzadko mają jedno źródło – gdyby tak było, łatwo byłoby je rozwiązać.

W tym przypadku nałożyło się na siebie wiele czynników: pojemność turystyczna parku, relacje między instytucjami, a nawet czynniki polityczne. Umowa z Joinnus została ostatecznie rozwiązana, a sprzedażą biletów zarządza dziś bezpośrednio rząd.

Oczywiście jest więcej problemów – ze sprzedaży biletów 5-10 proc. środków trafia do lokalnej organizacji zajmującej się konserwacją. Dziś potrzebujemy też nowych modeli zarządzania tym systemem. ●

eprasa.pl cce6ce74a6

MACIEJ SIEMBIEDA

Gustaw

ODCINEK 7, OSTATNI



FOT. GETTY IMAGES

Co ty się tak stroisz? Żony przyjechałeś szukać w Kolonii?

Krystian Poliwoda zbył pytanie matki kwaśnym uśmiechem. Relacje z kobietami były krótkim i źle napisanym rozdziałem w jego biografii. Dałoby się go streścić w trzech słowach: niewiele się działo.

Gdy mieszkał w Niemczech, poznał kilka dziewczyn, które pracowały w Rewe, ale nic z tego nie wyszło. Wszystkie miały wymagania. Chciały chodzić do kawiarni i na dyskoteki, gdzie drink kosztował tyle, ile butelka alkoholu w Aldiku. Oczekiwały kwiatów i prezentów, a jedna nawet wycieczki na Majorkę. Gdy to wszystko podliczył, wyszło, że taniej byłoby skorzystać z usług prostytutek. Myślał o tej opcji, ale za bardzo bał się AIDS. W każdym razie swojego ideału kobiety, która byłaby piękna, dobra, kochająca i płaciłaby rachunki w restauracjach – nie znalazł.

Rano wybierał się na ryby, ale odwiódł go od tego wschodni wiatr, musiał więc wprowadzić w życie plan B: spacer po wsi. Kolejna okazja, by zrobić wrażenie na Dorocie Sikorze.

Podczas ostatniej wyprawy do Wiesbaden pożyczył od ciotki samochód i odwiedził miasteczko outletowe, gdzie można było tanio kupić ubrania znanych marek i gdzie jeździli wszyscy polscy handlarze. Wrócił z bagażnikiem pełnym papierowych toreb z zakupami, pudełek z butami oraz pokrowcami na koszule i marynarki. Szczęśliwy, bo z budżetu, który na to przeznaczył, udało się nawet trochę zaoszczędzić.

Teraz wbił się w dżinsy Bossa, do których założył sportowe buty oraz białą koszulkę polo tej samej firmy. Nie przepadał za białymi ciuchami, bo łatwo się brudziły, ale to na nich najlepiej było widać logotypy. Skropił się czerwonym Joopem – wodą toaletową dalekiego zasięgu – i zwieńczył całość okularami przeciwsłonecznymi ze złotymi głowami meduz Versace na zausznikach. Mógł ruszać na podbój Kolonii.

Zatrzymał Jaguara przed parafią wzniesioną w latach osiemdziesiątych, kiedy jedynymi inwestorami z fantazją były diecezje, a powiatowi architekci mieli niepowtarzalną szansę projektować kościoły rywalizujące z operą w Sidney. Wysiadł i zaczął studiować ogłoszenia duszpasterskie na tablicy, gdy nagle poczuł na sobie czyjś wzrok.

Po drugiej stronie placu stał Joachim Szymura.

Krystian patrzył na niego przekonany, że stary zaraz się odwróci i odejdzie, jak to robił nieraz zapiekły w swoim gniewie. Ten człowiek nie wybaczał. Zwłaszcza zdrady, za którą uznał fakt, że młody Poliwoda podjął pracę w „Barbórce".

A jednak teraz tkwił nieruchomo wpatrzony w Krystiana i nie wiedział, jak zareagować.

Krystian postanowił zrobić pierwszy krok. Zdjął okulary i niepewnie uniósł dłoń w pozdrowieniu.

Dziwak ze wzgórza odpowiedział tym samym gestem.

Krystian ruszył w jego stronę. Gdy podszedł dość blisko, wyciągnął dłoń. Stary ujął ją oburącz i mocno potrząsał. Był wyraźnie wzruszony.

– Krystian – powiedział. – Wróciłeś, Krystian.

– Jak pan widzi, panie Szymura. Wszystko u pana dobrze? Zdrowy pan jest?

– Dosyć zdrowy – potwierdził stary. – Ale na ryby rzadko pływam. Chyba że chcesz? – Spojrzał wyczekująco.

– Pewnie, że chcę – ucieszył się Krystian. – Z panem? Zawsze.

Umówili się na rano.

Achim z zainteresowaniem oglądał woblery z tworzyw sztucznych przywiezione przez Krystiana z Niemiec i służące do połowu drapieżników. Poza tym, że były martwe i sztywne, niczym się nie różniły od prawdziwych rybek. Stary unosił je w palcach i poruszał w powietrzu jak dziecko bawiące się samolocikiem. Cmokał nad sprzętem kupionym w Wiesbaden: wędkami i kołowrotkami spinningowymi, wreszcie głos mu zadrżał, gdy Krystian wyciągnął w jego stronę pudełko z kolorowymi gumkami obsypanymi brokatem.

– To największy przebój – wyjaśnił. – Może pan przyczepiać te ogonki do swoich ołowianych główek z haczykami. Branie pewne.

Achim podziękował. W oczach miał łzy ulgi, że wąwóz niechęci, jaki sam wykopał, oddzielając się od Krystiana, został zasypany i wyrównany.

Tego dnia wrócili z wody z kompletem sandaczy.

Krystian podwiózł starego do pomostu u stóp wzgórza Szymurów i odstawił wynajętą łódź motorową do OSiR-u. Zawiózł ryby do domu, przebrał się i wrócił do Centrum, bo matce zabrakło soli. Przejeżdżając obok parterowego urzędu gminy, wypatrywał Doroty, ale do takich spotkań nie dochodzi na zamówienie.

Podeszła do niego dwa dni później na poczcie.

– Zaczekasz na mnie na zewnątrz? – spytała. – Tylko nadam przekaz i zaraz będę.

Skinął głową.

Gdy wyszła, wyciągnął rękę:

– Gratuluję wyboru na wójta.

– Dziękuję – odparła. – Nie było to specjalnym osiągnięciem, bo nikt inny nie kandydował, ale zyskałam wymagane poparcie i bardzo jestem z tego dumna. Jak pewnie wiesz, w moim życiu w ostatnich latach nie było zbyt wielu dobrych wiadomości. Tymczasem teraz aż dwie. Wybór na wójta, no i twój powrót. – Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Mój powrót? To taka dobra wiadomość? – zdziwił się.

– Dla mnie tak.

Popatrzył na nią badawczo. A więc jednak. Jego gra przyniosła efekt. Piorunujący efekt.

– Krystian – powiedziała ciszej, jakby obawiała się uszu elektoratu. – Czy przyjmiesz zaproszenie na niedzielny obiad? Przygotuję coś ekstra i upiekę ciasto. Przyjdziesz?

Przełknął ślinę.

– Skoro zapraszasz.

– Zapraszam. Znów mieszkam u rodziców, ale oni wyjechali wczoraj z moją córką na wczasy do Ustki.

Będziemy sami – pomyślał Krystian i odczuł lekki zawrót głowy.

– O czternastej? – spytała.

Potwierdził, starając się nie okazywać krzyczącego w nim triumfu.

•

Nie kupił kwiatów.

Jeszcze tego samego dnia cała Kolonia plotkowałaby o ich romansie, a tego wolał uniknąć. Na wszystko przyjdzie czas. Najpierw trzeba będzie załatwić sprawę z zaginięciem Mirka, bo przecież gdyby chcieli wziąć z Dorotą ślub...

Otworzyła mu w kusym fartuszku zarzuconym na lekką sukienkę.

Weszli do przedpokoju, gdzie sięgnął do torby i podał jej butelkę prawdziwego szampana.

– Ojej! – zareagowała na widok upominku. – Nie trzeba było.

– Jest co świętować – odpowiedział, uważając, aby zbyt szybko nie okazać euforii.

Zjedli rosół, potem na stół wjechały kluski śląskie i półmisek z roladami. Dorota wyjaśniła, że chciała, aby poczuł się jak w domu. Przyjął to z aprobatą.

– Krystian – zaczęła, nakładając mu parującą czerwoną kapustę z rodzynkami. – Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że jestem taka bezpośrednia. Ten obiad i w ogóle... Ale pomyślałam, że znamy się tak długo...

– Masz rację, nie ma co tracić czasu.

– Świetnie, że mnie rozumiesz – rozpromieniła się. – No więc przejdę do rzeczy. – Była wyraźnie podekscytowana i onieśmielona zarazem. – Chciałabym ci zaproponować biznes.

Biznes?! Płyta z nagraniem chóru anielskiego, która kręciła się w jego głowie, nagle wydała nieprzyjemny zgrzyt. A więc chodzi o biznes?

– Tak, biznes – potwierdziła Dorota z jeszcze większym entuzjazmem.

– Jaki biznes? – wydukał.

– Kupno domu wczasowego „Barbórka", w którym kiedyś razem pracowaliśmy. Wprawdzie tylko kilka dni, ale jednak razem.

Jeszcze raz powie, że robiliśmy coś razem, to wyjdę – postanowił. Wszystko się w nim gotowało.

– Ośrodek przeszedł na własność gminy i mogę go sprzedać za złotówkę.

– Za złotówkę – powtórzył jak echo.

– Właśnie tak. Mam takie prawo, jeśli w ten sposób uratuję obiekt przed dalszym popadaniem w ruinę. Musiałbyś tylko zawrzeć z gminą umowę, że go odnowisz, doposażysz i rozpoczniesz działalność.

Milczał.

Dorota posmutniała.

– Widzę, że nie jesteś zachwycony – westchnęła. – Szczerze mówiąc, tego się obawiałam.

– Czego?

– Że to dla ciebie zbyt mała skala. Ale pomyślałam sobie: co mi szkodzi? Spróbuję. Coś ci wyznam, Krystian. Dwa tygodnie temu byłam bliska, żeby zrezygnować z tego kandydowania na wójta. Chciałam powiedzieć, że skoro nikt się nie zgłosił, to ja też odpadam. Wiesz, co mnie przekonało? Twój przyjazd. Jak cię zobaczyłam, pomyślałam: skoro do Kolonii wracają biznesmeni tego formatu, to przed naszą gminą jest przyszłość. To mi dodało sił. Proszę cię. – Położyła dłoń na jego ręce. – Zastanów się. Co to dla ciebie? Samo twoje auto pewnie kosztowało więcej niż doprowadzenie „Barbórki" do stanu dawnej świetności.

Krystian poczuł, że pokój kręci się w kółko, a kluski i rolady dryfują w kosmicznej próżni, która go wessała. Co teraz? – myślał gorączkowo. – Co mam jej powiedzieć? Że to wszystko dla picu? Że te wszystkie Jaguary, Bossy i Jo-

eprasa.pl cce6ce74a6

opy to tylko szpan, żeby zrobić na niej wrażenie? A może kupić tę przeklętą „Barbórkę"? I co? Stracić majątek, na który tak ciężko harowałem w Wiesbaden i we Wrocławiu? Przecież tu nawet pies z kulawą nogą nie przyjeżdża na wypoczynek.

– Muszę pomyśleć – wydusił i po pierwszym kawałku ciasta uznał, że powinien już iść. Kołacz z serem upieczony przez Dorotę wcale nie był słodki. Rósł mu w gardle wraz z całą tą sytuacją.

Krystian Poliwoda znalazł się w potrzasku, który sam zastawił.

•

W sobotę na łodzi milczał jak zaklęty. Staremu to nie przeszkadzało. Cieszył się, zakładając przynęty z kolorowymi ogonkami, i wyciągał okonia za okoniem.

Poliwoda miał tylko jedno branie. Na dodatek ryba się odpięła.

Nie obchodziło go to. Od kilku dni był struty, zastanawiał się nad wyjściem z kabały, w którą się wpakował. Tyle zainwestował. Samochód, ubrania, szeroki gest, jakim wydawał pieniądze, choćby na tego niedzielnego szampana. I co mu z tego przyszło? Perspektywa dalszych strat? Oferta kupna ośrodka nad jeziorem, które interesowało najwyżej okolicznych gówniarzy rozbijających namioty w lesie. Turyści z pieniędzmi jeździli do Hiszpanii i na Korfu, nie do Kolonii. OSiR, z którego pożyczał łódkę, ledwo zipał, a smażalnia otwarta tylko w weekendy zamiast świeżej ryby z jeziora oferowała mrożone kostki morszczuka.

Idealne miejsce na utopienie wszystkiego, czego się dochrapał.

Od niedzieli unikał wypraw do Centrum. Do sklepu chodził piechotą, jakby ukrycie Jaguara mogło spowodować, że Dorota wycofa swoją propozycję. Przemykał się rankiem, tuż po otwarciu spożywczego, zanim urząd gminy rozpoczął pracę.

Myślał tylko o jednym. Jak się wycofać z kupna „Barbórki", aby nie wyjść na skąpca i tchórza. Tak, tchórza. Rozwiesił nad wsią transparent swojego bogactwa, a przestraszył się stosunkowo niewielkiej inwestycji w ośrodek wczasowy. Przecież wszyscy w Kolonii odbiorą to jednoznacznie. Dziś jest człowiekiem sukcesu. Jutro zostanie pośmiewiskiem.

Z dziwakiem ze wzgórza, który miał coś do załatwienia w sklepie, podpłynęli do przystani OSiR-u. Stary wygramolił się z łodzi na drewniany pomost i właśnie sięgał po wędkę podawaną mu przez Krystiana, gdy pojawiło się przy nim dwóch mężczyzn.

Na pierwszy rzut oka widać było, że są cudzoziemcami. Starszy mógł być w wieku Szymury, młodszy miał jakieś czterdzieści parę lat. Obydwaj byli ubrani w sportowe, ale eleganckie i drogie rzeczy.

– Achim? – spytał starszy.

Samotnik ze wzgórza spojrzał na niego zaskoczony.

– Poznałem cię po tym kuśtykaniu – powiedział tamten, wielki siwy mężczyzna w miękkich spodniach koloru khaki i lekkiej niebieskiej wiatrówce. – Ale ty mnie chyba nie pamiętasz, co? Do szkoły razem chodziliśmy.

Achim przyjrzał się uważnie. Przed sobą miał jednego z chłopaków, którzy przed wojną w Weissdorfie należeli do Hitlerjugend. Tych, którym Gustaw spuścił łomot.

– Poznaję cię, Gerard – powiedział, na co tamten wyraźnie się ucieszył. Trącił młodszego łokciem i powiedział po niemiecku:

– To jest Achim. Król tego jeziora. Wie o nim wszystko i jest mistrzem łowienia ryb.

Szymura, który pamiętał niemiecki z podstawówki, próbował zaprzeczyć, ale młodszy z cudzoziemców serdecznie uścisnął mu dłoń i się przedstawił. Po czym skinął głową Krystianowi krzątającemu się w łódce.

– Przyjechałem odwiedzić stare śmieci – oświadczył Gerard. – Z córką i wnukami. A Johann to mój zięć. – Ponownie wskazał młodszego, który przymilnie się uśmiechnął.

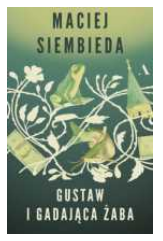
Szymura w milczeniu pokiwał głową.

Maciej Siembieda



• dziennikarz i pisarz. Autor m.in. cyklu kryminalnego, którego bohaterem jest Jakub Kania, oraz sagi sensacyjnej „Katharsis", „Nemezis", „Kairos". Trzykrotny laureat Nagrody Wielkiego Kalibru i sześciokrotny finalista plebiscytu Książka Roku portalu lubimyczytac.pl. Powieść „Gołoborze" została nominowana w 2026 roku do Nagrody Literackiej „Nike".

wyborcza.pl



• **Nowela Macieja Siembiedy „Gustaw" w odcinkach w „Gazecie Wyborczej" i na wyborcza.pl!** To część najnowszej książki pisarza pt. **„Gustaw i Gadająca żaba"** (Wydawnictwo Agora).

• **Premiera książki 23 września.** Też w formie e-booka i audiobooka (czyta Mariusz Bonaszewski) od **12 września na Publio.pl.**

Wszystkie odcinki na wyborcza.pl

– Pięknie tu – powiedział tamten, wciągając do płuc rześkie powietrze. – Ryby biorą?

Achim przyklęknął i z wysiłkiem wyciągnął przytroczoną do łodzi siatkę, w której kłębiło się kilkanaście dużych okoni i dwa sandacze.

Zięć Gerarda podskoczył jak cyrkowy pajacyk i cmoknął z zachwytem.

– Johann jest szefem marketingu w największej firmie produkującej sprzęt wędkarski – wyjaśnił jego teść. Wymienił nazwę i Krystian, który mimowolnie przysłuchiwał się rozmowie, spojrzał na swoje kołowrotki z logotypem tej właśnie marki. – Centralę mają w Niemczech, ale filie na całym świecie. O Polsce też myślą. – Gerard spojrzał na Szymurę wyczekująco.

– Po co mi to mówisz? – spytał stary.

Gerard oblizał wargi.

– Firma Johanna wchodzi na nowe rynki, organizując najpierw mistrzostwa wędkarskie. Zaprasza najlepszych zawodników z całej Europy, ale jest też kategoria open, dla wszystkich chętnych. To bardzo znana impreza, pokazywana w telewizji. Z reguły startuje kilkaset osób. Co myślisz?

– A co mam myśleć? – Achim wzruszył ramionami. – Chcecie, to organizujcie.

– Świetnie – ucieszył się Gerard. – Pomożesz nam!

– Ja?

– No ty, znasz to jezioro jeszcze sprzed wojny. Łowisz tu do dziś, jak widzę. Chodzi o to, żeby wskazać najlepsze łowiska, na których wyznaczy się sektory zawodów.

Szymura rzucił się jak dwadzieścia lat temu, gdy zobaczył budowę ośrodka dla górników łowiących ryby.

– Niczego nie będę pokazywał! – oburzył się. – Żadnych sektorów!

– Dobrze zapłacimy – przekonywał Gerard, a jego zięć uśmiechał się zakłopotany, nie rozumiejąc nagłego gniewu kolegi teścia.

– Wsadź sobie swoje pieniądze w... – syknął Achim. – Tu nie będzie żadnych zawodów.

Twarz Gerarda stężała.

– Widzę, że nic się nie zmieniłeś – stwierdził lodowatym tonem. – Już w szkole byłeś dziwakiem i nim pozostałeś. Bez łaski. Sami sobie poradzimy. Niech ci się nie zdaje, że to jezioro należy do ciebie. Mogłeś zarobić dobre pieniądze i pomóc wsi podnieść się z nędzy. Rozejrzyj się. Wszystko tu upada. Firma Johanna mogłaby to zmienić. Dać ludziom pracę, płacić podatki. Ale wy, Polacy, potraficie myśleć tylko o sobie.

To rozsierdziło Szymurę na dobre. Splunął pod nogi tamtego i niemal potrącając Gerarda i jego zięcia, ruszył w stronę deptaka, kuśtykając zawzięcie.

– Stary dureń – rzucił za nim Gerard, dając upust wzburzeniu.

Powiedział kilka słów po niemiecku do zięcia, który z niedowierzaniem kręcił głową, po czym odwrócili się, aby odejść.

– Panowie – odezwał się Krystian w ich języku. – Chcąc nie chcąc, słyszałem całą waszą rozmowę. Szymura wam nie pomoże. Ale ja mógłbym. Znam tę wodę równie dobrze jak on.

Patrzyli na niego zaciekawieni.

– Doskonale – stwierdził Johann. – Możemy zawrzeć umowę na konsultacje. Zapłacimy panu w markach.

Ale Krystian pokręcił głową.

– Nie chcę pieniędzy.

– A czego?

– Mam pewien plan, ale o tym porozmawiamy gdzie indziej. Nie tu, gdzie wszyscy nas widzą. – Rzucił spłoszone spojrzenie w stronę oddalającego się Szymury. – Jeśli chcecie, abym wam pomógł, nasza współpraca musi pozostać w ścisłej tajemnicy.

Tamci wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Potrafimy być dyskretni. – Johann się uśmiechnął i wykonał gest, jakby zamykał sobie usta na zamek błyskawiczny.

•

Kelnerka w klubie muzycznym podała kawę trzem mężczyznom siedzącym przy stoliku w kącie sali. Zamawiali po polsku, rozmawiali po niemiecku. Kolejny biznes. Normalka w mieście, które przez kilkaset lat należało do państwa pruskiego.

– Słuchamy pańskiego planu – powiedział Johann, gdy tylko kelnerka zniknęła za kotarą. Od kwadransa pozostawał pod wrażeniem polskiego przedsiębiorcy, który przyjechał na spotkanie imponującym Jaguarem i w drogim garniturze Bossa. Gdyby nie złoty łańcuch pobłyskujący pod rozpiętą niebieską koszulą, mógłby uchodzić za biznesmena europejskiego formatu.

– Plan jest następujący – odparł Krystian. – Kupuję od gminy ośrodek wczasowy dawnego Ministerstwa Górnictwa. Jestem na etapie biznesplanu, ale wszystko wskazuje na to, że to świetny interes. Moje doświadczenie inwestorskie też to podpowiada.

Goście z Niemiec ze zrozumieniem pokiwali głowami.

– Chciałem to robić sam – kontynuował Krystian – ale kiedy wczoraj usłyszałem waszą rozmowę z Szymurą, doszedłem do wniosku, że zaproponuję wam spółkę. Fifty-fifty. Ja wnoszę aportem obiekt, a panowie go zmodernizujecie i urządzicie. W części budynków możecie sobie zrobić wytwórnię i hurtownię sprzętu wędkarskiego. Oczywiście – uniósł palec – tam zyski będą wasze, najwyżej zapłacicie mi niewielki czynsz. Resztę obiektu zamienimy w wygodną stanicę dla amatorów sportowego połowu ryb z całego kraju i z zagranicy. Tu dzielimy się po połowie.

Gerard klepnął dłonią w blat stolika.

– Super! – ucieszył się. – Prawda, Johann?

Ale Johann, strażnik interesu swojej korporacji, był bardziej powściągliwy.

– Spółka jest możliwa – uznał ostrożnie. – Rzecz jasna zadzwonię w tej sprawie do zarządu, niemniej pańska propozycja wydaje się interesująca i warta rozważenia. Pod jednym warunkiem.

– Jakim? – Krystian postarał się, aby w jego głosie nie zabrzmiał niepokój.

– Musimy udowodnić, że to jezioro jest atrakcyjne wędkarsko. Rozumie mnie pan? Właśnie po to, aby to sprawdzić, organizujemy nasze zawody.

Krystian pokazał kciuk skierowany ku górze.

– Zdziwi się pan. Co pan powie na szczupaki i sandacze po sześć, siedem kilogramów?

– Takie okazy trafiają się niezwykle rzadko – uznał Johann.

– Tak? To powiem panu, że znam miejsce, gdzie można je złowić prawie zawsze.

Gerard wpatrywał się w niego jak urzeczony.

– Ale nie na spinning. Wyłącznie na żywca. Zawody przewidują taką konkurencję?

– Oczywiście – potwierdził Johann. – Jeśli wskaże pan łowisko...

– Wskażę, ale to musi pozostać między nami.

Johann potwierdził.

– Wobec tego zróbmy tak – podsumował – jeśli zawody się udadzą i ludzie z zarządu mojej firmy zobaczą choć jeden z okazów, o których pan mówi, zbudujemy na pana terenie montownię i magazyn sprzętu wędkarskiego. A z panem wejdziemy w spółkę na zasadach, które pan zaproponował: pan daje obiekt, my go modernizujemy i urządzamy. Dobrze zrozumiałem?

Krystian przytaknął. Ogarnęło go poczucie triumfu. Jego pieniądze nie tylko pozostaną bezpieczne, ale jeszcze je pomnoży. Bez najmniejszego ryzyka.

– Musimy się jeszcze porozumieć co do zarządzania hotelem dla wędkarzy – zaznaczył Johann, ale jego przyszły polski partner zrobił minę, która miała podkreślić jego wielkoduszność i zaufanie:

– Zostawiam to wam.

Wyciągnął dłoń, a Johann mocno ją uścisnął.

•

Dorota Sikora słuchała z uwagą, bezwiednie gryząc końcówkę długopisu jak niegdyś w podstawówce.

– Nie masz pojęcia, jak mile jestem zaskoczona – powiedziała, gdy Krystian skończył i sięgnął po butelkę wody mineralnej stojącą na zielonym suknie stołu konferencyjnego w gabinecie wójta gminy Kolonia. – Byłam pewna – dodała – że moja propozycja nie przypadła ci do gustu, a wręcz cię oburzyła. Miałeś taką zawiedzioną minę i tak szybko wyszedłeś...

– Nigdy nie oceniaj biznesmena po zachowaniu – pouczył ją. – Od pierwszej chwili temat kupna ośrodka mi się spodobał, ale... Szczerze? Miałaś rację. Zajmowałem się raczej sprawami większego formatu. Dlatego musiałem to wszystko ułożyć i ujrzeć nieco większy obrazek niż ten, który mi przedstawiłaś.

Zrobiło jej się trochę wstyd.

– Nie przejmuj się – oświadczył protekcjonalnie. – Dopiero zaczynasz tę zabawę. Też taki byłem na początku. Ale do rzeczy: po naszej rozmowie skontaktowałem się z niemieckim

OGŁOSZENIE
Kraj/34446209



eprasa.pl cce6ce74a6

partnerem. To największy światowy producent sprzętu wędkarskiego. Gdy tylko przedstawiłem mój plan, zgodzili się od razu. Wiesz, znają mnie trochę. – Krystian spojrzał na swoje paznokcie. – Najpierw zorganizujemy w Kolonii międzynarodowe zawody wędkarskie – dodał.

Dorota popatrzyła na niego przestraszona.

– Ale to pewnie olbrzymie koszty. Gmina...

– Nie martw się. – Lekceważąco machnął ręką. – Już o to zadbałem. Bierzemy wszystko na siebie. Ty podpiszesz tylko parę papierków z pozwoleniami. No i media trzeba ściągnąć. Dasz radę?

– Mam rzecznika prasowego. Zaraz mu to zlecę.

– Dobra. Posłuchaj dalej: jak zawody się udadzą, a moja w tym głowa, żeby się udały, kupię od gminy ten ośrodek. Za złotówkę – podkreślił, a pani wójt skwapliwie pokiwała głową. – Potem wejdę w spółkę z Niemcami. Stworzymy tu fabrykę sprzętu oraz nowoczesny hotel dla wędkarzy. Kolonia zacznie swój nowy rozdział. Za dwa, trzy lata będzie na ustach amatorów połowu ryb w całej Europie. Co powiesz?

Dorota wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym uwielbienia.

Po raz pierwszy dostrzegł w tym spojrzeniu coś, na co czekał od szóstej klasy podstawówki.

Dopił wodę i nonszalancko kiwnął Dorocie dłonią na pożegnanie.

– No to hej. Lecę. Robota czeka.

●

Dwa miesiące później Joachim Szymura obiecał znajomemu z Kolonii Osiedle wędzonego węgorza. Na siedemdziesiąte urodziny, więc nie można było odmówić.

Poprzedniego popołudnia solidnie skropił wodą kawałek ziemi za domem, gdzie mieszkały rosówki, wbił długi zaostrzony kij i postukał w niego kawałkiem drewna. Jakiś czas później pojawiły się pierwsze dżdżownice. Zebrał je do słoika z ziemią.

Wstawał zawsze tuż przed świtem. Lubił czekać na słońce i wpatrywać się w niebo na wschodzie, tak jak kiedyś wpatrywał się w dachy i ulice Weissdorfu. Nowy dzień napawał go optymizmem, nie potrafił ubrać tego uczucia w słowa, ale dodawało mu ono sił.

Zgasił papierosa, wciągnął gumiaki i sięgnął po wędkę. Dla niepoznaki. Nie zamierzał jej używać. W torbie miał kawałek deski, a na niej nawinięty sznur z kilkudziesięcioma haczykami, na które zamierzał nabić rosówki. Potem rozciągnąłby całość za łodzią. To było kłusownictwo w czystej postaci, ale czuł się zbyt stary i zmęczony, aby polować na węgorza z wędką.

Zepchnął na wodę tę samą od kilkudziesięciu lat starą krypę, która trzymała się dzięki corocznym remontom, i niemrawo poruszając wiosłami, zanurzył się we mgle.

Po kilkunastu minutach usłyszał głosy niosące się po wodzie od strony zatopionej wsi.

Zaniepokojony machnął silniej prawym wiosłem i skręcił w tamtą stronę.

Mgła powoli się unosiła. Achim przyjrzał się baczniej i zobaczył kilka łódek, które kręciły się nad Weissdorfem. Podpłynął bliżej. Obcy na łódkach mieli na sobie pomarańczowe kapoki i wyglądali na zaaferowanych. Nawet nie zauważyli, gdy się zbliżył.

– Szczęść Boże – powitał ich, ale nikt nie odpowiedział tym samym.

– Odpłyń pan stąd – zawołał jeden z nich. – Przeszkadzasz pan.

– W czym? – spytał Achim i w tej samej chwili zauważył, że teren podwodnej wsi obstawiony został blaszanymi bojami, między którymi ludzie na łodziach rozciągali kolorowe taśmy.

– Tu będą zawody wędkarskie – zawołał kolejny. – Nie słyszałeś pan?

– Jakie zawody? – W głosie starego zabrzmiał strach. – Kiedy?

– Międzynarodowe. Za tydzień. W sobotę i niedzielę. Możecie wystartować, dziadku – powiedział tamten, a kilku jego kompanów pracujących przy bojach wybuchło śmiechem. – Tylko kupcie sobie prawdziwą wędkę zamiast tego patyka.

Achim puścił kpinę mimo uszu.

– Dlaczego tu, w tym miejscu? – pytał dalej.

– Nie nasza rzecz. My jesteśmy z firmy, która zabezpiecza stronę techniczną. Niech pan zapyta w gminie, tam od dziś startuje sztab organizacyjny. I proszę stąd odpłynąć, bo zaraz będziemy znakować łowisko.

Szymura ruszył wiosłami i zaczął się oddalać. Kto wskazał im Weissdorf? – myślał gorączkowo. – Krystian? Nie. Niemożliwe. Przecież przysiągł, że nigdy nie zdradzi tajemnicy. Gerard! – olśniło go w tym samym momencie. Ta faszystowska świnia! Pamiętał, gdzie była wieś, a jego zięć, znający się na rybach, pewnie domyślił się, że między domami mogą mieszkać największe sztuki. Niech próbują – uznał. Pozrywają żyłki i tyle im z tego przyjdzie. Chyba że... będą łowić na żywca. Wtedy mogą trafić kilka wielkich ryb i fama rozniesie się po całym kraju. Co wtedy? Ściągną tu tłumy wędkarzy. Widmo, które przez kilka dziesięcioleci napawało Joachima Szymurę lękiem, zaczynało przybierać realne kształty.

W pierwszej chwili chciał natychmiast wracać na wzgórze, ale doszedł do wniosku, że nic mu to nie da. Przez kwadrans stał nieruchomo na jeziorze, wreszcie ruszył w kierunku wzniesień naprzeciwko dawnej „Barbórki". Powoli rozwijał sznur, zakładał na haczyki rosówki wyjmowane ze słoika i wyrzucał przynętę za burtę. Gdy skończył, odczekał godzinę pogrążony w myślach i zaczął ściągać swoją kłusowniczą pułapkę. Odpiął i wyrzucił kilka mniejszych ryb, zabierając dwa dorodne węgorze i karpia.

Po południu uwędził je, a gdy wystygły, opakował jednego węgorza w gazetę i pokuśtykał do Osiedla.

Znajomy był wniebowzięty.

– Wejdziesz? – spytał Achima stojącego w progu.

Stary zawsze odmawiał, ale dziś nieoczekiwanie skinął głową.

Usiedli w kuchni. Znajomy podszedł do lodówki i nalał po kieliszku wódki. Wypili.

– Na drugą nogę – zaproponował gospodarz.

– Nie wiesz, co to za zawody będą w przyszłą sobotę? – spytał Szymura.

– A pieron ich wie. Jakaś niemiecka firma to robi. Nawet telewizja ma przyjechać.

Stary słuchał z ponurą miną.

– Ile chcesz za tego bata? – spytał znajomy, wskazując dłonią węgorza.

– Zawieziesz mnie w poniedziałek do miasta – stwierdził Szymura. – Może tak być?

– No pewnie. Masz coś do załatwienia?

Achim z namysłem skinął głową.

●

Krystian Poliwoda uznał sobotni poranek za niezbity dowód na to, że niebiosa sprzyjały przedsięwzięciu, które pochłaniało go od kilku tygodni i dziś miało zakończyć się triumfem. Jezioro odbijało promienie słońca, wiał muślinowy zachodni wiatr i panowały warunki określane przez meteorologów mianem pogody wymarzonej.

Do Kolonii zjechał zarząd niemieckiej firmy produkującej sprzęt wędkarski, media, gapie i uczestnicy zawodów z Polski i Niemiec. W samej tylko kategorii amatorów startowało ponad stu wędkarzy łowiących na spinning z łodzi lub ze spławikiem z brzegów zbiornika. Dla VIP-ów zarezerwowano sektor nad Weissdorfem, gdzie miało popłynąć kilku mistrzów wędkarstwa, ale przede wszystkim celebryci: sportowcy, aktorzy, artyści estradowi i politycy promujący się z wędką. Plus trzy łodzie fotoreporterów polujących na zdjęcia ludzi z pierwszych stron gazet z gigantycznymi szczupakami i sandaczami obiecywanymi przez Krystiana.

On sam, ubrany w najmodniejszy strój wędkarski kupiony w Wiesbaden, paradował przed urzędem gminy, z satysfakcją obserwując samochody, które powoli zapełniały parking i sąsiednie ulice.

Goście zmuszeni byli nocować w hotelach w mieście, ale już za rok miało się to zmienić. Po zakończeniu mistrzostw zaplanowano początek prac modernizacyjnych w dawnym ośrodku górniczym. Niemiecka firma miała gotowe plany zamiany części obiektów „Barbórki" na potrzeby produkcji i magazynowania swoich wyrobów oraz aranżacji głównego budynku wczasowego, w którym przewidziano kilkadziesiąt miejsc noclegowych dla miłośników sportowego połowu ryb. Na poniedziałek po zawodach umówiony był notariusz, który najpierw miał uprawomocnić akt kupna ośrodka przez Krystiana, a godzinę później umowę jego spółki z niemiecką firmą.

Wprawdzie Johann z uporem podkreślał, że wszystko zależy od przebiegu zawodów, ale Poliwoda w ogóle się tym nie przejmował. Wiedział doskonale, że wielkie i głodne ryby mieszkające w domach Weissdorfu niezawodnie sięgną po przynętę, a wystarczy jeden okaz, aby zarząd niemieckiej firmy wpadł w zachwyt i wydał zbiornikowi w Kolonii certyfikat unikalnego łowiska. A jeden okaz to wziąłby tu nawet na pusty haczyk.

O dziewiątej wójt Dorota Sikora przecięła wstęgę i główny sędzia zawodów zadął w gwizdek, rozpoczynając zmagania.

Z przystani OSiR-u ruszyły łodzie i pontony liczniejsze niż podczas prestiżowych regat. Najładniejsze z nich, oklejone logotypami niemieckiej firmy, skierowały się w stronę oznaczonego sektora nad zatopioną wsią. Kwadrans później zajęły swoje miejsca. Zawodnicy zarzucili przynęty.

Przez kilka minut obraz łodzi skąpanych w słońcu znieruchomiał jak na płótnie van Gogha z Saintes-Maries.

A potem zaczęła się apokalipsa.

Łódź z trójką popularnych aktorów nagle niebezpiecznie się przechyliła, czemu towarzyszył paniczny wrzask jej pasażerów. Cała załoga wypadła za burtę, rozpaczliwie machając rękami i wołając o ratunek. Fotoreporterzy poderwali się jak na komendę, celując w rozbitków obiektywy, przez co niebezpiecznie zachwiali swoimi łodziami i sami też powpadali do wody. Jedni próbowali ratować aparaty, inni usiłowali płynąć, ale zaplątali się w żyłki i krzyczeli ile sił w płucach, aby ich uwolnić. Wędkarze na jednej łodzi ruszyli im na ratunek z przeraźliwym rykiem silnika. Impet oderwał ich jak ślizgacz od lustra wody, więc z całej siły uderzyli w burtę łodzi polityków.

Zapanowała zbiorowa histeria.

Ktoś wrzeszczał, żeby ratować tonącego posła, ktoś inny błagalnie zawiadamiał, że nie umie pływać, a aktorka z pierwszej łodzi piszczała jak opętana, choć już ją wyłowiono. Ratownicy wodni stali zdezorientowani, nie znając protokołu ważności VIP-ów i nie wiedząc, komu przyznaje on pierwszeństwo udzielenia pomocy. W kłębowisku ludzi i łodzi nic nie było oczywiste. Może poza świadomością, że żadna ryba nie pokusi się w tym miejscu o żer przez najbliższe dni.

Fala wywołana wydarzeniami nad Weissdorfem dotarła do sąsiednich łowisk. Pontony uczestników zawodów zatańczyły na niej jak dziecięce zabawki na powierzchni wanny, a ich dzielne załogi zwinęły sprzęt i ruszyły na ratunek. Jedynym plonem połowów były dwie zdezorientowane płotki, które dały się złapać z brzegu. Być może celowo, dla ratowania honoru domu.

Na łodziach, na kamiennym wale Stausee, na deptaku i brzegach wszyscy krzyczeli.

Milczało tylko dwóch ludzi.

Pierwszym był Krystian Poliwoda. Stał na przystani OSiR-u blady i skamieniały jak słup soli. Wokół niego biegali ludzie, Dorota próbowała szarpać go za rękaw i mówiła podniesionym, przerażonym głosem, ale jej nie słyszał. W uszach dźwięczał mu jedynie niesiony przez wodę pisk aktorki, która na deskach teatrów wytrenowała struny głosowe do tego stopnia, że mogła na odległość rozbijać szyby. Krystian nie wiedział jednak, że w chwilach, gdy przestawała piszczeć i nabierała tchu, bredziła o potworze. Wielkim, parometrowym, obłym cielsku bestii o głowie wielkości małego Fiata i przerażających, żądnych krwi oczach.

– To potwór wywrócił naszą łódź! – dyszała aktorka i zaczynała kolejną sesję histerycznego pisku. Ale to wszystko nie miało już dla Krystiana Poliwody żadnego znaczenia.

Drugim człowiekiem, który milczał, siedząc na trawie jak niegdyś przed swoim domem na wzgórzu Szymurów, był stary Achim.

W poniedziałek, cztery dni przed kolejną apokalipsą Weissdorfu, pojechał ze znajomym do miasta.

Wrócił z siedmioma kilogramami wieprzowej wątroby.

Obliczył dobrze. Było jej tyle, że wypełniła po brzegi zdezelowaną, zardzewiałą lodówkę. Poleżała w chłodzie dwa dni, następne dwa na słońcu, jak radził Kawecki. W sobotę o świcie Achim zapakował ją do swojej starej łodzi i wywiózł nad Weissdorf. Przedostał się na oznakowane łowisko, podnosząc kolorowe taśmy przyczepione do boi. Zatrzymał krypę obok wieży kościoła i zapalił papierosa.

A potem zaczął wrzucać kawałki wątroby do wody, kończąc w chwili, gdy od przystani oderwały się łodzie uczestników zawodów. Chwycił za wiosła i zaczął nimi machać z energią dwudziestolatka. Mamrotał modlitwy, a może zaklęcia. Prosił Gustawa, aby go nie zawiódł.

Został wysłuchany.

Olbrzymi sum poczuł swój przysmak i po raz pierwszy w pięćdziesięcioparoletnim życiu znalazł go na dnie tak dużo. Pochłaniał kawałek po kawałku, nabierając coraz większego apetytu, a gdy na dnie niczego już nie było, z impetem ruszył w górę, wiedział bowiem, że frykasy spadają z łodzi. Rozpędził się tak, że uderzył o jedną z nich.

Achim patrzył na niego z oddali, ale nie miał już takiego wzroku, aby dojrzeć ponaddwumetrowe cielsko ryby.

– Gustaw – powiedział półgłosem, ocierając rękawem brudnej koszuli łzy wzruszenia. – Dziękuję, Gustaw.

●

Notariusz umówiony na poniedziałek nie doczekał się żadnego z klientów. Ani wójta gminy Kolonia, ani pełnomocnika niemieckiego koncernu wędkarskiego, ani Krystiana Poliwody, który łączył obydwie sprawy i nagle zapadł się pod ziemię.

Nie pojawił się w urzędzie gminy, nie odbierał telefonu, kazał rodzicom kłamać, że nie ma go w domu, choć byli tacy, którzy widzieli, że stał za firanką w pokoju na piętrze. Wyjechał dwa dni później. Nie pożegnał się ani z Dorotą, ani ze starym Szymurą, który w końcu zrozumiał, kto stał za ujawnieniem łowiska nad zatopioną wsią. Gdy Krystian zatrzasnął bagażnik auta, nerwowo rozglądając się wokół, i usiadł za kierownicą, Achim wyszedł na wzgórze i lustrował drogę, jakby spodziewał się ucieczki zielonego Jaguara z podkulonym ogonem.

Poliwoda nie miał odwagi nawet spojrzeć w jego stronę.

Opuszczał Kolonię z przekonaniem, że nigdy nie wróci. Myślał o tym, przypominając sobie legendę opowiadaną przez ciotkę z Wiesbaden. Legendę o chłopcu z Weissdorfu, który zaginął we wsi tuż przed jej zalaniem i sprowadził na to miejsce klątwę. Krystian uważał historię za bujdę. Aż do soboty.

Dodał gazu i zatrzymał się dopiero we Wrocławiu, gdzie na najbliższej giełdzie samochodowej sprzedał Jaguara i kupił używanego Golfa. Za pieniądze ze sprzedaży firmy założył niewielki warsztat naprawy samochodów, który pozwalał wiązać koniec z końcem. Dopóki nie pojawiły się lśniące salony i nowoczesne serwisy wielkich marek motoryzacyjnych, a Krystian ocalał w jednym z nich. Dostał kombinezon z logotypem i plastikową plakietkę starszego mechanika. Pozwoliło mu to utrzymać siebie i cichą, dobrą żonę znalezioną przez biuro matrymonialne „Nadzieja".

Nigdy więcej nie spotkał Doroty Sikory, która nie została wybrana na drugą kadencję. Wyjechała z córką na północ Polski, aby wieść skromne życie pracownicy domu kultury. Ni rozwódki, ni wdowy.

W dniu, w którym wyjechała, dwaj wędkarze z Katowic dostrzegli na jeziorze dryfującą

eprasa.pl cce6ce74a6

drewnianą łódź. Gdy podpłynęli bliżej, stwierdzili z przerażeniem, że na jej dnie leży stary człowiek. Musiał umrzeć kilka dni wcześniej, bo ptaki zdążyły wydziobać mu oczy, którymi kiedyś patrzył na Weissdorf.

●

Potwór z Kolonii wzbudzał emocje mediów jeszcze przez kilka tygodni. Gazety lokalne próbowały zrobić z jeziora polskie Loch Ness. Pokazywano zdjęcia i drukowano relacje ludzi, którzy na własne oczy widzieli bestię przypominającą ichtiozaura, prehistorycznego gada zamieszkującego głębiny. Pani prowadząca kiosk na deptaku przysięgała, że była świadkiem, jak potwór jedną po drugiej połykał kaczki spokojnie płynące wzdłuż szuwarów. A trochę zdziwaczały mecenas, który miał w Kolonii domek letniskowy, przysięgał, że podwodny dinozaur wessał jego jamnika, który popłynął aportować patyk wrzucony do jeziora. Adwokat szykował pozew przeciwko gminie, która nie zapewnia bezpieczeństwa mieszkańcom.

W kolorowej prasie plotkarskiej prym wiodła aktorka, która utrzymywała, że jako jedyna naprawdę widziała potwora. Dopóki konkurentka grająca w innym serialu nie ujawniła jej skłonności do substancji odurzających.

Kolonia nie podzieliła turystycznej popularności sławnego jeziora w Szkocji.

●

Kilka lat po tych wydarzeniach obywatel Niemiec, który wypłynął nad Weissdorf łodzią łudząco podobną do czółna starego Szymury, zauważył pod wodą najpierw wieżę zatopionego kościoła, a potem krążącą wokół niego bestię. Drżącymi dłońmi wyszarpał z torby aparat, którym fotografował swoje wędkarskie trofea, i zrobił kilka zdjęć. Tego samego dnia wywołał odbitki i przekazał je redakcji regionalnego dziennika.

Fotografie na dobrą sprawę nie nadawały się do druku.

Widać było na nich zaledwie jakiś cień, który równie dobrze mógł być efektem fotomontażu, ale redakcja wiedziała, jak się podbija nakład. Następnego dnia przypomniała historię potwora z Kolonii, obiecując czytelnikom sensacyjne zdjęcia i nowe fakty. Już wkrótce.

W kolejnym wydaniu ukazały się tajemnicze fotografie umożliwiające rozpoznanie fragmentu burty i lustra wody, a pod nim ciemnego kształtu, który redakcyjny grafik otoczył czerwoną obwódką i obok dorysował strzałkę. Zdjęcia opatrzono informacją, że dostarczył je wędkarz pragnący zachować anonimowość.

Ale eksplozja sensacji miała dopiero nastąpić.

W trzecim dniu akcji „Potwór powraca", która wyraźnie podniosła sprzedaż w kioskach, gazeta poprosiła o wywiad uniwersyteckiego doktora ichtiologii. Naukowiec obejrzał odbitki w dużym powiększeniu i rozpoznał na nich olbrzymiego suma. Nie potrafił dokładnie określić jego parametrów, ale orzekł, że przedstawiciele tego gatunku potrafią żyć sześćdziesiąt lat, osiągać dwa i pół metra długości oraz wagę stu czterdziestu kilogramów. Choć ten wydawał się jeszcze okazalszy. A jeśli tak było w rzeczywistości, ekspert potwierdził, że gigant z Kolonii może być największą rybą w Polsce. A może i w Europie.

Nowy wójt, który tego samego dnia rano podjechał na parking przed urzędem, aby otaczać troską gminę i jej mieszkańców, zastał przed drzwiami tłum dziennikarzy, kamer i wycelowanych w siebie mikrofonów. Przytomnie zaprosił media do sali posiedzeń rady, gdzie zapowiedział się za kilka minut.

W sali wrzało.

Koledzy z gazet, stacji telewizyjnych i rozgłośni radiowych usiłowali naciskać reportera regionalnego dziennika, żeby ujawnił, czy zdjęcia suma są autentyczne, a jeśli tak, to od kogo je dostał, ale ten milczał jak grób. Dano mu spokój dopiero w chwili, gdy otwarły się drzwi i stanął w nich lekko zmieszany wójt w towarzystwie rzecznika prasowego. Starego wyjadacza, który wcześniej pracował w dzienniku regionalnym, ale miał już dość biegania po mieście i wybrał hamak w Kolonii, u Pana Boga za piecem.

Rzecznik wygłosił oświadczenie, że władze lokalne dowiedziały się o odkryciu suma z mediów, ale dołożą wszelkich starań, aby sprawę wyjaśnić i niezwłocznie poinformują o tym opinię publiczną. Kiedy rozpętała się burza pytań, rzecznik z pokerową twarzą oznajmił, że za wcześnie na jakiekolwiek odpowiedzi, po czym skutecznie pozbył się mediów, proponując, że przedstawi im plany rozwoju gminy. Dziennikarze zaczęli więc zerkać na zegarki i pośpiesznie opuszczać salę.

Zwołany tego samego dnia sztab zaufanych doradców wójta po godzinie burzliwych obrad znalazł się w punkcie wyjścia. Jedni uważali, że temat należy utopić. Na zdjęciach niczego nie widać, a opinia ichtiologa jest naciągana. Drudzy przekonywali, że największa ryba kontynentu to dla gminy wymarzona okazja do promocji i szansa na złowienie turystów.

Wójt zachował milczenie.

Następnego dnia wezwał rzecznika i pokazał mu artykuł w popularnym tygodniku, w którym wychwalano agencję specjalizującą się w marketingu miejsc. Gmin, miast i regionów.

– Przeczytaj i powiedz, co myślisz.

Rzecznik sięgnął po czasopismo, usiadł i po dziesięciu minutach wydał werdykt:

– Chcesz, to ich zatrudnij. O ile cię stać. – Popatrzył na wójta z dużą dozą sceptycyzmu. – Ale bądź przygotowany, że wezmą od ciebie zegarek, żeby ci powiedzieć, która godzina, i zapłacisz za to kupę forsy. Już ja znam tych marketingowych szulerów – dodał, bo wójt liczył się z jego zdaniem.

Ale nie tym razem.

Na początku następnego miesiąca do Kolonii przyjechał prezes agencji – wyelegantowany i wygadany czterdziestolatek otoczony wianuszkiem wpatrzonych w niego stażystek i asystentów czytających w myślach.

– Sum – powiedział z namysłem, wysłuchawszy powodów, dla których go zaproszono.

– Sum – potwierdził wójt.

– Sum – dodał rzecznik, żeby nie być gorszy.

Prezes agencji na kilkanaście sekund zakrył twarz dłońmi, a jego dwór zamarł w bezdechu. Guru marketingu miejsc myślał.

– No, miałbym pomysł – oświadczył w końcu, opuszczając dłonie.

Wójt zrozumiał tryb przypuszczający.

– Oczywiście zapłacimy państwu według waszych stawek, prosilibyśmy tylko o wycenę usługi.

Prezes wymienił sumę, na co nowy gospodarz gminy zakrztusił się wodą mineralną, a rzecznik posłał mu spojrzenie „a nie mówiłem?".

– Jest jakiś rabat? – wydusił wójt, wycierając marynarkę chusteczką.

– Wie pan, jak z reguły odpowiadam na to pytanie? – Prezes też sięgnął po chusteczkę i czyścił nią okulary. – Że Rabat to stolica Maroka.

Dwór zachichotał.

– Ale z racji tego, że jesteście małą gminą i nowym klientem, dam wam dziesięć procent.

Kilka dni później umowa została zawarta.

Agencja zobowiązywała się w niej do przygotowania strategii komunikacji unikalnych cech gminy Kolonia, czyli obecności w tutejszym jeziorze rekordowo dużego suma. Zgodnie z planem marketingowym firma zajmująca się poszukiwaniami podwodnymi miała go zlokalizować, schwytać, pozbawić życia, a następnie sum zostałby spreparowany i wystawiony w specjalnym pawilonie, gdzie można by go było oglądać za okazaniem biletu wstępu.

Przedsięwzięcie było kosztowne, ale agencja obliczyła, że największa ryba Europy zwabi tylu turystów, że inwestycja zwróci się szybko i z nawiązką. Nie wspominając już o tym, że uczyni Kolonię słynną na cały kontynent.

Firma, która jakiś czas później przeczesała jezioro za pomocą sonarów, nie natknęła się jednak na olbrzymiego suma, ale ku swemu zaskoczeniu odnalazła pod wodą zatopioną wieś. Tego samego dnia zeszła tam ekipa płetwonurków.

Pływali wzdłuż ulic, między domami, dostrzegając tu i ówdzie duże ryby, lecz żadna z nich nie odpowiadała rysopisowi poszukiwanego.

Jeden ze śmiałków zamierzał wpłynąć do największego budynku, który kiedyś był kościołem, ale szef ekipy stanowczo mu tego zabronił. Nie wiadomo, w jakim stanie były mury świątyni, a zwłaszcza jej dach. Po tylu latach w wodzie jeden nieostrożny ruch mógł spowodować katastrofę.

Przez dłuższą chwilę sprzeczali się na gesty, unosząc się na wysokości drzwi kruchty, wreszcie pomachali płetwami i popłynęli w górę.

Gustaw obserwował ich z godnością stosowną do swojego wieku, przystawiając oko naznaczone starą blizną do okrągłego otworu nad wejściem do kościoła.

Ludzie zawsze wydawali mu się dziwnymi rybami, choć dopiero dziś, sześćdziesiąt lat po tym, jak został proboszczem podwodnej parafii, przyjrzał im się z bliska. Wcześniej widział jedynie człowieka, który go schwytał i wpuścił do jeziora, oraz szary szkielet innego, rozsypany w miejscu po rozebranym ołtarzu.

Spłynął zatem powoli do głównej nawy, osiadł na posadzce pokrytej grubą warstwą przytulnego mułu, westchnął i zasnął.

●

Raport firmy poszukiwań podwodnych został skserowany i rozdany dziennikarzom podczas konferencji prasowej wraz z oficjalnym stanowiskiem władz gminy. Nie pozostawiało ono cienia wątpliwości, że incydent wywrócenia łodzi podczas międzynarodowych zawodów wędkarskich przed czterema laty był efektem nieostrożnego zachowania jej pasażerów. Zdjęcia niemieckiego turysty łowiącego ryby nad dawnym Weissdorfem uznano za niewiarygodne, a wypowiedź eksperta określono mianem nadużycia.

Przed kamerami telewizji wójt gminy Kolonia z całą stanowczością oświadczył, że olbrzymi sum z miejscowego jeziora był jedynie wytworem wyobraźni. ●

REKLAMA
Kraj/34451327

Organizatorzy:
Prezydent Miasta Radomia
Muzeum Witolda Gombrowicza
Patronat honorowy:
Rita Gombrowicz
Mecenasi:
Partner strategiczny:
Partner główny:
Partnerzy:
Patronat medialny:
WYDARZENIE DOFINANSOWANE Z BUDŻETU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO W RAMACH ZADANIA „GOMBROROCZNICE 2026"
muzeumgombrowicza.pl

Festiwal „Opętani Literaturą"
LITERATURA, WOLNOŚĆ, WŁADZA
18 - 27 WRZEŚNIA 2026
Radom - Wsola

TEGOROCZNI GOŚCIE TO:
BARBARA ELMANOWSKA, OLGA HUND, JUSTYNA BARGIELSKA, PAWEŁ RODAK, PIOTR KŁOCZOWSKI, JÓZEF OLEJNICZAK, WERONIKA MUREK, JERZY FRANCZAK, JOANNA B. BEDNAREK, KATARZYNA SAWICKA-MIERZYŃSKA, PIOTR KOFTA, JANUSZ MARGAŃSKI, PIOTR SADZIK, MICHAŁ NOGAŚ

WYDARZENIA TEATRALNE:
ZUZANNA WIATR „DZIEWICTWO"
I'MPRO IMPRO spektakl improwizowany

WYDARZENIA MUZYCZNE:
KASIA LINS Trio
FISZ EMADE TWORZYWO

WYDARZENIE FILMOWE:
„OBCY"
reż. FRANÇOIS OZON

XI EDYCJA NAGRODY LITERACKIEJ IM. WITOLDA GOMBROWICZA

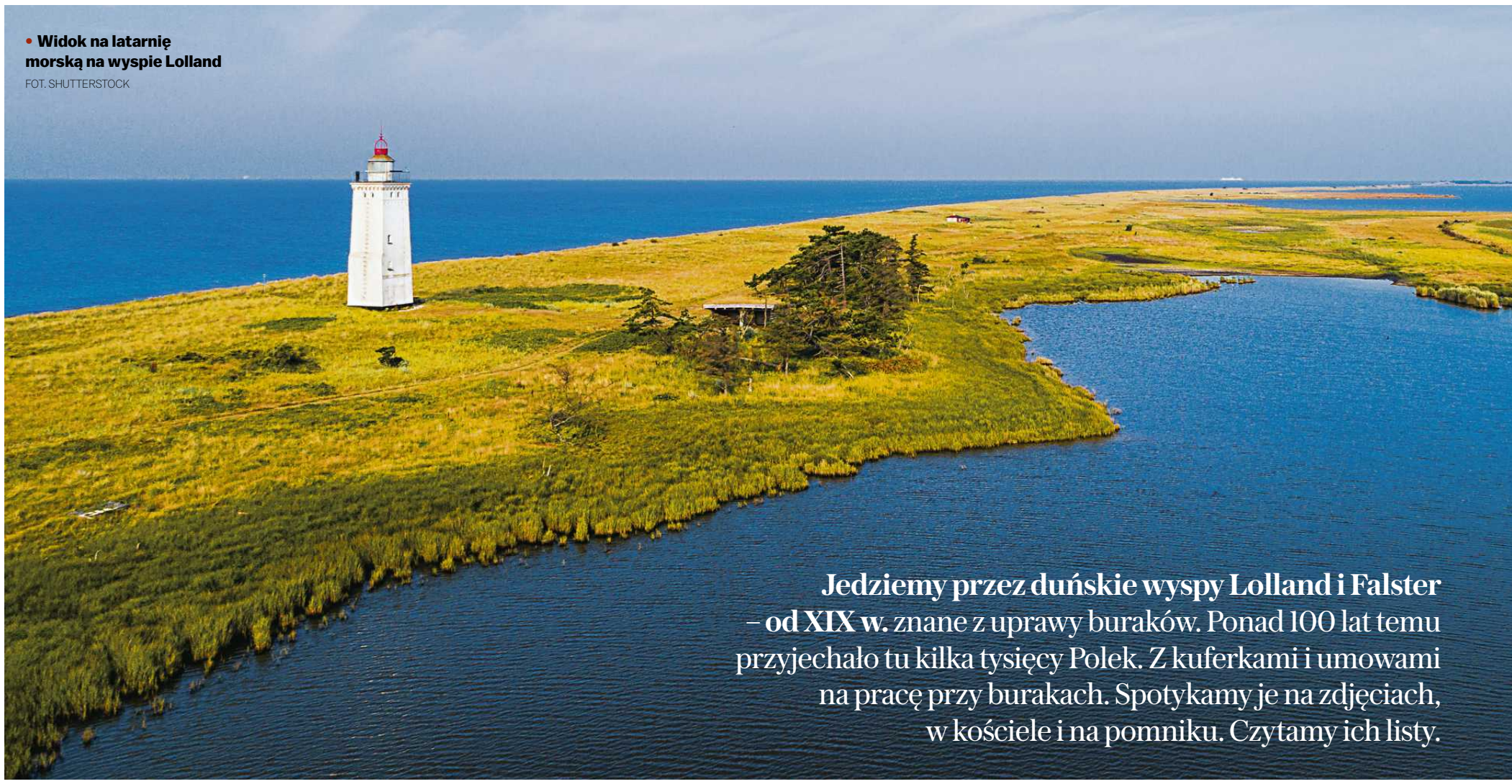
NOMINOWANI
MARCIN OSKAR CZARNIK „Trzy dni, trzy noce"
MARCIN CZUB „Natura dziury"
DOROTA GRABEK „Zmartwychwstanki"
EMILIA KONWERSKA „Rzeczy robione specjalnie"
AREK KOWALIK „Dźwięki ptaków"

GALA NAGRODY LITERACKIEJ IM. WITOLDA GOMBROWICZA
27 września 2026



1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6



• **Widok na latarnię morską na wyspie Lolland**
FOT. SHUTTERSTOCK

Jedziemy przez duńskie wyspy Lolland i Falster – od XIX w. znane z uprawy buraków. Ponad 100 lat temu przyjechało tu kilka tysięcy Polek. Z kuferkami i umowami na pracę przy burakach. Spotykamy je na zdjęciach, w kościele i na pomniku. Czytamy ich listy.

LISTY Z WYSP BURACZANYCH

Andrzej Goworski
Marta Panas-Goworska

Ja szybą widać światła nabrzeża. Moja 9-letnia córka śpi oparta o szybę. Kierowca autobusu zwalnia. Razem z innymi samochodami powoli wjeżdżamy do brzucha wieloryba. W środku jest jasno, czuć spaliny i kołysze. Wysiadamy z autobusu i wchodzimy na wyższy pokład promu. Szósta rano, pora śniadania. Rostock powoli znika za oknami. Mocno wieje, morze jest wzburzone. W restauracyjnej kuchni pobrzękują patelnie i stosy talerzy. Czekają nas dwie godziny tej perkusji.

W drodze do brzucha wieloryba

13 godzin wcześniej byliśmy w Warszawie. Autobus był prawie pusty. Było 23 stopnie, słońce, ale po drodze lunął deszcz. Córka szybko zasnęła, ale budziła się co jakiś. Bardzo chciała jechać ze mną w tę podróż.

Minęliśmy Poznań, a po godz. 23 byliśmy w Szczecinie. A potem wjechaliśmy do Niemiec. Czas złapać kilka godzin snu. Głosy po polsku, ukraińsku i niemiecku cichną.

Myślę o tym, jak bardzo zmieniło się podróżowanie. Dziś nie ma problemu z kupnem biletów, a droga w jedną stronę to 16 godzin.

A ledwie 25 lat temu jechałem do Danii stopem przez dwie doby. Dotarłem do Rostocka i nie wiedziałem, jak wejść na prom, więc wsiadłem na chybił trafił do autobusu, którym Szwedzi jechali z Krakowa. Były wolne miejsca, a kierowca zatrzymał się, żeby załatwić formalności. Pomyślałem: autobusy wjeżdżają na pokład z pasażerami jak na lotnisku. Kiedy prom dobijał do brzegu, wsiadłem do tego samego autobusu, ale nie zatrzymaliśmy się na żadnym parkingu. I wtedy dotarło do mnie, że dołączyłem do jakieś wycieczki i tak dojechałem aż do Helsingør, pod zamek Hamleta... na gapę.

Tymczasem rano jesteśmy już w Danii. Z autobusu wysiadamy w Nykøbing na [wyspie] Falster o 8.35. Chłodno, wietrznie, co chwila kropi, a potem wychodzi słońce. Sprawdzam trasę do Maribo i pogodę na najbliższe dni – wszystko to robię w minutę.



• **Pomnik Roepiger (buraczanych Polek) stoi w Sakskøbing na Lollandii od 1940 r. W 2015 r. osłonięto też na cokole specjalną tablicę pamiątkową** FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

Na koniec piszę do domu: „Dojechaliśmy do Danii, wszystko OK, będziemy dawać znać, kocham".

Katarzyna Rzeźnik ponad 100 lat wcześniej tak zaczynała swój list do rodziców: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Na wieki wieków – Amen! A teraz witam Was serdecznie". Też chciała im powiedzieć: jestem.

Śniadanie w Tågerup

Przyjeżdża po nas Marek Kocuba. Mieszka tu od 40 lat i jest współtwórcą Izby Polskiej w Tågerup. W domu, przy pysznym śniadaniu, które przygotowała jego żona Elżbieta rozmawiamy o dawnych Polkach, o muzeum, o tym, co można znaleźć w okolicy.

Marek opowiada o tym jak zainteresował się historią wysp Lolland i Falster, o kontaktach z rodzinami Polek, które tu przyjeżdżały, o zbieraniu dokumentów, zdjęć, przedmiotów. Jeszcze przed nim, w latach 80. zainteresował się tym Torsten Elsvor – dziś emerytowany dziennikarz lokalnej gazety. I Marek podkreśla, że to „on był inicjatorem" powołania muzeum.

Chcemy najpierw zanurzyć się w tę historię sprzed wieku, a potem na kilka dni popłynąć promem na niewielką wyspę Femø niedaleko Lollandii. Pracować i odpoczywać – tak to sobie zaplanowaliśmy. Kupujemy więc bilet na prom, a potem Marek zabiera nas na wycieczkę.

Cukrowni coraz mniej

Jedziemy przez Lolland. Płasko, czasami teren faluje, wietrznie, na przemian pola uprawne i miasteczka. Córka pyta, czy tu zawsze są buraki cukrowe. Marek mówi, że wyspy Lolland i Falster to jeden z głównych regionów ich uprawy w Danii, dlatego potocznie mówi się o nich „wyspy buraczane" (duń. Sukkerøerne).

Niebawem tymi drogami pojadą wielkie traktory z przyczepami pełnymi buraków. Kiedy robimy ten objazd, działają jeszcze dwie cukrownie. Ale tuż przed wyjazdem zadzwoni do nas Marek i powie, że w Danii wielkie poruszenie, bo ogłoszono właśnie zamknięcie jednej z nich.

– To duża część naszego życia, naszego DNA – mówi rolnik Michael Grunnet Rasmussen w materiale lokalnej duńskiej telewizji TV2 ØST o zamknięciu cukrowni w Nakskov. Zakład ma zakończyć produkcję w styczniu 2027 r. Niemiecki właściciel, Nordzucker, tłumaczy decyzję nadmiarem mocy produkcyjnych w Europie i wysokimi kosztami modernizacji fabryki. Produkcja cukru ma się skupić w Nykøbing na Falster, a zakład w Nakskov będzie tylko pakować. Plantatorzy już wyliczyli, że duński areał buraków skurczy się o połowę.

Szlakiem dziewczyn z Nowego Sącza

Na naszych oczach kończy się więc pewien rozdział duńskiej tradycji. Buraki cukrowe przez pokolenia łączyły kulturę agrarną z przemysłem. W latach 1873-1912 zbudowano w Danii 9 cukrowni, które stały się jednym z filarów ówczesnej siły ekonomicznej kraju. Cztery z nich stanęły na Lollandii.

Początkowo sprowadzano tu do pracy młode Szwedki, potem Niemki, a kiedy możliwości pozyskiwania pracownic w tych krajach się wyczerpały, szukano w Galicji. Dlaczego tam? Bo udziałowcami cukrowni byli Niemcy. A ci mieli kontakty na polskich ziemiach i 19 kwietnia 1893 roku do Gedser przybyło pierwszych 400 polskich robotników, głównie młodych kobiet. Musiały mieć ukończone 16 lat.

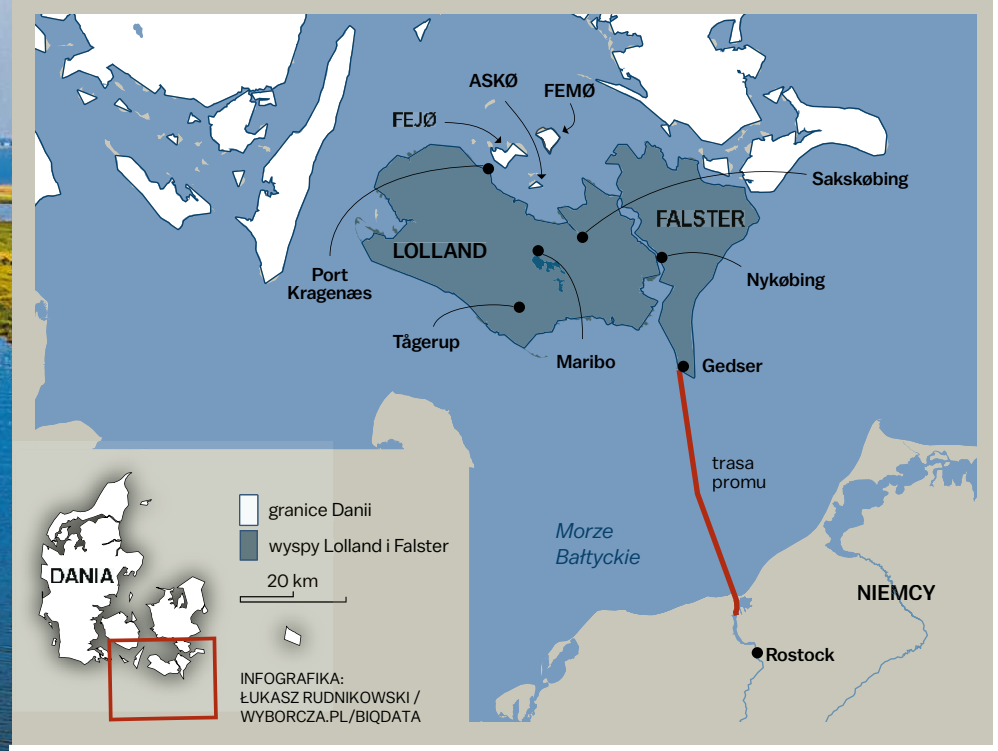
Pracowały od 6 rano do 6 wieczorem. Wiosną i latem siały i pieliły buraki, a wczesną je-

eprasa.pl cce6ce74a6



Duńskie „Wyspy Buraczane”

To nie jest oficjalna nazwa geograficzna w Danii. Tak potocznie nazywa się duńskie rolnicze wyspy Lolland i Falster, położone na południe od Zelandii, bo od XIX w. słynęły z uprawy buraka cukrowego i produkcji cukru





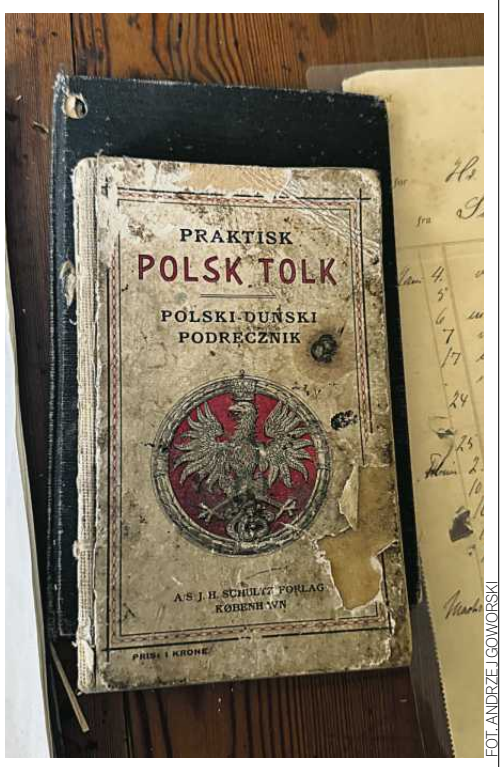
FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

• **Izba Polska w Tågerup. Jedno ze zdjęć Polek, które pracowały na polach buraczanych. Pochodziły głównie z biednej Galicji, po sezonie wracały do domu. Przywoziły modlitewniki i różańce. Silne przywiązanie do katolicyzmu odróżniało je od protestanckich Duńczyków**



FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

• **Polski kościół w Maribo zbudowano w 1897 r. Pierowotnie był pod wezwaniem św. Brygidy (związana z tradycją miasta) i św. Stanisława Biskupa, który symbolizował polskich wiernych**



FOT. ANDRZEJ GOWORSKI

• **Izba Polska w Tågerup. Rozmówki polsko-duńskie dla robotników sezonowych. Konieczne, żeby porozumieć się z gospodarzami, robić zakupy czy załatwiać coś w urzędach**

sienią je zbierały (wyrywały, czyściły i obcinały nożem liście). Praca była bardzo ciężka, monotonna, cały czas były pochylone. W kontrakcie zapisano, że nie wolno im pracować ani na klęczkach ani na siedząco. Zapis jest historyczny, po pierwsze chodzi o ochronę roślin, żeby kolanami ich nie niszczyć, po drugie łatwiej tak było nadzorować kobiety. I choć brzmi to jak historia z pańszczyźnianej Rzeczpospolitej, to na obrazach przedstawiających Polki na duńskich polach, widać nadzorcę z nahajką.

Domy noclegowe, gdzie mieszkały, nazywano „polskimi koszarami” – Polakkasernen. W szczytowym okresie na Lollandii było około 30 takich budynków. Dziś został jeden – właśnie Izba Polska w Tågerup.

Na początku nad dziewczynami czuwał Aufseher, niemiecki nadzorca, którego nie rozumiały. Ich wynagrodzenie wynosiło od 1,15 do 1,50 korony dziennie, w zależności od sezonu i rodzaju pracy, plus litr odtłuszczonego mleka i 12,5 kg ziemniaków tygodniowo. W razie choroby traciły dniówkę.

Dopiero w 1908 r. wprowadzono Polakloven – ustawę o Polakach, dzięki staraniom duńskiego działacza społecznego Petera Sabroe. Kontrakty musiały być spisane po polsku i duńsku, a warunki mieszkaniowe kontrolował wójt lub policja.

Jednocześnie liczba robotnic z Polski rosła. W 1911 r. przybyło ich już około 10 tys., z czego prawie połowa trafiła na Lollandię i Falster. A wiosną 1914 r. – 14 tys. Początkowo duńska prasa pisała o nich z niechęcią, obawiając się, że zagraniczni robotnicy odbiorą pracę Duńczykom: „dzierżawca mówi, że to z powodu braku siły roboczej. A my mówimy, że przyjechali tu jako łamistrajki [...]. Jeśli pójdzie tak dalej, to niedługo większość duńskiej ziemi będzie uprawiana przez zagraniczną siłę roboczą albo niewolników”.

W 1929 r. wstrzymano sprowadzanie Polek. Wtedy też ok. 4 tys. z nich osiedliło się w Danii.

W Sakskøbing nagrodzone pomnikiem

Pierwszy przystanek – Sakskøbing, miasteczko na Lollandii. Tu stoi pomnik Roepiger – buraczanych Polek. „Pożeracze ziemniaków”, „buraczane Polki” – tak pisała o nich prasa. Z czasem jednak Duńczycy zaczęli dostrzegać, że te robotnice wniosły do ich codziennego życia coś więcej niż swoją pracowitość i wytrwałość.

W 1940 r. wystawiono im ten pomnik w dowód wdzięczności za wkład w rozwój wspólnoty. W 2015 r. na cokole władze Lolland i polska ambasador Henryka Mościcka-Dendys odsłoniły tablicę, na której napisano, że Roepiger są symbolem historycznych związków między społeczeństwem duńskim i polskim.

Stoję przed tym pomnikiem z moją 9-latką, która pyta, czy tamte kobiety były szczęśliwe. W listach nie ma na to odpowiedzi. Jest tęsknota, rachunki, choroby, prośby o rodzinne wieści. Jest nawet dziwny, bardzo przejmujący sen. Katarzynie śniło się, że jej mąż „chodził z wielgósko”, zapewne z sąsiadką i „łacał się” z nią, a więc pieścił się, a potem mąż dał jej, Katarzynie, „zimnioki na rękę, a to było jajo i rozbiło się, a [on] się [jej] pytał cy z pniakiem” – tu najprawdopodobniej chodzi o ząb albo jego brak.

W Maribo zbudowali im kościół

Jedziemy dalej, do miasta Maribo w centrum Lollandii, do kościoła św. Brygidy. Z zewnątrz neogotycki, ceglany. W środku ma kasetonowy sufit. Konsekrowany w 1897 r., został zbudowany za pieniądze zebrane przez duńskiego księdza Edwarda Ortveda...na ziemiach polskich. Ksiądz pojechał tam w 1893 r., nauczył się języka, jeździł po zaborze rosyjskim i austriackim, zbierał pieniądze, początkowo musiał się ukrywać, ale ostatecznie uzyskał zgodę od samego cara Mikołaja II.

Przywiózł do Danii relikwie świętych Stanisława, Wojciecha i Jadwigi, a w Poznaniu nabył monstrancję. Zapewne w Galicji zobaczył kasetonowe stropy w kościołach – np. w Nowym Sączu czy pobliskiej Krużlowej Wyżnej – i zasugerował architektowi, żeby zastosował je w Maribo. By przypominały Polkom świątynie z ich rodzinnych miejscowości.

W kościele są też polskie tablice, obrazy przywiezione przez emigrantów. Oglądając je, zastanawiam się nad fenomenem: zamożna wówczas Dania, a kościół zbudowano ze środków zebranych w biednej Galicji.

„Polskie koszary” w Tågerup

Muzeum Izba Polska w Tågerup to jedyny zachowany budynek „koszarowy” na Lollandii, zbudowany w 1911 r. dla 30 polskich robotnic, nadzorcy i jego rodziny. Wygląda trochę jak szkoła, z cegły, z niewielkimi oknami. Na dole kuchnia, jadalnia, biuro nadzorcy i pokój dla niego i jego żony, na górze jedna wielka sypialnia z pryczami dla Polek.

– Tu było wszystko zniszczone – mówi Marek. – Jak człowiek wszedł, to nie wiedział, czy bardziej patrzeć pod nogi, czy nad głowę.

Torsten i Marek stopniowo odrestaurowali drewnianą konstrukcję i w 1984 r. udało się otworzyć muzeum. A w 2020 r. nasz Instytut Pamięci Narodowej przyznał Izbie Polskiej nagrodę „Świadkowie Historii”.

Marek dzień wcześniej miał tu kilka grup, w tym kilkunastu Polaków, którym duński pracodawca zafundował sobotnią wizytę w muzeum. Szybko zaczynam rozumieć, że Izba Polska nie jest tylko miejscem pamięci o emigracji. To przestrzeń, w której opowiada się historię bardziej ogólną: o pamięci i niepamięci.

Córki nie interesują te wielkie sprawy i spogląda na łóżka. – A one wszystkie tutaj spały?

Dla niej historia zaczyna się wtedy, kiedy można sobie wyobrazić konkretną osobę. Gdzie kładła się do snu, co jadła, czy miała z kim rozmawiać, czy płakała.

Na ścianach wiszą narzędzia rolnicze: widły diabła – czyli narzędzia do wyrywania buraków – motyczki do pielenia, noże do obcinania liści. Wiszą też oryginalne fotografie Polek w strojach ludowych, kontrakty pracy spisane odręcznie, kartki z adresami i pieczątkami. W gablotach – fragmenty listów, pożółkłe metryki, kilka drewnianych różańców. Marek pokazuje też kopię książki „rewizyjnej”, gdzie zapisywano godziny przyjazdu i wyjazdu.

Na dziedzińcu rzeźba dwóch „buraczanych Polek”, odsłonięta w 2022 r. – 110 lat po tym, jak 30 dziewcząt i ich nadzorca wprowadziło się do tych budynków. Marek opowiada, że wszystkie takie „koszary” budowano w oddaleniu od innych budynków. Czemu? Żeby odseparować Polki od Duńczyków.

Zaglądamy też do nowego pawilonu, gdzie można usiąść i coś zjeść. Na ścianach też zdjęcia z epoki. Polki wyjeżdżają pociągiem z Krakowa. Później płyną statkiem z Rostocku i w Gedser – jak my – schodzą z promu. Na kolejnym zdjęciu idą do pociągu, który wiózł je już tutaj. Trzymają kuferki, walizeczki, ubrane są po ludowemu, niekiedy z góralska. A tu znów zdjęcie polskiej procesji w Maribo – idą do kościoła, wystrojone, niektóre też w góralskich strojach.

Za pawilonem popularny w Skandynawii szelter czyli schronienie. Skanuje się kod QR, płaci i można nocować w śpiworze. To dowód, że muzeum żyje i otwiera się na nowych gości.

Muj list

Wracam do listów sprzed 100 lat.

Katarzynę Rzeźnik zapamiętałem z powodu jej starannej kaligrafii i fatalnej ortografii, bo pisze „muj list”, „ktuży”, „pieniendzy”, „trohe”. Ale patrzę na jej korespondecję z sentymentem – tak jak patrzymy na wiadomości naszych dzieci, gdzie pojawia się „koham” albo inne czułe słowo ze strasznym bykiem.

Wiktoria Śpiewak w liście z 17 kwietnia relacjonuje podróż do Danii: jechały przez Mysłowice, szukały „ałzyjera” i prostuje, że nie zapłaciły mu wcale 15 szóstek (szóstka to drobna miedziana moneta), jak mówiono. Więc nie jest tak źle. Też nikt ich o „książki” nie pytał, choć je straszono, że na drodze będą zabierać. Zapewne chodziło o katolickie modlitewniki i Biblię, które ze sobą woziły, jadąc do protestanckiego kraju. Na miejscu pani „bałor-

eprasa.pl cce6ce74a6

ka" – żona właściciela majątku – zaprosiła je do siebie: „Ten Pan nam przysłał zkil kawy i czukru. i sneków kosz. a czukru było ze trzy fonty".

Potem poszły do roboty na drugi dzień. Od niej też dowiadujemy się, że w niedzielę nie musiały iść na pole, choć kobiety, które podpisały inne kontrakty, pracowały. Więc dziwi się, że „te dziwki gnój w to święto nagładały". Ostrzega też rodziców przed agentami: w Polsce „chodzą i proszą i obiecują złote góry i biorą wgalicyi po Koronie i zaprowadzają do mysłowic i zaprzedają je zabieraja pieniądze wgalicyi".

Salomea Rzeźnik odpisuje siostrze: „pozdrawiam cię kasiu przez liściekasztana żebyś se wybrała kawalira Pana" i dalej: „proszęcię moja siostra kochana żebyś my kupiła na jakie ubranie a jak nie to my kóp taki stanik jakeś kupiła chelci". W innym miejscu podaje dokładną kwotę: „odebralimy piniądze 24 października 65 rynskich 54 helerów".

Reński był dawną jednostką pieniężną, a halerz jej groszem; w Galicji jeszcze długo po wprowadzeniu koron używano określenia „ryński". Przeciętna robotnica mogła zarobić w sezonie ok. 250 koron. Za pół chleba płaciła 0,32 korony, za masło 1,18, za kawę 1,28.

W Danii to były skromne pieniądze, ale dla rodzin w Galicji ogromna pomoc.

Eleonora Waś pisze do siostry Anusi: „do kościoła mamy chodzić 1 i pół godziny i nigdy nie opuszczamy co niedziela chodzimy. to somy rana na godzinkach i na mszy św. i nasumie chodzimy do spowiedzi często mamy księdza Misyonarza z Krakowa bardzo dobrego".

Inna kobieta: „pozdrawiam cię przez białą lilią niechcię ma wopiece Jezus i Marya" oraz „pozdrawiam cię przez stróża Anioła niech ci będzie w każdej chwili godzina wesoła". Te symbole zastępowały długie wyznania.

Prom na wyspę odpoczynku

A teraz – prom, mały port i jeszcze jedna wyspa. Marek wiezie nas do Kragenæs, z którego dostaniemy się na Femø. Obiecuje, że wyśle informacje o Polce, która była ważnym fryzjerem w Danii; wspomniała o niej jego żona i czujemy, że może to być temat na kolejny tekst.

Prom na Femø jest niewielki, na jakieś 10 aut. Pracownik obsługi wita mnie: „Haj, Andrzej" – pewnie imię wyświetla mu się to po zeskanowaniu biletu, ale to miłe. Płyniemy 45 minut przez spokojną wodę między wyspami, widać wodorosty pod powierzchnią.

Dobijamy. Jest niedziela, w Danii sklepy są otwarte, ale Femø żyje swoim życiem. Market, który miał być czynny – zamknięty. Zaczyna padać, wsadzam sobie córeczkę na ramiona i niosę 1,5 km do naszego B&B. Na miejscu okazuje się, że właścicielka chętnie by po nas do portu przyjechała. „Niektórzy chcą przyjść sami, inni przyjeżdżają autem, więc jak chcesz podwózki, daj znać" – mówi z rozbrajającą szczerością.

Warunki więcej niż dobre: sypialnia, pokój wspólny, kuchnia i łazienka. Nie dostajemy klucza. „Tutaj nikt się nie zamyka". Czuję dyskomfort, ale zmęczenie wygrywa ze strachem.

Zanim zapadnie zmrok, przechodzimy jeszcze przez „centrum" miasteczka. Zajmuje to 10 minut. Przed jednym z domów stoją stare traktory jako instalacja artystyczna, a obok wystawka kaset VHS z filmami, wśród których jest Shrek. Od razu też Femø dopada nas zmysłowo: pachnie jabłkami (okazuje się, że to wyspa jabłek), śliwkami, zielenią. Żywopłoty równo przycięte, trawa skoszona, a ludzi – jak na razie – praktycznie nie widać.

A w porcie Polacy

Rano pogoda wreszcie się poprawiła. Będzie równe 20 stopni przez najbliższe dni.

O godz. 9 w porcie zbierają się miejscowi i kąpią w morzu. Wyspa jest niewielka, mieszka tu nieco ponad 100 osób. Tym razem zjawiła się ledwie trójka, w tym nasza gospodyni oraz, dodatkowo, my dwoje. Woda jest zimna, ale po chwili można się przyzwyczaić.

Obok przepłynął jacht na silniku. Bosman mówił do załogi po polsku: „przywiązujcie boje, może być sztormik" i że „to będzie jak spacer od Gdańska do Sopotu". Jacht miał banderę niemiecką. Sprawdzam później, że za postój w marinie największej łodzi, od 15 m długości, płaci się 460 koron za dobę – to niewiele, a ma się dostęp do wszystkiego, łącznie z prądem i łazienkami, chyba tylko pralnia jest oddzielnie płatna.

Po kąpieli w zimnej wodzie ciało jest rozgrzane jak po saunie, a powietrze wydaje się niemal gorące. Brzeg kamienisty, nad nim brązowa trawa, wygląda obrzydliwie, ale jest miękka i przyjemna. Nasi współtowarzysze kąpieli zostają, żeby pogadać w wodzie. Z daleka wyglądają – dwoje siwych, nasza gospodyni ruda – jak mewy i perkoz.

Christianią dookoła wyspy

Obok portu jest wypożyczalnia rowerów. Wybieram tzw. Christianię – z dużym koszem z przodu, ale wokół żywej duszy. Wypożyczenie kosztuje 100 koron na dobę – czytam na karteczce – czyli 56 zł. Sprzedawczyni w sklepie, czynnym w poniedziałek od 9 do 12, tłumaczy nam: „my tu na Femø ufamy ludziom".

Wrzucam więc pieniądze do zielonej puszki, córeczka wskakuje do kosza, wkładamy plecak, koc, który wzięliśmy z hoteliku. Ruszamy. Trasa rowerowa dookoła Femø ma ok.14,5 km, W 3-4 godziny można objechać całą wyspę. A przynajmniej tak sobie myślimy.

Kiedy coś nas zainteresuje, stajemy i tak natrafiamy na warsztat stolarski. W soboty i niedziele jest tam stolarz, który pracuje z dziećmi, ale na co dzień każde dziecko może przyjść pod opieką dorosłego. Są stoły, imadła, piły, narzędzia do drewna, deski, muszle itd. Też chcemy spóbować. Córeczka wybiera ze skrzyni kilka piór. Bierzemy deskę i rżniemy.

Potem po drodze mijamy lalki, które w tym warsztacie wykonano. Stare topole są przycinane tak, żeby nie spadały na szosę i w ich konarach je ukryto: ołowianego żołnierzyka i dziewczynkę z zapałkami Andersena, Królewnę Śnieżkę, Czerwonego Kapturka, Kubusia Puchatka i Arielkę. Jest też panteon trolli.

Mijamy też boisko do piłki nożnej i ośmiokątne do mini-piłki, a przy nim dwa drewniane szeltery, podobne do tych z Izby Polskiej, tyle że z zasłonami (*jak to działa? patrz w ramce*).

Mijamy rozrzucone gospodarstwa, zatrzymujemy się przy jabłoniach i próbujemy tutejszych jabłek. Naprawdę świetne – i śliwki: węgierki niezgorsze i mirabelki.

Na Femø pola ciągną się na zmianę z małymi skupiskami domów, poprzecinane rzędami drzew i żywopłotów. Są też gospodarstwa, gdzie hoduje się świnie i krowy. Przy domach ławeczki, tak ozdobione, żeby od razu wiemy, czym zajmują się mieszkańcy. Tutaj wesołe świnki, tam kura albo kukurydza. W tej sielskiej okolicy trafiamy na „galerię sztuki" w białej altanie wokół drzew. W środku malowane kamyki, na jednym napis „toaleta". Nie jest to wysoka sztuka, ale zawsze. I oczywiście samoobsługa: wrzuć pieniądz do skrzyneczki i weź.

Dzień kończymy w barze przy porcie, który prowadzi Tajka. W pobliskim sklepie kupujemy jedzenie na wieczór, trochę słodyczy, owoce, napoje za 246 koron. Jakieś 25 proc. drożej niż w Polsce, ale nie więcej. Przypominam sobie rachunek robotnicy sprzed 100 lat: masło, kawa, pół chleba żytniego.

Gwałtowny koniec sielanki

Trzeciego dnia odwiedzamy kościół z 1509 r. Cmentarz przy nim wygląda jak na południu Francji – żywopłoty, piękne kwiaty, kamienne groby z XVII i XVIII w. I pachnie jak w Prowansji. Na nagrobkach wyrzeźbione symbole – konik i pług, kaganek lub lampka oliwna.

Pod sklepikiem, tym razem czynnym od 15 do 18, pomagam sprzedawczyni zamocować maszt z duńską flagą. Stojący obok mężczyzna pyta, skąd jestem. Nie zna nikogo z Polski, ale sąsiadka ma zięcia Pawła, a na wyspie jest Ukrainiec i Rumun. – Nie można jednak eksponować innych flag niż duńska – dodaje.

Wieczorem spotykam Irlandkę, która mieszka na Femø od kilkunastu lat. Opowiadam jej o Polkach, o listach, o naszej pracy. Ona o Femølejren – festiwalu dla kobiet, w tym lesbijek i osób trans, który odbywa się tu od 1971 r. na początku sierpnia. Mówi też o festiwalu jazzowym i o festiwalu opowieści sprzed trzech lat, który rozsławił Femø. Przekonuje, że wyspa nie zawsze jest cicha i pusta.

Czwartego dnia jedziemy bez celu ścieżkami, wzdłuż morza. Oglądamy ptaki, słuchamy ciszy. Zatrzymujemy się w parku przy pomniku starej kobiety siedzącej na krześle. Nagrywam filmik. „Jaka jest ta wyspa", pytam staruszkę i zmienionym głosem odpowiadam: „Możesz tu poczuć się jak u siebie, jeśli ci ze sobą dobrze, a jak źle, to nie znajdziesz tu spokoju".

Park jest blisko naszego B&B i nagle ktoś jakby poraził nas dźwiękiem: włączył muzykę na cały regulator. W sierpniu w Danii organizowane są spotkania integracyjne dla 16-18-letnich uczniów liceów i obok nas w – jak się zdawało – w nieczynnym pensjonacie właśnie pojawiły się dziesiątki młodych ludzi. „Śpiewają i piją na umór" – mówi partner naszej gospodyni. „Skąd się wzięli?" „Przypłynęli".

Koło godz. 23 muzyka cichnie, dochodzą tylko krzyki pijanych osób. Tuż przed snem znów jest spokój. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze kilka godzin temu było tu niemal pusto. Teraz wyspa wypełniła się młodymi ludźmi – mniej więcej w wieku najmłodszych Polek, które ponad 100 lat temu przyjeżdżały tutaj do pracy. ●

1 RP

Podróż na wyspy buraczane – praktyczne wskazówki

1. Z Warszawy przez morze

• FlixBus z Dworca Zachodniego wyjeżdża o 16.50, a następnego dnia o 8.35 jesteśmy w Nykøbing Falster. To 15 godzin i 45 minut. Bilety dla dorosłego i 9-latki (w obie strony) to ok. 1000 zł (w tym opłata za miejsce z przodu autobusu). Prom jest wliczony w cenę.
• Z Rostocku do Gedser płynie się dwie godziny. Jest czas na śniadanie, kawę i oglądanie morza. Potem wracamy do autobusu, który z Gedser wiezie nas dalej do Nykøbing.
• Do Rostocku można też dojechać samodzielnie. Przy kupowaniu biletu na prom jest kilka taryf: różnica między rezerwacją on-line a zakupem w porcie jest spora. Przykłady cen:
• Samochód osob. do 6 m – od 65,30 euro w jedną stronę.
• Piechur – 15,50 euro w obie strony (ale powrót tego samego dnia).

2. Z Kragenæs na Femø

• Z portu Kragenæs odpływają promy na wyspy Femø i Fejø. Jedna litera potrafi zmienić kierunek wakacji.
• Na Femø płyniemy 45 minut. Bilet dla dorosłego to w obie strony 65 koron (ok. 36 zł) Opłata za auto – 160 koron (92-95 zł). Dzieci do lat 12 lat – bezpłatnie.
• Rozkład dobrze sprawdzić na miejscu tuż przed wyjazdem. Nasz pierwotnie wybrany rejs został odwołany i trzeba było zmienić plany. Na małych wyspach rozkład promu potrafi ustawić cały dzień.

3. Cztery dni na Femø

• Wypożyczenie roweru – w naszym wypadku Christiany, trzykołowca ze skrzynią z przodu, w którym zmieściła się córka, plecak, koce i mnóstwo jabłek - to 100 koron za dobę, (ok. 56 zł). Nie trzeba dokumentów ani kaucji, bo nikogo nie ma. Wrzucasz pieniądze do szyneczki.
• Pętla wokół wyspy to 14,5 km. Najwyższy punkt 22 m n.p.m, drogi są wąskie, ruch śladowy. Objazd zajmuje 3-4 godziny, ale z dzieckiem i postojami to cały dzień.
• Sklep jest czynny trzy godziny. W poniedziałek od 9 do 12, innego dnia od 15 do 18.
• Wynajmując B&B zapytaj czy gospodarz odbierze cię z portu. Po nas mogli przyjechać.
• Dla osób ze śpiworem są szeltery – proste drewniane schronienia za 25 koron (ok. 14 zł). Skanuje się ich kod QR, rejestruje w sieci Naturlandet, płaci i dostaje kod do zaplecza z kuchnią i toaletą.

4. Powrót przez Maribo

• Z Femø wracaliśmy promem do Kragenæs, a stamtąd autobusem do Maribo. Ceny biletu autobusowego nie podamy. Kierowca nie chciał od nas pieniędzy. Jechało z nami pięć innych osób, a autobus pachniał dziwnie. Podejrzewaliśmy napęd na biometan.
• Z Maribo do Nykøbing Falster jechaliśmy pociągiem regionalnym. W środku ma strefy ciszy. Bilet dla osoby dorosłej to 54 korony, (ok. 30 zł). Dziecko (9 lat) jedzie za darmo. Podróż zajmuje 25 minut.

5. Poczekalnia w bibliotece

• W Nykøbing Falster mieliśmy kilka godzin do odjazdu FlixBusa do Warszawy o 21.15. Można tam poczekać sobie w bibliotece. Usiąść, poczytać, podładować telefon, skorzystać z toalety (czynna do godz. 22).
• ALE okazało się, że to problem w środę, kiedy biblioteka działa bez pracowników. Wchodzi się tam za pomocą karty. My karty nie mamy. Żeby ją wyrobić, potrzebujemy pracownika, którego tego dnia nie ma. Biblioteka jest otwarta, ale dla nas zamknięta.
• Sama idea bardzo nam się podoba: czytelnicy mogą korzystać z budynku, gdy bibliotekarze mają wolne. Ale turyści powinni wcześniej sprawdzić np. w internecie dni, kiedy ktoś z obsługi i oraz zasady rejestracji.

6. Do toalety się dzwoni

• Telefon przydaje się też w okolicznościach, w których zwykle wystarcza klamka. Dlatego zawsze trzeba mieć choć trochę baterii. Trafiliśmy na toalety z numerami telefonów na drzwiach. Żeby wejść, trzeba zadzwonić pod podany numer i tak otworzyć zamek.
• W zależności od miejsca wiąże się to z drobną opłatą albo jest bezpłatne.
• Są też zwykłe, bezpłatne toalety, do których można wejść bez nawiązywania połączenia.

7. Można też zajrzeć do Kopenhagi

• Nykøbing Falster jest też punktem wypadowym do Kopenhagi. Szybsze pociągi DSB pokonują trasę w około godzinę i 20 minut, inne potrzebują dwóch godzin.
• Zanotowana przez nas cena biletu do Kopenhagi (w dwie strony) to 220 koron (ok. 123 zł.)
• Dorosły z ważnym biletem może zabrać bezpłatnie maksymalnie dwoje dzieci, które nie ukończyły 12 lat.

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl cce6ce74a6

POLECA ADAM MICHNIK

W SZCZĘKU BRONI *ginie demokracja*



• **Wojsko buduje płot z drutu kolczastego na granicy polsko- -białoruskiej. Na zdj. odcinek gdzieś między Krynkami i Jurowlanami w województwie podlaskim (27.08.2021).**
FOT. GRZEGORZ DĄBROWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bronić demokracji w czasie działań zbrojnych to nie tylko opierać się wrogowi zewnętrznemu. To także opierać się nawykom wrogości wewnątrz

Elżbieta Matynia*

Chcę się tutaj zająć demokracją wojenną. I tym, jak nie stać się tym, czego się boimy. Zajmę sie też granicami, progami i wewnętrznym życiem lęku.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam wyrażenie „demokracja wojenna", nie pomyślałam wyłącznie o czołgach, granicach, mobilizacji, stanach nadzwyczajnych czy decyzjach militarnych. Pomyślałam także o czymś mniej widzialnym, być może bardziej intymnym: o momencie, w którym wojna zaczyna wkraczać w język demokracji, zanim jeszcze wkroczy na terytorium demokratycznego państwa.

Pomyślałam o momencie, kiedy niezgoda zaczyna brzmieć jak nielojalność. Kiedy wątpliwość staje się podejrzana. Kiedy lęk organizuje publiczny osąd. Kiedy obraz wroga powoli przenosi się z pola bitwy na plac publiczny.

Kiedy konflikt staje się normą

Oczywiście dzisiaj w Warszawie – ale także w Nowym Jorku – nie jest to pytanie abstrakcyjne. Wojna za naszą wschodnią granicą nie jest tylko wojną o terytorium, granice czy układy bezpieczeństwa. Jest także – choć nie tylko – wojną o samą możliwość demokracji: o to, czy sąsiadujące z nami społeczeństwo może wybierać własną przyszłość, własne sojusze, własny język polityczny.

Ale nie chcę dzisiaj mówić o Ukrainie. Ukraina jest tu raczej ciśnieniem, pod którym nasze pytanie staje się nieuniknione.

A pytanie to, zadane przez organizatorów naszej dyskusji, rozumiem następująco: co dzieje się z demokracją, gdy konflikt staje się normalną atmosferą, w której żyje?

Nie chodzi tu tylko o KONFLIKT KINETYCZNY, czyli wojnę w sensie fizycznym: wojnę, która niszczy ciała, domy, miasta, infrastrukturę i granice. Chodzi także o KONFLIKT POZNAWCZY: konflikt o prawdę, pamięć, percepcję, uwagę, zaufanie, samą rzeczywistość. Chodzi o KONFLIKT WEWNĘTRZNY: polaryzację, pęknięcia społeczne, delegitymizację przeciwników. I wreszcie o KONFLIKT MIĘDZYNARODOWY: presję imperialną, lęk geopolityczny, niepokój związany z granicami, przeczucie, że wojna może już nie być czymś, co toczy się po prostu gdzieś indziej.



Wyrażenie „demokracja wojenna" brzmi trochę tak, jakby nazywało stan przejściowy: demokrację podczas wojny, demokrację w stanie nadzwyczajnym, demokrację do czasu powrotu pokoju. Chciałabym jednak zapytać, czy nie dzieje się tu coś bardziej subtelnego.

Bo co jeśli wojna wkracza do demokracji nie tylko poprzez instytucje i prawo, lecz także poprzez nawyki myślenia, język, lęk, zawężanie tego, co można powiedzieć, poddać w wątpliwość, opłakiwać albo sobie wyobrazić?

Pytanie nie brzmi więc tylko: czy demokracja może przetrwać wojnę? Pytanie brzmi także: czy demokracja może przetrwać, nie stając się wojenną w swojej wewnętrznej formie?

Powiem krótko, jak rozumiem tutaj demokrację.

Ruinę widzimy gołym okiem

Nie mam na myśli wyłącznie wyborów, konstytucji, parlamentów, sądów, partii czy praw – choć wszystko to ma fundamentalne znaczenie. Demokrację rozumiem również jako formę życia, kształt relacji i przestrzeń publiczną.

Demokracja to miejsce do życia. To wspólny dom – często niewygodny, pełen sporów, sprzecznych pamięci i nierozwiązanych krzywd. Ale jednak dom: przestrzeń, w której ludzie mogą nadal mówić, słuchać, nie zgadzać się, wątpić, osądzać i zmieniać zdanie, nie tracąc poczucia przynależności do wspólnego świata.

Jest to myślenie bliskie Simmlowi [Georgowi, niemieckiemu socjologowi]: demokracja nie jest tu jedynie strukturą, lecz formą, która umożliwia relacje. Forma demokratyczna nie oznacza braku konfliktu. Jest raczej ramą, dzięki której spór staje się znośny, a czasem nawet życiodajny. Pozwala przeciwnikom pozostać przeciwnikami, nie wrogami. Sprawia, że różnice nie zmieniają się natychmiast w egzystencjalne zagrożenie. Uczy nas znosić – a nawet oswajać – niepewność, zamiast ją piętnować.

A ponieważ demokracja jest formą, może także ulec deformacji. Wojna potrafi zniszczyć nie tylko instytucje. Może odkształcić sam kształt demokratycznego życia.

W tym sensie demokracja wojenna staje wobec podwójnego zagrożenia.

Pierwsze jest widzialne: wojna kinetyczna może obrócić demokratyczne domostwo w ruinę. Może niszczyć domy, miasta, ciała, archiwa, szkoły, szpitale, infrastrukturę – materialne warunki, bez których demokratyczne życie nie ma się na czym oprzeć. To jest ruina, którą widzimy gołym okiem.

Ale istnieje także inne zagrożenie, mniej widzialne: demokracja może prze-

*Elżbieta Matynia

• Socjolożka, absolwentka UW. Profesor socjologii kultury i polityki na New School for Social Research w Nowym Jorku, w latach 2006-18 wykładała w Dolnośląskiej Szkole Wyższej we Wrocławiu. Specjalizuje się w historii idei i socjologii polityki, zajmuje się też m.in. wyzwaniami, z którymi mierzą się nowe demokracje. Wydała m.in.: „Demokracja performatywna" (2008) i „An Uncanny Era: Conversations between Václav Havel and Adam Michnik" (2014).

• Tekst to jej wystąpienie podczas konferencji Concilium Civitas „Wojna czy (nie)- -pokój?", zorganizowanej przez Uniwersytet Civitas w Warszawie 19-21 lipca br. Tytuł i śródtytuły - „Wyborcza".

FOT. ŁUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl cce6ce74a6

trwać instytucjonalnie, a jednocześnie zostać przeorganizowana od wewnątrz. Meble pozostają na miejscu: wybory, partie, parlamenty, sądy, media. Ale zmienia się atmosfera. Dom staje się bardziej strzeżony, mniej otwarty na wątpliwości, mniej zdolny do słuchania. Lęk zaczyna decydować o tym, kto może mówić, kto musi milczeć, kto uchodzi za lojalnego, a kto staje się podejrzany.

Wtedy obrona demokracji może zacząć przypominać symulakrum [imitację] życia demokratycznego: demokrację ubraną do obrony, ale stopniowo pozbawianą praktyk, które czynią ją demokratyczną.

Oponent staje się wrogiem

Nie mówię tego z lekkim sercem. Demokracje muszą się bronić. Granice mają znaczenie. Bezpieczeństwo ma znaczenie. Wróg może być realny. Przemoc może być realna. Imperialna agresja jest realna. Odmowa obrony demokratycznego społeczeństwa przed zniszczeniem zaprzecza samej demokracji.

Rzecz w tym, że państwo w stanie wojny musi bronić granic. Demokracja musi jednocześnie bronić progów. Granica wyznacza to, co musi być chronione. Próg wyznacza to, co nie może zostać zamknięte.

Progi to kruche przejścia, przez które wchodzi się w życie publiczne, doświadcza różnicy, przechodzi od lęku do mowy i pozostaje w zasięgu innych. To przestrzenie, w których tożsamości nie skamieniały jeszcze w wyroki. Gdzie inny nie stał się jeszcze abstrakcją. Gdzie można się wahać, słuchać, nie zgadzać – i trwać w relacji bez gwarancji zgody.

Życie demokracji często trwa nie w samym centrum, lecz właśnie na takich progach: w niespokojnych przestrzeniach bliskości, na pograniczach, w spotkaniach, które nie rozwiązują konfliktu, ale chronią możliwość relacji. Most nie usuwa dystansu – on go spina. Próg nie gwarantuje przejścia – on sprawia, że przejście staje się wyobrażalne.

Demokracja wojenna poddaje jednak te progi ogromnej presji. Lęk żąda ich zamknięcia. Język bezpieczeństwa domaga się, by stały się granicami. To, co było miejscem spotkania i przejścia, staje się linią obrony.

I być może na tym polega jedno z najgłębszych zagrożeń demokracji wojennej: że przekształca progi w granice.

Niezgoda staje się intruzją [wtargnięciem]. Wątpliwość staje się słabością. Złożoność staje się unikiem. Krytyka staje się zdradą. Oponent staje się wrogiem.

Coraz trudniej w niej żyć

To właśnie w tym miejscu demokratyczny spór zaczyna zmieniać swoją naturę. Demokracja, jak przypomina [feministka i filozofka] Chantal Mouffe, nie żyje bez konfliktu. Potrzebuje sporu, opozycji, ścierających się wizji przyszłości. Ale żyje tylko tak długo, jak długo przeciwnicy pozostają przeciwnikami, a nie wrogami do wyeliminowania.

Niebezpieczeństwo demokracji wojennej polega na tym, że agonizm osuwa się w antagonizm. Wtedy powraca ponury triumf Carla Schmitta: świat zostaje brutalnie rozcięty na przyjaciela i wroga.

Ale to rozcięcie nie jest tylko kryzysem politycznym. Jest także kryzysem poznawczym. Wojna nie rodzi wyłącznie przemocy. Rodzi również absolutne pewniki. W takim świecie wiedza przestaje być pytaniem, a staje się bronią.

Taki stan nazywam „misknowing”: nie tyle niewiedzą, ile pewnością zamkniętą na korektę. Chodzi o szczególną porażkę demokratycznego osądu – moment, w którym przestajemy pytać, skąd właściwie wiemy to, co wydaje nam się, że wiemy. Nie jest to zwykła ignorancja. To przekonanie odporne na cudze doświadczenie.

W warunkach lęku taka pewność staje się wyjątkowo uwodzicielska. Daje jasność, gdy rzeczywistość jest nie do zniesienia. Daje przynależność, gdy niepewność wydaje się opuszczeniem. I pozwala czuć się moralnie przebudzonym, a jednocześnie coraz mniej zdolnym do słuchania.

I właśnie tutaj stawką jest jakość demokracji. Nie tylko to, czy odbywają się wybory. Nie tylko to, czy trwają instytucje. Nie tylko to, czy język konstytucyjny pozostaje na swoim miejscu.

Pytanie brzmi, co dzieje się z demokratycznym potencjałem ukrytym pod spodem: z gotowością do osądu bez niezachwianej pewności, do mówienia bez oczyszczania świata z wieloznaczności, do słuchania bez mylenia słuchania z uległością, do sprzeciwu bez wykluczenia ze wspólnego świata.

Wojna zaczyna wkraczać w język demokracji, zanim jeszcze wkroczy na terytorium demokratycznego państwa

Demokracja może stać się instytucjonalną fasadą, pod którą jej wewnętrzna tkanka systematycznie ubożeje. Może bronić się przed zewnętrznym wrogiem, a jednocześnie wchłaniać nawyki wrogości do własnego życia publicznego – staje się bardziej surowa, bardziej podejrzliwa, bardziej dyscyplinująca i coraz mniej zdolna do życia z odmiennością.

Na tym polega niebezpieczeństwo symulakrum: nie na tym, że demokracja znika, lecz na tym, że pozostaje rozpoznawalna, ale coraz trudniej w niej żyć – coraz trudniej ją zamieszkiwać.

Nie produkujmy wrogów wszędzie

Nie chciałabym jednak kończyć w tonie beznadziei. Pytanie „jak nie stać się tym, czego się boimy” nie jest po prostu chwytem retorycznym. Jest demokratycznym zadaniem. Bo zmusza nas do pytania: jak demokracja może się bronić, nie zamieniając każdego progu w granicę? Jak może zachować czujność, nie popadając w panikę? Jak może rozpoznać realnych wrogów, nie produkując wrogów wszędzie? Jak może chronić wspólny świat, nie zawężając przestrzeni dla mowy, wątpliwości i niezgody, dzięki którym ten świat pozostaje demokratyczny?

Nie ma tu łatwej odpowiedzi. Demokracja wojenna nie może po prostu pozostać nietknięta przez wojnę. Zagrożenie zmienia instytucje, modyfikuje język, wzmaga lęk i przesuwa granice tego, co społeczeństwa są gotowe przyjąć do wiadomości.

Być może jednak wszystko zaczyna się od kluczowego rozróżnienia: demokracja potrzebuje granic, lecz żyje dzięki progom. Musi wiedzieć, czego należy bronić. Ale musi także wiedzieć, co musi pozostać otwarte.

Bronić demokracji w czasie wojny to zatem nie tylko opierać się wrogowi zewnętrznemu. To także opierać się nawykom wrogości wewnątrz. To bronić granic bez zamykania progów. To zachować kruchą formę, w której konflikt może pozostać polityczny, zamiast stać się totalny.

Pytanie nie brzmi więc tylko: czy demokracja może przetrwać wojnę. Pytanie brzmi: czy przetrwawszy, demokracja zdoła odmówić stania się wojenną w swojej wewnętrznej formie. Albo prościej: czy potrafimy bronić tego, co boimy się utracić, nie stając się tym, czego się boimy. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Żenia Berkowicz*

Odpływ

Będziemy spać, gdy przyjdzie czas odpływu,
Nie zobaczymy mgły, która spowinie miasto,
Gdzie morze jak szaleniec w złym porywie
Falami po wilgotnych domach szasta.

Bez snów, bez słów będziemy spać i w sumie,
Nie pamiętając, jak się mową posługiwać.
Nie usłyszymy, jak się woda cofa z szumem,
A nasi zmarli nie wyruszą nas powitać.

Będziemy spać i nawet nie zadrżymy.
Ni śmierci, ni nowego życia nam nie dano.
Nie zrozumiawszy, że na samym dnie leżymy,
Będziemy tkwić nieodgrodzeni nawet tamą.

My nie zbudzimy się, gdy zajdzie słońce.
To wszystko. Ukłon – spektakl już zagrany.
Na arce nas nie było - w końcu
Jesteśmy nie do pary, nas nie chciano.

Objęci, wśród skróconych ścian odpływu,
Splątani w rozświetlonych wodorostach,
Nie prawi, ani lewi, cóż tak bywa –
Nie połączeni nawet gdzieś pośrodku prostej.

Wyciągną nas, gdy wody już opadną,
I świat uiści wieczny dług u wierzycieli.
Nas, tak niepasujących, siła żadna –
Ni Bóg, ni Diabeł, ani morze – nie rozdzieli.

22.05.2025
przeł. Józefina Piątkowska


FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Żenia (Jewgienija) Berkowicz.** Ur. w 1985 roku, rosyjska reżyserka, dramaturżka i poetka.

Wiersz ukazał się 24 maja 2025 r. na kanale @berkonovosti, prowadzonym przez grupę wsparcia (m.in. rodzinę, prawników) Żeni Berkowicz w komunikatorze Telegram, gdzie są publikowane najnowsze informacje na temat reżyserki i poetki, skazanej w lipcu 2025 r. na sześć lat kolonii karnej za spektakl teatralny. Publikacja utworu była poprzedzona wprowadzeniem: „Cześć, przyjaciele! Nowych wieści brak, jest wierszyk. Tak, tak, musiałam trafić do więzienia i (już) dwa lata tu przesiedzieć, aby nagle – po raz pierwszy od 16. roku życia – zacząć pisać wiersze o miłości. I jest ich już stos, ale nikomu nie pokażę, a ten oto pokażę. Nie osądzajcie ostro”.

Nie ma wolności na wieki wieków

Brońmy z zapałem liberalnej demokracji. Ta książka nam w tym pomoże

Krzysztof Siemieński*

Tytuł „Oblicza przemocy” jest nieco mylący, a w każdym razie nie oddaje precyzyjnie powodu, dla którego profesor filozofii Jacek Migasiński napisał swoją książkę. Adresowana jest ona przede wszystkim do tych czytelników, którym leży na sercu przyszłość liberalnej demokracji, opartej na „uniwersalnych prawach człowieka wywodzących się z uznania nadrzędnej wartości człowieczeństwa przysługującego wszystkim istotom ludzkim”.

Czy liberalna demokracja, która legła u podstaw Unii Europejskiej, przetrwa? Tego nie wie nikt, nie tylko autor, ale również takie tuzy jak cytowani przez niego światowej sławy uczeni: Krzysztof Pomian czy John Gray.

Zanim jednak pytanie to padnie, prof. Migasiński dokonuje przeglądu stanowisk wielu wybitnych myślicieli, którzy w ciągu ostatnich mniej więcej stu lat uzasadniali bądź kwestionowali przemoc jako narzędzie kształtowania polityki.

Zapoznaje czytelników z poglądami m.in. Georges’a Sorela czy Carla Schmitta – apologetów przemocy, a także Hannah Arendt, Isaiaha Berlina i Raymonda Arona, stojących na dokładnie przeciwnym stanowisku. To bardzo ciekawe rozdziały tej niewielkiej objętościowo, ale pełnej niezmiernie ważnej treści książki i warto je czytać, by zrozumieć, że wolność i równość wobec prawa nie jest czymś, co dane nam jest raz na zawsze.

Świadczy o tym chociażby przywoływane przez Migasińskiego głosowanie podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, kiedy USA zagłosowały przeciwko nienaruszalności terytorialnej Ukrainy, co było absolutnym pogwałceniem zasady, którą założyciele tej międzynarodowej organizacji umieścili pośród fundamentalnych zasad Karty ONZ.

Zdaniem prof. Migasińskiego był to akt „dokonującego się na naszych oczach rozbicia Zachodu – na ten pozostający przy tradycyjnych liberalnych wartościach i tym samym w jakimś stopniu przywiązany do idei ograniczania różnych form przemocy, oraz ten obierający drogę populizmu ze wszystkimi płynącymi stąd zagrożeniami”.


FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Po lekturze tej książki raczej ciężko o optymizm, ale z pewnością łatwiej nam przyjdzie zrozumieć sposób myślenia zwolenników rozwiązywania sporów politycznych siłą i to, dlaczego powinniśmy dzisiaj zawzięcie bronić liberalnej demokracji. ●

***Krzysztof Siemieński**

- Ur. w 1958 r., w PRL-u działacz opozycji, drukarz („Tygodnika Mazowsze”, „Vacatu”, książek Nowej). Dziennikarz, żeglarz.

Jacek Migasiński, **„Oblicza przemocy. Od wersji totalitarnych do kryzysu liberalnej demokracji”,** Wyd. UW, Warszawa 2025



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6

Piąta kolumna Putina

Nasi targowiczanie

Czy poseł Kaczyński, wykrzykując o deportacji Ukraińców, zdaje sobie sprawę z tego, jaki prezent robi Putinowi?

Opinie

Tadeusz Boy-Żeleński pisał o „naszych okupantach" – księżach i biskupach „okupujących" Polskę w okresie międzywojennym. Dziś „okupują" kraj prawicowi pseudopatrioci, których można nazwać naszymi targowiczanami. Wtedy „okupantom" chodziło o wpływy i zamożność Kościoła, a także utrzymanie w pobożności społeczeństwa. Współcześni „okupanci" niszczą kraj na różne sposoby. Przede wszystkim jednak sprzeniewierzają się podstawowej zasadzie oporu i niezgody na imperialne cele Rosji. Co gorsza: połowa polskiego społeczeństwa ufa „targowiczanom".

Konflikt polsko-ukraiński z ostatnich tygodni nazwać możemy „prezentem dla Rosji". Bo przecież tylko Rosja zyskuje – Polska i Ukraina tracą. Na Kremlu ogłoszono udział w obchodach rocznicy „rzezi wołyńskiej", przypominając, że UPA mordowała radzieckich obywateli. Czyli nawet towarzysz Stalin kłania się z Placu Czerwonego. Profesor Antoni Dudek nazwał fakt powyższy „kubłem lodowatej wody" na polskich nacjonalistów, z prezydentem Karolem Nawrockim na czele, których to może otrzeźwi. Obawiam się, że nie otrzeźwi. Zacietrzewienie jest już tak wielkie, że PiS zaczyna traktować Ukraińców jak Niemców. Czyli jak wrogów.

Dlaczego Sienkiewicz nazwał Kozaków „czernią"?

Skutki tej nienawiści głoszonej przez prawicowych polityków widzimy: brutalne pobicia, obrzucanie wyzwiskami, plucie na ludzi, których akcent przypomina, że są Ukraińcami. Ataki i pobicia także dzieci ukraińskich. Niektórzy sprawcy – otumanieni szowinizmem i językiem nienawiści, jaki słyszą, młodzi mężczyźni – są łapani i stają przed sądami. Ale pozostaje ciemna plama na wizerunku Polski.

Skrajna głupota polityczna – działania wbrew oczywistej racji stanu Polski – budzić może jedynie przerażenie. Mając usta pełne patriotycznych frazesów – podobnie jak targowiczanie w XVIII wieku – współcześni „patrioci" działają wyłącznie w interesie Rosji. Zapominając, że wojna, jaką Ukraina toczy już piąty rok, jest w istocie wojną obronną także Polski i Europy. Jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, co oznaczałaby klęska Ukrainy. A przecież wystarczy spojrzeć na mapę: na wschodniej granicy i północnej, od strony Królewca – stanęłyby armie Putina.

Warto też przypomnieć naszym antyukraińskim „patriotom" historyczne relacje polsko-ukraińskie. Zajrzeć do podręczników historii. Spojrzeć na Polskę i Polaków z tamtej strony – oczami Ukraińców.

Jak pamiętamy, ludność ziem „u kraja Rzeczypospolitej", na Podolu i Zaporożu, wprawdzie uniknęła okrutnej pańszczyzny, ale nie miała żadnych praw. Od wieku XVI postępował proces polonizacji szlachty ruskiej – ludzi, którzy chcieli mieć prawa i status szlachty polskiej. Stąd ci wszyscy polscy Podolscy, Horscy, Podhorscy, Zahorscy, Szeptyccy, których antenaci zostawili Ukrainę bez elit zdolnych rządzić krajem. A ze strony Pierwszej Rzeczypospolitej nie było dobrej woli – pojednania, ugody. Przeciwnie: w 1596 roku próba podporządkowania Cerkwi Prawosławnej papieżowi, a potem wojny, konieczna obrona przed polskimi hetmanami, powstanie Bohdana Chmielnickiego i w końcu ugoda z Rosją w Perejesławiu. Czyli oddanie pod „opiekę" carom rosyjskim prawobrzeżnej Ukrainy. Rosja zagarnęła ziemie za Dnieprem.



• **Politycy Konfederacji Korony Polskiej ze swoim liderem Grzegorzem Braunem (pierwszy z prawej), podczas antyukraińskiej konferencji prasowej w Sejmie, 9 września 2024 r.** FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czy można było myśleć o pojednaniu, empatii, wspólnej walce z ciemiężycielem, jeśli polski pisarz w powieści „Ogniem i mieczem" nazywał ukraińskich Kozaków „czernią"?

Antyukraińskie obsesje II RP

Wiemy, że ta wspólna klęska – wpierw Ukraińców, potem Polaków – poddania się Rosji oznaczała koniec państwa polskiego: Pierwszej Rzeczypospolitej. Oba nasze narody straciły to, co najcenniejsze: wolność.

Po półtora wieku bez mała w wyniku wojny i rewolucji bolszewickiej w odrodzonym państwie polskim, Drugiej Rzeczypospolitej, znalazła się także ludność ukraińska. Prawosławna. Za granicą została Ukraina, jaką dziś widzimy na mapach – pod panowaniem Związku Radzieckiego aż do jego rozpadu w 1991 roku. Czyli – od zwycięstwa bolszewików w 1918 roku do końca istnienia ZSRR – siedemdziesiąt lat dalszej niewoli.

Więc może tych kilka milionów Ukraińców w granicach odrodzonego państwa polskiego wygrało los na loterii? Jaki był stosunek rządów polskich, w krótkim przecież okresie dwudziestolecia międzywojennego, do obywateli polskich narodowości ukraińskiej?

W 1924 roku w Małopolsce i dalej – wszędzie tam, gdzie Ukraińcy mieszkali, tzw. ustawą Grabskiego przekształcono szkoły ukraińskie w dwujęzyczne, z obowiązkowym językiem polskim. W urzędach można było porozumieć się tylko po polsku. Nie wyrażono zgody na utworzenie we Lwowie Uniwersytetu Ukraińskiego.

W 1930 roku, w odpowiedzi na sabotaże ukraińskiej organizacji UON, nastąpiła pacyfikacja Małopolski Wschodniej wymierzona w ukraińskie instytucje społeczne, gospodarcze i kulturalne. Przeprowadzona z udziałem wojska i policji.

Na pewno współczesnych targowiczan w Polsce nie brakuje. Pozostaje otwarte pytanie: Jaki wpływ wywierają w istocie na polskie społeczeństwo?

W roku 1938 również wojsko i policja zburzyły i spaliły sto cerkwi prawosławnych, inne przekazano Kościołowi katolickiemu. Zamiarem rządów sanacyjnych było zmuszenie ludności ukraińskiej do konwersji i dalsza polonizacja. Akcja, dodajmy, w czasie gdy czarne chmury nad naszym krajem widać było coraz wyraźniej. Zaledwie rok dzielił nas od września '39.

Warto też współczesnym „targowiczanom" przypomnieć o wspólnej walce z najeźdźcami. Ilu żołnierzy Ukraińców, polskich obywateli, broniło nas przed agresorami z dwóch stron we wrześniu? Ilu polskich oficerów o nazwiskach ukraińskich zamordowano w Katyniu?

Sterroryzowana mniejszość pod polskim butem

Po wojnie, jak pamiętamy – w latach 1946-47 – 140 tysięcy Ukraińców objęto Akcją „Wisła". Łemków, Bojków – Rusinów z Beskidów i Bieszczadów, wysiedlono na Pomorze i Mazury. Wsie rodzinne palono. W tym okresie przez kilka lat istniał specjalny obóz dla Ukraińców w Jaworznie. Spośród trzymanych tam żołnierzy UPA, popów, nauczycieli – inteligencji ukraińskiej – kilkaset osób zmarło, nie wytrzymując złych warunków i nękania przez polskich strażników.

Ludność przesiedlana na tzw. Ziemie Odzyskane poddana była najróżniejszym represjom. Nie miała prawa do praktyk religijnych, zakazano wszelkiej działalności w organizacjach społecznych i kulturalnych. Dla dzieci były tylko polskie szkoły. Według instrukcji rozesłanych przez władze centralne do władz lokalnych należało Ukraińców osiedlać w rozproszeniu – po jednej, dwie rodziny w wiosce. Nigdy w skupiskach. Wszędzie pozostawali pod szczególną „opieką" Urzędów Bezpieczeństwa.

W tym najgorszym dla Ukraińców okresie represji i prześladowań nastąpiło pojednanie oddziałów UPA i Armii Krajowej, które jeszcze prowadziły walkę z Armią Czerwoną na terenach wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej. W maju 1945 roku na Zamojszczyźnie, w Rudzie Różanieckiej, zawarto porozumienie o wspólnej walce – ustalono strefy działań, metodę kontaktów i plany akcji. W maju 1946 roku w walce z oddziałami NKWD, Ludowego Wojska i milicji odbito więźniów – Polaków i Ukraińców – trzymanych w więzieniu w Hrubieszowie.

Można powiedzieć, że dopiero wtedy zrozumiano, iż bratobójcza walka jest bezsensowna, a wzajemne prześladowania, mordy i represje są tylko w interesie Rosji. I że nie ma innej drogi, jak tylko walka ze wspólnym wrogiem. To oczywiście wymaga empatii z obu stron, solidarności, zasypywania podziałów. Przyjęcia, że rozliczenie wzajemnych krzywd i osądzenie winnych nastąpi po toczonej przez Ukrainę wojnie, w normalnych warunkach.

Czy coś otrzeźwi targowiczan?

Być może właśnie wtedy przedstawiciele walczących do niedawna stron – Polacy i Ukraińcy z UPA i AK – zrozumieli także, czego po Rosji mogą się spodziewać: po latach niewoli, zaborów, okupacji. Zsyłek do niezliczonych łagrów na „nieludzkiej ziemi", śmierci w latach „Hołodomoru" i mordu jeńców w Katyniu. Od XVIII do XXI wieku uczyło tego doświadczenie.

Wydaje się pewne, że o tym doświadczeniu zapominają nasi targowiczanie. Czy myślał o tym Karol Nawrocki, odbierając Order Orła Białego prezydentowi Ukrainy? Czy rozumieli, jak szkodzą Polsce, posłowie PiS Jarosław Kaczyński i Przemysław Czarnek, rozpętując w kraju antyukraińską nagonkę? Czy Kaczyński, wykrzykując o deportacji Ukraińców, zdawał sobie sprawę z tego, jaki prezent robi Putinowi? Pomińmy jawnie prorosyjskie zachowania panów Grzegorza Brauna i Janusza Korwin-Mikkego. Także poglądy młodych ludzi z Konfederacji – ich nacjonalizm i szowinizm, wydawałoby się w XXI wieku anachronizm.

Na pewno współczesnych targowiczan w Polsce nie brakuje. Pozostaje otwarte pytanie: Jaki wpływ wywierają w istocie na polskie społeczeństwo? Czy dopiero przyszłoroczne wybory przyniosą odpowiedź? Co może otrzeźwić prawicowych pseudopatriotów? Prezydenta Nawrockiego skupionego na wetowaniu kolejnych ustaw i wygłaszaniu pompatycznych przemówień? Prezesa Kaczyńskiego głoszącego w kolejnych polskich miastach swoje antyukraińskie obsesje?

Oby „kubłem lodowatej wody" na ich głowy nie były nowe rosyjskie rakiety i kilkunastometrowe kratery jak ten na Lubelszczyźnie. ●

• Mazury, sierpień 2026

• Śródtytuły od redakcji.



FOT. TOMASZ WASZCZUK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kazimierz Orłoś

• Ur. w 1935 r., pisarz, scenarzysta, publicysta. Autor wielu książek, m.in. **„Cudownej meliny"** (1973) wydanej u Jerzego Giedroycia. W 2015 r. opublikował wspomnienia **„Dzieje dwóch rodzin. Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy"**.

eprasa.pl cce6ce74a6

Ma



Przez pół wieku od śmierci Mao Zedonga aparat partyjny wyprał jego biografię z krwi ofiar. Błędów i obłędów tyrana nie wolno badać ani o nich mówić.

Robert Stefanicki

1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6

ŚWIĘTY Mao



Zmarły 9 września 1976 roku Mao Zedong pozostawił po sobie państwo i naród w ruinie. Ponad 80 proc. Chińczyków żyło na wsi w skrajnej biedzie. Skolektywizowane rolnictwo nie zapewniało stabilnych dostaw żywności. Gospodarka planowa była niewydolna; brakowało technologii, infrastruktury i wykwalifikowanych kadr. PKB na mieszkańca wynosił 165 dolarów i był mniejszy niż wielu krajów Afryki Subsaharyjskiej.

Społeczeństwo było wyczerpane i straumatyzowane dekadą rewolucji kulturalnej (1966-1976) rozpętaną przez Mao, kiedy to nauczyciele, artyści i urzędnicy podczas sesji krytyki byli publicznie bici, zmuszani do wyznawania wydumanych win i donoszenia na najbliższych. Dziesiątki tysięcy ludzi popchnięto do samobójstwa. Hunwejbini dewastowali zabytki, świątynie i biblioteki. Uczelnie przez lata pozostawały zamknięte lub rekrutowały wyłącznie na podstawie kryteriów politycznych. Miliony młodych ludzi z miast – w tym dzisiejszego przywódcę Xi Jinpinga – wysłano do pracy fizycznej na wieś, co pozbawiło państwo całego pokolenia inżynierów, lekarzy i naukowców.

• Mao Zedong (1893–1976), przywódca komunistycznych Chin, podczas przeglądu armii, Pekin, 3 listopada 1967 r.
FOT. GETTY IMAGES

Od początku powstania Chin ludowych władze ponawiały czystki i kampanie ideologiczne. Dla wrogów klasowych stworzono system obozów pracy przymusowej laogai, przez który przeszły dziesiątki milionów ludzi. Wielki skok naprzód (1958-1962), mający w założeniu przekształcić Chiny z kraju rolniczego w potęgę przemysłową, uznaje się za największą katastrofę humanitarną wywołaną przez człowieka w historii. Chłopów oderwano od pracy na roli i skierowano do prymitywnej produkcji stali lub budowy irygacji, co skutkowało masowym głodem. Odnotowano przypadki kanibalizmu i handlu ludzkim mięsem.

Historycy szacują liczbę ofiar śmiertelnych polityki Wielkiego Sternika na 40 do 70 milionów. Tymczasem jego twarz widnieje na niemal każdym chińskim banknocie. Spogląda z wielkiego portretu zawieszonego nad Bramą Niebiańskiego Spokoju, narodowego symbolu umieszczonego w godle Chińskiej Republiki Ludowej (ChRL). Tysiące ludzi ustawiają się w kolejce, aby zobaczyć jego zabalsamowane ciało wystawione w szklanym sarkofagu na głównym placu stolicy.

NIE BĘDZIEMY PLUĆ W NIEBO

Po śmierci Mao kraj pogrążył się w zbiorowej histerii połączonej z przerażeniem. Prości ludzie nie wiedzieli, czy następnego ranka wzejdzie słońce czy ziemia nie rozstąpi się pod ich stopami. Przez dekady wmawiano im, że Przewodniczący jest „czerwonym słońcem, które nigdy nie zachodzi”.

Państwo nie miało sprawnie działających instytucji. Mao nie pozostawił jednoznacznego mechanizmu przekazania władzy, a w jego otoczeniu ścierały się dwa obozy: radykałów znanych jako Banda Czworga, z Jiang Qing, wdową po Mao, na czele, oraz konformistów skupionych wokół premiera Hua Guofenga wyznaczonego na oficjalnego następcę.

Bandę Czworga aresztowano po kilku tygodniach. Hua, zdając sobie sprawę z braku autorytetu, próbował budować swoją pozycję na ślepym uwielbieniu poprzednika. Sformułował doktrynę Dwóch Cokolwiek: „Będziemy stanowczo bronić wszystkiego, cokolwiek Przewodniczący Mao zdecydował, i niepodważalnie wykonywać, cokolwiek Przewodniczący Mao nakazał”.

W grudniu 1978 roku przełomowe III Plenum XI Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin (KPCh) przegłosowało reformy rynkowe oraz odrzucenie zachowawczej doktryny Hua. Władzę przejął Deng Xiaoping, który podczas rewolucji kulturalnej padł ofiarą czystki politycznej, jego syn został zaś wyrzucony przez okno przez czerwonogwardzistów i doznał paraliżu. Deng wiedział, że model maoistowski doprowadził kraj do ruiny. Musiał zdemontować kult Mao, ale nie chciał pójść drogą Nikity Chruszczowa, którego krytyka Stalina w 1956 roku była wstrząsem dla całego bloku wschodniego. Sowiecka partia komunistyczna nadal miała Lenina jako ojca założyciela, a KPCh nie miała nikogo równego Mao. Jeśli nie chciała się rozwiązać i zacząć od nowa z czystą kartą, to nie mogła się odciąć od człowieka, który ją stworzył. Ponadto Deng sam był, do czasu, bliskim towarzyszem Mao, więc, zrzucając go z pomnika, osłabiłby własną legitymację do przywództwa.

„Gdybyśmy całkowicie potępili Mao, zdyskredytowalibyśmy samą Partię i całe nasze państwo – mówił Deng partyjnym kolegom. – To tak, jakbyśmy pluli w niebo – ślina spadnie na nasze własne twarze”.

W 1981 roku przyjęto rezolucję, w której partia chwaliła wkład Mao w założenie „nowych Chin”, lecz krytykowała jego „niewłaściwą decyzję” o rozpoczęciu rewolucji kulturalnej. Oceniono, że Wielki Sternik miał rację w 70 proc., a w 30 proc. się mylił, ale za najgorsze zbrodnie odpowiadała Banda Czworga.

MAO SUPERSTAR

W latach 80. w Chinach masowo demontowano gipsowe popiersia Mao stojące na rogatkach wsi i przed fabrykami. Nie było w tym spontanicznej wściekłości, którą widzieliśmy choćby po obaleniu Saddama Husajna w Iraku. Aby uniknąć oskarżeń o profanację, robotnicy nie tłukli ich młotami na oczach ludzi, lecz przyjeżdżali nocami, owijali posągi prześcieradłami i wywozili do składowisk.

Wiele wiejskich rodzin schowało portrety Mao do szaf lub wyniosło na strych. Gdy w latach 90. Chiny weszły na drogę dzikiego kapitalizmu, wielu chłopów – zwłaszcza w prowincji Hunan, skąd pochodził – postawiło portrety lub figurki Mao na domowych ołtarzykach, na których dawniej czczono Konfucjusza. Kierowcy zawieszali pod lusterkami plastikowe medaliony z jego rumianą twarzą. Wierzono, że energia Mao odstrasza złe duchy i chroni przed wypadkami drogowymi lepiej niż tradycyjne bóstwa taoistyczne.

Dla młodego pokolenia dyktator był nie postacią budzącą przerażenie, lecz ikoną, elementem folkloru. Sprzedawano zapalniczki z melodyjką „Wschód jest czerwony”, zegarki z machającym Mao, koszulki z jego wizerunkiem skopiowane z obrazu Andy’ego Warhola. Powstały restauracje urządzone w stylu rewolucji kulturalnej, gdzie kelnerki w mundurach Czerwonej Gwardii serwowały proste, chłopskie potrawy. Jakoś nikt nie wpadł na pomysł jadłodajni nawiązujących do wielkiego skoku naprzód ani stołówek à la laogai.

Młodzi Chińczycy nie różnili się pod tym względem od ich rówieśników w innych krajach, gdzie Mao był drugą obok Che Guevary ikoną rewolucjonizmu tudzież nonkonformizmu. „Małą czerwoną książeczkę” czytali równie chętnie zbuntowani studenci na zachodnich kampusach, co rebelianci w krajach rozwijających się, od wyżyn Peru po dżungle Kambodży. Ideologię maoistowską sprowadzono do kilku wyjętych z kontekstu haseł: „Bunt to słuszna sprawa”, „Zbombarduj kwaterę główną” albo (dla feministek) „Kobiety podtrzymują połowę nieba”.

Otwarta dyskusja o zbrodniach maoizmu oznaczałaby ponowne otwarcie ran. W Chinach to były tragedie wewnątrz jednego narodu, miasteczka, rodziny, a nie dzieło obcego okupanta. Często sprawcy i ofiary były tymi samymi ludźmi, tylko w różnych momentach. Gdy szaleństwo minęło, musieli dalej żyć, pracować obok siebie. Wielu rodziców i dziadków podjęło więc świadomą decyzję o milczeniu – z jednej strony wstydzili się własnego udziału, z drugiej chcieli chronić młode pokolenie przed traumą.

Pomógł w tym skok cywilizacyjny, który udał się Chinom. Dla pokolenia pamiętającego nędzę lat 60. czy konwulsje lat 70. awans materialny za Denga i jego następców był ogromną ulgą. Ludzie zyskali szansę na edukację, podróże i własne mieszkania. Grzebanie w przeszłości zaczęto postrzegać jako działanie nie tylko ryzykowne, bo wbrew woli opresyjnego państwa, ale też niepragmatyczne, zagrażające wypracowanym zyskom.

WYMAZYWANIE TIANANMEN

Następnym po zgonie Mao przełomowym wydarzeniem w Chinach było siłowe stłumienie protestów na Placu Tiananmen w 1989 roku. Partia wówczas, wciąż pod patronatem Deng Xiaopinga, dostrzegła konieczność wzmocnienia swojej władzy i kontroli nad społeczeństwem. Z narodem zawarła niepisany pakt: „My dajemy wam stabilność, stały wzrost poziomu życia i przestrzeń do prywatnego bogacenia się, a wy zostawiacie nam wyłączność na politykę i historię”.

Tiananmen pokazał, jak szybko postępuje zbiorowa amnezja. Wielu protestującym studentom i robotnikom zmarły ledwie 13 lat wcześniej Mao kojarzył się nie tylko z czystkami, lecz także z obroną mas i sprawiedliwością społeczną. Na transparentach pojawiały się cytaty z Przewodniczącego wycelowane w partyjną biurokrację. Powszechny był pogląd, że w jego czasach nikt nie był bogaty, ale dygnitarze nie opływali w dostatki, a urzędnicy bali się ludu.

Metody protestu – strajki głodowe, tworzenie samorządów studenckich, wywieszanie wielkich gazetek informacyjnych, tzw. dazibao – przeniesiono z ery maoizmu. Ale byli i tacy, którzy w Mao widzieli korzenie zła. 23 maja 1989 trzech młodych ludzi rzuciło w jego wiszący na Bramie Niebiańskiego Spokoju portret jajkami wypełnionymi czerwoną farbą i atramentem. Inni studenci z placu zatrzymali ich i przekazali w ręce policji. Obawiali się, że zniszczenie portretu Mao da władzom pretekst do oskarżenia całego ruchu o „kontrrewolucyjny chaos” i zniszczy ich wizerunek jako patriotów. Sprawcy siedzieli w więzieniach od 10 do niemal 17 lat poddawani torturom.

eprasa.pl cce6ce74a6

Po masakrze z 4 czerwca zaczęło się systemowe wymazywanie pamięci o tym wydarzeniu. Sformułowania takie jak „Tiananmen", „4 czerwca", „64" (szósty miesiąc, czwarty dzień), a nawet „89" są wyłapywane przez cenzorskie algorytmy i blokowane. Co roku na przełomie maja i czerwca chińskie systemy płatności uniemożliwiają przesyłanie kwot 6,40 lub 89 juanów, a na platformach społecznościowych znikają emotikony świeczek. Słynne zdjęcie mężczyzny z siatkami zatrzymującego kolumnę czołgów nie istnieje w chińskim internecie.

Przez trzy dekady upamiętniano ofiary z 4 czerwca w Hongkongu, gdzie w każdą rocznicę dziesiątki tysięcy ludzi gromadziły się na czuwaniu ze świecami w Parku Victoria. Po wprowadzeniu przez Pekin w 2020 roku ustawy o bezpieczeństwie narodowym czuwania zostały zakazane, organizatorów aresztowano, a kultową rzeźbę „Słup wstydu" upamiętniającą ofiary masakry zdemontowano.

Propaganda wykreowała narrację, wedle której w 1989 roku rzekoma „garstka kontrrewolucjonistów i agentów Zachodu" próbowała obalić socjalizm, a stanowcza reakcja wojska była niezbędna, by ocalić stabilność państwa. Gdyby władza ustąpiła, Chiny nie osiągnęłyby dzisiejszego sukcesu gospodarczego.

Teza dyskusyjna. Studenci domagali się nie powrotu do maoizmu ani obalenia rządów KPCh, tylko zniesienia cenzury, wolności prasy i zgromadzeń, ujawnienia dochodów przywódców państwowych i ich rodzin, ukarania skorumpowanych urzędników. Łatwiej jest udowodnić inną tezę, z pozoru szaloną: że polityka Mao niechcący położyła grunt pod chiński cud gospodarczy.

CHIŃSKI KAPITALIZM URODZIŁ SIĘ NA WSI

W jaki sposób? Jego błędy skompromitowały ideologię komunistyczną, a nasłani przezeń hunwejbini zniszczyli struktury, które w innych krajach blokowały reformy rynkowe. W 1976 roku powstała ideologiczna pustka, którą Deng Xiaoping wypełnił pragmatyzmem: „Nieważne, czy kot jest czarny czy biały, ważne, by łowił myszy". Aparat władzy i duża część społeczeństwa szybko podchwyciły pokrewną myśl wyrażoną przypadkiem w tym samym czasie przez rekina giełdowego z hollywoodzkiego hitu: chciwość jest dobra.

W książce „How China Became Capitalist" Ronald Coase i Nina Wang pokazują, że reformy rynkowe nie powstały w głowie Denga, lecz wyrosły oddolnie na wsi pod koniec rewolucji kulturalnej. Ponieważ państwowy system dostaw żywności całkowicie się załamał, chłopi zaczęli potajemnie rozdzielać między siebie ziemię kolektywu i sprzedawać nadwyżki na czarnym rynku. Partia, nie mając sił ani środków na kolejne represje, przymknęła na to oczy. Kiedy się okazało, że kapitalizm wieśniaków ratuje kraj przed głodem, Deng zalegalizował ten proceder.

Warto pamiętać, że Chiny przed przejęciem władzy przez komunistów w 1949 roku nie były krajem wolnym ani bogatym. Społeczeństwo znajdowało się w okowach lokalnych watażków, posiadaczy ziemskich i obcych mocarstw. Partia komunistyczna na wstępie zniszczyła dawny system klasowy, religijny i klanowy, aby stworzyć scentralizowane państwo narodowe zdolne do prowadzenia spójnej polityki w skali makro.

Rozprawiła się też z feudalnym, konfucjańskim modelem rodziny. Zakazano krępowania stóp i aranżowanych małżeństw, kobiety dostały prawo do rozwodu oraz pracy. Dzięki temu Chiny weszły w erę reform rynkowych z ogromną, aktywną zawodowo siłą roboczą, co dało im kolosalną przewagę konkurencyjną nad Indiami. Do dziś wskaźnik aktywności zawodowej kobiet w Chinach należy do najwyższych w Azji.



• **Pekin, plac Tiananmen, 1 lipca 2021 r. Przywódca Chin Xi Jinping (w środku) macha do uczestników uroczystości z okazji 100. rocznicy powstania Komunistycznej Partii Chin. Pod nim ogromny portret Mao Zedonga. Xi zrobił bardzo wiele, by na wizerunku Wielkiego Sternika nie pojawiła się żadna rysa** FOT. NG HAN GUAN/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Xi Jinping wprost odwołuje się do maoizmu. Władze nakazują szkołom, państwowym korporacjom i komitetom osiedlowym organizowanie chórów wykonujących klasyczne pieśni z czasów Mao

Reżim Mao przeprowadził kampanię walki z analfabetyzmem oraz wprowadził program bosych lekarzy – podstawowej opieki medycznej na wsiach. W 1949 roku analfabetami było ok. 80 procent Chińczyków, w 1976 roku większość młodszego pokolenia potrafiła czytać i pisać. Kiedy do Chin wszedł zachodni kapitał, zastał tam miliony piśmiennych, zdrowych i karnych robotników.

W oczach chłopstwa Mao pozostawał bohaterem, który przegnał obszarników, zakończył obcą dominację i „dał ziemię". Pamięć o tym, że zaraz ją zabrał, oraz o terrorze i głodzie ulegała mityzacji albo zrzucano winę na lokalne kadry i Bandę Czworga. Jednym z najbardziej rozpowszechnionych haseł na wsi w latach 80. było: „Mao nas oswobodził. Deng nas wzbogacił". Z czasem stało się oficjalnym dogmatem politycznym przekutym w trójwiersz, który w oryginale się rymuje:

Mao Zedong: Chiny powstały z kolan,
Deng Xiaoping: Chiny się wzbogaciły,
Xi Jinping: Chiny stały się potęgą.

CZYM SIĘ RÓŻNI XI OD MAO?

Jednym z ciekawszych ruchów opozycyjnych w Chinach są neomaoiści zachodzący partię z lewej strony. Ich siłą napędową są zradykalizowani studenci i wykładowcy uniwersyteccy, którzy krytykują ogromne nierówności społeczne, wysokie bezrobocie wśród absolwentów, wyzysk w korporacjach i bogacących się aparatczyków. Jest w tym tęsknota za poprzednią epoką, wprawdzie nie idealną, ale pełną ideałów. Tiziano Terzani w „Zakazanych wrotach" przytacza słowa byłego czerwonogwardzisty: „Za rewolucję można było umierać... ale dzisiaj, czy można umrzeć za lodówkę?".

W 2018 roku studenci z Grupy Marksistowskiej na Uniwersytecie Pekińskim, szermując wersem o „prawie do buntu" z „Małej czerwonej książeczki", udali się do fabryki w Shenzhen, by pomóc robotnikom w zakładaniu związku zawodowego. Policja aresztowała prowodyrów. Prawo do buntu nigdy nie było prawem, było jedynie komunałem. Xi Jinping pacyfikuje lewicowych krytyków nie tylko siłą, ale też tym, że częściowo przejął ich punkt widzenia. Zwłaszcza na korupcję, którą od początku swoich rządów w 2012 roku zwalcza bezwzględnie.

Obecny przewodniczący ChRL sam bywa porównywany do Mao. Państwowe media nazywają go przywódcą ludu lub głównym sternikiem, czyli określeniami podobnymi do używanych wobec Mao. Złośliwcy mówią o przewodniczącym wszystkiego. Xi odszedł od modelu kolektywnych rządów i limitu kadencji – bezpieczników wprowadzonych przez Denga, aby zapobiec ponownemu przejęciu Chin przez wodza, nad którym nie ma żadnej kontroli. Forsuje centralizację i poddanie prywatnych przedsiębiorstw pod kontrolę partii. Jako pierwszy przywódca od czasów Mao doczekał się wpisania swojej doktryny – „Myśli Xi Jinpinga dla nowej ery socjalizmu o chińskiej specyfice" – do statutu partyjnego jeszcze za swojego życia. Aparat propagandy promuje cytaty z Xi w skali niespotykanej od czasów „Małej czerwonej książeczki". Jednocześnie usuwane są cytaty z Denga, który ostrzegał przed ryzykiem rządów jednoosobowych i zalecał cichą dyplomację.

Gdy mowa o dyscyplinie partyjnej, Xi wprost odwołuje się do maoizmu. Nakazał członkom partii odświeżenie wiedzy o ideologii maoistycznej. Władze nakazują szkołom, państwowym korporacjom i komitetom osiedlowym organizowanie chórów wykonujących klasyczne pieśni z czasów Mao. Przed każdym kluczowym zjazdem partii Xi odwiedza mauzoleum na Placu Tiananmen, składając potrójny pokłon przed jego posągiem. W 2021 roku przywrócono dostęp do grobu przywódczyni Bandy Czworga.

Mimo wielu analogii istnieje zasadnicza różnica w metodach i celach obu przywódców. Mao używał mobilizacji masowej, prowokował chaos i demontował struktury państwowe. Xi pod wieloma względami jest jego antytezą. Pragnie stabilności i buduje biurokratyczne państwo technokratycznej kontroli, w którym nikt nie ma odwagi – ani, w wersji maksymalistycznej, powodu – by stanąć przeciwko niemu.

PRANIE HISTORII ZE ZBRODNI

Jednym z lejtmotywów rządów Xi jest walka z historycznym nihilizmem. Tym terminem określa się każdą próbę podważenia oficjalnej wersji wydarzeń, zadawanie pytań o dawne błędy przywódców czy nawet prowadzenie niezależnych badań nad drażliwymi wydarzeniami. Kryje się za tym lęk, by Chiny nie skończyły jak Związek Radziecki. Wkrótce po objęciu urzędu Xi Jinping oświadczył, że „całkowita negacja" historii ZSRR oraz „zaprzeczanie Leninowi i Stalinowi" są równoznaczne z nihilizmem historycznym, który „sparaliżował umysły" i „odebrał sprawczość organizacjom partyjnym na wszystkich poziomach".

Artykuły w partyjnych periodykach przekonywały, że to, co zaczyna się jako odosobniona krytyka kierownictwa partii lub koncepcji ideologicznej, stopniowo przeradza się w całkowite odrzucenie systemu.

Być może najbardziej znanym incydentem historycznego nihilizmu w erze Xi była kontrowersja wokół „pięciu bohaterów z góry Langya". Legenda KPCh gloryfikuje tych mężczyzn jako bohaterów, którzy w 1941 roku stawiali opór Japończykom, dopóki nie wyczerpali amunicji, a wówczas skoczyli w przepaść, by uniknąć niewoli. Niektórzy badacze zaczęli podważać tę historię: źródła wskazywały, że „bohaterowie" zostali wydani Japończykom przez mieszkańców wsi, których nękali, że nie zdołali zabić ani jednego wroga i że nie popełnili samobójstwa, tylko spadli z góry w trakcie walki. Badacz i redaktor magazynu historycznego „Yanhuang Chunqiu", gdzie kontrowersje opisano, zostali pozwani o zniesławienie, stracili pracę, a pismo zlikwidowano. Represje dotknęły także wielu innych historyków, w tym Yang Jishenga, autora wstrząsającej monografii wielkiego głodu „Nagrobek", który został objęty zakazami publikacji i wyjazdów.

Środki przymusu idą w parze z inicjatywami legislacyjnymi i edukacyjnymi. W 2018 roku uchwalono ustawę o ochronie bohaterów i męczenników; odtąd podawanie w wątpliwość państwowych mitów stało się przestępstwem zagrożonym karą więzienia. W 2021 partia utworzyła infolinię umożliwiającą zgłaszanie naruszeń historycznej ortodoksji.

Dopływ wiedzy o historii najnowszej do młodych pokoleń udało się zatamować. Cenzura usuwa z chińskiego internetu wspomnienia świadków i historyczne zdjęcia z lat 60. i 70. Myśl Xi Jinpinga oraz narracja przedstawiająca Chiny jako ofiarę zachodniego imperializmu są tłoczone do głów uczniów na każdym szczeblu edukacji, począwszy od przedszkola. Programy szkolne są skonstruowane tak, aby dzieło KPCh budziło wyłącznie pozytywne skojarzenia. Podręczniki przedstawiają Mao jako ojca założyciela nowożytnych Chin, który zakończył „stulecie upokorzeń" ze strony mocarstw zachodnich i Japonii, zjednoczył kraj oraz zbudował zręby współczesnego państwa. Wielki skok naprzód jest nazywany trzema latami trudności gospodarczych lub trzema latami klęsk żywiołowych. Głód przedstawia się jako rezultat złej pogody, susz oraz wycofania pomocy przez Związek Radziecki. Jeśli wspomina się o błędach w zarządzaniu, określa się je mianem „przejawów lewicowego utopizmu" lub „braku doświadczenia w budownictwie socjalistycznym". Z opisów rewolucji kulturalnej wymazano słowo „błąd" i włączono ją w ogólny rozdział o „trudnych poszukiwaniach własnej drogi rozwoju socjalizmu". Uczniowie nie dowiadują się o masowych ofiarach, konfiskatach żywności, przemocy ze strony kadry partyjnej ani obozach pracy.

Polityka historyczna nie ogranicza się do historii najnowszej. Ostatnio – o czym doniósł „The Economist" – w chińskim internecie rozgorzała dyskusja o wyższości dynastii Ming nad dynastią Qing. Rzecz w tym, że władcy Ming byli Hanami, dominującą grupą etniczną w Chinach, podczas gdy Qing byli Mandżurami, mniejszością z północy. Historyczny pogląd na rok 1644 odnoszący się do roku, w którym Qingowie obalili Mingów, półżartem określany jako „trzy stulecia upokorzeń", głosi, że wtedy rozpoczęło się podporządkowanie Chin obcym, a nie wraz

eprasa.pl cce6ce74a6

z wojnami opiumowymi w XIX wieku, jak wpaja oficjalna narracja.

Partia ma z tym dwojaki kłopot. Po pierwsze, granice terytorialne, do których zgłaszają roszczenia współczesne Chiny – w tym Tybet, Sinciang, Mongolia Wewnętrzna i Tajwan – zostały wprowadzone do chińskiego imperium za dynastii Qing, a nie Ming. Po drugie, władze nie tolerują oddolnych demonstracji szowinizmu Hanów, bo stoją w sprzeczności z ideałem harmonii etnicznej, wbrew realiom lansowanym przez partyjną propagandę. W efekcie cenzura usuwa konta w mediach społecznościowych krytykujące dynastię Qing.

PAKT ZAPOMNIENIA

Dzisiejszy stosunek Chińczyków do Mao można porównać do relacji z przodkiem, który był brutalny i gwałtowny, ale wybudował dom, w którym wszyscy dziś mieszkają. Większość uznaje, że burzenie tego domu tylko po to, by rozliczyć budowniczego, jest nierozsądne. Zapytany o Mao przeciętny Chińczyk odpowie oficjalną formułą: „Popełnił błędy, ale bez niego nie byłoby nowych Chin”. To pogląd dominujący wśród klasy średniej i osób starszych.

Dla pokolenia wychowanego na programie edukacji patriotycznej po 1989 roku rewolucja kulturalna jest abstrakcją, a wielki głód bywa w ogóle nieznany. Młodzi widzą w Mao symbol sprzeciwu wobec Zachodu dążącego do zniszczenia Chin. Młodzież nie potrafi wymienić nazwy ani jednej czystki politycznej z lat 60., ale wie, że za Mao Chiny zbudowały bombę atomową.

Jest jeszcze wymierająca grupa osób posiadających wiedzę historyczną – intelektualistów, weteranów kultury oraz tych, którym maoizm wymordował krewnych. Ci mają pogląd krytyczny, lecz trzymają go dla siebie, ewentualnie przekazują prawdę w wąskim kręgu rodzinnym, spisują prywatne pamiętniki lub wydają książki za granicą.

Czy zbiorowa amnezja w Chinach jest unikalna? Dla narodów najsilniej doświadczonych przez XX-wieczne totalitaryzmy wypieranie i przemilczanie zbrodni to częsty mechanizm obronny. W Hiszpanii po śmierci generała Franco w 1975 roku uznano, że rozliczanie zbrodni wojny domowej doprowadzi do kolejnego rozlewu krwi, dlatego elity zawarły pakt zapomnienia. Zaczął się on kruszyć dopiero po trzech dekadach, gdy państwo unieważniło wyroki sądów z czasów dyktatury i przejęło odpowiedzialność za poszukiwanie i ekshumację ponad 100 tysięcy zaginionych ofiar frankizmu.

W Polsce czy krajach bałtyckich pamięć o zbrodniach nazizmu i komunizmu jest żywa, bo zło przyszło z zewnątrz. W Chinach cały terror od powstania republiki ludowej był autoagresją. Najbliższej analogii można szukać w Rosji, gdzie w erze Władimira Putina wycisza się pamięć o gułagach i czystkach z lat 30., Stalin jest czczony jako genialny strateg, który pokonał Hitlera i uczynił z ZSRR mocarstwo atomowe. Według badań niezależnego Centrum Lewady ponad 70 procent Rosjan ocenia jego rolę pozytywnie.

W Niemczech czy Japonii ekspiacja dokonała się dzięki temu, że faszyści bezwarunkowo przegrali II wojnę światową. Podczas gdy wojenny triumf tworzy mity i usprawiedliwia zbrodnie, całkowita klęska militarna, moralna i gospodarcza odziera narody z wiary w dotychczasową narrację o własnej wielkości. Nowe podręczniki historii napisali pokonanym zwycięzcy i choć przełknięcie gorzkiej pigułki przez społeczeństwa zabrało trochę czasu, to poglądy rewizjonistyczne pozostały na marginesie.

W Kambodży zbrodnie Czerwonych Khmerów dotknęły każdą rodzinę. Podobnie jak w Chinach po rewolucji kulturalnej rozliczenia oznaczałoby procesowanie się z własnymi wujami, sąsiadami czy braćmi. Ale podczas gdy Chiny uświęciły swojego kata, by ratować partię, Kambodża potępiła kata, ale ułaskawiła jego aparat. Pol Pot został oficjalnie potępiony, Pola Śmierci są miejscami pamięci, jednak z wyjątkiem garstki liderów osądzonych przez międzynarodowy trybunał Czerwoni Khmerzy odeszli wolno.

Najbardziej kompleksowe rozliczenia odbyły się w Rwandzie, gdzie po ludobójstwie z 1994 roku zastosowano trzystopniowy system: międzynarodowy trybunał, sądownictwo powszechne oraz tradycyjne sądy lokalne. Sprawcy konfrontowali się z ocalałymi sąsiadami, wyznawali winy, przepraszali, dostawali prace społeczne w ramach zadośćuczynienia i ponownie integrowali się ze społecznością. Było to możliwe, bo nastąpiła zmiana reżimu – Tutsi, czyli ofiary, obalili rząd ekstremistów Hutu. Podobnie jednak jak w Chinach autorytarny rząd Paula Kagamego wyznaczył granice rozliczeń i stworzył własną politykę historyczną. I też doprowadził do sukcesu gospodarczego, dzięki czemu Rwandyjczykom łatwiej było zostawić mroczną przeszłość za sobą. Taki sam jest fundament chińskiego paktu zapomnienia. Nigdzie indziej reżim, który odpowiada za śmierć dziesiątków milionów ludzi, nie doprowadził w ciągu dwóch pokoleń do tak gigantycznego sukcesu materialnego i statusu drugiego mocarstwa świata. ●

• Złote figurki Mao w salonie wystawowym w Shaoshan, miejscowości w prowincji Hunan, w której się urodził. Shaoshan to żelazny punkt na trasie tzw. czerwonej turystyki

FOT. ANDREA VERDELLI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES



1 RP

Wczoraj, czyli dziś

Nasz portret obcą ręką malowany

„Tradycyjna chlebowość” i kawa są znakomite, a imprezy trwają białego rana. To „Marka Polska” sprzed wieków, bez AI, choć z podobną dozą fantazji.

Maciejewska



Najnowsze badania nad atutami marki Polska utknęły, po dymisji prof. Barbary Mróz-Gorgoń, ale możemy skorzystać z cudzych badań i portretów obcą ręką malowanych. Trudno się czasem na nich rozpoznać, ale grunt, żeby dobrze wyglądać.

Kilka dni temu internautów zaintrygował podróżujący po Polsce amerykański influencer, Christian Grossi, który na filmie z Wrocławia dziwi się, że w czwartek około 14 ulice i lokale w centrum są pełne ludzi i zastanawia się, czy Polacy w ogóle pracują. Nie on pierwszy, bo work-life balance mamy wpisane w DNA i potrafimy zadziwić nawet Włochów. Giovanni Paolo Mucante, sekretarz towarzyszący kardynałowi Enrico Caetaniemu w podróży mającej doprowadzić do stworzenia ligi antytureckiej (lata 90. XVI w.), uznał, że w Polsce „wszyscy, jak świeccy tak i duchowni, lubią życie wesołe... Ranek poświęcają pracy, obiad jedzą późno, a w dwie godziny potem wieczerzę. Piją wtedy wiele, żartują i śpiewają do północy, a nieraz i do dnia białego. Odpoczywają potem w łóżkach małych i wąskich, w których ledwo można się obrócić”.

Łóżka już mamy duże, resztę relacji można wykorzystać do reklamy. Oczywiście zdarzały się utyskiwania gości, którzy nabawili się bólu głowy na badaniach terenowych polskiego work-life balance, ale Girolamo Lippomano, XVI-wieczny dyplomata Republiki Weneckiej wyjaśnił reszcie świata, że „ostry klimat zmusza ich (Polaków i wszystkich mieszkańców krajów Północy – red.) do zagrzewania się mocnymi trunkami, do których tak są z dawna przywykli, że cudzoziemców wstrzymujących się od kieliszka mają za niegrzecznych i nieobyczajnych”.

Jak to jednak było z tym wstrzymywaniem się, raczej na podstawie relacji obcych podróżników nie ustalimy, bo każdy z cudzoziemców nie tylko malował konterfekt Polakom, ale i swój pochlebny autoportret. W każdym razie, jeśli chodzi o spożycie trunków, dzisiaj do czołówki europejskiej nie należymy, ledwo przekraczamy średnią unijną. W przeszłości też bili nas na głowę Niemcy, mieszkańcy Wysp Brytyjskich i Skandynawowie, a mimo to nasze uczty robiły wrażenie.

Co do naszej kuchni, zdania były podzielone. Nawet w kwestii „tradycyjnej chlebowości”. Bo wprawdzie Fryzyjczyk Ulryk von Werdum skarżył się, że „w całej Polsce nie znajdziesz prawie chleba dobrze wypieczonego”, ale zdaniem śląskiego lekarza Johanna Josepha Kauscha „dwie rzeczy są w Polsce tak znakomite jak nigdzie indziej: chleb i kawa”. Werduma i Kauscha dzielą prawie dwa wieki, więc piekarze w Polsce mogli się podciągnąć, ale trzymajmy się opinii Ślązaka.

Najważniejsze jednak, że nasz tryb życia nie szkodził, a wręcz pomagał. Bo goście podnosili w swoich relacjach, że zdrowy my naród, zdrowy lud (jak twierdził irlandzki lekarz Bernard O’Connor, osobisty medyk króla Jana Sobieskiego), a na dodatek bitny i dzielny. Cytowany już Lippomano stwierdził z uznaniem, że „Polacy po większej części wzrostu są wyższego nad mierny, kształtni i mocni, łatwo największe wytrzymując trudy i znoje, gotowi spać na gołej ziemi, zamiast poduszki, siodło podkładając pod głowę”

Anglik Nathaniel William Wraxall, dyplomata i agent handlowy, który w latach 1777-1779 podróżował po Europie Środkowej i Wschodniej, wspominał, że mężczyźni w Polsce „posiadają zniewalającą powierzchowność” i nigdy nie widział ludzi jeżdżących konno „z takim wdziękiem i łączących większą marsowość z elegancją i delikatnością nowoczesnych obyczajów”. Polki też nie mają sobie równych – „Jeśli zaś chodzi o urodę, to śmiało mogą walczyć o palmę pierwszeństwa z każdym krajem europejskim; wdzięki ich są przy tym stokrotnie pomnożone umiejętnie stosowaną kokieterią”.

Nie dość, że ładni, to jeszcze inteligentni i dobrze wykształceni, co przyznać musiał nawet niechętny nam Eneasz Sylwiusz Piccolomini, późniejszy papież Pius II, pisząc do kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, że „Polacy, czerpiąc z italskich źródeł, blask łacińskiej mowy na Północ przenieśli i Niemców oraz Węgrów przewyższyli”. Polonorum munditiae – elegancja, wysublimowanie, blask inteligencji, czyli mamy markę Polska. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

eprasa.pl cce6ce74a6



• **Quedlinburg, 23 sierpnia 2026 r., parada motocyklistów podczas wiecu AfD przed wyborami w Saksonii-Anhalt. Liderzy AfD opowiadają się za zmianą polityki historycznej Niemiec na taką, która „pozwalałaby obcować z wielkimi osiągnięciami przodków". Otwarcie odwołują się do nazistowskiej tradycji** FOT. REUTERS/FABRIZIO BENSCH

NIEMCY *przegrali wojnę,* ALE CHCĄ *wygrać pamięć*

Zaledwie trzy procent Niemców przyznaje, że ich rodziny popierały Hitlera. Większość wierzy, że ich przodkowie z nim walczyli i pomagali ofiarom nazistów.

Z **PROF. ANDRZEJEM CHWALBĄ** ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

eprasa.pl cce6ce74a6

Ukazała się właśnie książka „Nie będzie Niemiec... Polska – Niemcy. Tysiąc lat wojny i pokoju” (Wielka Litera) prof. Andrzeja Chwalby i Wojciecha Harpuli.

PIOTR GŁUCHOWSKI: Mówi pan o niemieckiej polityce historycznej, że to teatralna ekspiacja na zewnątrz, pomniejszanie winy na użytek wewnętrzny, a ostatnio przerzucanie jej na Polaków, Litwinów...
PROF. ANDRZEJ CHWALBA: Kreatorzy niemieckiej polityki historycznej zaprosili do dzielenia winy okupowane niegdyś przez III Rzeszę kraje i nacje środkowej Europy. Media niemieckie piszą, że bez udziału tych nacji nie byłby możliwy ani podbój Wschodu, ani Zagłada.

Kolejnym zadaniem tej polityki jest podkreślanie, że sami Niemcy w czasach Hitlera zostali podbici przez narodowy socjalizm. Tak jak bolszewicy podporządkowali sobie Rosję, tak hitlerowcy – Niemców, którzy wedle owej narracji byli drugą ofiarą nazizmu po Austriakach. W zjednoczonych Niemczech w ten sposób przedstawia się historię od dawna. Na uroczystościach upamiętniających lądowanie aliantów w Normandii niemieccy oficjele dziękują Amerykanom i Brytyjczykom za wyzwolenie kraju od nazistów.

...którzy – jak wiadomo – byli różnej narodowości: włoscy, ukraińscy, chorwaccy, rumuńscy... Wspomina pan kilkadziesiąt filmów i książek o zamachu na Hitlera przeprowadzonym przez pułkownika Clausa von Stauffenberga i o antyhitlerowskiej, raptem kilkuosobowej konspiracji znanej jako Biała Róża...
– Niemcy to oglądają, czytają i wierzą, że ich dziadowie walczyli z Hitlerem. Według sondażu dla dziennika „Die Zeit” z 2020 roku zaledwie trzy procent respondentów stwierdziło, że ich rodziny popierały nazistów – a jak wiemy, faktycznie popierała ich przytłaczająca większość.

Dalej: 32 procent Niemców wyraziło przekonanie, że ich przodkowie pomagali ofiarom reżimu. Tymczasem historycy – i to niemieccy! – wykazali, że w różne formy pomocy Żydom, więźniom obozów koncentracyjnych czy innym ofiarom represji angażowało się od 0,2 do 0,3 procent społeczeństwa III Rzeszy.

Ta amnezja i coraz częstsze powtarzanie, że Niemcy są ofiarą II wojny światowej, bo zostali wypędzeni z Rumunii, Węgier, Prus Wschodnich czy ze Śląska, jest moim zdaniem przyczyną rosnącej popularności niemieckiej skrajnej prawicy, która wprost odmawia przyjęcia winy za wojnę.

Mówi pan: „W niemieckich miastach i miasteczkach każdy epizod uratowania Żyda w czasie wojny jest honorowany powstaniem muzeum lub izby pamięci. My, po latach starań, mamy wreszcie muzeum rodziny Ulmów w Markowej. Jedno”.
– Wychodzi na to, że Żydów ratowali głównie Niemcy. Dla setek milionów osób na całym świecie głównym Sprawiedliwym jest członek NSDAP Oskar Schindler, a nie Ulmowie czy ktokolwiek z tysięcy podobnych im Polaków. Taki jest polityczny cel niemieckich elit: przegraliśmy wojnę, musimy wygrać pamięć! To była polityka historyczna wszystkich głównych partii: konserwatystów z CDU, socjalistów z SPD i dziś już nieco zapomnianych liberałów z FDP. Alternative für Deutschland poszła dalej i mówi wprost, że żadna niemiecka wina nie istnieje.

Do rozbiorów granica zachodnia ustalona przez Kazimierza Wielkiego z Karolem IV Luksemburgiem była spokojna; o tym się mało pisze, że Niemcy jako jedyni nie atakowali nas przez 400 lat. Pan to przypomina na wstępie książki.
– Z tym zastrzeżeniem, że mówimy o cesarstwie niemieckim, o Niemcach austriackich i dynastii Habsburgów. Bo Krzyżacy, a potem Prusy atakowały nas wielokrotnie.

Zarówno historycy polscy, jak i niemieccy nie mają wątpliwości, że Führer widział Polskę jako sojusznika w planowanej wojnie ze Związkiem Sowieckim. Zabiegi o pozyskanie Warszawy trwały od 1935 roku aż do marca 1939

Tymczasem Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego parło raczej na południe niż na wschód.
– Było przecież „rzymskie”. Te dwa wielkie regiony historyczne – obszar niemieckojęzyczny i włoskojęzyczny – długo pozostawały politycznie rozbite. Lokalne dynastie, wolne miasta, arcybiskupstwa...

W sumie ponad półtora tysiąca podmiotów terytorialnych Pierwszej Rzeszy...
– ...do tego konflikty religijne, różne odmiany języka niemieckiego, Sasi w sporze z Hohenzollernami... Dopiero w XIX wieku nastały w krajach niemieckich warunki do zjednoczenia. Przeszły wojny napoleońskie, pojawiła się romantyczna idea narodu niemieckiego i rzeczywisty naród w postaci wolnego chłopstwa.

Ten naród po powstaniu listopadowym nagle pokochał Polaków.
– Gdy Polacy wypowiedzieli wojnę carowi Mikołajowi I, który był dla zachodnich elit symbolem europejskiej tyranii, staliśmy się bliscy Niemcom, bo ci uważali, że bez powstrzymania imperialnej Rosji nie będzie możliwe zjednoczenie ich kraju. A chcieli się zjednoczyć na podstawie praw liberalnych, konstytucji. Polacy byli dla nich rycerzami wolności, podobnie jak niemieccy liberałowie.

Czym była polska debata w parlamencie frankfurckim w 1848 roku?
– Między innymi zmianą tego propolskiego kierunku myślenia. Wśród posłów zwyciężyła idea „zdrowego egoizmu narodowego”. Debata zapowiedziała nowy kurs niemieckich elit, których celem było odtąd zjednoczenie wszystkich ziem, gdzie mieszkają Niemcy, powołanie Rzeszy. Pieśń „Deutschland, Deutschland über alles...” stała się właśnie wtedy hymnem zjednoczeniowym. A skoro Niemcy się jednoczą, nie może dalej istnieć choćby autonomiczne Wielkie Księstwo Poznańskie, a tym bardziej niepodległa Polska. Minęło 15 lat od wychwalania Polaków powstańców i staliśmy się znowu narodem, który należy ujarzmić.

Próby ujarzmienia Polski opisuje pan, poczynając od bitwy pod Cedynią, w której książę Mieszko wraz z wojami z Czech walczył przeciw słowiańskim Wolinianom pod wodzą banity Wichmana na służbie margrabiego Gerona. Była to raczej potyczka niż wielkie starcie, a wiemy o niej jedynie dlatego, że uczestniczył tam ojciec kronikarza Thietmara. Nie wiemy natomiast, gdzie to było.
– Po 1945 roku, gdy potrzebne było historyczne uzasadnienie dla nowej polskiej granicy na Odrze, wykreowano wielką bitwę cedyńską, lokując wspomniane przez Thietmara miejsce „Cidini” w nadodrzańskiej wsi Zehden...

...która jest najdalej na zachód wysuniętym miastem naszego kraju.
– W PRL zapamiętale szukano tam śladów starcia, lecz nic nie znaleziono.

Niemniej jednak wielki pomnik bitwy stoi na Górze Czcibora, brata Mieszka, który miał się w tej bitwie odznaczyć. Mówi pan, że Mieszko formalnie chrzest przyjął z rąk czeskich, a faktycznie – niemieckich.
– Księstwo czeskie było częścią Rzeszy, a w 966 roku Praga nie miała biskupstwa. Więc zgodę na chrzest dał niemiecki suweren, a i kapłani przybyli na ziemie Polan z Niemiec, a nie z Czech.

Cytuje pan niemiecki podręcznik z 1934 roku: „Powodowany politycznym marzycielstwem Otton III zezwolił polskiemu księciu na utworzenie arcybiskupstwa w Gnieźnie, zadając bolesny cios niemieckiemu królestwu. Polacy mieli odtąd własną archikatedrę, byli niezależni od Magdeburga, a droga chrystianizacji i germanizacji Wschodu została odcięta”. Nadal tak się w Niemczech pisze?
– Nadal. Niemiecka historiografia przypomina, że arcybiskupstwo w Magdeburgu przez 200 lat rościło sobie prawo zwierzchności nad ziemiami polskimi, nie uznając decyzji Ottona III.

A jednak cesarz Henryk III wspomógł oddziałem 500 zbrojnych Kazimierza Odnowiciela, bez którego Polska mogłaby się skończyć w XI wieku.
– Był to najtrudniejszy moment w dziejach Piastów. Kazimierz, przeznaczony początkowo do stanu duchownego, wrócił do Polski z Rzeszy, aby zrobić porządek. Cesarz nie chciał chaosu za Odrą ani nie chciał nadmiernie wzmacniać Czechów. Pomógł Kazimierzowi odbudować organizację kościelną i państwową.

Ruszyła kolonizacja polskich księstw dzielnicowych przez Niemców i nie tylko. Pan widzi ją pozytywnie: „Fala osadników przyniosła nowoczesne rozwiązania w obszarze normowania stosunków społecznych”. Przywieźli również kosy. Wcześniej czym zbierano zboże?
– Zboże zbierano sierpami, natomiast orano z pomocą drewnianego radła i sochy, choć nieraz już z żelazną końcówką. Osadnicy przynieśli metalowe okładnice – dało się orać głębiej, zwiększyły się plony, można było sprowadzać kolejnych osiedleńców, upowszechniła się trójpolówka.

W tym czasie miasta stały się niemieckie. Mówi pan: „Niemcy rządzili stołecznym Krakowem, ale też Poznaniem czy Wrocławiem”. Dodam Gdańsk i Toruń. A co z innymi?
– Lublin również doświadczył niemieckiej kolonizacji. W trakcie okupacji prasa gadzinowa pisała o „mieście niemieckim od zawsze”. Także i we Lwowie była dzielnica niemiecka. Lecz w ciągu kilku generacji Niemcy wtapiali się w polski pejzaż, mieszali z Polakami, Rusinami, Litwinami, Ormianami...

Historycy szacują liczbę miast lokowanych na naszych ziemiach w XIII i XIV wieku na 500 do 700, a liczbę wsi na 20 do 27 tysięcy. Powstała siatka miejscowości i dróg istniejących w zasadzie do dzisiaj.
– Niektórzy publicyści określają średniowieczne osadnictwo jako jeden z głównych długofalowych procesów modernizacyjnych w dziejach Polski i porównują go do skoku cywilizacyjnego po wstąpieniu do Unii Europejskiej. Podkreślają też, że w obu przypadkach akuszerami dobroczynnych zmian byli Niemcy. Zestawianie tych dwóch zjawisk jest może i efektowne, ale nie efektywne. Kolonizacja Wschodu nie wyszła tylko z Niemiec, ale też z Flandrii, Niderlandów, Walonii. To tam kształtowało się prawo lokacyjne miast i wsi zwane u nas niemieckim. We Wrocławiu była nawet dzielnica walońska, gdzie mówiło się po francusku, podobnie jak i w rejonie Sudetów. To był wielki oddolny ruch ludności za chlebem, czy raczej w poszukiwaniu wolnej ziemi, a nie odgórny proces, jaki mieliśmy w przypadku akcesu do Unii.

Państwo polskie tuż przed końcem rozbicia dzielnicowego utraciło Pomorze Gdańskie i kontrolę nad handlem wiślanym. Powód: Władysław Łokietek nie miał 40 kilogramów srebra należnego pomorskiemu rodowi Święców i ci złożyli hołd lenny Brandenburgii. Odtąd zaczął się problem Gdańska?
– Tak. Przy czym problem mieli także pożądający tego miasta Krzyżacy. Podbijając wcześniej Prusy, cieszyli się pełnym poparciem świata chrześcijańskiego. Gdańsk jednak nie był pogański... trzeba więc było zająć go podstępem.

Jak pan to określił: „okazja czyni złodzieja”. Łokietek i sędzia pomorski Bogusza zaprosili zakon do Gdańska, by przegonił Brandenburczyków, ale Polacy i zakonnicy pokłócili się już przy interpretacji umowy zaproszenia... Potem nastąpiła rzeź Gdańszczan. Czy to również mit?
– Nie do końca. Mordowanie cywilnych Gdańszczan, z reguły niemieckojęzycznych, jest faktem. Natomiast nie wiemy, jaka była tego skala. Prawdopodobnie zamordowano kilka setek z kilku tysięcy mieszkańców.

Wspomina pan, że aż do zajęcia Gdańska w 1308 roku „zakon nie interesował się polskimi sprawami, a polscy władcy nie interesowali się Krzyżakami”. Dopiero wiek XIV to mniejsze i większe wojny, aż w końcu Kazimierz Wielki, zajmując zamek Drahim, wbił klin między Marchię Brandenburską a państwo zakonne. Wielka wojna, która zaowocowała Grunwaldem, zaczęła się od tego?
– W pewnym sensie tak, bo wspomniany klin rozciął drogę z Zachodu do państwa zakonnego. Wojnę prowadzoną w latach 1409-11 wypowiedział jednak wielki mistrz. Wcześniejsze konflikty z jego państwem miały charakter pograniczny, lecz teraz wielki książę Witold i król Jagiełło postanowili uderzyć w serce zakonu, czyli iść na Malbork.

Teza, że Jagiełło lekkomyślnie odpuścił Krzyżakom po Grunwaldzie, to kolejny mit?
– Nie było możliwości zdobycia Malborka. Mimo że skrócono tradycyjne trzy dni odpoczynku po wielkiej bitwie, Polacy i Litwini i tak nie zdążyli dojść nad Nogat przed komturem Świecia Henrykiem von Plauen, który przygotował zamek do obrony. To była twierdza krzyżowców, największa w północnej Europie, nie do zdobycia. Można było tylko wziąć obrońców głodem, lecz Malbork miał zapasy jedzenia na kilka lat. Tymczasem polskie rycerstwo spieszyło się na żniwa...

eprasa.pl cce6ce74a6

Zakon mógł dobić Władysław Warneńczyk, ale wojował na Węgrzech. Kazimierz Jagiellończyk też próbował, lecz przegrał bitwę pod Chojnicami. W ten sposób Prusy zostały na mapie. Albrecht Hohenzollern był siostrzeńcem Zygmunta Starego i ten mu zostawił lenno z dobroci serca...
– Udało się jednak przebić okno do Bałtyku przez Toruń, Gdańsk i Elbląg. Nasi przodkowie uznali, że to wystarczy. Królewca nie potrzebujemy... Porządek z Hohenzollernami próbował jeszcze zrobić Jan III Sobieski: zadeklarował, że po zakończeniu wojny z Turcją uderzy na Prusy Książęce. Ale Sejm, który zebrał się w 1677 roku, nie tylko odmówił królowi wsparcia w działaniach przeciwko księciu elektorowi, lecz także zalecił mu odnowienie traktatów z Brandenburgią. Zredukowano armię do 12 tysięcy żołnierzy, co miało zahamować aktywność króla na północy.

Dlaczego?
– Szlachta wojny z Prusami nie chciała. Małe państwo, nie szkodzi nam, tymczasem Osmanowie zajęli kawał Podola, a jeszcze Kozacy, a Moskwa...

O kluczowej roli Prusaków w rozbiorach nie porozmawiamy, bo to wszyscy wiedzą. Wspomina pan, że w wyniku trzech rozbiorów Królestwo Prus urosło dwukrotnie, Polacy stanowili odtąd blisko połowę jego ludności. Mówi pan o rozkwicie gospodarczym pod pruskimi rządami...
– Poziom kultury rolnej w XIX-wiecznej Wielkopolsce przewyższał Czechy czy Francję, był porównywalny z Holandią i zachodnimi regionami Niemiec. W Poznańskiem z hektara zbierano na początku XX wieku 20 kwintali zboża, we Francji – 13. W 1914 roku w Wielkopolsce były już wsie, które miały dostęp do sieci elektrycznej. Nastąpiła również zmiana mentalna. Chłopi w Prusach to byli farmerzy, zaciągali kredyty w bankach, czytali prasę rolniczą... szlachcic polski ramię w ramię z polskim chłopem walczył przeciw germanizacji. A w zaborze rosyjskim chłop był analfabetą. Rzeka Prosna wyznaczała wówczas granicę cywilizacyjną.

Aż przyszła I wojna światowa i drugi po Hindenburgu generał Erich Ludendorff napisał: „Polak to dobry żołnierz... Trzeba zrobić Wielkie Księstwo Polskie z Warszawą i Lublinem, a następnie armię polską pod dowództwem niemieckim". Zapomniane obecnie XX-wieczne Królestwo Polskie, czyli istniejące w latach 1917-18 Königreich Polen, miało zapoczątkować budowę powojennej niemieckiej Mitteleuropy.
– Niemcy w latach 1915-17 zajęli ogromne obszary Rosji. Trzeba było te ziemie związać z Berlinem. Stąd Królestwo Polskie i inne zależne politycznie od Berlina państwa: Litwa, Ukraina, Finlandia. Na ich czele mieli stanąć monarchowie z niemieckich dynastii. Żeby znowu „pracować na Wschodzie". Włączyć gospodarkę Europy Środkowej w krwiobieg gospodarki niemieckiej. Jeden obszar gospodarczy od flandryjskiej Gandawy po Kijów i dalej do Gruzji. To był projekt największej od 1815 roku przebudowy Europy.

W listopadzie 1917 roku powołano polską Radę Regencyjną. Powstały rząd i administracja. Niemcy w pełni oddali w nasze ręce szkolnictwo, wymiar sprawiedliwości, służbę zdrowia... Jesienią, kiedy wojna dobiegła końca, mieliśmy nie tylko polską administrację w Galicji, ale i w Królestwie Polskim. Oraz zalążek armii. Proklamacja cesarzy Niemiec i Austrii sprawiła, że „sprawa polska" stała się przedmiotem zainteresowania ze strony Zachodu. W styczniu 1917 roku prezydent USA Woodrow Wilson w orędziu do Senatu powiedział, że „winna istnieć zjednoczona, niepodległa i samorządna Polska". Dzięki działalności Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego, dzięki ich dobrym kontaktom z Wilsonem, zostaliśmy uznani przez państwa zwycięskiej koalicji za sprzymierzeńców.



• **Morius Enden i Jenni Moli z kolektywu artystycznego „Centre for Political Beauty" przy instalacji wzniesionej potajemnie w ciągu jednej nocy przy domu lidera AfD w Turyngii Björna Höckego. Instalacja jest repliką berlińskiego Pomnika Pomordowanych Żydów Europy, który Höcke nazwał „hańbą w sercu stolicy"**
FOT. SWEN PFÖRTNER/DPA/AFP

Na konferencji paryskiej w 1919 roku Francuzi chcieli dać Polsce Gdańsk i nawet cały Śląsk, ale premier brytyjski Lloyd George przekonał Amerykanów, że „oddać Polakom przemysł Śląska to jak włożyć małpie w łapy zegarek". To prawda?
– Rzeczywiście takie... albo zbliżone słowa padły. Brytyjczycy mieli złą opinię o potencjale państwa, którego ponad sto lat nie było na mapie.

Plebiscyty na Śląsku i Mazurach przegraliśmy.
– Ale już trzecie powstanie śląskie to był olbrzymi sukces: dostaliśmy skarb – kopalnie, huty i fabryki Katowic, Chorzowa, Tarnowskich Gór... Do Polski włączono obszar, który nie leżał w jej granicach w momencie rozbiorów. Dla Niemców walki o Górny Śląsk były „zdradzieckim atakiem", a późniejsze decyzje w sprawie jego podziału kpiną z wyrażonego podczas plebiscytu werdyktu mieszkańców. Wschodnią rubież Niemiec nazywano „krwawiącą granicą" i domagano się odzyskania zawsze niemieckiego Gdańska, w którym rzeczywiście mieszkało 90 procent Niemców.

Po dojściu Hitlera do władzy stosunki z Polską o dziwo się poprawiły...
– W latach 1933-38 relacje polsko-niemieckie stały się prawie tak ciepłe jak po powstaniu listopadowym. Niemcy wydali cztery tomy pism zebranych Józefa Piłsudskiego. Przedmowę napisał Herman Göring. Wcześniej mieliśmy wojnę celną, a teraz Hitler zawarł z nami układ o nieagresji.

Zarówno historycy polscy, jak i niemieccy nie mają wątpliwości, że Führer widział Polskę jako sojusznika w planowanej wojnie ze Związkiem Sowieckim. Zabiegi o pozyskanie Warszawy trwały od 1935 roku aż do marca 1939. Oferty były konsekwentnie ponawiane... O ich odrzuceniu zdecydowali ostatecznie prezydent Mościcki, minister Beck, marszałek Rydz-Śmigły, niektóre relacje wymieniają także premiera Składkowskiego i wicepremiera Kwiatkowskiego. To grono podjęło decyzję.

Zmiany polskiego stanowiska nie przyniosła ostatnia wizyta ministra Ribbentropa w Warszawie, podczas której ponowił propozycję wspólnej ekspansji na Wschód. Powiedział wówczas do Becka: „Morze Czarne jest przecież także morzem".

Trwa wysyp publikacji i wykładów na YouTubie o tym, że trzeba było iść z Hitlerem na Stalina.
– I budowane są hipotezy z zakresu historii kontrfaktycznej. Nawet gdybyśmy weszli razem do Moskwy, jak z Napoleonem, to tę wojnę Niemcy i tak by prawdopodobnie przegrali. Bylibyśmy w gronie pokonanych. Stracilibyśmy ziemie wschodnie, a zapewne nie zyskali zachodnich. Polska wyglądałaby geograficznie jak Generalne Gubernatorstwo w latach okupacji.

Z drugiej strony pojawiają się głosy, że należało zawrzeć pakt ze Stalinem. Historycy żydowscy w USA i Izraelu piszą, że gdyby Polacy z Armią Czerwoną poszli na Berlin, nie doszłoby do Zagłady.

Mówi pan, że Niemcy nie chcieli „polskiego Quislinga". Ale „gdyby zdecydowali inaczej, to chętni – choć niedysponujący żadnym poparciem społecznym – raczej by się znaleźli". Jacy?
– Istniało nieliczne środowisko germanofilskie na czele z Władysławem Studnickim. Germanofile pracowali także w charytatywnej, tolerowanej przez okupanta Radzie Głównej Opiekuńczej. Uważali, że wrogiem są Sowiety i trzeba współpracować z Trzecią Rzeszą. Niemcy jednak nie chcieli. Polaków uważali za naród „zażydzony", mniej wart niż Słoweńcy, Czesi, a nawet Ukraińcy. „Zażydzenie" wykluczało współpracę polityczną. Nie chcieli takiej współpracy również alianci. Pod koniec września 1939 roku, jeszcze w trakcie ostatnich walk kampanii, Niemcy planowali, że anektują ziemie należące do Rzeszy przed 1914 rokiem, przesiedlą Żydów na Lubelszczyznę, a z resztek terytorium między Warszawą i Krakowem stworzą zależne od siebie państewko z własnym rządem. Berlin sondował aliantów: czy są gotowi zakończyć wojnę w przypadku takiego scenariusza? Brytyjczycy i Francuzi na nasze szczęście odpowiedzieli: „nie". Niechętni byli również Sowieci.

W trakcie poczdamskiej konferencji Stalin-Churchill-Roosevelt przyjęto formułę głoszącą, iż Polska otrzyma terytoria na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz Szczecin. Docelowy przebieg granicy miał zostać ustalony podczas przyszłej konferencji pokojowej, do której już nie doszło.
– Bo się zaczęła zimna wojna. Szczecińscy Niemcy długo nie chcieli wyjeżdżać, a Niemcy w ogólności długo się nie godzili z takim przebiegiem granicy.

Niewiele zmienił list biskupów „Udzielamy wybaczenia i prosimy o nie".
– List został chłodno przyjęty i w Polsce, i w Niemczech. Nie doprowadził do przełomu ani nawet ocieplenia stosunków. Ręka wyciągnięta przez polskich duchownych zawisła w próżni... Ludzie w Polsce powszechnie uważali, że Niemców nie ma za co przepraszać. A biskupi niemieccy przypominali stracone odwiecznie niemieckie ziemie, niedolę wypędzonych... To się nie mogło udać.

Większe znaczenie dla zmiany lodowatych do tej pory relacji PRL z RFN miała zmiana ekip rządzących w obu krajach. W 1969 roku wybory w zachodnich Niemczech wygrali socjaliści, którzy uznali granicę.

W zamian za ten układ, za kredyty i za daninę ponad miliarda marek Gierek zgodził się wypuścić z kraju 120-250 tysięcy osób ze Śląska i Mazur... dokończył wypędzenie?
– Tak, za marki. Jednocześnie uważał, że tych, co się czują Niemcami, lepiej pożegnać. Nie będzie się miał kto upominać o niemiecki Śląsk.

Uznanie granicy przez zjednoczone Niemcy nie było automatyczne.
– Opór w CDU i FDP był znaczący, związki wypędzonych były jeszcze mocne, a Chrześcijańska Demokracja była ich ostoją. Zachód i Moskwa mówiły jednak twardo, że akceptacja granicy to nieodzowny warunek zjednoczenia. Co kanclerz Helmut Kohl przyjął bez entuzjazmu.

Podobno stare określenie „polnische Wirtschaft" ostatnio zostało za Odrą zastąpione przez milszy nam slogan: „Polska to nowe Niemcy".
– To pierwsze powiedzenie zanikło dosłownie w ostatnich latach. Bo stało się nieadekwatne. Proces zmiany trwał oczywiście od dawna wraz z rozwojem Polski i ze wzrostem wartości naszego handlu z Niemcami – jesteśmy w pierwszej piątce partnerów. A teraz się staliśmy odkryciem turystycznym, Niemcy przyjeżdżają i widzą piękny kraj. ●



„Nie będzie Niemiec... Polska – Niemcy. Tysiąc lat wojny i pokoju"

Z Andrzejem Chwalbą rozmawia Wojciech Harpula
Wielka Litera, 2026

1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6

POZNAJ BOHATERÓW POWIEŚCI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

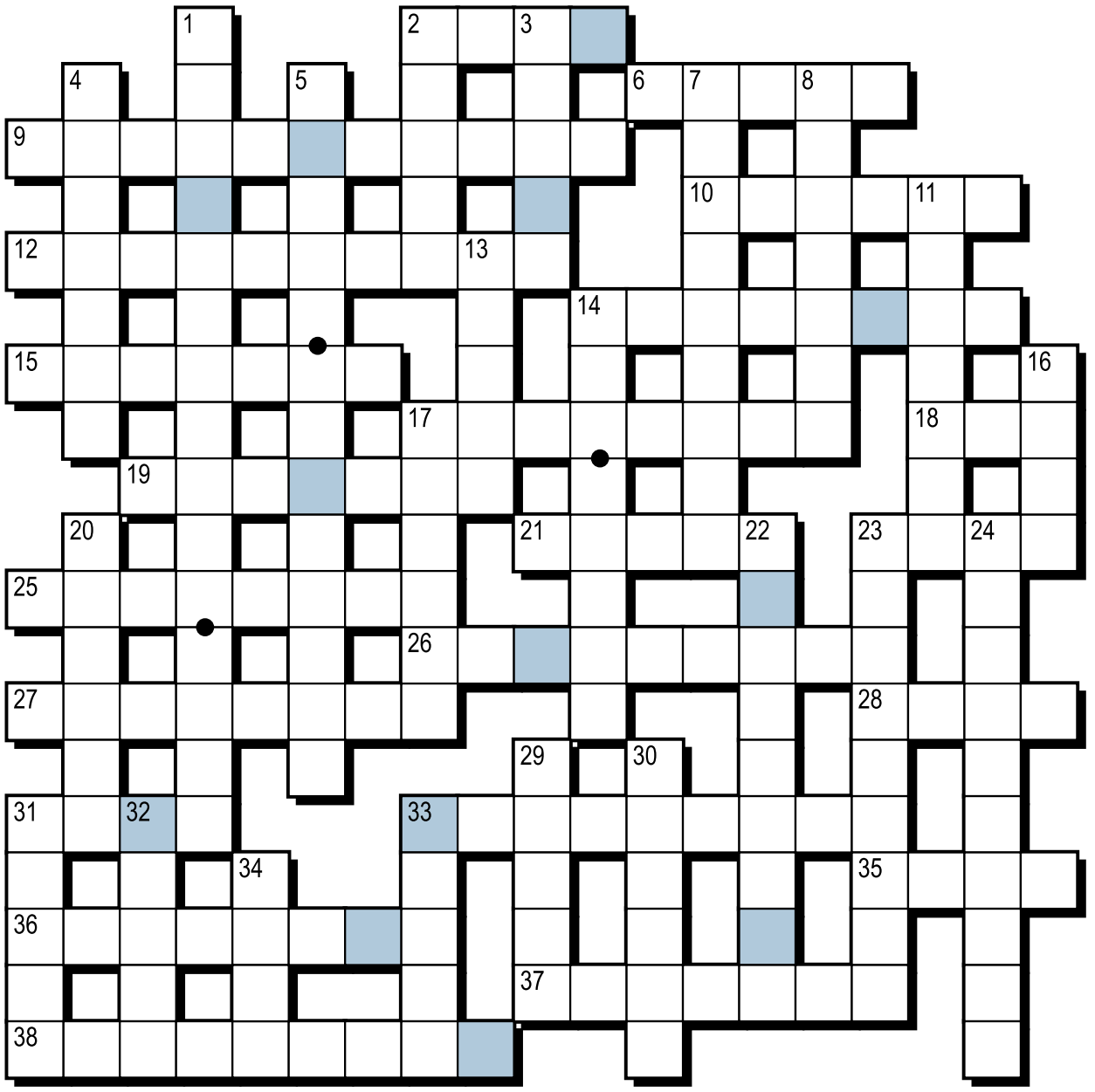
KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

Kraj/34444595

eprasa.pl cce6ce74a6

weekendówka nr 221



KRZYŻÓWKA WOJSKOWA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) „Rambo: pierwsza ...", film z Sylvestrem Stallone'em
6) „Dunkierka" lub „Pearl Harbor"
9) najważniejsze osoby w armii
10) naramienne, plecione – noszone przy galowych mundurach
12) żołnierz zwolniony z czynnej służby wojskowej
14) ... Pieprz, w tytule ósmej płyty Beatlesów
15) F-16
17) pociski i naboje
18) z grochówką, na żołnierskim pikniku
19) kapral (a później plutonowy) ..., postać z serialu o pancernych
21) major Henryk Dobrzański
23) może być frontalny lub z powietrza
25) „Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój ..., ta szara ..."
26) małe, lekkie czołgi bez wieży, z niewielką załogą
27) oznaki godności, władzy, urzędu, np. ... oficerskie
28) „Jak to na wojence ładnie, kiedy ... z konia spadnie"
31) imię Kurasia, żołnierza z serialu telewizyjnego „Polskie drogi"
33) październikowa – wybuchła w 1917 r.
35) biją w tarabany (w „Mazurku Dąbrowskiego")
36) oddział wojska zakwaterowany w twierdzy
37) żołnierze pod komendą Wołodyjowskiego
38) ciężka ... (armaty, moździerze, haubice dużego kalibru)

Pionowo:
1) film wojenny Stevena Spielberga
2) Hans, bohater „Stawki większej niż życie" i „Stawki większej niż śmierć"
3) najlepsi z najlepszych, np. doborowy oddział do zadań specjalnych
4) niemało się nawojował
5) kolory mundurów i wyposażenia wojskowego ułatwiające maskowanie w terenie
7) kontrola w koszarach
8) blaszane naczynie z pokrywką, używane do posiłków w wojsku
11) przeszedł na stronę wroga; zdrajca, odszczepieniec
13) pas z nabojami do broni samoczynnej, umożliwia prowadzenie ognia seriami
14) chłopiec sierota pod opieką żołnierzy, zwykle w czasie wojny
16) równany podczas musztry
17) w logo klubu piłkarskiego Arsenal
20) Agencja ... Wojskowego (AMW, wpisujemy w mianowniku)
22) siły zbrojne w powietrzu
23) oficerowie pełniący służbę przy dowódcach wyższej rangi
24) kraj, w którym toczy się akcja filmu wojennego Bondarczuka „9 kompania"
29) rozpoznanie w terenie
30) żołnierski – wygodniejszy niż walizka
31) ... cudzoziemska, ochotnicza formacja utworzona w 1831 r. przez władze Francji
32) torpedowiec lub niszczyciel
33) z pola bitwy trafili do lazaretu
34) kolor flagi poddania się

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 220 z 5 września (krzyżówka z zarostem)

POZIOMO: 1) Szekspir 6) zarost 9) Miedzianobrody 11) muszka 12) barber shop 15) psy 16) pekaesy 17) elegant 18) nos 20) Akira Kurosawa 23) szczotka 24) Eryk 26) włos 27) jaszczurka 29) szampon 31) noże 32) trio 33) gardło 34) czernidło 36) trymery 37) peruka

PIONOWO: 1) starszy pan 2) Piotr 3) Rzym 4) Henryk 5) dzielenie 7) rysy 8) tradycja 10) ogolenie 13) cesarz 14) zapuszczenie 15) pomada 16) panczenista 19) sumy 21) ostrzyżenie 22) bokobrody 25) Koziołek 26) wymóg 28) kawał 30) kocur 35) oda

Hasło: KRASNOLUDKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34451038

Wymyśl grę, zgarnij 10 000 zł

Masz pomysł na codzienną grę logiczną lub słowną?



APLIKACJA WYBORCZEJ

Zgłoś pomysł na:

nowagra.wyborcza.pl

1 RP

eprasa.pl cce6ce74a6

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

12 / HERSTORIA
Jak złamano Frances Farmer

16 / BYĆ RODZICEM
Szkoła wolna od smartfona

wyborcza



ALEXANDRA SZACKA, ALEKSANDER PERSKI

Piękni *siedemdziesięcioletni*

– rozmowa Piotra Pacewicza

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 36 (1407) SOBOTA – CZWARTEK, 12-17 WRZEŚNIA 2026

eprasa.pl cce6ce74a6

Dzieci wolne od smartfona, a co z nami?



MONIKA TUTAK-GOLL

Wchodzą do szkoły, a telefony zostawiają w szatni albo trzymają w plecaku, wyłączone. Do smartfona mogą zajrzeć dopiero, gdy skończą lekcje. Taką zmianę wprowadziły już Francja, Włochy, Grecja, Portugalia. Szkoły zmagały się z tam z brakiem koncentracji na lekcjach, nauczyciele obserwowali wpływ telefonów na relacje społeczne.

Czytam, że w polskiej szkole było to samo: dzieci na przerwach siedziały w smartfonach, a na lekcjach wychodziły do toalety, żeby poscrollować. Zamiast się bawić, wolały wysyłać wiadomości na komunikatorach. Nie rozmawiały ze sobą, oglądały TikToka, odpalały aplikacje.

Diagnoza, którą zleciło MEN, mówi tak: 71 proc. nastolatek i nastolatków uważa, że są uzależnieni od telefonów. 60 proc. odczuwa chroniczne zmęczenie. 73 proc. dzieci w wieku 12-14 lat wie, gdzie znaleźć pornografię w internecie, a 26 proc. dzieci pomiędzy 7. a 12. rokiem życia miało kontakt z pornografią. 47 proc. osób w wieku 13-16 lat natknęło się na szkodliwe treści w mediach społecznościowych (PAP). Niepokojące? Bardzo.

Są w Polsce szkoły, w których zakaz korzystania z telefonów obowiązuje od lat. „Pierwszy dzień był szokiem" – mówi w „Wysokich Obcasach" jedna z dyrektorek. Dla uczniów? Skąd, dla rodziców. To oni mieli pretensje do dyrekcji: jak skontaktują się z dzieckiem? Jak można pozwolić na tak drastyczne posunięcie, na brak kontaktu?

Byli tacy, którzy dzwonili z pretensjami nie tylko do szkoły, ale nawet do kuratorium. Wcześniej nie mieli oporów, by telefonować do dziecka w czasie lekcji. Zakaz w tych szkołach wcale nie okazał się problemem dla uczniów, ale dla niektórych rodziców już tak. Jakby nie mieli wystarczających narzędzi kontroli. Przecież aplikacje Librusa i Vulkana odpowiadają za cyfrową nadopiekuńczość, to nic innego jak system nadzoru dziecka, odbiera mu sprawczość i samodzielność, często nie daje szansy rozwiązać problemu bezpośrednio z nauczycielem, bo rodzic natychmiast dostaje powiadomienie o nowej jedynce czy uwadze i od razu pisze do wychowawcy. Nie mam Librusa w telefonie, zaglądam w sytuacji koniecznej, przez stronę. A i tak wydaje mi się to opresyjne, zwłaszcza w przypadku starszego dziecka.

Czy zakaz używania smarfonów w szkole pomoże walczyć z uzależnieniem dzieci? Średnio, jeśli nie zaczniemy od siebie. Dorośli sami mają problem z uzależnieniem behawioralnym od telefonów. Zwróćcie dziś uwagę, ile osób w autobusie, tramwaju, metrze nie siedzi w telefonie. Ciekawe, prawda? ▲

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów" i „Wysokich Obcasów Extra"



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Sandra Bullock: Życie jak film ■ **TEMAT NUMERU:** • Rozstanie to nie koniec świata ■ **PSYCHOLOGIA:** • Koniec przyjaźni: Co niszczy relacje • Wakacje na dziko: Pod namiotem też można wypocząć ■ **TWARZE:** • Rosemary Kennedy: Wymazana z pamięci • Agnieszka Cegielska: Przerwane dzieciństwo • Anthony Burdain: Gonzo przy garach

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronie 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 36 (1407)
NA OKŁADCE:
ALEXANDRA SZACKA I ALEKSANDER PERSKI
FOT. DAWID ŻUCHOWICZ/ AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl cce6ce74a6

RESET DLA OKA

Na podstawie najnowszych badań Clarins nad starzeniem skóry, powstała udoskonalona formuła Double Serum pod oczy. Ekstrakt z kurkumy oddziałuje na widoczne oznaki starzenia chronologicznego, a ekstrakt z majeranku przeciwdziała oznakom, na które wpływa styl życia. ***(20 ml/345 zł).***





ODMŁADZANIE

Z połączenia bioaktywnego oleju Cacay oraz składników zamkniętych w liposomach powstała odmładzająca linia Sesdermy Sescay dla skóry wrażliwej. Najnowsze serum zawiera dobrze tolerowany retinoid nowej generacji (HPR), peptyd przeciwstarzeniowy i krzem. ***(30 ml/299 zł)***

WANILIOWA ORCHIDEA

Nowy zapach Gucci Flora Gorgeous Orchid Intense oparty jest na nutach kwiatu orchidei waniliowej, ciemnego kakao i słonych nutach ozonowych. Kompozycja jest kwiatowo-gourmandowo-drzewna z akrodem mineralnym. ***(50 ml/559 zł)***





ULTRANAWILŻANIE

Transparent Lab to hiszpańska marka kosmetyczna założona w 2018 r., specjalizująca się w dermokosmetykach, które mają rozwiązywać problemy skóry za pomocą składników aktywnych zamkniętych w nanopęcherzykach. Dla cery przesuszonej powstał ultranawilżający krem barierowy z kwasem hialuronowym, wit. A, C i E, ceramidami oraz azjatykozydem, madekasozydem, kwasem azjatykowym i madekasowym. ***(50 ml/89 zł, beautygeeks.pl)***





NOWA POLSKA MARKA UNISEX

„Czy światu jest potrzebna kolejna marka kosmetyczna?" - pytają założyciele All in Skin. Zapewne nie, ale jednak ją stworzyli, bo nie byli zadowoleni z tego, co jest na rynku. Ich formuły opierają się na biologii skóry. ***(Multiaktywna ampułka odmładzająca z peptydami, 30 ml/199 zł)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl cce6ce74a6

Gotowość do pełnej *miłości*

Olek: Ola jest piękna cała. Ale coś jeszcze. Kiedy się spotkaliśmy, to odkryliśmy, ile mamy wspólnego, podobne życiorysy, wspólny język. Poczułem, jakbym wracał do domu.
Ola: Dzisiaj starzy domagają się tych samych co młodzi praw do seksualności, do takiej samej miłości



eprasa.pl cce6ce74a6



ALEXANDRA SZACKA

(1953) na fali nagonki antysemickiej 1968 r. wyjeżdża z rodziną z Polski jako bezpaństwowiec, W Kanadzie kończy studia antropologiczne. Dla telewizji i radia robi reportaże w ponad 50 krajach, jest świadkiem dramatycznych wydarzeń w Afganistanie, Pekinie (Tiananmen), Czeczenii, Srebrenicy. Korespondentka Kanadyjskiej Telewizji Państwowej w Moskwie i Paryżu. Autorka autobiograficznej książki „Ruszę na podbój świata" (dwa wydania w Kanadzie), laureatka wielu nagród dziennikarskich i Doktoratu Honoris Causa Uniwersytetu w Ottawie. Mama dwojga dzieci.

ALEKSANDER PERSKI

(1947) - jeden z liderów protestów Marca 1968. Aresztowany i więziony przez pół roku bez procesu. W 1969 r. wyemigrował do Szwecji. Ukończył psychologię, obronił doktorat na Uniwersytecie w Uppsali. W 1999 r. założył Stressmottagningen, pierwszą w Szwecji klinikę badania i leczenia chorób stresowych, kierował nią przez 20 lat. Autor 60 publikacji naukowych i książek popularnonaukowych, m.in. „Nie musisz być najlepsza: jak nie wpaść w pułapkę perfekcjonizmu, uniknąć stresu i wypalenia (wspólnie z Joanną Rose, 2010), „Stres. Złap oddech i odzyskaj życiową równowagę" (2025). Ojciec czworga dzieci.

e-prasa.pl cce6ce74a6

Z **ALEXANDRĄ SZACKĄ** I **ALEKSANDREM PERSKIM**
ROZMAWIA **PIOTR PACEWICZ**
ZDJĘCIA **DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL**

Olek Perski (lat 79), w czarnym kapeluszu i wciętej w pasie krótkiej kurtce, oraz Ola Szacka (lat 73) w szerokim czerwonym płaszczu, z sesji fotograficznej na warszawskiej ulicy wracają rozbawieni. Kładę przed nimi dwie zakryte karty: damę i króla. Ola wyciąga króla, więc pierwszy mówi on.
OLEK: Zaczęło się tak, że Oleńka zadzwoniła do mnie, bo szukała dla kogoś terapeuty. Dałem jej serię nazwisk. To było 12 lat temu. Mówiła potem, że mój głos się jej spodobał.
OLA: Masz piękny głos. Zapamiętałam go.

Byłaś już singielką?
OLA: O tak, byłam singielką przez 16 lat.

NAD ZATOKĄ NEAPOLITAŃSKĄ

OLEK: Dwa lata później Oleńka pojawiła się na naszym grupowym chodzeniu, tym razem w Bretanii. Mamy międzynarodową grupę przyjaciół, która raz do roku przez tydzień wędruje. Oleńka miała urodziny. Strasznie lało i zrobiły jej się takie ładne loczki, ale ona nie lubi kręconych włosów. Przynieśliśmy jej róże.
OLA: Byłam korespondentką kanadyjskiej telewizji, wcześniej w Moskwie, wtedy w Paryżu. Musiałam przerwać te wakacje w Bretanii, bo Brytyjczycy przegłosowali brexit i zadzwonili z redakcji, żebym leciała do Londynu.

A ty już byłeś po rozstaniu z Kerstin? Wyjaśnijmy – drugą żoną, Szwedką, z którą masz dwoje dzieci.
OLEK: Nie, byłem w dalszym ciągu żonaty, ale już bardzo nieszczęśliwy w małżeństwie.
OLA: Dużo rozmawialiśmy i Olek mi się spodobał, ale uznałam, że nie warto. Żonaty mężczyzna to nie dla mnie.
OLEK: W kolejnym roku wędrowaliśmy po Wybrzeżu Amalfitańskim. Trzeba było przejść przez wysoką przełęcz, a Oleńka ma lęk wysokości. Zaoferowałem, że z nią wrócę. Chyba wykorzystałem sytuację.
OLA: Pierwszego wieczoru Olek powiedział mi, że rozszedł się z żoną i w Luce mieszka już sam. Pomyślałam: okey?
OLEK: Nad Amalfi jest Ravello, z widokiem na Zatokę Neapolitańską. Odbywał się tam koncert muzyki kameralnej, pojechaliśmy na górę autobusem, już tylko we dwoje.
OLA: Każda by się tam zakochała.

Olku, co cię tak w Oli ujęło?
OLEK: Ola jest piękna cała. Ale coś jeszcze. Spędziliśmy życie z ludźmi z innych kultur, szwedzkiej, trochę amerykańskiej, kanadyjskiej, francuskiej. I kiedy się spotkaliśmy, to odkryliśmy, ile mamy wspólnego, podobne życiorysy, wspólny język. Poczułem, jakbym wracał do domu.

Oprócz przyciągania między mężczyzną i kobietą to była właśnie atrakcja powrotu do korzeni. Bo gdzie jest ta nasza ojczyzna? Dla mnie Szwecja nigdy nie była ojczyzną.

Choć jesteś tam znaną postacią jako założyciel Kliniki Stresu, autor książek, podcastów.
OLEK: Doszliśmy do wniosku, że naszą ojczyzną jest język polski. Nie jest nią Polska, bo obecnej Polski w zasadzie nie znamy. Nasze bycie w różnych kulturach, praca reporterska Oleńki dosłownie po całym świecie, to było fantastyczne, kiedy człowiek był młodszy. Ale teraz, kiedy dochodzimy do dojrzałego wieku, odpoczywamy w polszczyźnie.

Twoje dzieci i wnuki nie mówią po polsku.
OLEK: Nie. Jeden z synów mówił po polsku biegle w wieku trzech lat, ale potem zmieniał języki.
OLA: Mój syn mówił po polsku, bo miał nianię z Polski. Ale zapomniał.
OLEK: Posłałem syna do Krakowa na kurs polskiego, ale jedyne, czego się nauczyli z kolegą, to „pije Kuba do Jakuba", bo tak spędzali czas.
OLA: Masz swój język, ale w nim nie żyjesz. Najbliżsi ci ludzie, własne dzieci, nie rozumieją, jak śpiewasz Demarczyk.
OLEK: (śpiewa): „Masz takie oczy zielone..."
OLA (śpiewa): „Dla ciebie mały ogrodnik..." Jaki był tytuł tej piosenki? Poza językiem łączyło nas to wykorzenienie w 1968 roku. Rodzice wyrwali mnie z Polski w wieku 15 lat, to były najtrudniejsze chwile mojego życia.

Zanim cofniemy się do 1968 roku, chciałbym jeszcze o miłości AD 2017.
OLA: Chcesz wiedzieć, kiedy się pocałowaliśmy po raz pierwszy?
OLEK: W drodze z Ravello.
OLA: Nie, w hotelu po powrocie z Ravello. Nie było warunków na więcej, bo Olek dzielił pokój z moim kuzynem, a ja z inną panią. Już wcześniej zaplanowałam, że z Amalfii pojadę do Luki.

Czekaj. Przecież...
OLA: Może byłam bardziej perfidna niż on? Bo rzeczywiście, planując pobyt w Luce, nie wiedziałam, że Olek się rozwodzi, ale zaczęłam spisywać swoje wspomnienia i postanowiłam, że popracuję nad książką we Włoszech.

Mowa o „Je ferrai la tour du monde", reporterskiej autobiografii, która miała już dwa wydania w Kanadzie[1].
OLA: A jak we Włoszech, to gdzie? W Luce kogoś znam, to wynajęłam mieszkanie w Luce. Nie wiadomo, co się zdarzy, i akurat się zdarzyło. Więc mieszkaliśmy w Luce, każde u siebie, ale spotykaliśmy się. Potem przyjechały na moje urodziny dzieci.
OLEK: Ukrywałaś się.
OLA: Bo to było takie... no, dopiero się zdarzyło.

STAROŚĆ, MIŁOŚĆ

„Jeśli starzy ludzie mają te same pragnienia, te same uczucia, te same zamierzenia co młodzi, to wywołuje to obu-

eprasa.pl cce6ce74a6

rzenie. U nich miłość czy zazdrość wydają się wstrętne i śmieszne, seksualność odpychająca, a gwałtowność żałosna" – pisała Simone de Beauvoir.
OLA: „La Vieillesse" to książka sprzed pół wieku [z 1970 roku – red.]. Dzisiaj starzy domagają się tych samych co młodzi praw do seksualności, do takiej samej miłości.
OLEK: Zdarza się, że ktoś nam gratuluje.
OLA: W Luce, w Londynie, nawet w Tokio podchodzą obcy ludzie, gdy trzymamy się za rękę czy całujemy, i mówią, że jesteśmy taką piękną parą.
OLEK: Może dla młodego człowieka to nadal wygląda dziwnie? Bo jak my byliśmy młodzi, to się krępowaliśmy, gdy rodzice okazywali sobie czułość.
OLA: Nie, to się zmieniło. Syn mi niedawno powiedział, że „sobie, mamo, nie wyobrażasz, jak się cieszę i wszystkim opowiadam, że w wieku sześćdziesięciu paru lat spotkałaś miłość i że to jest możliwe, a poza tym, że Olek się tobą zajmuje, a ja nie muszę". Nie zauważyłam takiej reakcji, że nasza czułość to coś sprośnego czy niestosownego.

Każde z was kochało kilka razy. Czy każda miłość jest inna? Czy kochając różne osoby, byliście za każdym razem kimś innym? Brzmi jak głupie pytanie, ale nie jest.
OLA: Myślę, że jesteśmy zawsze tym samym człowiekiem, ale każde z nas jest wielowymiarowe. I w takich miłościach pełnych, szczęśliwych, możemy więcej tych swoich stron odkryć. Ale czasem spotkasz kogoś, kto nie do końca ci odpowiada, a jednak się zakochujesz i potem się okazuje, że wielu swoich oblicz nie możesz pokazać.

Mamy w sobie gotowość do pełnej miłości, tylko trzeba mieć szczęście znaleźć odpowiednią osobę.

Poza tym są epoki w życiu. Pracujesz, robisz karierę, masz małe dzieci, potem nastoletnie, latasz po świecie. Dla partnera masz mało czasu. My z Olkiem dojrzewaliśmy do naszej miłości. Spędzamy ze sobą dużo czasu, czasem może za dużo, czasem działamy sobie na nerwy.

Olek miał inne życie, ale moje historie miłosne były nie do końca ciekawe, to znaczy ciekawe były, bo z pierwszym mężem miałam dzieci, a drugi był intelektualnie fascynujący, ale cały czas byłam niedopełniona. A miłość, którą mam z Olkiem, chociaż są problemy, jest full feeling. Po polsku „wypełniająca"?

Spełniona.
OLEK: Ładne słowo.
OLA: Często mówimy, szkoda, żeśmy się nie spotkali 20 lat wcześniej. Żałujemy czasu, którego już nie będzie.
OLEK: Lubię się zakochiwać. Ale zakochiwanie to wariactwo, choroba, na którą nasz mózg zapada i przestaje być normalny. To mi się mi zdarzyło parę razy w życiu. Raz nawet z Kerstin udało się z zakochania stworzyć miłość, która trwała 20 lat.

Już myślałem, że więcej zakochań nie będzie. Nagle spotkałem Oleńkę i zdarzyła się miłość dorosła. Żyjemy w czasach zachwytu nad miłością romantyczną, w literaturze, w filmie, ale ona musi przejść w miłość codzienną, życiową, w której jest też partnerstwo, przyjaźń, zaufanie. Zakochanie to całkowita koncentracja na drugiej osobie, jej wyidealizowanym obrazie, który nasz mózg tworzy w pośpiechu i podnieceniu. Odkryto, że odpowiada za tzw. brzuszny obszar nakrywkowy w śródmózgowiu, który wytwarza dopaminę, a przez to nagrodę. Ten stan rozkosznego szoku może prowadzić na manowce, bo w miłość muszą zaangażować się dwie inne struktury: jedna odpowiada za popęd seksualny, a druga za przywiązanie.

Świadoma miłość pojawia się, gdy zaangażowany jest cały mózg, nie daje się porwać emocjom, potrafi nimi kierować w celu zbudowania pełnego związku. Opiera się na tym, co robimy, a nie na tym, co mówimy, a potrzeby i pragnienia partnera stają się tak ważne jak własne. My to mamy i jestem szczęśliwy. Jest trochę zgrzytów, ale...
OLA: Poprzednie doświadczenia gdzieś tam w nas siedzą.

POWRÓT TATY

Co w tobie siedzi?
OLEK: Twój tata?

OLA: Tata rozszedł się z mamą, jak byłam malutka. Miałam ojczyma, który mnie wychowywał i był mi dobrym ojcem, ale mój własny tata mało się mną interesował. I kiedy wyrzucam Olkowi, że nie zwraca na mnie uwagi, tylko sobie leży pod tym swoim drzewem pomarańczowym i czyta, to są to pewnie pretensje do taty. Odzywa się poczucie, że jestem nie dość ważna. Ale wracając do tego, co Olek powiedział, to nie było takie zakochanie jak wtedy, gdy masz 20 czy 30 lat. Na początku się nawet przejmowałam, że to było zbyt...

Gładko poszło, tak?
OLA: Nie, że było takie...

Racjonalne, wyrachowane?
OLA: Nie, nie wyrachowane, tylko takie...

Że nie było w tym szaleństwa?
OLA: Tak, było mało szaleństwa. Ta miłość dopiero się rozwinęła w ciągu roku, dwóch. Może to kwestia wieku? Może Olek nie chciał się wdawać w coś takiego, bo te jego zwariowane miłości kończyły się cierpieniem? Trochę mi przeszkadzało, że jest taki racjonalny.

Często mówimy: Szkoda, żeśmy się nie spotkali 20 lat wcześniej. *Żałujemy czasu, którego już nie będzie*

eprasa.pl cce6ce74a6

Pan profesor?
OLA: (śmiech): Na początek dzisiejszego wykładu opowiem państwu o dojrzałej miłości.
OLEK: Skrzywienie zawodowe, strasznie dużo się nawykładałem.

ROMEO I JULIA W SZPINDLEROWYM MŁYNIE

Olek wyjeżdżał w 1968 roku jako jeden z przywódców studenckich protestów, po pół roku więzienia, wyrzucony z Polski buntownik.
OLEK: Podczas przesłuchań chcieli za wszelką cenę wytropić tajną, syjonistyczną organizację, podsuwali do podpisania zeznania. Niespecjalnie im się udało.
OLA: Ja byłam po prostu ofiarą. Opuszczamy Polskę, która – jak mi tłumaczono – nie chce nas, bo jesteśmy Żydami. Żydami? Ledwie rozumiałam, co to znaczy. Oczywiście duża część rodziny zginęła w warszawskim getcie i w obozie zagłady w Treblince, ale to było dawno. Dlaczego miałabym rozstać się z moim krajem, z przyjaciółmi? Czekałam na jakiś cud, na przebudzenie z tego złego snu.

Tracisz na zawsze pierwszą miłość, 17-letniego Zbyszka.
OLA:: Nie, nie na zawsze. Piszemy do siebie setki listów. Latem 1970 roku z paszportem bezpaństwowca jadę do ojca do Berlina Zachodniego. Wpadam na pomysł spotkania ze Zbyszkiem w Czechosłowacji. Ogladam mapę i wysyłam telegram: „6 sierpnia pod kościołem w Szpindlerowym Młynie". No bo chyba jest tam jakiś kościół? Jest! Ze ściśniętym gardłem otwieram ciężkie drzwi. Kościół jest pusty. Po kilku godzinach wracam do hoteliku. Budzi mnie Zbyszek z bukietem polnych kwiatów.

On jest kimś więcej niż moją miłością. Symbolizuje kraj, z którego zostałam wykorzeniona. Życie, które miało być moim, wśród przyjaciół bliskich jak rodzina, mówiących językiem, w którym mogę wyrazić wszystko. W Szpindlerowym Młynie spędzamy cztery dni i noce, popołudnia mylą się nam z porankami. Nie potrafimy się rozstać. Zbyszek postanawia jechać ze mną do Pragi; po moim odjeździe, zapłakanego, zatrzymuje go na peronie milicja. Spędza noc w areszcie.

Romeo i Julia. To jest twój ideał romantycznej miłości, wzorzec do oceny związków? Jeszcze nosisz zdjęcie Zbyszka w porfelu?
OLA: Nie, już nie. Ale równie ważny był mój powrót do Berlina. Leżę w wykrochmalonej pościeli i wsłuchuję się w stukot kół. Tęsknię za jego objęciami, ale zaczynam sobie uświadamiać, że nie spędzę życia w Polsce. Po co wracać do kraju, w którym ludzie nie mogą podróżować, pracować i żyć, jak im się podoba? Kiedy pociąg wjeżdża do Berlina, już wiem, że nie jestem skazana na tęsknotę, że mogę stawiać czoła przeciwnościom losu, że będę przekraczać granice.

ŻYDZI, POLACY, PAPIEŻ

Krążąc wokół waszej tożsamości, zapytam o polskość i żydowskość.
OLA: Był w latach 70. artykuł historyczki Krystyny Kersten z pytaniem, dlaczego można być Amerykaninem i Żydem,



a nie można być Polakiem i Żydem. Po wyjeździe przestałam się ukrywać i teraz przedstawiam się, że jestem z Polski, ale jestem Żydówką. Jest to tym łatwiejsze, że nie jestem wierząca. Raz na jakiś czas zapalamy świece szabasowe. To jest zadanie dla kobiety, ale jeszcze się nie nauczyłam tego tekstu po hebrajsku. Olek zna już kilka modlitw.

Czyli próbujecie się zadomowić w żydowskiej kulturze?
OLEK: To także nas łączy, że doszliśmy do bycia Żydami późno. Żyjąc w Polsce, nie byliśmy Żydami w ogóle, a choć obie moje żony mówiły po hebrajsku, ja dopiero jako postdoc w Uniwersytecie Baltimore zrozumiałem, że jestem do pewnego stopnia częścią żydowskiej społeczności, kultury, zwyczajów.
OLA: Francuski filozof Alain Filkienkraut, z rodziny polskich Żydów, którego ojciec przeżył Auschwitz, w książce „Un juif imaginaire"...

„Żyd z urojenia", książka z 1981 roku wciąż nieprzetłumaczona na polski.
...mówi, że rósł w cieniu Holocaustu. Dla nas także żydostwo to była na początku śmierć, Treblinka, getto. Poza tym pustka, żadnych treści kultury. Trochę to nadrabiamy.
OLEK: Moi rodzice spędzili wojnę na Wschodzie. Ojciec był w armii sowieckiej, potem polskiej, matka uciekła przed Niemcami aż do Uzbekistanu. Wrócili jako komuniści. Niedawno znalazłem informację, że major Aleksander Weiswalter w 1947 roku przestał być przewodniczącym Komitetu Obrony Żydów w Toruniu. Ojciec był tam w Akademii Artylerii, przenosili go z garnizonu do garnizonu. Na żądanie przełożonych wziął nazwisko Perski swojej żony.
OLA: Moja babcia wychowywała się jeszcze w jidysz, ale z mężem i córką mówiła już tylko po polsku. Uciekając przed Niemcami, znalazła się w Wilnie i posłała moją mamę i jej

eprasa.pl cce6ce74a6

kuzynkę do żydowskiej szkoły. Dziewczynki się buntowały, że nie chcą mówić po żydowsku. Jak Niemcy weszli do Wilna, uciekli także do Uzbekistanu. Splatają się z Olkiem te nasze biografie.

OLEK: Niektórzy koledzy z emigracji 1968 uważają się za Żydów, inni za polskich Żydów. Ja się przedstawiam jako Żyd z Polski.

Emigracja otworzyła wam szanse na wspaniałe kariery, ale niechęć do Polski pozostała?

OLA: Może u Olka, u mnie to była raczej zraniona miłość. Uleczył mnie Jan Paweł II.

Jak to?

OLA: W 2005 roku pojechałam do Krakowa robić reportaż po śmierci Karola Wojtyły. Szykując się, przeczytałam, że jako pierwszy papież był w Synagodze Wielkiej w Rzymie [w 1986 roku], że nazwał Żydów starszymi braćmi w wierze, że miał kolegów Żydów. I to połączyło mi się z wezwaniem „Nie lękajcie się".

Które dotyczyło niezależności od państwa komunistycznego i jego ideologii.

OLA: Może bez związku z intencjami papieża, ale wszystko mi jedno, dla mnie to znaczyło: „Nie lękaj się, nie wstydź się, ta ziemia, która jest moja, jest także twoja. Należysz do tego kraju tak samo jak ja". To było odreagowanie, ulga.

CO WY ROBICIE W TEJ LUCE

Simone de Beauvoir pisze, że nasze wewnętrzne Ja się nie starzeje.

OLEK: Tak, absolutnie.

OLA: Sto procent.

OLEK: Głos też się nie starzeje. Ciało niestety tak.

OLA: Jak zaczynasz nowy związek, to warunki dla tego „młodego Ja" są jeszcze lepsze, bo chcesz się podobać, jesteś podekscytowana.

Tak sobie siedzicie w tej Luce, trochę starzy, w środku młodzi. I co robicie całymi dniami?

OLA: Olek masę czyta, chodzi na aperitify ze znajomymi Włochami, ale też Japończykami, Francuzami, bo do Luki zjeżdża cały świat. Rozmawia z przyjaciółmi mieszkającymi na całym świecie. Z Jankiem Grossem, przyjacielem z dzieciństwa [historyk, autor głośnych „Sąsiadów" o pogromie Żydów w Jedwabnem], dzwonią do siebie co tydzień. Olek kultywuje przyjaźnie, co rzadkie wśród mężczyzn. Napisał nową książkę[2]. Dlaczego to ja mówię o tobie?

OLEK: Nie wiem, ale to przyjemne.

OLA: Olek lubi robić zdjęcia i ciągle je edytuje, drukuje, robi albumy.

OLEK: Mamy dwa kluby filmowe, są koncerty. Jeździmy na plażę.

OLA: Mam jeszcze dwie radiowe audycje w tygodniu. Wcześniej o Europie, teraz także o tym, do dzieje się w Iranie, na

OGŁOSZENIE



Zadbaj o bezpieczeństwo i chroń się przed RSV.

RSV występuje w dwóch typach: A i B. Oba mogą być dla ciebie groźne: odporność po zarażeniu jednym typem RSV jest niepełna i nie chroni w pełni przed drugim.[1,2]

Zaszczep się już dziś!

Masz 60 lat lub więcej? Porozmawiaj z lekarzem, farmaceutą lub pielęgniarką o dwóch typach RSV i sprawdź możliwość darmowych szczepień.[3]

Dowiedz się więcej na www.szczepieniersv.pl

RSV - syncytialny wirus oddechowy.
Referencje: 1. Cantú-Flores K, et al. Pathog Glob Health. 2022;116(7):398-409. 2. Nuttens C, et al. Infect Dis Ther. 2024;13(8):1725-1742. 3. Komunikat Głównego Inspektora Sanitarnego z dnia 31 października 2025 r. w sprawie Programu Szczepień Ochronnych na rok 2026 (DZ. URZ. Min. Zdr. 2025.85. Ogłoszony: 31.10.2025).

Pfizer Polska Sp. z o.o. ul. Żwirki i Wigury 16B, 02-092 Warszawa, Kapitał zakładowy 33.860.000 zł. KRS 0000022310 Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy. NIP 5213115586. BDO 000189470.

PP-UNP-POL-0499

eprasa.pl cce6ce74a6

Bliskim Wschodzie, w Ukrainie. Czytam prasę w wielu językach. Mamy duży ogród, więc się nim zajmuję. Podróżujemy po świecie. Po Luce chodzimy na kilkukilometrowe marsze.

SPECJALIŚCI OD STRESU

Oboje jesteście specjalistami od stresu.
OLEK: Ona jest najgorszą pacjentką, jaką miałem. Nie potrafi odpoczywać, znaleźć czasu na „złapanie oddechu", aby zapobiec przeciążeniu organizmu.
OLA: Tak, mam w stresie dużą praktykę. Ale w tym zawodzie bez stresu się nie da.

Zawsze cię ciągnęło do sytuacji ryzykownych. To jedna z tajemnic twego dorobku dziennikarskiego.
OLA: Dalej mnie ciągnie. Dostałam zgodę na materiał o Chinach akurat, gdy doszło do masakry na Placu Tiananmen [1989]. W Afganistanie podczas jednej z wypraw samochód obstawy jadący tuż za naszym wyleciał w powietrze, a kolejność miała być odwrotna. Byłam chyba jedyną dziennikarką, której Ramzan Kadyrow pokazał w Czeczenii swoją rezydencję z prywatnym zoo i wielką czarną panterą, która wyszła z klatki, aby go powitać. Widzialam początek Arabskiej Wiosny w Tunezji [2011], byłam na Euromajdanie, gdy Janukowycz uciekał do Rosji [2014], weszłam do jego „Małego Wersalu" ze złoconymi kranami i imitacją greckich ruin w 140-hektarowym parku. Widzialam, jak wojsko rosyjskie atakuje Gruzję w Abchazji [w 2008 roku]. Zrobiłam głośny materiał w Srebrenicy, dokąd pojechałam z Bośniaczką, która straciła syna w masakrze, a razem ze mną odwiedziła serbską sąsiadkę.

We wrześniu 1980 roku byłaś w Gdańsku, widziałaś Lecha Wałęsę.
OLA: Jeszcze nie jako dziennikarka. Po powrocie do Kanady napisałam tekst o rewolucji „Solidarności", przyjęli go w dzienniku „Le Solei", to był mój debiut.

W którymś momencie trzeba było kończyć z wyjazdami. W Afganistanie przez kilka tygodni ledwie co spałam, tak było zimno w namiocie. Tam też żegnałam się z życiem, gdy w samolocie wysiadły oba silniki, ale zdołał doszybować do lotniska. Ale chyba najbardziej się bałam w czasie reportażu o boliwijskich producentach koki w Andach, gdy auto ślizgało się po drodze nad przepaściami.

Moja autobiografia to właściwie przygodowa książka.

Ale w tym zawodzie jest jeszcze coś. Spojrzenia tych wszystkich ludzi, ofiar represji, wojen, nędzy, kiedy na widok kamery rozpacz zmienia się w nadzieję. Spojrzenia jak krzyk: „Teraz świat się dowie, że istnieję i cierpię". Nasz zawód jest służbą społeczną, żeby mówić o nich światu.

OLEK: Czasem udawało ci się kogoś uratować. Aresztowanego chłopaka w Czeczenii wypuścił Kadyrow, żonie lidera protestów na Tiananmen pomogłaś dostać się do ambasady Kanady.
OLA: Miałabym ochotę opowiedzieć, co naprawdę dzieje się w Izraelu, Libanie, i teraz w Iranie. W Teheranie byłam na sfałszowanych wyborach w 2009 roku, po których wybuchła tzw. Zielona Rewolucja i abbasydzi zaczęli strzelać do demonstrantów. Jakaś dziewczyna wcisnęła mi do ręki kartkę z napisem, pamiętam, że różowym atramentem, że my się nie zgadzamy z tym, co się u nas dzieje.

Chciałabym tam wszędzie być, ale byłam zmęczona. Olek mówi, że byłam tak wykończona, że tylko odpoczynek w Luce mógł mnie uratować.

Mój kolega w Ukrainie, dziennikarz Taras Ibrahimov, mówi o war life balance, ale nie wyobraża sobie życia bez swoich odważnych do szaleństwa reportaży.
OLA: Gdyby ktoś mi powiedział, że mnie wysyła na Ukrainę, to jutro bym była w drodze. Tylko nie wiem, czy dałabym radę. Telewizja wymaga ciągłych update'ów, a oprócz reportażu musisz dziś pisać na stronę, wrzucać teksty i filmiki na X i Instagram.

Już myślałem, że więcej zakochań nie będzie.
Nagle spotkałem Oleńkę i zdarzyła się miłość dorosła

Powiedziałeś, Olku, że to najgorsza pacjentka.
OLA: On mi każe spokojnie oddychać, spać.
OLEK: Odłożyć telefon.
OLA: On zasypia, ja jeszcze czytam wiadomości.
OLEK: Chodzi o to, żeby się tak nie przejmować tymi sprawami, pogodzić się z tym, co jest. Spojrzeć na swoje życie ze zrozumieniem, spokojem i życzliwością. Unikać pułapki perfekcjonizmu.

„Żyjemy w poczuciu, że czas jest jak strzała pędząca ku przyszłości i wymykająca się nam z rąk. Ale teraz, kiedy dochodzę do poważnego wieku, zdaję sobie sprawę, że życie jest długie i jest czas na wszystko, co chcemy zrobić". Tak piszesz.
OLA: Nie, to ci się nie uda. Mój stres codzienny jest spowodowany tym, że nic się tutaj w Luce nie dzieje godnego uwagi, brakuje mi tego, co mi w każdej chwili ucieka, gdzieś na świecie.

CO SIĘ DZIEJE Z TYM ŚWIATEM?

Na waszych oczach działa się historia XX i XXI wieku. Mamy dziś świat Trumpa, Putina, Netanjahu.
OLEK: Mnie przeraża coś głębszego: zmiany klimatyczne. Ignorujemy je, pędzimy do przodu, kosztem życia naszych dzieci, wnuków, prawnuków. Oczywiście wojny są straszne, dyktatorzy robią głupie i okrutne rzeczy, ale to część historii, która pójdzie dalej. Ale my rozwalamy planetę!

eprasa.pl cce6ce74a6

OLA: Upadek Orbana na Węgrzech daje otuchę, że nastąpi korekta polityki także w Stanach, Izraelu i w innych krajach, gdzie oszołomy doszły do władzy. Najtrudniej będzie w Rosji, gdzie reżim jest najszczelniejszy i najokrutniejszy. Pamiętam jak zastrzelili Niemcowa [w 2015 roku], z którym zrobiłam nie wiem ile wywiadów.

Netanjahu to bolesna historia dla takich Żydów jak wy.
OLA: Chyba nie tylko dla Żydów? Najgorsze jest to, że Netanjahu staje się synonimem Izraela. Ludzie mówią, że Trump straszny, ale nikt nie powie, że Ameryka nie powinna istnieć. A wielu ludzi uważa, że Izrael powinien zniknąć. A przecież powstał jako ojczyzna Żydów, którzy przeżyli Holocaust.
OLEK: Ale Izrael się zmieni, bo w końcu jest tam demokracja.
OLA: Może resztki demokracji pozwolą zatrzymać to błędne koło. Ale jak się patrzy na to, co dzieje się na Ziemiach Okupowanych. Bo gdy Hezbollah strzela do Izraela i Izrael do Hezbollahu, to jeszcze można zrozumieć, ale jak przychodzą izraelscy rozbójnicy z nielegalnych osiedli i podpalają domy palestyńskie, to jest nie do pojęcia.

Czy masz jeszcze, Olku, zegarek, który odziedziczyłeś po ojcu?
OLEK: Zegarek mam, tak. Mój ojciec to był kawał chłopa, wojskowy, taki wataha.

Wataźka.
OLEK: Do niedzielnego obiadu wypijał szklankę wódki. Ale w wieku 39 lat dostał białaczki. I wtedy mi się zamarzyło, że dostanę po tatusiu zegarek, bo był taki ładny. I jak on umarł, to uznałem, że to moja wina, bo chciałem ten zegarek. Nie mam z ojcem ani jednego wspomnienia, poza pogrzebem na Powązkach, gdzie strzelają nad trumną.

Poczucie winy za śmierć ojca sprawiło, że zapragnąłem pomagać ludziom w sytuacjach zagrożenia życia. I jako psycholog, oprócz zajęć naukowych, pracowałem w klinikach chorób serca, pomagałem ludziom przeżyć te zawały, bo zabijała ich nie choroba kardiologiczna, ale stres, który wywoływała. I zacząłem się w ogóle zajmować somatopsychiką, czyli tym, jakie problemy robi mózgowi nasze chorujące ciało. Z tego powstała moja Klinika Stresu.

Czy myślisz, że twoje umiejętności pozwolą wam uniknąć śmierci?
OLEK: Do Luki śmierć nie pasuje. A jeśli już, to można tu umrzeć w przyjemnych okolicznościach. ▲

[1] Korzystam z tej książki przy zadawaniu pytań
[2] „Co wcześniej powinienem był wiedzieć o dobrym i zdrowym życiu" – niewydany jeszcze tekst Aleksandra Perskiego, z którego także korzystam

OGŁOSZENIE



eprasa.pl cce6ce74a0



Buntowniczka z *Seattle*

Hollywood to cyrk, w którym kobieta nie ma prawa myśleć. Jeśli chcesz być wolna, stajesz się zagrożeniem – twierdziła Frances Farmer. Kilka formalności wystarczyło, by jej silną osobowość zamienić w diagnozę. Usiłowano złamać ją metodami, o których brutalności do dziś krążą legendy

TEKST **ROKSANA PAMUŁA**

Nie zdążyła nawet założyć szlafroka, gdy do pokoju hotelu Knickerbocker, w którym mieszkała od rozstania z mężem, wtargnęli policjanci. Poprzedniego dnia na planie poszarpała się z fryzjerką, łamiąc zasady wyroku, który przed kilkoma miesiącami dostała za prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu i napad na funkcjonariusza. Tym razem też nie obyło się bez walki. Ruchy owładniętej furią Frances skrępowali więc prześcieradłem, a następnie siłą zaprowadzili ją do radiowozu. Prasa nie przepuściła takiej okazji i kilka godzin później z pierwszych stron gazet krzyczały nagłówki o „upadku hollywoodzkiej gwiazdy".

Rankiem, po nieprzespanej nocy spędzonej w areszcie, została odprowadzona do sądu, w którym rozpoczął się proces w sprawie orzeczenia jej niepoczytalności. Przesłanki? Było ich kilka, ale nie chodziło o problemy z alkoholem i narkotykami. Miała opinię rozchwianej emocjonalnie, nerwowej i czasem agresywnej, ale największym „przewinieniem" Frances było posiadanie własnego zdania. Jej odwaga i asertywność stały się solą w oku dyrektorów studia Paramount, których wizji coraz śmielej się sprzeciwiała. Bardziej niż filmowy blichtr ceniła sobie bowiem niezależność, a przy tym była zbyt dumna i ambitna, by pozwolić wcisnąć się w sztywne ramy.

Marzyła o wielkich scenach i graniu klasycznego repertuaru, przede wszystkim Czechowa, lecz nade wszystko pragnęła myśleć samodzielnie i móc decydować o sobie. Nie bała się zabierać głosu w dyskusjach o polityce, choć uważano, że jako kobieta kompletnie nie ma o niej pojęcia; krytykowała tych, którzy byli w hierarchii wyżej niż ona, kąśliwie odpowiadała na szowinistyczne uwagi i bezkompromisowo broniła swoich racji. W branży, w której za sznurki pociągali nieznoszący sprzeciwu mężczyźni, szybko przestała być tylko trudną we współpracy aktorką, a jej buntownicze podejście – przejawem silnej osobowości. Zamiast tego przyklejono jej łatkę niestabilnej emocjonalnie i niebezpiecznej, zarówno dla samej siebie, jak i dla otoczenia.

Gdy pod salą sądową pomiędzy tłumem gapiów dostrzegła matkę, wiedziała, że to nie wróży niczego dobrego. Frances nie musiała długo czekać, by jej najgorsze obawy zaczęły się urzeczywistniać. Lillian postanowiła ją ubezwłasnowolnić (oficjalnie po to, by nie trafiła do więzienia, ale tak naprawdę nie potrafiła zaakceptować, że straciła nad nią kontrolę), a sędzia, przy niemal jednogłośnym poparciu ławy przysięgłych, zatwierdził złożony przez nią wniosek. Decydujące było zeznanie psychiatry, który po krótkiej rozmowie określił aktorkę jako „wrogą, nieskorą do współpracy i wykazującą objawy psychozy". Tak, tylko tyle wystarczyło, by przypieczętować jej niepoczytalność i skierować jej życiową trajektorię prosto do szpitala psychiatrycznego. A w nim, jak wspominała, „zabrano jej wszystko, nawet prawo do bycia człowiekiem".

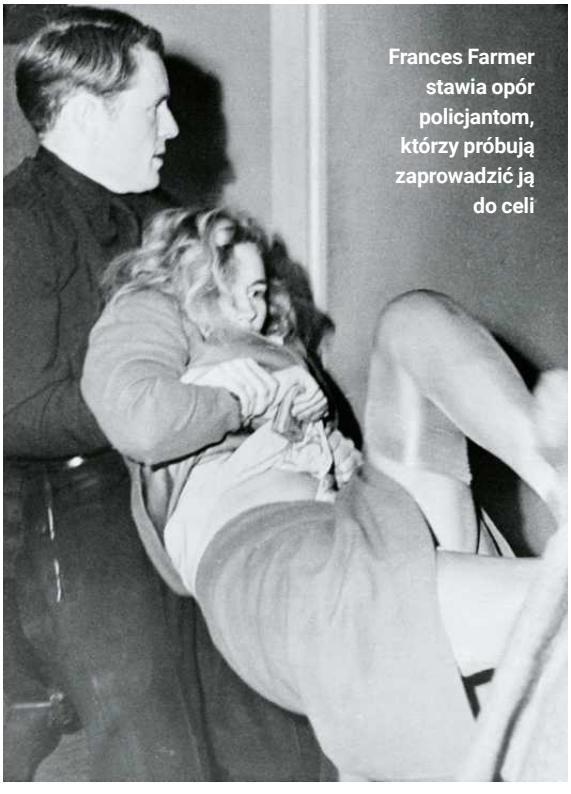
„OPĘTANA EKSCENTRYCZKA"

Na świat przyszła 19 września 1913 roku w Seattle jako Frances Elena Farmer, czwarte i zarazem najmłodsze dziecko Ernesta Melvina Farmera i Cory Lillian Van Ornum. Jej ojciec, wykształcony prawnik, był cichym człowiekiem o łagodnej naturze, w przeciwieństwie do swojej żony. Lillian dominowała w tej relacji, miała opinię charakternej i apodyktycznej, a przy tym wyznawała skrajnie prawicowe poglądy i była żądna rozgłosu. Niespełnione ambicje przelewała na ostatnie dziecko, usiłując kształtować córkę na swoją modłę. To właśnie po matce Frances odziedziczyła silną osobowość, dzięki której nie miała zahamowań w mówieniu tego, co myśli. Wyrosła na dziewczynę odważną, pewną siebie i bezkompromisową, mającą wiele wszechstronnych zainteresowań.

Pierwsze wzmianki o Frances pojawiły się w prasie krótko po jej 17. urodzinach. Sprawcą tego zamieszania był napisany przez nią esej „Bóg umarł", o ateizmie. Dzięki niemu wygrała konkurs literacki, zdobywając 100 dolarów i łatkę „opętanej ekscentryczki". Niespecjalnie się tym przejęła. Większego wrażenia nie zrobił też na niej skandal, jaki niespełna pięć lat później wybuchł na wieść o jej wycieczce do Moskwy, która była nagrodą za zwycięstwo w plebiscycie lewicowego dziennika „The Voice of Action".

– Zrobiono ze mnie polityczną potworzycę – wspominała. Lokalni politycy oskarżyli ją o promowanie komunizmu, potępiała ją nawet jej własna matka. – Radziecki sztylet ugodził prosto w serce Ameryki – grzmiała Lillian. Frances do ZSRR ostatecznie wyjechała, lecz nie miała w planach odkrywać specyfiki bolszewickiego systemu. Jej uwagę przykuł za to Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny, który na dobre rozpalił w niej pasję do aktorstwa i utwierdził w przekonaniu, że porzucenie studiów dziennikarskich na rzecz wydziału dramatycznego było słuszną decyzją.

Kiedy latem 1935 roku dopłynęła parowcem do Nowego Jorku, postanowiła wykorzystać tę okazję i nie wracać do Seattle. Dość szybko otworzyły się przed nią lepsze perspektywy rozwoju, głównie za sprawą zdjęć próbnych w wytwórni Paramount, podczas których zachwyciła nie tylko talentem, lecz także urodą i urokiem osobistym. Co prawda nie miała aspiracji, by zostać gwiazdą kina, ale wizja rozgłosu skłoniła ją do przyjęcia warunków 7-letniego kontraktu. Podpisała go w dniu swoich 22. urodzin, a kilka miesięcy później zadebiutowała na ekranie w filmie „Too Many Parents". Potem zagrała w „Border Flight" i choć na krytykach zrobiła olbrzymie wrażenie, przepustkę do Hollywood zagwarantował jej dopiero musical „Rhythm on the Range", w którym wystąpiła u boku Binga Crosby'ego. Swoją po-



Frances Farmer stawia opór policjantom, którzy próbują zaprowadzić ją do celi

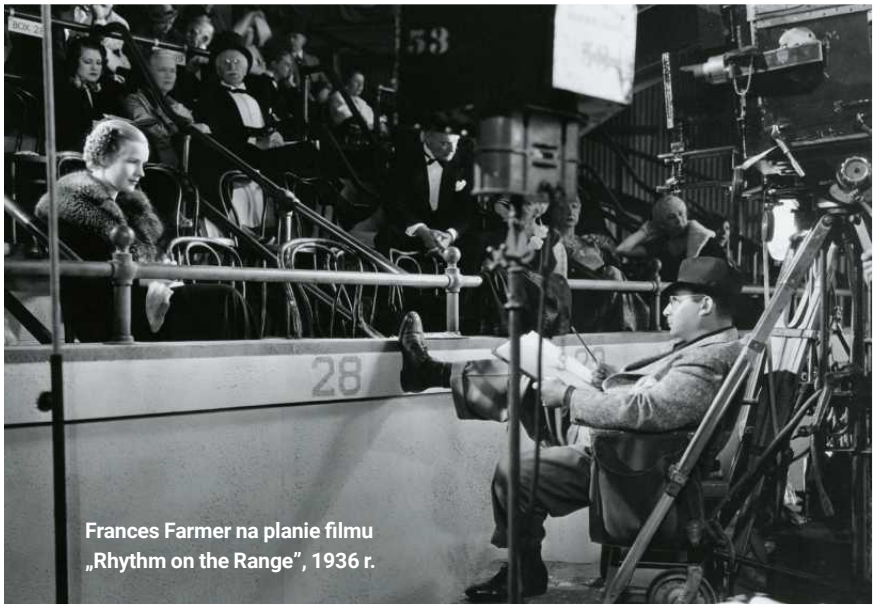
eprasa.pl cce6ce74a6



Lata 40.: Frances Farmer az mężem Leifem Ericksonem w Los Angeles



Frances Farmer po aresztowaniu



Frances Farmer na planie filmu „Rhythm on the Range", 1936 r.

zycję w branży ugruntowała podwójną rolą w „Prawie młodości", zdobywając ogólnokrajową rozpoznawalność i miano drugiej Grety Garbo. Magazyn „Time" okrzyknął ją nawet „odkryciem roku", a reżyser Howard Hawks, który mógł pochwalić się licznymi współpracami z największymi gwiazdami Złotej Ery, nazwał Frances najlepszą aktorką, jaką kiedykolwiek zatrudnił.

Błyskotliwa i prężnie rozwijająca się kariera okazała się jednak odwrotnie proporcjonalna do jej życia prywatnego. Zaczęło się od problemów w małżeństwie. Leif Erickson, którego poślubiła w 1936 roku, również był związany z branżą filmową, co nie było bez znaczenia dla ich relacji. Jeszcze przed ślubem zazdrość o jej sukcesy zaczęła brać górę nad jego uczuciami. Coraz częstsze kłótnie w końcu pchnęły aktorkę w ramiona Clifforda Odetsa, którego poznała, pracując przy broadwayowskiej sztuce „Golden Boy". Planowała, że się dla niego rozwiedzie, on zresztą obiecywał jej to samo, ale kiedy okazało się, że zaszła w ciążę, zmienił zdanie. Frances rozstanie przypłaciła załamaniem nerwowym, w trakcie którego zdecydowała się na aborcję. Podczas zabiegu doszło jednak do komplikacji, przez co straciła szansę na zostanie matką w przyszłości.

BEZ WYTCHNIENIA

Osobiste perturbacje, w tym rozwód, zbiegły się w czasie z kłopotami zawodowymi, zaczęto ją bowiem obsadzać w coraz mniej ambitnych rolach, które z reguły odrzucała. Jej postawa stała się przedmiotem krytyki ze strony szefostwa Paramount, które wielokrotnie wzywało ją na dywanik. Za jego zgodą na stany lękowe i depresję podawano Frances amfetaminę, od której szybko się uzależniła, ale za to mogła spędzić na planie 18 godzin bez ani jednej chwili wytchnienia. To wtedy zaczęła sobie uświadamiać, że nie chce być klasyczną glam-girl, niemającą prawa decydować o sobie. Im wyraźniej dostrzegała zakłamanie kryjące się za fasadą Fabryki Snów, tym jej bunt był większy. Wyrażała go rezygnacją z makijażu i podkreślających figurę ubrań, odmawiała udziału w sesjach zdjęciowych, reklamach i branżowych imprezach, i nie spoufalała się z dziennikarzami. Słowem, szła pod prąd, sprzeciwiając się dyktatowi wytwórni, który ograniczał jej artystyczne aspiracje. A że ówczesny system nie wybaczał kobietom, które chciały kroczyć własną ścieżką, przyszło jej ponieść tego konsekwencje.

Z „wielkiej gwiazdy Hollywood" niemal z dnia na dzień stała się „złą dziewczyną z zachodniego Seattle", choć ona sama niepokorność uznawała za swój największy atut. Broniła swojego zdania z zawziętością, nawet gdy jej „przeciwnikiem" w dyskusji był sam William Wyler, oscarowy re-

eprasa.pl cce6ce74a6

żyser, jeden z najważniejszych w latach 30. Dyrekcja Paramount usiłowała temperować jej zapędy, lecz Frances nie miała w zwyczaju podporządkowywać się innym. W kuluarach plotkowano, że zadziera nosa, że jest problematyczna i kapryśna, ale szczególnie na jej reputacji zaważyły wybryki pod wpływem alkoholu. Jesienią 1942 roku została zatrzymana w Santa Monica za prowadzenie samochodu pod jego wpływem i jazdę z włączonymi reflektorami w strefie zaciemnienia wojennego. Możliwe, że sprawa rozeszłaby się po kościach, gdyby nie to, że rzuciła się z pięściami na policjanta. W ramach kary otrzymała 180 dni więzienia w zawieszeniu i grzywnę, której finalnie nie zapłaciła. Kilka miesięcy później stanęła przed sądem ponownie, tym razem za pobicie fryzjerki na planie. Tak rozpoczął się największy koszmar w jej życiu.

Po tym, jak zdiagnozowano u Frances maniakalno-depresyjną psychozę (niektóre źródła podają schizofrenię paranoidalną), Lillian postanowiła umieścić ją w szpitalu psychiatrycznym Western State Hospital. – Moja córka jest niepoczytalna, nie potrafi nad sobą panować i stanowi zagrożenie dla siebie oraz swojego otoczenia. Wymaga całkowitego odosobnienia – przekonywała jej matka w sądzie. Dziś biografom trudno jednoznacznie orzec, czy Frances faktycznie była chora, czy może fakty zostały naciągnięte pod z góry założoną tezę. Nie ulega natomiast wątpliwości jej zachowanie, które podczas rozprawy budziło niepokój wszystkich zgromadzonych. Wdała się w bójkę ze strażnikami, wykrzykiwała obelgi pod adresem sędziego, aż w końcu rzuciła w niego kałamarzem.

ZATRZEĆ ŚLADY PO BUNCIE

Prawie dekada życia Frances rozpłynęła się w mroku kontrowersyjnych terapii, których celem było zatarcie wszelkich śladów po jej buncie. Była wprowadzana w śpiączki insulinowe, poddawana elektrowstrząsom i hydroterapii, czyli biczowaniu nagiego ciała lodowatą wodą. – Terapia wstrząsowa nie miała na celu wyleczenia. Miała na celu złamanie woli – przekonywała. – Byłam jak duch. Zabrano mi wszystko, nawet prawo do bycia człowiekiem – żaliła się. Z kolei z relacji zawartych w autobiograficznej książce „Will There Really Be a Morning?", którą dokończyła i wydała jej przyjaciółka, Jean Ratcliffe, wynika, że była poniżana, bita, a nawet zmuszana do zjadania własnych fekaliów i gwałcona.

„Szpital nie był miejscem leczenia, był miejscem kary za to, że nie pasowałam do norm" – pisała. Przez lata uważano również, że przeprowadzono u niej lobotomię – operację polegającą na przecięciu połączeń płata czołowego z korą mózgu. Tę legendę utrwaliły przede wszystkim książka „Shadowland" Williama Arnolda i film „Frances" z Jessicą Lange w głównej roli, przeczy jej jednak oficjalna dokumentacja. – W aktach medycznych Frances Farmer nie ma ani jednego śladu wskazującego na to, że kiedykolwiek przeprowadzono u niej lobotomię – oznajmił Jeffrey Kauffman, jeden z najważniejszych badaczy tragicznego życia aktorki. W końcu Arnold wyjawił (i to pod przysięgą), że



Aktorka w Nowym Jorku, przed premierą sztuki „The Chalk Garden"

ten i kilka innych wątków zmyślił. – Część faktów stanowiła moją własną interpretację i twórczą kreację – zadeklarował. Ratcliffe przyznała się do tego samego.

ZALEŻNA OD MATKI

Koszmar Frances trwał do 1950 roku, kiedy pozytywnie rozpatrzono jej wniosek o opuszczenie placówki. Nie odzyskała jednak całkowitej wolności, wciąż była prawnie zależna od matki. By wyrwać się spod jej kurateli, musiała udowodnić, że potrafi utrzymać się z pracy fizycznej. Zatrudniła się więc w pralni w Seattle, po przeprowadzce do Kalifornii została sekretarką w studiu fotograficznym, a następnie recepcjonistką hotelu w San Francisco. Dopiero po trzech latach dopięła swego i odzyskała prawo do samostanowienia. Sukces świętowała z przyjaciółką i Alfredem Lobleyem, którego w 1954 roku poślubiła. Ich związek uchodził za zgodny i w rzeczywistości taki też był, ale nie przetrwał próby czasu i po czterech latach przeszedł do historii. Jeszcze w tym samym roku Frances wyszła za mąż po raz trzeci i zarazem ostatni, tym razem za Lelanda Mikesella, promotora radiowo-telewizyjnego.

Za jego namową postanowiła reaktywować karierę, biorąc udział w programie „The Ed Sullivan Show", który okazał się punktem zwrotnym zarówno w jej życiu, jak i karierze. Po sukcesie odcinka z jej udziałem stacja zaproponowała, by poprowadziła własny format. Warunek był jeden – przeprowadzi się do Indianapolis. Zgodziła się, licząc, że w ten sposób odetnie przeszłość grubą kreską. W „Frances Farmer Presents" przeprowadzała wywiady z gwiazdami, zapowiadała emisje ciekawych produkcji, niektóre nawet recenzowała i ujawniała kulisy ich realizacji. W międzyczasie ponownie stanęła przed kamerą, występując w filmie „The Party Crashers", ale o powrocie do Hollywood mogła zapomnieć. Nie tylko dlatego, że nie było już tam dla niej miejsca, choć niewątpliwie był to jeden z powodów, ale po prostu nie chciała. Zbyt dobrze znała cenę, jaką musiałaby zapłacić za odbudowanie swojej pozycji. – Nie winię nikogo za to, co się stało. Musiałam po prostu dorosnąć i przestać być dzieckiem – mówiła.

W 1964 roku wróciła do nałogu. Gdy straciła posadę w telewizji, skupiła się na kameralnych występach, pisaniu autobiografii i prowadzeniu wraz z przyjaciółką firmy zajmującej się dekoracją wnętrz, co doprowadziło ją na skraj bankructwa. Sytuacji nie poprawiał też kiepski stan zdrowia Frances, pod koniec życia zdiagnozowano u niej bowiem nowotwór przełyku w zaawansowanym stadium. Zmarła po zaledwie kilku tygodniach leczenia, 1 sierpnia 1970 roku. W chwili śmierci miała niespełna 57 lat. ▲

FOT. JOHN KOBAL FOUNDATION/GETTY IMAGES; BETTMANN/GETTY IMAGES (2); ALLSTAR PICTURE LIBRARY LIMITED./ ALAMY STOCK PHOTO; WILLIAM GRIMES/MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTY IMAGES; JOHN SPRINGER COLLECTION/CORBIS/CORBIS VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl cce6ce74a6



Szkoła wolna od *smartfona*

Nie wszyscy rodzice byli zachwyceni pomysłem wprowadzenia zakazu używania telefonów w szkole. Niektórzy dzwonili z pretensjami do szkoły, zgłaszali sprawę do kuratorium, twierdzili, że to drastyczne posunięcie

eprasa.pl cce6ce74a6

TEKST **EWA JANKOWSKA**

Zakaz używania telefonów komórkowych w szkołach podstawowych nie zaskoczy wszystkich placówek. W części polskich szkół obowiązuje od lat, nie tylko podczas lekcji, ale również na przerwach.

Do tej pory przepisy pozostawiały szkołom dużą swobodę: to statut placówki określał zasady korzystania z telefonów. W praktyce niektóre szkoły wprowadzały całkowity zakaz, inne ograniczały korzystanie z telefonów wyłącznie do lekcji. Od 1 września wszystkie szkoły będą musiały wdrożyć rozwiązanie uniemożliwiające uczniom korzystanie z telefonów podczas całego pobytu na terenie szkoły. Rząd chce w ten sposób walczyć z uzależnieniem dzieci od telefonów oraz cyberprzemocą.

ZGŁASZALI SPRAWĘ DO KURATORIUM

W Szkole Podstawowej nr 58 im Tadeusza Gajcego w Warszawie zakaz korzystania z telefonów komórkowych obowiązuje od pięciu lat. Jak opowiada dyrektorka szkoły Wiesława Dziklińska, zmiana była konieczna.

– To, co działo się podczas przerw, bardzo niepokoiło kadrę pedagogiczną. Dzieci, zamiast ze sobą rozmawiać, bawić się, siedziały obok siebie z telefonami i komunikowały się, wysyłając sobie wiadomości. Podczas lekcji były rozproszone, miały trudności ze skupieniem się, a myślami były gdzie indziej, zapewne w telefonie – mówi Wiesława Dziklińska.

Decyzję poprzedziły rozmowy z radą rodziców i samorządem uczniowskim. – Nie wszyscy rodzice byli zachwyceni pomysłem wprowadzenia zakazu – przyznaje dyrektorka. – Dzwonili z pretensjami do szkoły, niektórzy zgłaszali sprawę do kuratorium, twierdząc, że zakaz jest zbyt drastycznym posunięciem, uniemożliwia rodzicom kontaktowanie się z dzieckiem, gdy przebywa ono w szkole. Niektórzy rodzice nie mają żadnych oporów przed dzwonieniem do dziecka podczas lekcji; bywa, że mają pretensje, że nie odbiera – opowiada. Padał też argument, że telefon to urządzenie, z którego korzystają wszyscy, rodzica na niego stać, więc dlaczego dziecko nie może z niego korzystać również w szkole? Tacy rodzice byli jednak w mniejszości i mimo braku poparcia dla pomysłu, żaden z nich nie zdecydował się wypisać dziecka ze szkoły.

Jakie szkoła wprowadziła zasady? Uczniowie mogli zabierać ze sobą telefon do szkoły, ale urządzenie musiało być wyłączone i niewidoczne – schowane w plecaku lub w szafce. – Jeśli uczeń musi skontaktować się z rodzicem, może zgłosić taką potrzebę nauczycielowi – tłumaczy Dziklińska. Takie rozwiązanie, jak przekonuje, ma jedną zaletę:

– Szkoła nie ponosi odpowiedzialności za przechowywanie telefonów za nierzadko kilka tysięcy złotych, które mogłyby zostać uszkodzone czy zginąć – mówi.

Jeśli uczeń złamie zasadę – zostanie przyłapany na korzystaniu z urządzenia – telefon jest mu odbierany. Może go odebrać po lekcjach w sekretariacie.

Początki były trudne. – Jednym ze sposobów obchodzenia zakazu stało się wychodzenie z lekcji do toalety. Uczeń mógł opuścić klasę bez zgłaszania tego nauczycielowi, więc niektórzy wykorzystywali tę możliwość, żeby w łazience korzystać z telefonu – opowiada Dziklińska.

> Rodzice dzwonili do uczniów w czasie lekcji. *Mieli pretensje, że nie odbierają*

Jak przyznaje, takie sytuacje wciąż się zdarzają, choć już sporadycznie. Telefon w końcu przestał być jedynym sposobem na spędzanie przerwy. – Musieliśmy zapewnić dzieciom ciekawe aktywności, pokazać, że można robić coś innego poza siedzeniem w telefonie – opowiada.

W szkole jest stół do ping-ponga, uczniowie mają strefę wyciszenia, strefę czytelniczą, mogą grać w gry analogowe. – Pierwsze tygodnie były dla nich trudne. Nie potrafili się sami zorganizować, zainicjować rozmów. Naprawdę czuliśmy się, jakbyśmy odebrali im najcenniejszą rzecz na świecie. Dziś tego problemu już nie ma, a zainteresowanie chociażby stołem pingpongowym jest tak duże, że uczniowie muszą ustalać między sobą, która klasa korzysta z niego na danej przerwie – przekonuje.

Dyrektorka zwraca uwagę na jeszcze jedną zmianę. – Ostatnio jeden z nauczycieli odwiedzał szkołę, w której nie ma zakazu korzystania z telefonów na przerwach. Została go tam kompletna cisza. W pierwszej chwili pomyślał, że trafił na lekcje. Ale to była przerwa. Jak się okazało, cicho było wyłącznie dlatego, ponieważ wszyscy uczniowie siedzieli z nosami w telefonach – opowiada. I dodaje: – W naszej szkole na przerwach jest bardzo głośno. I to jest efekt, jaki chcemy osiągnąć – bo cisza oznacza brak interakcji między uczniami.

Gdy pytam o to, czy taki zakaz rzeczywiście pozwala walczyć z uzależnieniem dzieci od smartfonów, Dziklińska odpowiada: – Na pewno zakaz nie rozwiązuje tego problemu, jest to jednak krok w dobrym kierunku. Ogromną rolę odgrywają tutaj jednak rodzice, którzy niejednokrotnie sami mają problem z uzależnieniem behawioralnym od telefonów, którzy nigdy nie słyszeli o czymś takim jak blokada rodzicielska, którzy dają telefony nawet przedszkolakom – oprócz szkoły mamy również przedszkole – i to nie są pojedyncze przypadki – przekonuje. – Jeżeli dziecko widzi, że tata czy mama ciągle siedzą w telefonie, że telefon jest nawet ważniejszy od dziecka, to nic dziwnego, że i dla dziecka ten przedmiot staje się obiektem pożądania i przedmiotem, bez którego nie da się żyć.

Dyrektorka bardzo wątpi również w to, że zakaz rozwiąże problem cyberprzemocy. – Brak telefonów w szkole nie sprawi, że uczniowie wylogują się z mediów społecznościowych, przestaną nękać się nawzajem w grupach na komunikatorach. Cyberprzemoc pozostanie, ale na szczęście będzie się odbywać poza godzinami lekcyjnymi. Zakaz na pewno zwiększy jednak poczucie bezpieczeństwa uczniów, bo nie będzie już możliwości wykonania zdjęcia koledze czy koleżance w jakiejś kompromitującej sytuacji. Albo nauczycielowi – przekonuje.

Szkoła, jak twierdzi dyrektorka, zaczęła patrzeć krytycznie nie tylko na zakres korzystania z telefonów przez uczniów, ale na wykorzystanie w ogóle technologii w szkole.

– Kilka lat temu przeżywaliśmy zachłyśnięcie technologią, czego konsekwencją jest to, że dzisiaj mamy w klasach interaktywne ekrany i tablety. Nauczyciele zaczęli zastanawiać się, czy rzeczywiście każde zadanie musi być wykonywane przy użyciu ekranu. Bo gdy dzieci mają do wyboru tablet czy książkę, zawsze sięgną po tablet. Nauczyciele zaczęli stwarzać więc sy-

eprasa.pl cce6ce74a6

tuacje, w których uczniowie muszą pracować z podręcznikiem czy encyklopedią. Z technologii korzystają wyłącznie wtedy, kiedy rzeczywiście jest dla tego uzasadnienie, bo ta w jakiś sposób wzbogaci lekcję – tłumaczy.

Na końcu Dziklińska przekonuje, że zakaz korzystania z telefonów w szkołach powinien być dopiero początkiem zmian legislacyjnych. – Jak zostanę ministrem edukacji, co mi nie grozi oczywiście, to pierwszą moją decyzją będzie wycofanie dzienników elektronicznych. Zanim dziecko wróci do domu ze szkoły, rodzic już wie, że dostało jedynkę albo uwagę i od razu pisze z awanturą do nauczyciela. A równolegle w grupie dla rodziców odbywa się cała dyskusja, skąd ta jedynka itd. Rodzice przejmują całkowitą kontrolę nad dziećmi, nie pozwalają im na błędy, na samodzielne naprawianie tych błędów – podsumowuje.

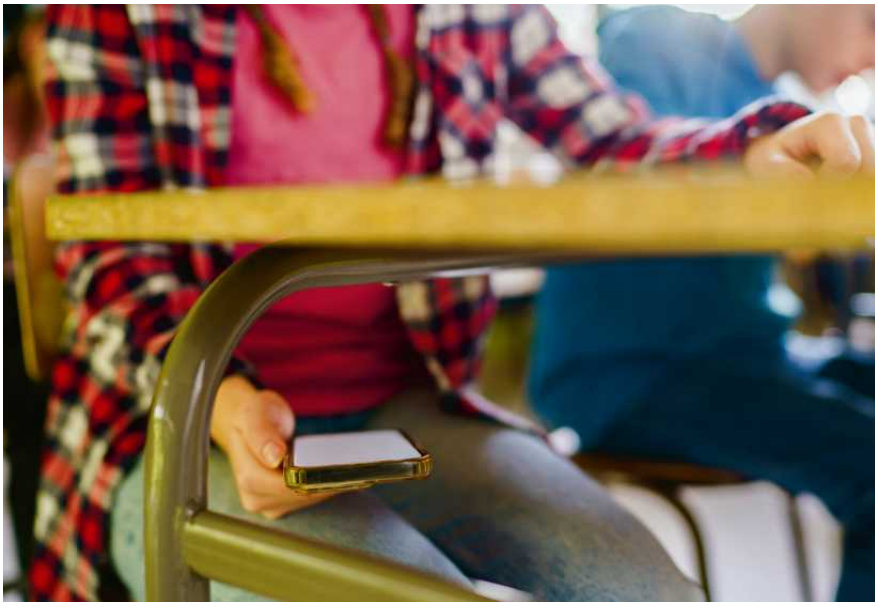
„CHODZILI PO ŚCIANACH"

Dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 50 im. Ossolineum we Wrocławiu Karolina Cis-Wawrzyniak jest podobnego zdania:

– Gdyby nie było Librusa, mielibyśmy o połowę problemów mniej. Przestrzeń wirtualna pozbawia ludzi hamulców. Uwagi, na jakie niektórzy rodzice sobie pozwalają czy to w dzienniku wirtualnym – bezpośrednio do nauczyciela – czy w grupach dla rodziców, naprawdę przekracza czasem granice dobrego smaku. A gdy potem zapraszam rodziców na spotkanie twarzą w twarz, to nikt nie przychodzi.

Całkowity zakaz używania telefonów komórkowych dyrektorka po konsultacji z radą rodziców postanowiła wprowadzić w październiku ubiegłego roku. Zdecydowała się na wdrożenie specjalnych saszetek blokujących sygnał z telefonu, w których uczniowie mieliby zamykać swoje urządzenia w momencie przekroczenia progu szkoły. Saszetkę może odblokować wyłącznie nauczyciel.

– Jesteśmy dużą szkołą – uczęszcza do niej prawie tysiąc uczniów. Rozważaliśmy postawienie szafek, w których dzieci mogłyby chować swoje telefony, ale uznaliśmy, że pomysł ten jest zbyt kosztowny – bo taką przestrzenią z szafkami nie dysponujemy. Saszetki okazały się prostszym i tańszym rozwiązaniem, w dodatku takim, który znacząco odciąży nauczycieli, którzy nie będą musieli cały dzień pilnować, czy uczniowie ukradkiem korzystają gdzieś z telefonów – przekonuje.



FOT. GETTY IMAGES (2)

Mimo istnienia saszetek zdarzają się sytuacje, w których uczniowie łamią zakaz i z telefonu korzystają na terenie szkoły.

– Dziś są to zdarzenia jednostkowe. Jeśli nauczyciel zauważy, że uczeń złamał zakaz, dziecko ma obowiązek odnieść telefon do sekretariatu szkoły. Telefon może odebrać po lekcjach wyłącznie rodzic. Zdarzyła się sytuacja, w której rodzic nie odbierał telefonu przez dwa tygodnie – w taki sposób postanowił wyciągnąć konsekwencje wobec swojego dziecka za złamanie zakazu. W moim odczuciu – bardzo mądry rodzic – opowiada Cis-Wawrzyniak.

Saszetki nie oznaczają całkowitego odcięcia dzieci od technologii. – Jeśli nauczyciel uzna, że telefon jest potrzebny podczas lekcji, może go odblokować i wykorzystać do celów edukacyjnych – mówi Cis-Wawrzyniak.

Wprowadzenie zakazu nie obyło się bez emocji. Rodzice musieli między innymi podpisać umowę dotyczącą saszetek, co niektórym bardzo się nie podobało. W umowie był zawarty punkt o odpowiedzialności, jaka spoczywa na uczniu, za saszetkę i ewentualną konieczność poniesienia kosztów zakupu nowej w razie jej zgubienia.

W lokalnych grupach internetowych pojawiały się różne komentarze pozytywne, jak i negatywne. – Wielu rodziców dziękowało mi za to, że zdecydowałam się na ten krok, podziwiali za odwagę, że nie uginam się pod naporem nieprzychylnych opinii – opowiada.

Jak zareagowały na zakaz sami uczniowie? Pierwszy dzień bez telefonów był dla nich dość dużym szokiem. Zastanawiali się, co ze sobą zrobić.

Kadra poinstruowała ich, co mogą robić, wręczając im różne sprzęty do zabawy, ćwiczeń.

– Podchodzili do mnie, wskazywali na kabel do skakania czy gumę i pytali: co to jest, co się z tym robi? Dziwili się, że mogą w czasie przerwy pograć w piłkę czy w ping-ponga, piłkarzyki. Z czasem coraz lepiej radziły sobie z tym czasem wolnym bez telefonów – zaczęły grać w karty, nawiązywać relacje nawet z dzieciakami z innych klas – opowiada.

Dyrektorka jest zachwycona efektem, jaki przyniósł zakaz. – Dzieci nie tylko inaczej funkcjonują podczas przerw, zmiana widoczna jest także podczas lekcji. Uczniowie, którzy wcześniej całą przerwę spędzali ze smartfonem, jeszcze długo po wejściu do klasy byli rozkojarzeni. Podobnie jak tuż przed zakończeniem zajęć – bo myślami byli już w telefonach, do których zaglądali od razu po wyjściu z klasy. Dziś ten poziom koncentracji i skupienia jest o wiele większy – przekonuje.

Saszetki również okazały się dobrym rozwiązaniem – w szkole odnotowano zaledwie kilka przypadków zgubienia pojemnika.

Po wprowadzeniu zakazu nauczyciele zaobserwowali, że dzieci stały się spokojniejsze, dochodzi do mniejszej liczby konfliktów rówieśniczych. Zdaniem dyrektorki zakaz nie wyeliminuje całkowicie hejtu ani cyberprzemocy, ale skala problemu w szkole wyraźnie się zmniejszyła.

eprasa.pl cce6ce74a6

– Na terenie szkoły jest basen, więc zanim zakaz był wprowadzony, dochodziło do sytuacji, w których uczniowie robili kolegom czy koleżankom zdjęcia. Dziś tego problemu nie ma – opowiada.

Dyrektorka przeprowadziła także ankietę wśród pracowników szkoły. – Wszyscy nauczyciele – oprócz jednego, który moim zdaniem sam jest uzależniony od telefonu komórkowego – pozytywnie ocenili zakaz i nie chcieliby powrotu do tego, co było wcześniej.

Zmianę zauważyli również rodzice. – Jedna z mam powiedziała mi, że wreszcie ma spokój i może skupić się na pracy, ponieważ jej dziecko nie dzwoni już do niej podczas każdej przerwy – opowiada.

Czy ogólnopolski przepis dotyczący zakazu korzystania telefonów, który wszedł w życie 1 września 2026 roku, coś w szkole zmieni? – Dla nas nic – przekonuje dyrektorka. – Zakaz już obowiązuje, a szkoła wypracowała własny system, który działa – mówi.

ZAPIS W STATUCIE TO ZA MAŁO

Nowe przepisy zapewnią jednak coś bardzo istotnego, co podkreśla zarówno Cis-Wawrzyniak, jak i dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 247 z Oddziałami Integracyjnymi w Warszawie, Marta Butryn: twardy argument, bo mający podstawę prawną, w rozmowach z tymi rodzicami, którzy mogliby kwestionować zakaz czy sposób jego egzekwowania.

W szkole na Bielanach zakaz korzystania z telefonów funkcjonuje od ośmiu lat.

– Sam zapis w statucie szkoły to jednak mało – rodzice czy uczniowie buntowali się przeciwko zakazowi, podważali jego słuszność, pojawiały się głosy, że odbieramy dzieciom wolność. A nam brakowało narzędzia, by egzekwować wprowadzone zasady – dzieci korzystały z telefonów w toaletach, na korytarzach, po kryjomu na lekcjach. Nauczyciel nie mógł uczniowi zabrać telefonu, dziecko samodzielnie musiało zanieść telefon do sekretariatu, co często spotykało się z odmowami, niekończącymi się dyskusjami – „bo za rogiem w szkole zakazu nie ma, dlaczego jest u nas" itd. Wstawialiśmy uwagi do dziennika, ale uwagi za zachowanie nie są żadną karą dla uczniów – opowiada Butryn.

Mimo buntu części dzieci i dorosłych zakaz udało się utrzymać. Przez te osiem lat zasady się jednak zmieniały. Jeszcze dwa lata temu telefony uczniowie mogli trzymać w swoich plecakach – wyciszone lub wyłączone.

– To nie było idealne rozwiązanie, ponieważ telefony może i nie dzwoniły, ale wibrowały. Dodatkowym problemem są coraz to popularniejsze smartwatche – co z tego, że dziecko nie korzysta z telefonu, jeśli co chwilę pojawiają mu się powiadomienia na zegarku – bo rodzic postanowił zadzwonić do dziecka w środku lekcji – opowiada Butryn.

W nowym roku szkolnym szkoła przyjmuje nowe rozwiązanie: każdy uczeń będzie miał własną szafkę w szatni i tam, na początku dnia, będzie umieszczał swój telefon i zostawiał go na cały czas pobytu w szkole.

– To uczeń będzie odpowiedzialny za to, żeby ten telefon tam zostawić. Jeżeli złamie zasadę, telefon trafi do sekretariatu i na końcu dnia będzie mógł go odebrać wyłącznie rodzic – tłumaczy Butryn. Inne szkoły na Bielanach rozważają zakup saszetek blokujących sygnał. Butryn jest sceptyczna wobec tego pomysłu. – Dla wielu rodzin to zbyt drogie rozwiązanie, zwłaszcza że ryzyko zgubienia saszetki przez dziecko jest dość wysokie – tłumaczy.

Czy zakaz zmienił coś w zachowaniu uczniów? Butryn opowiada:

– Nie znam rzeczywistości bez zakazu korzystania z telefonów w szkole. Bo osiem lat temu ten problem z uzależnieniem dzieci od smartfonów nie był jeszcze aż tak poważny, telefony nie były tak popularne. Moim zdaniem pod tym względem jest coraz gorzej. Widzę ogromną różnicę między tymi dziećmi, które świadomie korzystają z telefonów – są bardziej skupione na nauce, mają lepsze wyniki – a tymi, którzy są uzależnieni od gier, reagują na każde powiadomienie – mają gorsze świadectwa, częściej przejawiają zachowania opozycyjno-buntownicze.

I podsumowuje: – To naprawdę najwyższy czas, aby wprowadzać odgórne regulacje dotyczące korzystania przez dzieci z technologii. Bardzo się cieszę na ten zakaz, szkoła przestanie w końcu być miejscem, gdzie toczy się nieustanna walka z telefonami. Zakaz zdejmie z niej rolę arbitra w sporze, który od lat wygrywały dzieci. ▲

OGŁOSZENIE



eprasa.pl cce6ce74a6

Różne wcielenia *Mirelli*

Gdy tęskniła za spacerami, figlami i pogodnym życiem, to je sobie stworzyła. Tak powstała jedna z serii fotomontaży artystki Mirelli von Chrupek

TEKST **ALEKSANDRA BOĆKOWSKA**



Bertolucci, Bergman, Fellini, Kurosawa, Scorsese i wielu innych gigantów, dwa razy w tygodniu, przez rok. W 1995 roku Telewizja Polska wyemitowała cykl „Sto na sto, czyli sto filmów na stulecie kina". Mirella von Chrupek, wówczas lepiej znana jako Maja, miała 15 lat i oglądała je wszystkie. Nagrywała, żeby obejrzeć ponownie. Osobno rejestrowała dźwięk – do telewizora podłączała słuchawki, a obok kładła dyktafon. Potem przed długi czas zasypiała w rytm czytanych przez lektora dialogów z filmów. Do tej pory wiele z nich zna na pamięć.

Już wtedy wpadł jej w ucho słynny cytat z Groucho Marxa, który w „Annie Hall" wygłasza bohater grany przez Woody'ego Allena: „Nie chciałbym być członkiem klubu, który miałby za członka kogoś takiego jak ja".

Zapamiętała, bo to o niej. Nie lubi być w ramach, unika mód i przynależności. Mówi, że działa na styku dwóch płyt tektonicznych. – To daje mi wolność, bo wiele mogę, a nie muszę wpisywać się w konwencje – tłumaczy.

FORUM ROMANUM

Z filmowych fascynacji bliska jest jej też kwestia z „Marzycieli" Bernarda Bertolucciego o tym, że filmowiec jest jak podglądacz, a kamera jak dziurka od klucza do sypialni rodziców. Jej akurat nie chodzi o cudze sypialnie, przez obiektyw podgląda korty tenisowe; najchętniej wtedy, gdy nikogo tam nie ma.

Sunlit Courts to najnowszy artystyczny projekt Mirelli von Chrupek. Polega on na fotografowaniu kortów – nie tych z pierwszych stron Instagrama, a takich, które już gdzieniegdzie zarosły, wyblakły, pordzewiały. – Lubię surowość, patynę, odkrywanie tego, co schowane pod kolejnymi warstwami farby – mówi. – Nie wszyscy chcą się tym chwalić, ale dla mnie to jest wspaniałe jak spacer po Forum Romanum. W Rzymie warstwy ruin pokazują, że tu był pożar, tam powódź, różne etapy historii miasta. W klubach uwielbiam zdarte lamperie, gabloty ze zdjęciami z czyichś urodzin w 1994 roku, plakaty wyrwane 40 lat temu z jakichś zagranicznych gazet tenisowych. Artefakty świadczą o tym, że kort trwa, a wokół zbudowała się społeczność. Porównuję te kluby tenisowe do starej kurtki skórzanej, którą masz od liceum, ubrudziła się, starła i trochę pęka, ale nie zamieniasz jej na inną, bo przeżyła z tobą tyle czasu.

Pierwsze zdjęcia z kortowej serii robiła na Warszawiance – to klub sportowy na stołecznym Mokotowie. Chodziła tam, bo blisko mieszka, siadała na trybunach i obserwowała. Z czasem dostrzegła, co dzieje się, gdy tak, a nie inaczej układa się światło, co wyprawia padający cień; porozmawiała z napotkanymi osobami i przyszła z aparatem.

Te metody – rozmowy, spacery, czekanie, nieraz godzinami, na odpowiednie światło – stosuje konsekwentnie. Można chyba powiedzieć, że dokumentuje czas. Stare napisy, pluszowy piesek zatknięty za kratę, porzucone różne rzeczy, zmieniające się pory roku: jesienne liście, letni blask, siatka odbijająca się w deszczu.

Szczególnie lubi zdjęcia, które zrobiła w tym roku na stadionie Roland Garros. By ochronić mączkę przed zmoknięciem, wyłożono korty pomarańczowymi płachtami. Mirella trafiła na moment, gdy je zdejmowano. Na przełomie maja i czerwca jeździ do Paryża, ale przeważnie fotografuje w Polsce. Agrykola, Spójnia, Powsin w Warszawie, KS Nadwiślan w Krakowie, Olimpia w Poznaniu, Biskupia Górka i Dzik w Gdańsku, Arka w Gdyni, Rogów, Busko-Zdrój i, rzecz jasna, Łódź.

MROK

Rzecz jasna, bo z Łodzi pochodzi. W Miejskim Klubie Tenisowym (na zdjęciach – w deszczu, ale z pieskiem) grała tenisa na szkolnym wuefie. Prawie nie widzi na jedno oko, co utrudniało jej koordynację – z gry nie czerpała radości. Ale wizyta po latach w Parku Poniatowskiego, owszem.

– Przy projekcie tenisowym szukam przygody, wiatru we włosach, wyzwania. Lubię się ubrudzić, potoczyć pod siatką, żeby wejść na kort, który jest zamknięty. Lubię przestrzenie nie za piękne. Mam w sobie mrok i myślę, że jest to mrok industrialnej Łodzi. Niekoniecznie depresyjny, to raczej osad

eprasa.pl cce6ce74a6









FOT. MIRELLA VON CHRUPEK, PORTRET MIRELLI: MAURYCY GOMULICKI

eprasa.pl/cce6ce74a6

łódzkiej atmosfery: rejwów, ludzi, których spotykałam, fabryk, które mijałam – mówi.

Dorastała na Widzewie. Dziadek był zegarmistrzem (robili wspólnie wymagające precyzji ozdoby na choinkę), rodzice, po technikum fotograficznym (od taty dostała pierwszą Praktycę), prowadzili firmę. Ona kolekcjonowała sprzeczności. Gdy przyszło do wyboru studiów, wahała się między Akademią Sztuk Pięknych a anglistyką. Wybrała anglistykę, żeby czytać poezję. I faktycznie, czytała cztery książki w tygodniu; poezję, prozę, brytyjską klasykę ma w pamięci cały czas. Działo się to we wczesnych latach dwutysięcznych, gdy zjawił się w domach internet, a z nim blogosfera. Wtedy narodziła się Mirella von Chrupek. – Robiłam zdjęcia i fotomontaże, potrzebna była mi osoba, którą mogłabym fotografować o każdej porze, bo wena przychodziła znienacka. Stworzyłam więc postać Mirelli – dziewczyny z długimi blond włosami, która mieszka w ciemnym lesie, wśród dziwnych grzybów, chodzi po opuszczonych fabrykach i ma różne przygody. Fotografowałam i przerabiałam siebie, a Mirella von Chrupek stała się moim alter ego – opowiada.

Ciemnowłosa wówczas Maja wrzucała zdjęcia z przygód blond Mirelli na bloga. Mirella, z wyglądu sama słodycz, w sercu miała gorycz. – Urok i mrok, tort przysypany popiołem – podsumowuje artystka.

Minęło ćwierć wieku i dziś już nie wiadomo, kto jest kim. Mirella dawno wyszła z internetu, Maja przeniosła się do Warszawy i tak koegzystują. Czasem z przygodami: parę lat temu, gdy jeszcze zeznania podatkowe wysyłało się na poczcie, Maja uprosiła panie, by wydobyły jej PIT ze stosu właśnie nadanych. Odruchowo podpisała go „Mirella von Chrupek".

SŁODKA GABLOTKA

W Warszawie zasłynęła Gablotką.

Tove Jansson w jednym z opowiadań z „Księgi lata" opisuje, jak babcia i wnuczka bawią się w stare Wenecjanki, które budują nową Wenecję. Najpierw ktoś przysłał pocztówkę, na której „był najpiękniejszy widok, jaki ktokolwiek w rodzinie kiedykolwiek widział". A potem się zaczęło. Siedziały nad mokradłem i palikowały Plac Świętego Marka drewnianymi kołeczkami, budowały mosty, gondole, nawet kampanilę z małym lwem na szczycie. Wypisz, wymaluj – Gablotka. W pierwszej, zrobionej w 2014 roku, widziano zresztą znane z innych próz Jansson Muminki.



Było tak: Mirella, przechodząc Marszałkowską, mijała reklamowe gabloty, w których wystawiał buty szewc Jan Wielądek. Gdy szewc zlikwidował zakład, gabloty opustoszały. Ona pomyślała, że fajnie byłoby zrobić tam coś miłego dla oka. Wynajęła gablotkę i przez trzy lata pokazywała tam nowe aranżacje, w sumie było ich 13. Kolorowe, niezobowiązujące, w każdej odsłonie pojawiali się bohaterki i bohaterowie – dinozaurka Dino Bambino, Ptaszki, Pudelek Numerek, Disco Bat, Yeti O'rety. Świat, czy też – mówiąc po filmowemu – uniwersum wyczarowane przez Mirellę przetrwało w książce „Dino Bambino", którą wydały wspólnie z Sylwią Chutnik.

Skoro jesteśmy przy filmowych porównaniach: Gablotka stała się dla Mirelli von Chrupek mniej więcej tym, czym dla Janusza Gajosa rola Janka Kosa w „Czterech pancernych". Choć minęła dekada od zamknięcia projektu, wciąż jest z nim kojarzona. – Cieszę się, bo otworzył przede mną wiele drzwi. Aranżowałam potem witryny sklepowe, dioramy, stworzyłam sporo miniaturowych światów zamkniętych w niewielkiej przestrzeni – mówi. Utrzymane w innym klimacie, zrobione z innych materiałów, ciągle bywają porównywane z Gablotką. Z założenia efemeryczna, najmocniej wbiła się w pamięć. Pewnie też, ze względu na ekspozycję w samym środku miasta, miała największy zasięg.

Ten odbiór jest dla Mirelli szczególnie ważny. Robiła Gablotkę, bo chciała dać zachwyt ludziom, ale też pokolorować własny świat. W tamtym czasie bardzo ciężko chorowała jej mama. Praca wymagająca regularności pozwoliła Mirelli nie zapaść się w mrok.

Pytam ją, jak czarować w podłych czasach. Znów okazuje się, że za wszystkim stoi praca. Rysowanie w notesach, potem na komputerze, obmyślanie każdego de-

eprasa.pl cce6ce74a6

talu pod względem fabularnym i technologicznym. Wreszcie lepienie postaci i scenerii, w której występują. – Zdarza się, że wstaję w nocy sprawdzić, czy coś nie pęka. Gdy pękało, klajstrowałam – opowiada artystka. – W każdej z tych chwil grozy czegoś się nauczyłam. Uczę się cały czas. Jeśli czegoś nie wiem, pytam ludzi, a oni zawsze pomagają, radzą, jak zrobić coś łatwiej, taniej, sprawniej.

Życiową dewizą Mirelli jest robienie zalet z wad – traktowanie ograniczeń jako punkt wyjścia do stworzenia indywidualnego stylu. Nawet jeśli czasami jest to męczące. Jej talent do wymyślania i wytwarzania historii staje się wadą, gdy trudno się zatrzymać.

– Ciągle muszę napominać samą siebie, że lepiej jest odjąć niż dodać – mówi. – Projektując bezustannie dodaję. A Maurycy odejmuje. Często mówię mu: „Maurycy, tak strasznie chciałabym nie iść w tę eklektyczność, nie dokładać sobie pracy, tylko zrobić coś nośnego, wykorzystując niewiele elementów".

Tak mówi, a potem przekonuje się, że porównywanie się do innych do niczego nie prowadzi. Dobrze jest podpatrywać sposoby na ułatwienie pewnych procesów, ale najlepiej – szukać własnych rozwiązań, bo to one w rezultacie budują styl.

FANTASMAGORIE

Napisałam kiedyś o Barbarze Hoff i Leopoldzie Tyrmandzie, że gdyby się nie poznali, trzeba by było ich wymyślić. Z Mirellą von Chrupek i Maurycym Gomulickim jest tak samo. Warszawa byłaby smutniejsza bez nich.

Spotkali się w 2009 roku na odsłonięciu neonu Światłotrysk – zaprojektowana przez Gomulickiego siedemnastometrowa szklanka z bąbelkami oranżady stoi u wlotu z Wisłostrady na Żoliborz. Kiedy zaczęli być parą – nikt już nie pamięta. Maurycy od lat propaguje rozkosz, filuterność, popkulturę – słowem szeroko pojęty róż. Mirella – niczym babcia z opowiadania Tove Jansson, która dla autentyczności wtarła w Pałac Dożów popiół z popielniczki – woli róż nieco przygaszony. On ekstrawertyk, od niej niezobowiązujące pogaduszki wymagają wysiłku. On pewnie trochę sławniejszy, zawsze cieszy się, gdy ktoś go przedstawia: „chłopak Mirelli". Ostatnio nazywa ją poetką kortów. – To jest super, bo rzeczywiście te zdjęcia kortów, przez to, że nie ma tam zawodników, kibiców, akcji, mają w sobie coś onirycznego – mówi Mirella. – Maurycy jest osobą totalnie wspierającą.

Kiedyś podarował jej kolekcję tygodnika „Stolica" z lat 60. i 70., którą odziedziczył po dziadku, znanym varsavianiście Juliuszu Wiktorze Gomulickim. W pandemii siadła na podłodze i przeglądając numer po numerze, wymyśliła projekt, który lubi szczególnie: „Eutopia. Miasto Niezwykłe". O ile fotografując korty, dokumentuje czas, tu ucieka z ram kalendarza. Sceny z warszawskiej przeszłości: pomniki, budynki, przechodniów wplotła w fotomontażach w zieleń. Gdzieś dołożyła róż, tu i ówdzie wkradł się dinozaur. Mirella tłumaczy, że – jak prawie wszyscy – tęskniła wtedy za spacerami, figlami i pogodnym życiem, więc je sobie stworzyła. Pięć z fantasmagorycznych kadrów stolicy kupiło do stałej kolekcji Muzeum Warszawy.

NIEPEWNOŚĆ

Ze starych gazet i fascynacji filmami wynikły następne serie fotomontaży: „Beautiful Aliens" i „Kisses in the Tunnel". Prace z pierwszej pokazywała w muzeach w Poznaniu i Amsterdamie. Stale współpracuje z Muzeum Okręgowym w Koninie, dokąd co kilka lat wraca, by zrobić nową dioramę.

Pytam, czy artystkom jest trudniej zaistnieć w galeryjnym obiegu niż artystom. Mirella niuansuje. Może byłoby jej łatwiej, gdyby zamiast ulegać zajawkom i nastrojom, szła łatwą do zidentyfikowania ścieżką. Pewna jest jednego: prace kobiet są gorzej wyceniane.

– Z drugiej strony, bez względu na płeć mamy lepsze i gorsze okresy, mniej lub więcej propozycji. Freelance wiąże się z niepewnością.

Żeby sycić głowę, pozwala sobie czasem na nicnierobienie. Idzie na spacer, siada gdzieś w parku, przegląda gazetę albo podgląda przyrodę, nudzi się. Czasem właśnie w takich momentach przychodzi jakaś myśl, obserwacja, inspiracja do dalszych działań.

Wtedy wie, że choć zdarza się, że myśli o rachunkach nie dają zasnąć, warto było wybrać tę drogę.

TU I TERAZ

Spotykam się z Mirellą u niej w mieszkaniu. Akurat ogląda na komputerze transmisję z Tour de France. Obok monitora rytmicznie rusza głową plastikowy Novak Djokovic. Podrygujących figurek jest w tym domu chyba ze sto, ale Djokovic ma specjalne miejsce. Po pierwsze – jest większy od pozostałych, po drugie – to jeden z ulubionych tenisistów Mirelli, a po trzecie i najważniejsze – dostała go od fanki, która obserwuje ją na Instagramie.

Instagram jest platformą, gdzie najłatwiej spotkać Mirellę – w relacjach opowiada o codziennych przygodach, zakłada konta dla ulubionych projektów, koresponduje z nieznajomymi. I tu, zwłaszcza w momentach zwątpienia, ogląda wywiady ze sportowcami. Ciekawi ją, jak radzą sobie z trudnościami Djokovic, Ronaldo, czy słynny kolarz Tadej Pogačar. Bo w ogóle niezwykle ciekawi ją sport.

– Zawsze mnie fascynował, szczególnie sporty indywidualne. Kręci mnie mentalność sportowców. Stąd wzięło się zainteresowanie tenisem, bo na korcie zawodnicy grają jeden na jednego. W piłce nożnej czy innych grach zespołowych, jeśli masz gorszy dzień, to podasz koledze, tu jesteś sama przeciw rywalowi, grasz z nim i sama ze sobą, bo musisz pokonywać słabości, wiedzieć, jak się przegrupować, żeby wyjść z krytycznej sytuacji.

Ubóstwia kibicować na żywo. W 2022 roku oglądała przez monitorem turniej Rolanda Garrosa. Gdy kamera pokazała trybuny, powiedziała do Maurycego: „Popatrz, ile tam jest wolnych miejsc, dlaczego mnie tam nie ma?! W przyszłym roku tak chcę tam być".

I pojechała. Znalazła nocleg u kolegi, kupiła wejściówkę, która pozwalała oglądać mecze na bocznych kortach, z czasem nauczyła się kupować bilety na mecze rozgrywane na stadionie. Oglądała już finały, na razie kobiece, bo męskie wciąż są finansowo poza zasięgiem. Kibicuje też z leżaków rozstawionych przed telebimami. Uwielbia te emocje i wierzy, że prędzej czy później pojedzie na wszystkie cztery turnieje Wielkiego Szlema. Najbardziej prawdopodobny wydaje się Wimbledon, największym marzeniem pozostaje Australian Open.

Próbuje brać z kibicowania nauki na własne życie. Najważniejsza jest o byciu tu i teraz.

– Na korcie liczy się tylko ta piłka, która jest teraz – mówi. – Pal licho, że poprzednia się nie udała, nie myślisz o następnej, tylko musisz rozegrać tę, która jest teraz. I robisz to najlepiej, jak możesz w danej chwili, tymi środkami i z tą energią, które masz. W życiu też najlepiej byłoby nie rozpamiętywać tego, co było, i nie zamartwiać się tym, co może się zdarzyć.

Czy już to umie? Uczy się. Gdy dopada ją stres, na uspokojenie puszcza sobie wieczorem dźwięk tenisowego meczu i zasypia w rytm odbijanej piłki. ▲

eprasa.pl cce6ce74a6

Mózg szykuje się na *dziecko*

Organizm kobiety w ciąży przebudowuje także własny mózg. A nauka nie rozumie do końca dlaczego

TEKST **OLGA WOŹNIAK**

Klucze znowu nie leżą tam, gdzie powinny. Przysięgłabym, że były w torebce, ale ślad po nich zaginął. Sprawdzam kieszeń płaszcza, później jeszcze raz zaglądam do torebki, jakby w ciągu ostatnich trzydziestu sekund jej zawartość uległa cudownemu przeobrażeniu. W kuchni kipi mleko, a słowo, które mam na końcu języka, zawisa gdzieś pomiędzy „tym do miksowania" a bezradnym ruchem ręki. Blender. Chodziło o blender...

Otoczenie zwykle reaguje na takie sceny pobłażliwym uśmiechem. „Baby brain" – mówią z wyrozumiałością. Ciążowy móżdżek. Hormony. Rozkojarzenie. Minie.

A co, jeśli zapomniane klucze i uciekające słowa są zaledwie szumem informacyjnym towarzyszącym jednej z najbardziej spektakularnych przebudów, do jakich zdolny jest dorosły ludzki mózg? Co, jeśli kobieta zapomina, jak nazywa się blender, bo jej organizm właśnie przeznacza ogromne zasoby na biologiczną transformację, której skutki pozostaną widoczne przez wiele lat?

Fakty są takie: przez długi czas nauka interesowała się przede wszystkim tym, jak ciąża kształtuje mózg dziecka. Dopiero w ostatniej dekadzie neuronaukowcy zaczęli systematycznie zaglądać do mózgu ciężarnej. I się zdziwili.

SKAN, KTÓRY ROZPOZNAWAŁ CIĄŻĘ

Elseline Hoekzema, neurobiolożka związana dziś z Amsterdam University Medical Center, zrobiła coś, czego wcześniej prawie nikt nie robił: zajrzała kobietom do mózgu, jeszcze zanim zaszły w ciążę, a potem ponownie po porodzie. Dzięki temu nie musiała porównywać matek z kobietami bezdzietnymi. Mogła zobaczyć, jak zmienił się mózg tej samej osoby.

W badaniu wzięło udział 25 kobiet, które po raz pierwszy zostały matkami, ich partnerzy oraz grupy kontrolne. Wynik był uderzający. U kobiet po ciąży rezonans pokazał wyraźne i bardzo podobne zmniejszenie objętości istoty szarej. Wzorzec był tak charakterystyczny, że algorytm analizujący skany bezbłędnie rozpoznał, które uczestniczki przeszły ciążę.

Nie był to oczywiście „test na macierzyństwo" – grupa była niewielka, a algorytm pracował na danych z jednego eksperymentu. Ale pokazał coś ważnego: ciąża zostawia w mózgu powtarzalny, widoczny ślad.

Najmocniej zmieniały się obszary związane z poznaniem społecznym – rozpoznawaniem emocji, odczytywaniem cudzych intencji i rozumieniem, że drugi człowiek ma własne potrzeby, lęki i pragnienia. Innymi słowy: przebudowie ulegały właśnie te rejony, które pomagają czytać drugiego człowieka. Szczególnie mocno przebudowywała się sieć aktywności spoczynkowej, tzw. Default Mode Network (DMN). Jej na-

Dopiero w ostatniej dekadzie neuronaukowcy *zaczęli zaglądać do mózgu ciężarnej*



eprasa.pl cce6ce74a6



FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl cce6ce74a6

zwa bywa myląca, bo mózg „w spoczynku" wcale nie odpoczywa. Właśnie wtedy zajmuje się sobą: układa autobiograficzne wspomnienia, rozmyśla o relacjach, rekonstruuje przeszłość, wyobraża sobie przyszłość i buduje poczucie własnego „ja".

Ciąża zdaje się ingerować akurat w tę neuronową opowieść o sobie.

MNIEJ NIE ZNACZY GORZEJ

Informacja, że w czasie ciąży w mózgu kobiety ubywa istoty szarej, brzmi alarmująco, prawda? Przyzwyczailiśmy się sądzić, że w czaszce więcej zawsze znaczy lepiej, a mniej – gorzej. Większy mózg wydaje się sprawniejszy, utrata objętości kojarzy się z chorobą lub starzeniem.

Tyle że w neuronauce rozmiar rzadko jest prostą miarą jakości.

JEDNO KONKRETNE DZIECKO

Najbardziej poruszające wyniki badania Hoekzemy pojawiły się, gdy po porodzie kobietom pokazywano zdjęcia niemowląt.

Rejony reagujące na widok własnego dziecka pokrywały się z obszarami, w których w czasie ciąży najbardziej zmniejszyła się objętość istoty szarej! I choć nie dowodzi to, że każdy fragment przebudowy służy wyłącznie macierzyńskiej miłości, pokazuje, że zmiany nie były przypadkowo rozsiane po mózgu. Dotykały sieci wykorzystywanych później podczas kontaktu z niemowlęciem.

Wzorzec zmian wiązał się także z niektórymi miarami przywiązania matki do dziecka. W późniejszych pracach zespołu przebudowa mózgu korelowała z więzią w czasie ciąży, zachowaniami związanymi z przygotowywaniem domu na pojawienie się dziecka i fizjologiczną reakcją na sygnały niemowlęcia.

Druga ciąża nie jest powtórką z pierwszej.

To raczej kolejny etap specjalizacji

W okresie dojrzewania też obserwujemy zmniejszanie się objętości istoty szarej w części obszarów mózgu. I wbrew temu, co myśli część dorosłych, nie oznacza to, że nastolatek stopniowo traci rozum. Jego układ nerwowy dojrzewa, porządkuje połączenia i reorganizuje sieci. Jedną z możliwych części tego procesu jest przycinanie synaptyczne: eliminowanie niektórych połączeń, aby pozostałe obwody mogły stawać się bardziej wyspecjalizowane.

Hoekzema zauważyła podobieństwo między zmianami ciążowymi a tym, co dzieje się podczas adolescencji. Nie dowiodła jednak, że rezonans magnetyczny (MRI) pokazuje dosłownie wycinanie synaps. MRI nie ma takiej rozdzielczości. Rejestruje zmianę objętości tkanki, na którą mogą wpływać synapsy, komórki glejowe, naczynia krwionośne, gospodarka wodna i wiele innych procesów.

Dlatego, zamiast mówić, że mózg przyszłej matki „usuwa niepotrzebne połączenia", uczciwiej powiedzieć: reorganizuje się i specjalizuje, choć nauka dopiero odkrywa, co dokładnie dzieje się na poziomie komórek. To trochę jak przebudowa miasta oglądana z samolotu. Widzimy, że zmienił się układ dzielnic i szerokość ulic. Nie potrafimy jednak z tej wysokości policzyć, ile wyburzono ścian, ile posadzono drzew i którędy poprowadzono światłowód.

Aż by się chciało tutaj romantycznej puenty... Oto złapaliśmy matczyną miłość na gorącym uczynku! Ech, tak różowo jednak nie będzie: rezonans nie mierzy miłości. Nie pozwala powiedzieć, która kobieta będzie „lepszą matką". Korelacja w grupie badanych osób nie jest wyrokiem dotyczącym konkretnej kobiety, a więź z dzieckiem zależy też od zdrowia psychicznego, relacji, wsparcia, doświadczeń życiowych i warunków, w jakich doświadczamy macierzyństwa. Sama biologia nie wystarcza.

Pokazuje za to, że opieka nad dzieckiem nie jest wyłącznie kulturową rolą nakładaną na nas przez społeczne oczekiwania. Ciąża realnie przebudowuje matkom układ nerwowy.

HORMONY WCHODZĄ DO MÓZGU

W żadnym okresie naszego dorosłego życia stężenia estrogenu i progesteronu nie rosną w większej skali niż w ciąży. Produkcja niektórych hormonów zwiększa się od stu do tysiąca razy. Te hormony działają na receptory w mózgu i wpływają między innymi na neurony, komórki glejowe, mielinizację oraz powstawanie i przebudowę połączeń nerwowych. W 2024 r. zespół dr Laury Pritschet opublikował jedno z najdokładniejszych studiów pokazujących, jak ciąża zmienia mózg. Pritschet, dziś związana z University of Pennsylvania, wcześniej zasłynęła projektem, w którym przez dwa cykle menstruacyjne codziennie skanowała własny mózg. Tym razem badacze przez ponad dwa lata obserwowali zdrową kobietę planującą ciążę.

Pierwszy rezonans wykonano u niej trzy tygodnie przed zapłodnieniem, kolejne w czasie ciąży i po porodzie. Łącznie powstało 26 skanów MRI, którym towarzyszyły regularne pomiary poziomu hormonów. Dzięki temu naukowcy mogli niemal klatka po klatce śledzić przebudowę mózgu.

Zaobserwowali, że w czasie ciąży malały objętość istoty szarej i grubość kory, rosły zaś niektóre wskaźniki organizacji istoty białej. Nie był to więc prosty ubytek, lecz przebudowa mózgu.

Choć pierwsze badanie dotyczyło jednej kobiety, pokazało, że zmiany zaczynają się wcześnie i rozwijają wraz z ciążą, a nie dopiero po porodzie. Rok później potwierdzono to w większej grupie: objętość istoty szarej malała do końca ciąży, a potem częściowo wracała. Tempo zmian wiązało się z poziomem estrogenów.

Mózg ciężarnej nie kurczy się więc bezpowrotnie. Przechodzi cykl reorganizacji i częściowej odbudowy.

DRUGA CIĄŻA TO INNA HISTORIA

W lutym 2026 r. zespół Hoekzemy pokazał, że mózg przy drugiej ciąży nie odtwarza po prostu programu uruchomionego za pierwszym razem. Znowu się zmienia, ale inaczej. Pierwsza ciąża wygląda jak głęboka przebudowa własnego „ja" – mocniej przekształca sieci związane z myśleniem o sobie i innych ludziach, rozumieniem cudzych intencji oraz elastycznym kierowaniem uwagą. To neurologiczne przejście od kobiety, która jeszcze nie była matką, do kobiety, która zaczyna widzieć świat także z perspektywy dziecka.

Przy drugiej ciąży zmiany są nieco subtelniejsze i przesuwają się w stronę systemów nastawionych na świat zewnętrzny: wychwytywanie bodźców, szybkie przenoszenie uwagi, łączenie tego, co się widzi i słyszy, z natychmiastową reakcją ciała. Jakby mózg nie musiał już od podstaw budować matczynej tożsamości, tylko stroił radary.

Badacze zauważyli zmiany między innymi w sieci uwagi grzbietowej i układach czuciowo-ruchowych. Mówiąc pro-

eprasa.pl cce6ce74a6

sto: w obszarach, które pomagają zauważyć ruch kątem oka, wyłowić płacz z domowego hałasu i zareagować, zanim człowiek zdąży wszystko świadomie przeanalizować.

Druga ciąża nie jest więc powtórką z pierwszej. To raczej kolejny etap specjalizacji. Mózg nie uczy się już samego macierzyństwa. Uczy się, jak ogarnąć więcej niż jedno dziecko naraz. To jeszcze nie dowód na „neurobiologiczny multitasking". Badacze nie sprawdzali, czy uczestniczki lepiej wykonują kilka zadań jednocześnie. Pokazali jednak, że pierwsza i druga ciąża nie zapisują w mózgu identycznego wzoru. Każda zostawia nieco inny ślad.

„BABY BRAIN" TO NIE WYMYSŁ

W wielu badaniach kobiety w ciąży częściej skarżą się, że pamięć działa jakby z lekkim opóźnieniem: trudniej się skupić, słowo ucieka tuż przed wypowiedzeniem, a klucze od mieszkania nagle zaczynają prowadzić własne życie. Metaanalizy rzeczywiście pokazują niewielkie pogorszenie niektórych funkcji poznawczych – przede wszystkim pamięci, uwagi i funkcji wykonawczych – szczególnie pod koniec ciąży.

Tyle że nie jest to żadne gwałtowne „wyłączenie mózgu". Efekty są raczej subtelne, nie dotyczą każdej kobiety i nie oznaczają spadku inteligencji. Na codzienne funkcjonowanie nakłada się przecież cały biologiczny i psychiczny koszt ciąży: nudności, ból, stres, gorszy sen, wzmożona czujność, obowiązki i organizm, który przez całą dobę wykonuje potężną pracę metaboliczną. Trudno oczekiwać od pamięci idealnej formy, kiedy reszta ciała działa na pełnych obrotach.

Nie ma też podstaw, by opowiadać o tym jak o prostym transferze zasobów: mózg zabrał trochę pamięci, żeby dołożyć empatii i instynktu opiekuńczego. Zmiany w strukturze mózgu, subiektywna mgła poznawcza i rozwijające się kompetencje opiekuńcze mogą należeć do tego samego wielkiego procesu przebudowy. Nie układają się jednak w prosty rachunek: mniej pamięci, więcej miłości. Biologia może więc zwiększać gotowość do zauważania dziecka. Nie daje jednak kobiecie dyplomu z macierzyństwa jeszcze przed porodem.

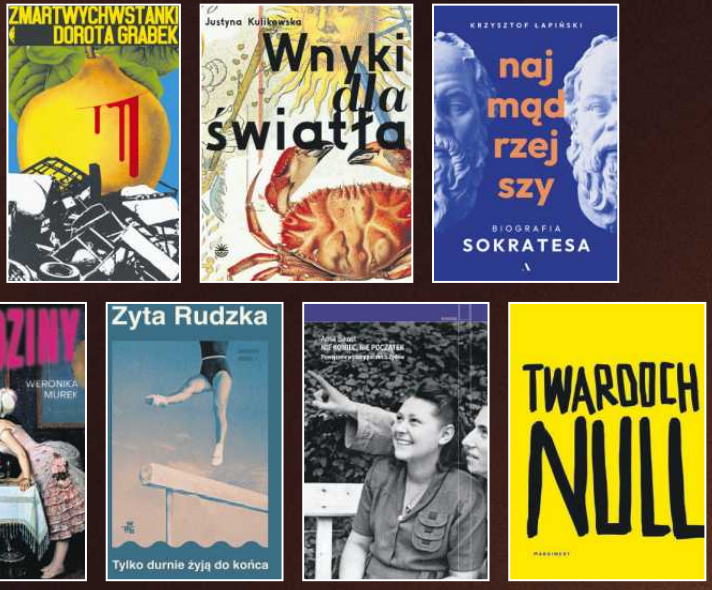
Łatwo byłoby powiedzieć, że natura kasuje kobiecie pamięć do PIN-u, ale w zamian daje jej supermoc czytania z twarzy niemowlęcia. To jednak tylko nowa wersja starego mitu o matczynym instynkcie. Ciąża może wyostrzać wrażliwość na sygnały dziecka, ale nie wgrywa do mózgu instrukcji obsługi noworodka. Macierzyństwa nadal trzeba się uczyć, a bez wsparcia może ono oznaczać lęk i obcość wobec nowej roli. Najważniejsze odkrycie jest inne: ciąża to jeden z najintensywniejszych okresów neuroplastyczności w dorosłym życiu. Powstaje nie tylko nowe ciało dziecka. Przebudowuje się także mózg kobiety – częściowo na chwilę, częściowo na lata. To nie zanik ani cudowna aktualizacja systemu, lecz remont domu, w którym wciąż trzeba mieszkać. Przez pewien czas trudno znaleźć klucze, niektóre przejścia są zastawione, a potem okazuje się jednak, że drzwi prowadzą do nowych pomieszczeń, a cały dom nauczył się reagować na obecność jeszcze jednego człowieka.

Całkiem nieźle, co? ▲

OGŁOSZENIE

Plebiscyt Nike Czytelników

30 lat Nike Nagroda Literacka



Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 27 września

Do zdobycia nagroda pieniężna o wartości 10 000 zł.

Zagłosuj na: wyborcza.pl/plebiscytnike

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI

MECENASI: ORLEN, KRUK

PARTNER GŁÓWNY FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

eprasa.pl cce6ce74a6

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

TEMAT NUMERU:
ROZSTANIE TO NIE KONIEC ŚWIATA

PSYCHOLOGIA: Jak rozpada się przyjaźń

RELACJE: Seks to nie nagroda

URODA: Reanimacja po lecie



W sprzedaży, również z dostawą do paczkomatu

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

eprasa.pl cce6ce74a6